

MRO CZNA  
SERIA

ALEKSANDRA

# MARININA

## śmierć i trochę miłości



w  
ab



W przeddzień swojego ślubu major Kamińska otrzymuje zagadkowy anonim: „Nie rób tego, bo pożałujesz”. Nazajutrz w urzędzie stanu cywilnego zostaje zastrzelona panna młoda. Dwie godziny później identyczna zbrodnia powtarza się w innym moskiewskim urzędzie. Wkrótce wychodzi na jaw, że obie ofiary otrzymały znany Anastazji list z pogroźkami. Co więcej, podobne anonimy dotarły także do innych kobiet szykujących się do ślubu. Dlaczego żadna z nich nie zgłosiła się na milicję? Kim jest polujący na nie szaleniec? Na te pytania musi odpowiedzieć major Kamińska, która mimo zagrożenia i mnożących się zagadek nieustraszenie dąży do prawdy.



**Aleksandra Marinina (1957)**

urodziła się we Lwowie. Mieszkała w Leningradzie, potem przeniosła się do Moskwy; tam ukończyła szkołę muzyczną oraz wydział prawa. Po studiach rozpoczęła pracę w milicji, gdzie zajmowała się edukacją i badaniami w dziedzinie kryminologii. W 1992 roku ukazała się pierwsza z cyklu powieści o major Anastazji Kamieńskiej. W 1998 Aleksandra Marinina odeszła z milicji i poświęciła się całkowicie karierze pisarskiej. Do dziś jej książki – przetłumaczone m.in. na język włoski, francuski, niemiecki, szwedzki, a także chiński, japoński i koreański – osiągnęły łączny nakład trzydziestu milionów egzemplarzy. Cykl o major Kamieńskiej doczekał się także ekranizacji przez rosyjską telewizję NTW. Nakładem Wydawnictwa W.A.B. ukazały się dotychczas dwie powieści z tej serii: *Ukradziony sen* (2004) oraz *Męskie gry* (2004).

ALEKSANDRA

**MARININA**

---

**śmierć  
i trochę  
miłości**

ALEKSANDRA

**MARININA**

---

**śmierć  
i trochę  
miłości**

przełożyła ELŻBIETA RAWSKA

Patronat medialny:



Tytuł oryginalny: *Смерть и немного любви*

Copyright © A. Marinina, 1995

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2005

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2005

Wydanie I

Warszawa 2005

## ROZDZIAŁ 1

Dzień roboczy szybko zbliżał się do końca, ale Anastazja Kamieńska wciąż nie mogła uporządkować swoich papierów, notatek, tabel statystycznych. Musiała to jednak koniecznie zrobić, gdyż ten piątek był ostatnim dniem jej pracy przed urlopem. Jak również ostatnim dniem jej życia jako kobiety niezamężnej. Jutro, trzynastego maja, w sobotę, Nastia Kamieńska wyjdzie za mąż.

Kiedy przed trzema miesiącami ona i Aleksiej Czistiakow złożyli dokumenty w urzędzie stanu cywilnego, żartom na ten temat nie było końca. Wszyscy wiedzieli, że Nastia wkrótce skończy trzydzieści pięć lat, z Czistiakowem znają się od dziewiątej klasy i od tamtej pory zawsze są razem, że Kamieńskiej wcale nie zależy na ślubie i życie rodzinne specjalnie jej nie pociąga. Dlatego ta nieoczekiwana decyzja spowodowała ze strony przyjaciół i kolegów prawdziwą nawałnicę nietaktownych i złośliwych pytań. Jedni obrzucali podejrzliwym spojrzeniem szczupłą sylwetkę Anastazji, szukając oznak ewentualnej ciąży, drudzy twierdzili, że Czistiakow otrzymał propozycję pracy na Uniwersytecie Stanforda i Kamieńską skusiła perspektywa spokojnego życia za granicą w roli żony profesora. Jeszcze inni, do których dochodziły niekiedy słuchy na temat niebezpiecznych sytuacji, w jakie zwykła się pakować Nastia, głosili oryginalną teorię, jakoby Kamieńska zaczęła się po prostu bać życia w samotności.

Czymkolwiek jednak znajomi Anastazji tłumaczyli ten krok, w istocie zachowywali się tak samo - trochę sobie z niej pokpiwali, ale zarazem pochwalali jej decyzję. W końcu najwyższa pora się ustatkować i zacząć żyć jak inni.

Dzisiaj, dwunastego maja, w przeddzień ślubu, wszyscy kompletnie powariowali. Co piętnaście, dwadzieścia minut albo ktoś dzwonił, albo wpadał do pokoju Nasti, serwując kolejny idiotyczny żart. Nawet poważny i nieskory do śmiechu Igor Lesnikow, który przyszedł spytać, czy nie wybrała by się z nim na obiad do stołówki, i spotkał się z uprzejmą odmową, zaripostował złośliwie:

- No jasne, dzisiaj się możesz przegłodzić. Od jutra będziesz miała w domu osobistego kucharza.

Nastia nie obraziła się, ponieważ doskonale wiedziała, do czego pije Igor. Była wręcz patologicznie leniwa we wszystkim, co nie dotyczyło pracy. Rzeczywiście nie umiała gotować, nie znosiła robić zakupów, a w domu starała się odżywiać w taki sposób, by mieć jak najmniej naczyń do zmywania. Za to Losza był nie tylko geniuszem matematycznym, ale i kulinarnym. Od chwili gdy rodzice Nasti zamienili swoje duże mieszkanie na dwa małe, by ich dorosła córka miała własne lokum, Losza wziął na siebie troskę o zdrowie przyjaciółki; gdyby bowiem nie przyjeżdżał do niej co najmniej raz w tygodniu, żeby ugotować obiad, żywiłaby się wyłącznie kanapkami, popijając je morzem mocnej czarnej kawy.

Z niebывałym zdumieniem Anastazja uświadomiła sobie, że wieść o jej bliskim zamażpójściu dotarła nie tylko do przyjaciół. Właściwie w tym, że dowiedziało się o ślubie wiele osób, nie było nic dziwnego, ale Nastia nie przypuszczała, że ten fakt może kogokolwiek zainteresować, oczywiście oprócz tych, którzy od dawna ją znają. Okazało się, że nie miała racji. Parę dni temu musiała pojechać do prokuratury miejskiej, do śledczego Olszańskiego, i w jego gabinecie natknęła się na faceta, który - dzięki jej wysiłkom - od kilku miesięcy siedział w areszcie jako podejrzan.



- Nie miałem szczęścia. - Mężczyzna uśmiechnął się krzywo. - Gdybym poczekał do maja, już by mnie pani nie przy-skrzyniła.

- A to dlaczego? - zdziwiła się Anastazja. - Gdzie by pan zniknął?

- Nigdzie, ale pani wyszłaby za mąż - wyjaśnił kandydat do najwyższego wymiaru kary.

- No i co z tego?

- No i nic. Po prostu nie miałyby pani do mnie głowy. Tylko stare panny bywają takie zawzięte, bo nienawidzą wszystkich mężczyzn. A mężatki są zaprzątnięte innymi sprawa-mi niż praca, ot, siedzą tylko i objają się, byle wziąć pen-sję na pierwszego. No trudno, miałem pecha.

Po powrocie na Pietrowkę Nastia opowiedziała o tym swojemu przełożonemu, pułkownikowi Gordiejewowi.

- No proszę! - wykrzyknął z tryumfem. - A co ja ci mó-wiłem?

- Co mi pan mówił? - zapytała speszona Nastia, nieświa-doma przyczyny nagłego ożywienia Wiktora Aleksiejewicza.

- Mówiłem, że najgroźniejszą bronią oficera śledczego jest jego reputacja. Nie umiejętność posługiwania się bronią, nie szybkie nogi, nie czarny pas w karate, lecz właśnie re-putacja. Na przykład ty, niby taka mała, cichutka myszka, nikt cię nie widział i nie zna, siedzisz w swoim kątku i skro-biesz dla mnie jakieś tam sprawozdania analityczne. Prawda? A tymczasem, widzisz, nasi kryminaliści o tobie gadają. To znaczy, że w ich oczach jesteś kimś. I to kimś niebezpiecz-nym. Skoro nawet oni sami to przyznają, ocena musi być słuszna. Pamiętaj, Nastieńko, oficer śledczy, o którym śro-dowisko przestępcze nie wie, jest nic niewart. Bo jeśli przestępcy o kimś takim nie wiedzą, to znaczy, że się nim nie interesują, a skoro się nie interesują, to się go nie boją. Kryminalista przechodzi przez ręce takiego oficera i nawet go nie zauważa, nie pamięta. Rozumiesz?

- Niech pan da spokój, Wiktorze Aleksiejewiczu. - Nastia machnęła ręką. - Co ze mnie za oficer śledczy? Śmiechu warte. Jestem analitykiem, nie wywiadowcą.

- Dobrze, dobrze, możesz się śmiać - wielkodusznie przyzwolił pułkownik. - Zobaczmy jeszcze, kto się będzie śmiał ostatni.

Rozmowa odbyła się cztery dni temu i wówczas Nastia Kamieńska nawet nie podejrzewała, jak słuszna jest opinia przełożonego. Także dziś, w przeddzień ślubu, nie przemknęło jej przez głowę, że jeszcze przed upływem doby sama się przekona, iż kryminaliści znają ją nie tylko z imienia i nazwiska. Ale to miało się stać dopiero jutro. Dzisiaj Nastia siedziała w swoim gabinecie na Pietrowce 38 i metodycznie porządkowała nagromadzone w sejfie i szufladach hałdy papierów.

Około wpół do ósmej zadzwonił ojczym.

- Dziecino, pojedziesz ze mną na lotnisko po mamę?

Nastia zawahała się. Nie widziała matki kilka miesięcy, ale przecież i tak jutro się zobaczą. A ona ma jeszcze tyle roboty...

- Rozumiem - sucho rzekł ojczym. - Znowu siedzisz po uszy w pracy.

- Oj, tatuśku... - zaczęła Nastia błagalnym tonem. - Muszę wszystko doprowadzić do porządku przed urlopem. Przecież wiesz.

- Wiem - nieco łagodniej przyznał Leonid Pietrowicz. - Chwała Bogu, że w ogóle przyszło ci do głowy wziąć urlop. No dobrze, pojedą sam.

- Dzięki, tatuśku - z wdzięcznością powiedziała Nastia. - Jutro się zobaczymy.

Boże, ależ jej się poszczęściło w życiu! Ojczym, którego - odkąd pamięta - nazywa tatusiem, zawsze rozumiał ją w pół słowa, gdyż sam wiele lat przepracował w wydziale kryminalnym. Szef, z którym ani razu w ciągu ośmiu lat nie była w konflikcie. I Losza, który nie tylko ją kocha, ale zna dosłownie na wylot, tak że nigdy w okresie ich długotrwałej

go związku nie zrobił żadnego fałszywego kroku, wyczuwał ją bezbłędnie. Co prawda, ona sama potrzebowała sporo czasu, by zrozumieć, że to właśnie jest najcenniejsze i naprawdę ważne w relacjach między dwojgiem ludzi, a nie wybuchy dzikiej namiętności, burze emocji i inne głupstwa. Gdy tylko pojęła tę prostą prawdę, od razu zgodziła się wyjść za Loszkę. Jednakże wytłumaczyć to komuś okazało się zadaniem zbyt trudnym. Wyglądało na to, iż zdecydowała się na ślub jedynie dlatego, że Losza kupił jej komputer. Nawet najbliższy przyjaciel Nasti, kolega z pracy, Jura Korotkow, nie mógł tego zrozumieć.

- Loszka dostał duże honorarium za podręcznik i zafundował mi komputer, to miała być niespodzianka - wyjaśniała Nastia. - A potem czekał na mnie na przystanku autobusowym i kiedy się spotkaliśmy, zaczął się dopytywać, czy nie chciałabym spędzić urlopu gdzieś nad Morzem Śródziemnym. Masz pojęcie? U mnie w domu już stoi rozpakowany komputer, tymczasem on mnie namawia, żebym się wybrała na tak kosztowne wakacje.

- A gdybyś się zgodziła? - zapytał Korotkow. - Gdybyś miała ochotę pojechać nad ciepłe morze? Przecież pieniądze zostały już wydane. Co wtedy?

- Właśnie o to chodzi, że Loszka był pewien, że odmówię - z zapałem przekonywała Jurę Nastia. - Tak dobrze mnie zna, że wiedział bez pudła, na czym mi najbardziej zależy. Chociaż nigdy nawet się nie zająknęłam ani o tym, że komputer jest mi potrzebny do pracy, ani że chciałabym pojechać nad Morze Śródziemne. Wyobraź sobie, że twoja żona codziennie smaży ci na śniadanie jajecznicę, bo to zabiera najmniej czasu, a przecież sama herbata to trochę za mało. Zwykle w domu jest coś więcej niż jajka, mogłaby ci na przykład ugotować parówki, ale parówek akurat nie znosisz, więc każdego ranka dostajesz swoją jajecznicę. I nagle sytuacja diametralnie się zmienia. Żadnych więcej jajek, w łódźce jest za to jogurt, sałatka z krewetek i krabów, deser ananasowo-bananowy, świeże ostrygi i rostbef. Czy twoja

żona potrafiłaby, nie zadając ci ani jednego pytania, wybrać dokładnie to, co miałbyś ochotę zjeść na śniadanie? Pamiętaj, że nigdy przedtem nie musiała się głowić nad podobnym problemem, bo ani ty, ani ona nawet nie znałście smaku tych frykasów. Więc co, potrafiłaby?

- Chyba nie. - Korotkow pokręcił głową. - Zresztą ja sam pewnie też nie umiałbym wybrać. Z tego, co wymieniłaś, jadłem tylko jogurt.

- No widzisz. Tak samo Loszka. Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, na co bym chciała wydać trzy tysiące dolarów. Jak żyję, nie miałam takich pieniędzy, on też nie, więc nie było o czym mówić. Ale kiedy nagle się pojawiły, Losza natychmiast odgadł, na co bym je przeznaczyła. Do tego nie wystarczy kogoś znać, trzeba go jeszcze wyczuwać równie błędnie, jak siebie samego. Wtedy właśnie zrozumiałam, że drugiego takiego Loszki nigdy w życiu nie znajdę.

- To jasne. - Korotkow uśmiechnął się kwaśno. - Żaden normalny facet nie wytrzyma tego, że twoja praca właściwie nigdy się nie kończy, a jednocześnie jesteś tak potwornym leniem. Przyznaj się, że po prostu zatęskniłaś za ciepłem domowego ogniska, ale stworzonego cudzymi rękami, i nie opowiadaj mi tu bajek o wzniosłych uczuciach. Tak jak bym cię nie znał!

- No wiesz, Jurka... - Nastia westchnęła. - Zawsze wszystko musisz sprowadzić do trywialnych wniosków.

Historia z komputerem nie przekonała nikogo, niemniej była to absolutna prawda. I dzisiaj, w piątek, około dziewiątej wieczór, zamykając drzwi swego gabinetu i żegnając się z nim w duchu na prawie półtora miesiąca, Anastazja Kamieńska pomyślała, że chyba nie popełnia błędu, wychodząc za męża.

W drodze do metra przypomniała sobie, że zamierzała kupić prezent przyrodniemu bratu. Aleksander Kamieński, syn ojca Nasti z drugiego małżeństwa, też miał wstąpić w związek małżeński, i także jutro. Młodszy od Nasti o siedem lat, dał się pochłonać bez reszty niespokojnemu, szalo-

nemu światu biznesu, suchych, nudnych kalkulacji finansowych i wielkich pieniędzy. Aleksander był już żonaty, a jego związek, choć dosyć letni, wydawał mu się udany, dopóki Sasza nie spotkał na swojej drodze cudownej dziewczyny, która pokochała go gorącą, szczerą i absolutnie bezinteresowną miłością. Wówczas dopiero się przekonał, że każdy dzień życia może być prawdziwym świętem. Wprawdzie kosztowało go niemało czasu i wysiłków, żeby w to uwierzyć, ale gdy tylko się tak stało, w jednej chwili zamienił się w czarodzieja, dla którego największą przyjemnością było obdarowywanie innych i dokonywanie małych i wielkich cudów. Gdy się dowiedział, że siostra, która odegrała tak istotną rolę w jego związku z Daszą, wychodzi za mąż trzynastego maja, użył całej swojej siły przebiccia, wykorzystał wszystkie dojścia i nie żałował pieniędzy, by zdążyć z załatwieniem w porę formalności rozwodowych, po czym sprawił, że termin jego ślubu z nową narzeczoną został wyznaczony na ten sam dzień. Oczywiście, miał wielką ochotę, by obie ceremonie odbyły się w tym samym urzędzie stanu cywilnego, ale tu już nie pomogły żadne argumenty - decydowało miejsce zamieszkania panny młodej lub pana młodego. Wyjątek stanowił jedynie Pałac Ślubów, gdzie mógł zawrzeć związek małżeński każdy, ale w tej sprawie Nastia okazała się nieprzejednana: żadnej pompy, żadnych spektakularnych ceremonii, wszystko ma się odbyć szybko, skromnie i po cichu.

Tak więc Sasza zmodyfikował swój wspaniały pomysł w sposób następujący. Najpierw Nastia z Aleksiejem i on z Daszą pojedą na dziesiątą do jednego urzędu, gdzie Aleksander weźmie ślub ze swoją narzeczoną, a siostra i jej narzeczony będą świadkami, a następnie udadzą się do drugiego - tam odbędą się zaślubiny Nasti z Loszą, a w roli świadków wystąpią świeżo upieczeni małżonkowie. Potem cała czwórka zgodnie ruszy do restauracji, gdzie już będą czekać cztery rodzicielskie pary, i wszyscy razem zjedzą skromny obiad.

- Może lepiej nie? - wahała się Nastia, która w ogóle nie miała ochoty świętować swego zamażpójścia w szerszym gronie. - Nie sądzę, żeby nasz ojciec dobrze się czuł w towarzystwie obu swoich żon, byłej i obecnej.

- Och, Aśka, daj spokój. Tyle lat minęło, że to już nikogo nie może krępować. Przeciwnie, jestem pewien, że to dobry pomysł. Tak wiele zrobiłaś dla mnie i Daszki, że nie mogę nie być na twoim ślubie i nie chcę świętować swojego bez ciebie.

- Właśnie dlatego nie trzeba było wyznaczać obu na ten sam dzień - powiedziała niezadowolona Nastia. - Sam stwarzasz trudności, które potem wszyscy muszą z heroicznym wysiłkiem pokonywać. Co by się takiego stało, gdybyśmy wzięli swoje śluby w odstępie tygodniowym?

- A wesele? - zapytał oburzony brat. - Przecież właśnie o to chodzi, żeby wszystko odbyło się tego samego dnia. Pomyśl, co za wspaniała historia! I rocznice ślubu będziemy potem mogli obchodzić wspólnie. Asiu, ty wciąż żyjesz wyobrażeniami z minionej epoki, ale to się już skończyło! Nie masz pojęcia, jak dziś można się zabawić, rozerwać! Oczywiście, w tym roku nigdzie nie pojedziemy w podróż poślubną, bo Daszka za dwa miesiące rodzi, ale pierwszą rocznicę ślubu możemy obejść, na przykład, w Madrycie. Drugą - w Wiedniu, trzecią - w Paryżu. Pojedziemy tam całą czwórka, zrobimy z tego tradycję, piękną tradycję, którą będziemy pielęgnować i podtrzymywać, a wszyscy będą tylko kręcić głowami z zachwytu i wydawać ochy i achy, bo nikt inny nie pomyślał, by zorganizować sobie takie wspaniałe święto - brat i siostra wraz ze współmałżonkami obchodzą rocznicę ślubu tego samego dnia.

- Sasza, bądź łaskaw dostosować nieco swoje plany do moich możliwości finansowych - rozdrażnionym tonem przywołała brata do rzeczywistości Nastia. - Nie pojedę ani do Madrytu, ani do Wiednia, ani do Paryża, bo nigdy nie będzie mnie na to stać. Twoje milionerskie zadęcia naprawdę mnie wkurzają.

- A daj ty spokój! - Aleksander Kamiński tylko się śmiał w odpowiedzi; był tak zaślepiony miłością, że nie pozwalał nikomu zakłócać obrazu bajecznego świata, który stworzył w swej wyobraźni. - Jesteś moją siostrą i będę cię woził, gdzie dusza zapragnie, za swoje pieniądze.

W końcu udało mu się postawić na swoim i nazajutrz miało się odbyć podwójne wesele. Prezent dla Daszy Nastia kupiła już dawno, natomiast sprawę prezentu dla brata wciąż odkładała na później. W rezultacie musiała się tym zająć dziś wieczorem.

Na placu Puszkina wsiadła do trolejbusu i pojechała na Arbat. Wydawało jej się, że właśnie tam widziała elegancki komplet przyborów na biurko, odpowiedni dla wytwornego biznesmena. Powoli krążąc pomiędzy stoiskami i z trudem pokonując chęć kupienia ogromnego opakowania kulek serowych, zauważyła nagle samochód, który wydał jej się znajomy. Po sekundzie przypomniała sobie, do kogo wóz należy, ale nie dawało jej spokoju jakieś nieuchwytnie, nieprzyjemne wrażenie. Skupiła się i ponownie zajrzała przez szybę do auta. Na tylnym siedzeniu leżał jaskrawoczerwony skórzany płaszcz z czarnymi wykończeniami. Dobrze go pamiętała, w Moskwie widywało się takie rzadko.

Nastia rozejrzała się i dostrzegła w pobliżu niewielki lokalik z ulicznym ogródkiem. Właściciel samochodu i posiadaczka kosztownego, ekstrawaganckiego okrycia siedzieli przy stoliku, tyłem do niej, i o czymś z ożywieniem rozmawiali. Właściwie teraz nic już to Nasti nie obchodziło, ale jednak, jednak...

Powoli podeszła do bufetu, wzięła filiżankę kawy i ciastko, po czym usiadła przy sąsiednim stoliku, starając się tak wybrać miejsce, by nie rzucać się tamtym dwojgu w oczy, a zarazem dobrze słyszeć, o czym mówią.

- ...strasznie gorąco. Moi znajomi byli tam w lipcu, podobno panują cały czas mordercze upały. Trzeba się wybrać później, we wrześniu - dobiegał do uszu Nasti nieco kapryśny głos dziewczyny.

- Ale przecież w zeszłym roku pojechaliśmy właśnie w lipcu - przypomniał jej towarzysz. - Moim zdaniem, pogoda była całkiem znośna. Nawet się opaliłaś.

- Też mi porównanie! - prychnęła wzgardliwie dziewczyna. - Na Costa Brava jest zupełnie inny klimat. A w Turcji w lipcu można zwariować z gorąca.

- Słyszałem, że w Turcji istnieje takie jedno miejsce, idealnie czyste pod względem ekologicznym, gdzie jest bardzo przyjemnie nawet w lipcu - nie poddawał się młody człowiek. - Sosny, piasek, świeże powietrze.

- Co to za miejsce? - z niedowierzaniem spytała jego przyjaciółka.

- Zaraz... poczekaj... Cholera, zapomniałem, jak się nazywa.

- To Kemer - głośno powiedziała Nastia, nie odwracając głowy.

- No właśnie, Kemer! - podchwycił z zadowoleniem mężczyzna głos.

- A tak między nami, nie wypada podsłuchiwać cudzych rozmów - rzuciła agresywnym tonem dziewczyna - a tym bardziej się do nich wtrącać.

Nastia spokojnie odstawiła swoją filiżankę na stolik i odwróciła się do pary młodych ludzi. W pierwszej chwili jej nie poznali. Potem chłopak gwałtownie zbladł, a na policzkach dziewczyny wykwitły czerwone plamy.

- Na pani miejscu powstrzymałabym się raczej od uwag na temat, co wypada, a co nie - zauważyła Nastia. - To, co pani zrobiła, podpada pod artykuł kodeksu karnego dotyczący składania świadomie fałszywych zeznań.

- Nie może pani tego udowodnić! - wybuchnęła dziewczyna. - I w ogóle to nieprawda.

- Co nieprawda? To, że w zeszłym roku spędziliście razem urlop? To, że od dawna i dobrze się znacie?

- I co z tego? - nie ustępowała dziewczyna. - Co z tego, że się znamy?



- Ależ nic. - Nastia westchnęła. - Po prostu alibi pani przyjaciela wydawało się wiarygodne właśnie dlatego, że pani bez cienia wątpliwości rozpoznała w nim człowieka, który przypadkiem zagadnął panią na ulicy akurat w tym czasie, gdy na drugim końcu miasta dokonywano przestępstwa. Ale w świetle faktu, że tak naprawdę znacie się od dawna, wszystko wygląda zupełnie inaczej.

- Nieważne, sprawa i tak jest już zamknięta - wtrącił się młody człowiek.

- Każdą zamkniętą sprawę można wznowić. - Nastia wzruszyła ramionami. - Małoż to razy się tak zdarza!

Podobnej nowiny parka bynajmniej się nie spodziewała. Młodzi ludzie najwyraźniej uważali, że jeśli sprawa zostaje zamknięta, to raz na zawsze. Z pewnością nikt ich nie poinformował, że śledztwa dotyczące niewykrytych przestępstw ciągną się latami. Niekiedy następują w nich długie przerwy, ale postępowanie w każdej chwili może zostać wznowione.

Nastia dopiła kawę i wstała.

- W poniedziałek powiadomię śledczego o naszym miłym spotkaniu, niech sam zdecyduje, co dalej robić. Niewykluczone, że będziecie mieli szczęście, jeśli nie uzna mojej informacji za istotną. Ale na wszelki wypadek wolę was o tym uprzedzić.

Parka patrzyła za nią w milczeniu. Rozmowa zostawiła po sobie jakieś nieprzyjemne wrażenie - w pamięci Nasti odżył wyraźny obraz pobitej i zgwałconej dziewczyny, która podczas okazania nie była zbyt pewna, kto jest sprawcą, gdyż ból i strach nie pozwoliły jej przyjrzeć się dobrze twarzy przestępcy. Za to ta rozwydrzona smarkuła, która co roku spędza wakacje w modnych kurortach, twardo obstawała przy tym, że widziała podejrzanego młodego człowieka w zupełnie innym miejscu. Dobrze go zapamiętała, gdyż należy akurat do tej kategorii mężczyzn, którzy są zdecydowanie w jej typie. Okazuje się, że wcale nie skłamała, gdyby było inaczej, chyba nie spędzaliby razem wakacji.

Nastia kupiła w końcu prezent dla brata, a potem z budki telefonicznej zadzwoniła do śledczego.

- Konstantynie Michajłowicz, przepraszam, że niepokoję pana w domu, ale jutro czeka mnie koszmarne dzień, a od poniedziałku będę na urlopie.

- Nic nie szkodzi, mów.

- Przed chwilą właśnie się dowiedziałam, że Artiuchin miał fałszywe alibi. Dziewczyna, która go rozpoznała jako mężczyznę pytającego ją o drogę na ulicy, to w rzeczywistości jego stara znajoma.

- Widzisz go! - Konstantin Michajłowicz gwizdnął cicho.

- Wychodzi na to, że koncertowo zrobili nas w konia!

- Chyba tak. Powiedziałam im, że zawiadomię, kogo należy, dopiero w poniedziałek.

- Rozumiem. Dobrze, Nastazjo, jutro się do tego zabiorę. Powiedz mi tylko, co powinienem sprawdzić.

- W zeszłym roku byli razem w Hiszpanii, na Costa Brava, w lipcu. A więc muszą się znać co najmniej od roku.

- Skurwiele. Poczekaj no - przypomniał sobie śledczy - wychodzisz jutro za mąż, tak? Czy może coś pokręciłem?

- Nie, nie pokręcił pan.

- Więc dlaczego...

- Ślub jest jutro, nie dzisiaj. Dziś jeszcze pracuję.

- Kamińska, nikt nigdy ci nie mówił, że jesteś stuknięta?

- Ciagle to słyszę. Pan jest sto dziewiętnasty.

- Chwała Bogu, że oprócz mnie żyje na świecie jeszcze stu osiemnastu normalnych ludzi. A twój przyszły mąż też należy do tej grupy?

- Nie - powiedziała wesoło Nastia - jest jeszcze bardziej pokręcony niż ja. Kiedy przyjeżdża do mnie na weekend, zabiera ze sobą swoje papiery i cały czas coś gryzmoli.

- No cóż, dobraliście się w korcu maku. Życzę wszystkiego najlepszego. A Artiuchina załatwię na cacy. Ty spokojnie wychodź za mąż i niczym się nie martw.

Do domu Nastia wróciła o północy. Czistiakow siedział w kuchni i układał pasjansa. Jutrzejszą imprezą, podobnie jak Anastazja, nie czuł się szczególnie przejęty. Może dlatego, że zbyt długo czekał na tę chwilę i przez lata trochę się wypalił wewnątrz.

- Losza, jesteś na mnie zły? - spytała Nastia od progu.

- Przepraszam, słoneczko, ale nagromadziło się tyle spraw, że nawet nie pojechałam po mamę na lotnisko. No i musiałam jeszcze kupić prezent dla Saszy...

- I nie mogłaś mnie uprzedzić? - gniewnie wtrącił Czistiakow. - Już noc, a ciebie Bóg wie gdzie nosi. Zjesz coś?

- Zjesz. To znaczy, zjem - poprawiła się Nastia.

Patrząc, jak Anastazja z apetytem wcina sałatkę, Losza złagodniał. Wróciła cała i zdrowa, a więc wszystko w porządku. I tak nie da się jej przerobić. Jest niereformowalna. Zresztą nie ma potrzeby Nasti zmieniać.

Ela Bartos rozpięła zameczek łańcuszka i zdjęła kolejny naszyjnik.

- Ten też się nie nadaje - orzekła z westchnieniem. - Jest zbyt efektowny i odwraca uwagę od sukni. Co tam jeszcze mamy?

- Uspokój się wreszcie - powiedziała rozdrażniona Tamila. - Zachowujesz się tak, jakby to miało być jedyne i ostatnie wydarzenie w twoim życiu. Wiesz, co powtarzał swego czasu twój dziadek, profesor Berekaszwili? Że w ludzkim życiu jest tylko jedno wydarzenie, które nigdy się nie powtarza: obrona pracy doktorskiej. Człowiek może napisać i obronić nawet pięć prac, ale tylko pierwsza z nich uczyni zeń doktora, wszystkie pozostałe będą już habilitacyjne, nawet jeśli ktoś zechce się habilitować w zupełnie różnych, odległych od siebie dziedzinach. Za mąż natomiast można wychodzić dziesiątki razy, do upojenia. Dlatego nie warto traktować jutrzejszego ślubu jako wydarzenia szczególnie ważnego i przywiązywać do niego aż takiej wagi. Wielka rzecz, pójdziecie do urzędu, pożyjecie

ze sobą parę miesięcy, zaspokoicie młodzieńczy głód seksu, a potem wszystko to zacznie cię śmiertelnie nudzić i w podskokach polecisz złożyć pozew o rozwód.

Ela opuściła głowę i ciężko klapnęła na krzesło, nie bacząc na to, że gniecie elegancką ślubną suknię. Po jej policzkach stoczyły się łzy, pociągnęła nosem i otarła twarz dłonią.

- No tak, zaczyna się - rzuciła sucho Tamila, chowając do pudełeczek rozrzucone bezładnie kosztowne ozdoby. - Jesteś taka podenerwowana, moja droga, że słowa ci nie można powiedzieć. Weź się w garść, bo ludziom trudno będzie z tobą wytrzymać. Nie znasz się na żartach, o byle co się obrażasz, uderzasz w płacz. Co za koszmarny charakter!

Po tych słowach matki Ela zerwała się z krzesła i wybiegła z pokoju. Matka nie ukrywała niezadowolenia z jej wyboru kandydata na przyszłego męża. Ona sama, córka dumnego i niezależnego gruzińskiego uczonego i znanej pisarki z arystokratycznej rodziny Biersieniewów, wyszła w swoim czasie za mąż za Węgry Istvana Bartosa, syna akredytowanego w Moskwie dyplomaty. Zagraniczne kontakty i znajomości męża, a także niemałe zasoby materialne własnej rodziny pozwalały Tamili Bartos pędzić przyjemny i bez troski żywot, błyszczeć na przyjęciach i bankietach, towarzyszyć mężowi w licznych podróżach, z początku rzekomo w celu odwiedzenia rodziny za granicą, a potem - w interesach. Tamila - urodziwa, swobodna i obyta, o rasowej twarzy, nosie z lekkim garbkiem, gęstych, granatowoczarnych włosach, bujnym biuście i wspaniałych biodrach - stale była w centrum zainteresowania i mimo swoich czterdziestu pięciu lat nie mogła narzekać na brak wielbicieli. To, że większość z nich fascynuje nie tyle jej uroda i walory towarzyskie, ile kontakty i pieniądze Istvana, nawet nie przychodziło Tamili do głowy. Wychowana w inteligenckiej, należącej do elity rodzinie, biegle władająca niemieckim i węgierskim, od dzieciństwa przyzwyczajona do życia w dostatku, obdarzana miłością i zainteresowaniem, uważała swoją atrakcyj-

ność za rzecz naturalną i oczywistą, za coś, co istniało zawsze i będzie trwało wiecznie.

Trudno się dziwić, że miała własne wyobrażenie przyszłego zięcia. Bynajmniej nie był to poczciwy okularnik, młody naukowiec, mieszkający z matką, biedny jak mysz kościelna i bez wielkich widoków na przyszłość. Oczywiście, Pista (Tamila, podkreślająca pochodzenie męża, używała węgierskiej zdrobniałej formy jego imienia) mógłby zapewnić chłopakowi odpowiednią karierę, zatrudnić go u siebie, a później może nawet uczynić współnikiem. Ale czy jest sens w niego inwestować? Okularnik wcale nie przypominał złotego samorodka, na którego obróbkę warto tracić czas i pieniądze. To zwykły, naiwny głupek bez siły przebiccia, żyłki do interesów, obrotności i energii. Przyjrząwszy mu się uważniej, Tamila uznała, że cała sprawa polega na jego niezwykłej atrakcyjności seksualnej, której nie może się oprzeć głupiutka młoda dziewczyna, jej córka. Chłopak był ogromnie pociągający - nawet Tamila, która wiele w życiu widziała, musiała to przyznać. Gdy zaś zaczyna działać potężna, naturalna siła przyciągania, wszelkie przeszkody jedynie wzmagają wzajemny pociąg, dlatego też, rozsądnie myślała Tamila, nie ma sensu zniechęcać córki do małżeństwa, gdyż osiągnie się skutek odwrotny do zamierzonego. Trudno, niech się pobiorą, zdecydowała cynicznie, a kiedy się już sobą nasycą i przestanie ich to bawić, będzie można pomyśleć o rozwodzie. Trzeba tylko na początek wybić córce z głowy idiotyczne przekonanie, że mąż to ten jeden jedyny, na całe życie, zesłany przez niebiosy towarzysz w doli i niedoli, na dobre i na złe, w zdrowiu i w chorobie, dopóki ich śmierć nie rozdzieli... i tak dalej, i tak dalej. Elena już teraz, w przeddzień ślubu, powinna być świadoma, że jutrzejsza impreza to nic wyjątkowego, przeciwnie, całkiem zwykłe wydarzenie, jakich w jej życiu będzie jeszcze, oby Bóg dał, wiele.

Ela wyszła ze swojego pokoju z czerwonymi oczami i zapuchniętą twarzą. Nie miała już na sobie pięknej białej sukni, lecz szmaragdowozielone skórzane legginsy i długą prawie

do kolan bluzę w popielate i zielone kwiaty. Gęste czarne włosy, zebrane i wysoko podpięte, odsłaniały wzruszająco szczupłą, giętką szyję i podkreślały pełne, ładnie wykrojone wargi, pociągnięte ciemną szminką.

- Idę do Kati - oznajmiła Ela zaczepnym tonem, spodziewając się wybuchu nowej kłótni.

Już ósma, powinna się wcześniej położyć, żeby jutro dobrze wyglądać, bo trzeba będzie wstać bardzo wcześnie - o siódmej Natasza przyjdzie ją uczesać, o ósmej Gala, żeby jej zrobić makijaż, potem manikiurzystka, a o wpół do dziesiątej powinna już wsiąść do samochodu i jechać do urzędu. Otwierano go o dziesiątej i Tamila nalegała, by wyznaczono termin ślubu na tę właśnie godzinę. Jej córka musi być pierwsza, a nie czekać w kolejce razem z innymi.

- Idź. - Matka tylko wzruszyła ramionami. - Znowu się późno położysz i będziesz jutro wyglądała jak marynowany śledź. Ale mnie na tym nie zależy, to ty wychodzisz za męża, nie ja, to twój ślub, nie mój.

Ela czym prędzej wybiegła z mieszkania, trzasnąwszy drzwiami, żeby się znowu nie rozpłakać. Chwilami naprawdę nienawidziła matki. A w ciągu ostatnich kilku miesięcy te „chwile” zdarzały się tak często, że nie bez podstaw można by je zamienić na „prawie cały czas”.

Serdeczna przyjaciółka Eli, Katia, mieszkała w sąsiedniej klatce schodowej. Kiedyś dziewczynki chodziły do jednej klasy, potem razem zdawały na studia - Katia celująco, Ela oblała egzaminy wstępne za pierwszym i drugim podejściem. Teraz Katia była już studentką trzeciego roku, a Ela wciąż się objiała, regularnie jeździła za granicę, albo z rodzicami, albo na wycieczki turystyczne, i udawała, że studiuje historię filmu. Tamila, która w ogóle nie wiedziała, co to praca, uważała taki tryb życia za najzupełniej normalny; trzeba będzie tylko znaleźć córce odpowiedniego męża, to znaczy kogoś, kto zapewni jej możliwość tego rodzaju egzystencji, i to na określonym poziomie.

Katia ogromnie się zdziwiła na widok przyjaciółki.

- Ela? Coś się stało?
- Nie. Zwyczajnie wpadłam pogadać.
- W przeddzień ślubu? - z niedowierzaniem spytała Katia.
- Nie masz nic lepszego do roboty?

- Jeżeli ci przeszkadzam, to sobie pójdę - obraziła się Ela. - Przyszłam nie w porę?

- Coś ty, wejźdź - uspokoiła ją Katia. - Po prostu się zdziwiłam. Zwykle panny młode w przeddzień ślubu są zajęte załatwianiem rozmaitych spraw, no wiesz, takich jak samochody, goście, przyjęcie. A potem do późnej nocy siedzą z narzeczonym w ciemnym kącie i cieszą się na myśl o tym, że jutro o tej porze będą robić to samo, tylko już w sposób prawnie usankcjonowany.

- Nie wiem, co zwykle robią panny młode. Ty jesteś moja jedyną przyjaciółką, a na razie jeszcze jakoś za mąż nie wyszłaś - zauważyła Ela złośliwie.

- No, przez te trzy lata prawie połowa dziewcząt z roku już się zdażyła wydać - zaśmiała się przyjaciółka - więc dość się napatrzyłam. Chcesz herbaty?

- Chybabym coś zjadła - przyznała się zmieszana panna młoda.

Katia spojrzała na nią uważnie.

- Elena, przestań ściemniać. Przyszłaś prosto z domu, masz świeży makijaż, a na nogach kapcie.

- I co z tego?

- Więc czemu jesteś głodna? Matka nie daje ci jeść? A może znowu się z nią ścięłaś i tchórzliwie dałaś nogę, zapominając włożyć buty?

Eli zadrżały wargi i po chwili już się wypłakiwała na ramieniu przyjaciółki.

- Dlaczego mama tak go nie lubi? Co on jej złego zrobił?

- Elka, na miłość boską, a dlaczego miałaby go lubić? To ty powinnaś lubić swojego Walerę, no i lubisz, a nawet kochasz. Nie żądaj, żeby jej się podobało to samo, co tobie.

Katia głaskała po głowie płaczącą przyjaciółkę, myśląc ze smutkiem, że jej wywody są chyba niezbyt zrozumiałe dla

miłej, dobrej, ale ograniczonej Eleny. Wciąż od nowa zadawała sobie bolesne pytanie, co takiego widzi w tej niemądrej dziewczynie niezwykle uzdolniony przyszły naukowiec Walerij Turbin? Walerij odbywał staż asystencki w katedrze filozofii i Katia poznała go, kiedy przez cały semestr prowadził z ich grupą seminarium. Turbin od razu wyodrębnił spośród słuchaczy trzeciego roku nieprzeciętnie zdolną studentkę; z nią jedną mógł rozmawiać tym samym językiem, co z profesorami i docentami. Wzajemne zainteresowanie podbudowała wkrótce również obopólna sympatia, która z kolei przerosła się w fascynację, i kto wie, jak potoczyłyby się sprawy, gdyby Ela, nie mając nic lepszego do roboty, nie przyszła razem z Katią na uczelnię, by ją wesprzeć duchowo przed egzaminem z psychologii społecznej. Katia w audytorium odpowiadała na pytania wykładowcy, a Elena na korytarzu, oparta o parapet, denerwowała się, czy przyjaciółce aby dobrze idzie; towarzyszył jej młody asystent, który akurat przypadkowo tędy przechodził. Kiedy Katia wyszła z sali, wystarczyło jej jedno spojrzenie, by zrozumieć, co się stało. Nagłą bladłość dziewczyny Ela i Turbin przypisali egzaminacyjnemu napięciu i stresowi.

Katia od razu pogodziła się z sytuacją, nie była typem przebojowym i dlatego nie rywalizowała z Eleną o miejsce przy boku Turbina. Rana w jej sercu jednak dotąd się nie zagoiła, ale przecież Katia nie przypadkiem wybrała kierunek, na którym studiowała filozofię, socjologię i psychologię. Zajmowała się dziedzinami, w których dobrze się orientowała, które były jej bliskie, rozumiałe i interesujące. I dzięki temu udało się dziewczynie rozdzielić w sobie miłość do Walerija Turbina i przyjaźń z sąsiadką i koleżanką szkolną Elą Bartos. W głębi duszy nawet trochę jej współczuła - Elena nie miała ani przyjaciół, ani pracy, ani zainteresowań. W takiej sytuacji romansowa historia staje się dla człowieka jedyną ostoją, skupia wszelkie jego myśli i emocje, wszystko zaś, co jej zagraża, wydaje się katastrofą, a w każdym razie tragedią. Z pewnością spotkam jeszcze w życiu, myślała



Katia, interesujących, mądrych mężczyzn, a gdzie Elka miałaby ich poznać? Nigdzie nie bywa, z nikim nie utrzymuje stosunków, obija się wprawdzie po zagranicach, ale na wycieczki turystyczne jeżdżą przeważnie kobiety, a jeśli trafi się mężczyzna, to zawsze z żoną albo z dzieckiem. Samotni i bogaci się tam nie zdarzają. Zawierać znajomości na ulicy Ela też nie może, od dzieciństwa wpajano jej surowo, że to nie wypada. Oczywiście, mogłaby zlekceważyć rodzicielskie zasady, ale przecież sama doskonale wiedziała, że pozycja, którą zajmuje jej ojciec, sprawia, iż nikt z rodziny nie ma prawa ryzykować, zawierając przypadkowe znajomości; niewykluczone, że wprowadziłyby do domu mordercę lub złodzieja.

Ela w końcu się uspokoiła i dziewczęta gadały prawie do jedenastej. Wracając do siebie, Ela wyjęła ze skrzynki gazety i małą białą kopertę. Nie widniało na niej imię ani nazwisko adresata, więc chwilę obracała ją w rękach, wahając się, czy otworzyć przesyłkę, czy oddać rodzicom. Ciekawość jednak zwyciężyła, więc Elena naderwała brzeżek koperty i wyjęła z niej złożony we czworo kawałek papieru. Na kartce dużymi, drukowanymi literami napisano: „Nie rób tego. Pożałujesz”.

## ROZDZIAŁ 2

Nastia właśnie zdążyła wejść pod prysznic, gdy ktoś zadzwonił. Losza otworzył drzwi, przez które wpadła jak burza rozpromieniona Daszka. Była w ósmym miesiącu ciąży, dlatego też zamiast sukni ślubnej włożyła lekki jedwabny komplet w kolorze kremowym, złożony z szerokich luźnych spodni i długiego kasaka z karczkiem, układającego się w miękkie, lejące fałdy. Brzemienna Dasza nie zbrzydła, jak to często bywa w ciąży; jej twarz okalały gęste, miodowopszeniczne włosy, ogromne niebieskie oczy spoglądały

ciepło i życzliwie, a w dobrze uszytym spodniemie dziewczyna wyglądała nie jak przyszła matka, lecz jak urocza, pulchna kuleczka.

- No tak, wiedziałam, że jeszcze jesteście w lesie! Anastazja, wiadomo, to znany leń i śpioch, ale ty?

- Co ja? - zdziwił się Czistiakow. - Przecież w urzędzie mamy być o dziesiątej, a jest dopiero ósma.

- A ubrać się? Umalować? Kupić kwiaty? Za godzinę przyjedzie po nas Aleksander, a ty i Nastia ciągle w rosole.

- Nie bój się - uspokajał Losza przyszłą krewniaczkę. - Zdażymy. Nie powinnaś się denerwować, to ci szkodzi.

- Gdzie narzeczona? - surowo spytała Dasza.

- Pod prysznicem, budzi się.

- Ma już przygotowany strój?

- Nie wiem - spieszył się Czistiakow. - Nie pytałem.

- Wiedziałam! Pewnie nawet nie zdażyła sprawdzić, czy wszystkie guziki się trzymają i czy nie trzeba czegoś odprasować. Idź, zajmij się śniadaniem, a ja obejrzę kostium.

Czistiakow pokornie podreptał do kuchni zaparzyć kawę, a z pokoju dobiegały go co chwila westchnienia i narzekania Daszy.

- O Boże, gdzie ona wepchnęła tę bluzkę, którą jej kazałam włożyć? Przecież widziałam ją gdzieś tutaj... Oczywiście, że trzeba odprasować spódnice... Nie, to nie panna młoda, tylko jakieś totalne nieporozumienie... Czy przynajmniej jest w tym domu żelazko?

Nastia, która wyszła z łazienki, zamarła na widok rezultatów burzliwej działalności Daszy. Wszystkie ubrania z szafy leżały porzucane na kanapie i fotelach, a pośrodku pokoju kłęczała Dasza i rozpostarłszy na podłodze cienki koc, prasowała na nim czarną spódnicę Nastii.

- Cóż tak stoisz jak skamieniała? - spytała Daszka, nie odwracając się. - Wypij szybko kawę i zajmij się swoją twarzą.

- Może to nie jest konieczne? - ostrożnie spytała Nastia, która nie cierpiała się malować, chociaż musiała przyznać,

że ze starannie nałożonym makijażem wygląda o wiele atrakcyjniej.

- Akurat! Jak to „nie jest konieczne”? Anastazjo, nie zaczynaj od nowa, przecież już dawno wszystko ustaliłyśmy. Zgodziłam się, że nie będziesz kupowała na ślub nowej sukni i włożysz coś z rzeczy, które masz, ale bądź uprzejma przynajmniej zrobić sobie przyzwoity makijaż.

Odwróciła głowę i zobaczyła siostrę swojego narzeczonego stojącą boso i owiniętą w długi kąpielowy ręcznik.

- Nastiu, na miłość boską! - krzyknęła zniecierpliwiona Dasza, zawzięcie wodząc żelazkiem po spódnicy. - Nie wyprowadzaj mnie z równowagi, rusz się, bo się spóźnimy!

Kiedy punktualnie o dziewiątej zadzwonił do drzwi Aleksander Kamiński, Nastia, już po dwóch kawach, w uprasowanym kostiumie stała przed lustrem w łazience i kończyła się malować.

- Asiu! - zawołał brat z przedpokoju. - Jest do ciebie list.

- Jaki list?

- Nie wiem. W drzwi była wetknięta koperta. Bez adresata i nadawcy.

Nastia odłożyła pędzelek i wyszła z łazienki, żeby się przywitać z bratem. Pocałowali się i przyjrzeni sobie nawzajem z udawanym krytycyzmem.

- No i jak? - spytała Nastia. - Może być?

- W porządku. A ja?

Wysoki, chudy brzydal Sasza prezentował się dzisiaj niczym superman z hollywoodzkiego filmu. Czy była to zasługa garnituru uszytego przez dobrego krawca, czy jakiegoś nowego wyrazu twarzy, w każdym razie cały wygląd Aleksandra wręcz krzyczał: „Jestem szczęściarzem i wszystko mogę, wszystko układa się tak, jak chcę, nikt nie zdoła mi w niczym przeszkodzić”.

- Jesteś przystojny jak diabli. - Nastia uśmiechnęła się.

- Daj ten list.

Wzięła białą kopertę i rozerwała ją niecierpliwie. Na złożonej we czworo kartce ktoś napisał drukowanymi literami: „Nie rób tego. Pożałujesz”.

Nie zdołała się opanować, gwałtownie zbladła i ręce zaczęły jej się trząść.

- Co się stało? To coś złego? - spytał zaniepokojony Aleksander.

- Nie, nic, głupstwo, nie warto sobie zaprzątać głowy - odpowiedziała Nastia, starając się ukryć wzburzenie i strach.

- Asiu!

- Saszeńka, nie przejmuj się. Wszystko w porządku. To nie ma najmniejszego związku z naszym ślubem. Proszę cię, idź do kuchni i zatrzymaj tam przez pięć minut Daszę i Loszkę, niech nie wchodzi do pokoju. Muszę zatelefonować.

Zamknęła drzwi, chwyciła słuchawkę i wybrała numer śledczego Olszańskiego.

- Konstantynie Michajłowiczu - zaczęła mówić szybko - Artiuchin najwidoczniej nieźle się wystraszył. Ktoś wsunął mi w drzwi list z pogrózkami. Pewnie po to, żebym nie powiadomiła śledczego o naszym wczorajszym spotkaniu. Mają nadzieję, że się rozmyślę.

- Dotykałaś listu?

- Tylko ostrożnie, paznokciami, wzięłam za sam brzeżek. Reaguję jak pies Pawłowa. Nigdy nie biorę takich listów w palce, to już sprawa zwykłego odruchu.

- Gdzie teraz jesteś?

- Na razie w domu. Za dziesięć minut wychodzimy.

- I dokąd się udajecie?

- Najpierw na dziesiątą do urzędu w Sokolnikach, potem, około dwunastej, wracamy do Izmajłowa, a o drugiej jedziemy do centrum, na obiad w „Metropolu”.

- Dobra, będę w Sokolnikach o dziesiątej, dasz mi list I nie denerwuj się, słyszysz? Jeżeli facet jest przekonany, że do poniedziałku nie zamierzasz podjąć żadnych kroków, to przed poniedziałkiem cię nie ruszy. A przez te dwa dni go dopadnę, jak amen w pacierzu. To dopiero kawał drania!

Skończywszy rozmowę ze śledczym, Nastia wróciła do łazienki dokończyć makijaż. Z kuchni dobiegały ożywione głosy brata i jego narzeczonej, którzy z zapałem dyskutowali, jakie kwiaty będą najbardziej odpowiednie dla Nasti jako świadka i jako panny młodej, jaki bukiet powinien stać na stole w restauracji i czy wypada, by Sasza wręczył prezent matce Anastazji - pierwszej żonie swojego ojca. Losza nie brał udziału w tych rozważaniach, w każdym razie jego głosu Nastia nie słyszała.

Muśnięciami szerokiego, miękkiego pędzelka nakładała właśnie na policzki niemal niewidoczny, delikatny róż, który miał podkreślić owal twarzy, kiedy z kuchni wyszedł Aleksander.

- No i co? Wszystko w porządku?

- Mniej więcej - odparła, nie odwracając się od lustra.

- Koło sokołnickiego urzędu będzie stał niebieski moskwicz, postaraj się zaparkować obok niego, dobrze?

- Dobrze. A czyj to samochód?

- Śledczego z prokuratury miejskiej. Dam mu list, technicy popracują nad nim, podczas gdy my będziemy wstępować w związki małżeńskie.

Sasza stanął za Nastia, żeby dojrzeć twarz siostry choćby w lustrze i uchwycić jej spojrzenie.

- Asiu, zadam ci teraz pytanie, może nietaktowne, ale daj słowo, że nie skłamiesz. Albo powiedz mi prawdę, albo nie odpowiadaj w ogóle.

- No dobrze, daję słowo - mruknęła niewyraźnie, pociągając wargi beżową szminką.

- Żałujesz, że wychodzisz za męża, prawda? Teraz, w tej chwili, żal ci, że musisz jechać do urzędu zamiast osobiście odwieźć ten cholerny list do laboratorium i sterczeć technikom nad głową, dopóki go nie zbadają. Może nie? Bo potem, kiedy już będą wyniki, pojechałabyś jeszcze gdzieś tam i zajęła się poszukiwaniami tego, kto ci grozi. To byłoby dla ciebie o wiele atrakcyjniejsze niż wyjście za męża. Nie mam racji?

Nastia powoli zakręciła złotą oprawkę szminki i wciąż nie odwracając głowy, obrzuciła uważnym spojrzeniem twarz Aleksandra w lustrze. Oczy miał zupełnie takie same jak ona, identyczne - bardzo jasne, przejrzyste, niemal bezbarwne. Białawe brwi i rzęsy, cienki, prosty nos, wyraźnie zarysowane, surowe usta, zapadnięte policzki i wystające kości policzkowe. Brat i siostra byli niezwykle do siebie podobni, oboje wysocy i szczupli, tyle że Nastia - po prostu niepozorna, a Sasza - zdecydowanie brzydki.

- Skąd ci przyszło do głowy, że coś mi grozi? - zapytała Anastazja.

- Dlatego że list jest napisany dużymi drukowanymi literami, i kiedy go czytałaś, ja też zdążyłem rzucić na niego okiem. A więc odpowiesz na moje pytanie?

- Nie. Uchyłam się od odpowiedzi.

- Dziękuję.

- Za co?

- Za to, że nie skłamałaś.

Odwrócił Nastię przodem do siebie i pieszczotliwie przytulił jej głowę do swego ramienia. Mimo że siostra była o siedem lat od niego starsza, zawsze traktował ją jak młodszą siostrzyczkę, która wymaga troski i opieki.

- Kocham cię, Nastiusza - powiedział cicho, muskając wargami jej platynowe włosy. - Dziękuję ci za wszystko. Gdyby nie ty, nigdy nie byłbym taki szczęśliwy. Nie zrozumiałbym, kim jest Daszka i na pewno rzuciłbym ją, tak samo jak inne kobiety, które znałem przed nią. No i nie zdecydowałbym się na rozwód. A najgorsze, że Dasza mogła zginąć. Ty ją uratowałaś. Dziękuję ci.

Nastia uwolniła się łagodnie z objęć brata i pogładziła go po policzku.

- Saszeńka, nie czas teraz na poważne rozmowy. W końcu mamy dzisiaj święto, więc przepędźmy złe myśli, nie chcę słyszeć tych nut tragizmu w twoim głosie, niech smutki idą precz. Chodźmy, pora jechać, Daria pewnie się denerwuje.

Aleksander jednak nie ruszał się z miejsca, w zadumie spoglądając na odbicie Nasti w lustrze.

- Sasza, co ci jest? Nad czym się tak zamyśliłeś?

- Asiu, wiem, że masz jakieś kłopoty. Nie nalegam, żebyś mi koniecznie o wszystkim opowiadała, ale chcę, żebyś wiedziała jedno: zawsze możesz na mnie liczyć, cokolwiek by się stało. Udzielę ci wszelkiej pomocy, zrobię, co będę mógł. Możesz być tego absolutnie pewna. Rozumiemy się?

- Dzięki, Sanieczka. Jestem wzruszona, wierz mi. Ale teraz już chodźmy, musimy się śpieszyć.

Zalanymi słońcem ulicami dojechali do sokolnickiego urzędu, gdzie Daria Sundijewa i Aleksander Kamieński mieli wziąć ślub. Nastia z bratem wsiedli do samochodu Saszy, a Losza jechał tuż za nimi swoim, wioząc Daszę. Nastia z początku usiłowała przeciwko temu protestować, ale jej przysła bratowa oświadczyła autorytatywnie, że młoda para nie powinna jechać do ślubu razem. Po drodze zatrzymywali się parę razy przy bazarach i stacjach metra, gdzie Daria starannie wybierała kwiaty dla siebie i Nasti. Wreszcie za dziesięć dziesiątą zajechali przed urząd stanu cywilnego. Niebieski moskwicz Olszańskiego już stał przy wejściu, wyglądając jak uboga sierota obok dwóch nowiuteńskich saabów, mercedesa i audi.

Sam Konstantin Michajłowicz nieruchomo siedział w samochodzie, jakby nie widząc, że z wozu, który zajechał, wysiada Nastia. Dopiero gdy ujęła za klamkę, żeby otworzyć drzwi moskwicza, poruszył się i powiedział zdumiony:

- Boże, Kamieńska, nie poznałem cię! To ty czy nie ty?

- Oczywiście, że nie ja - roześmiała się Nastia - ja siedzę teraz w pracy, na Pietrowce. Pomylił się pan.

Podawała mu plastikową torebkę na dowody rzeczowe, do której wsunęła kopertę z listem, śledczy zaś wręczył jej pasową różę na długiej, prawie metrowej łodydze.

- To dla ciebie. Holenderska. Nie pachnie, za to długo postoi.

- Dziękuję panu, Konstantynie Michajłowiczu.

- Ja ci też dziękuję. Złapałem waszego Olega Zubowa i namówiłem go, żeby się zajął listem. Jadę teraz prosto do niego. Jeżeli jesteś ciekawa, jakie będą wyniki ekspertyzy, zadzwoń wieczorem, powiem ci.

Wyrzał przez okno i uśmiechnął się.

- A co to za ciężarna księżniczka? Twój świadek?

- Nie, to narzeczona mojego brata. Najpierw oni wezmą tutaj ślub, a potem my się pobierzemy w innym urzędzie.

- No, no! A twój Loszka to który z nich dwóch?

- Ten rudy.

- Czyli blondyn to brat?

- Tak. Przyrodni, młodszy, ukochany.

- Coś takiego! A wygląda jak rodzony, przecież to twoja kopia. Widać wasz wspólny ojciec ma silne geny, zawsze biorą górę. No dobrze, życzę ci... Zresztą sama wiesz czego. Nie jestem mistrzem pięknych słówek, a to, że cię lubię, szanuję i cenię, to chyba dla ciebie oczywiste. Powodzenia!

- Nawzajem. Zadzwonię wieczorem - obiecała Nastia, wysiadając z moskwicza.

Najwidoczniej Aleksander poddał kierowniczkę urzędu „obróbce wstępnej”, gdyż wszystko szło jak z płatka. Pracownica, która czekała na nich przy wejściu, promiennie uśmiechnięta, poprosiła o dowody osobiste i zaproponowała pannie młodej i jej świadkowi Nasti, by weszły do pokoju dla pań, gdzie mogą poprawić makijaż czy fryzurę.

- Dosłownie za trzy minuty poprosimy państwa do sali ślubów. Jeżeli chcieliby państwo po ceremonii napić się szampana, zaraz wstawimy butelkę do lodówki.

- A czy nie można gdzieś tutaj dostać kawy? - wyrwało się Nasti.

Jej słowa usłyszała mijająca ich postawna dama w eleganckich, drogich okularach i z nieskazitelną fryzurą.

- Przepraszam, czy pani jest świadkiem Aleksandra Pawłowicza? - zagadnęła Nastię.

- Nie, jego narzeczonej. A o co chodzi?



- Aleksander Pawłowicz uprzedził, że razem z nim przyjedzie jego siostra, która też dziś wychodzi za mąż. To pani?

- Owszem.

- Tak właśnie myślałam. - Dama uśmiechnęła się, zadowolona z siebie. - Proszę obie panie do mnie do gabinetu.

Dasza, niepewnie popatrując to na Nastię, to na postawną damę, dreptała obok. Sasza i Czistiakow gdzieś zniknęli i Anastazja czuła się trochę nieswojo.

Dama wprowadziła obie kobiety do ogromnego gabinetu, gdzie wokół dużego niskiego stołu stało pięć foteli. Na stole pysznił się bukiet wspaniałych róż, stało otwarte pudełko czekoladek i butelka szampana w wiaderku z lodem.

- Proszę, proszę bardzo. - Dama uśmiechnęła się życzliwie. - Jestem tu kierownikiem, przedstawię się, Dina Borisowna. Aleksander Pawłowicz i Aleksiej Michajłowicz zaraz się pojawią i razem przejdą państwo do sali ślubów, gdzie odbędzie się ceremonia zawarcia małżeństwa. Pani nazywa się Anastazja Pawłowna, jeśli się nie mylę?

Nastia w milczeniu skinęła głową, niespokojnie oczekując, co będzie dalej. Dina Borisowna tymczasem przekreśliła niepostrzeżenie jakąś dzwignię, rozległo się ciche bulgotanie, a po chwili stanęła przed Nastią filiżanka parującej kawy.

- Aleksander Pawłowicz uprzedzał, że jego siostra na pewno będzie chciała się napić kawy - oznajmiła z uśmiechem kierowniczką - więc ekspres czekał w gotowości bojowej. Po ceremonii wróca państwo do tego gabinetu, by symbolicznie uczcić wstąpienie w związek małżeński. Czekoladki, szampan, kieliszki - wszystko jest do państwa dyspozycji.

„No, no! - pomyślała Nastia. - Ciekawe, jaką sumkę Saszka wsunął tej kierowniczkę, że jest taka usługowa i tak się przymila? Nawet imiona zapamiętała, i moje, i Loszki, widocznie się opłacało. Ach, ten Sańka! Zatroscopył się także o kawę dla mnie. Wreszcie chyba zaczynam rozumieć, co mój braciszek ma na myśli, mówiąc o „świętowaniu”. Chodzi

mu o to, żeby wszelkie, nawet najdrobniejsze życzenie każdego zostało spełnione, żeby wszyscy czuli się po prostu komfortowo".

Ledwie zdążyła dopić mocną, aromatyczną kawę, gdy zjawili się Sasza i Aleksiej. W tej samej chwili otworzyły się drugie drzwi, prowadzące z gabinetu kierowniczkini do sali ślubów.

- Aleksandrze Pawłowiczu, zapraszamy wraz z narzeczoną i świadkami!

Dasza nagle się zdenerwowała i ani rusz nie mogła sobie poradzić ze swoim bukietem. Kolce róż wciąż zahaczały o cienki jedwab bluzki, duże, na wpół rozwinięte kwiaty albo zasłaniały twarz dziewczyny, albo - gdy je opuszczała - wlokły się niemal po podłodze. Z przejęcia i zmieszania Daria miała łzy w oczach. Z pomocą pośpieszyła jej Dina Borisowna. Podbiegła do Daszy i wzięła od niej bukiet.

- Proszę mi go dać - powiedziała. - Dobrze, a teraz proszę sobie poprawić bluzkę, włosy i stanąć wygodnie. O, dobrze, i ręce trzymać w naturalnym położeniu, lekko zgięte, żeby nie drętwiały. Doskonale. Uwaga, wkładam w nie bukiet, no już, widzi pani, wszystko jest w najlepszym porządku. Kwiaty o nic nie zaczepiają i nie wysuwają się.

Uroczyście weszli w otwarte drzwi przy dźwiękach grającego w rogu kwartetu smyczkowego. Ceremonia się rozpoczęła. Nastia w napięciu wpatrywała się w osoby znajdujące się w pokoju, wsłuchiwała w wypowiedane słowa i co chwila spoglądała na zegarek. Wcale jej się to wszystko nie podobało. Wyobraziła sobie, że wkrótce będzie tak samo stała z głupią miną pośrodku wielkiej sali, trzymając przed sobą niewygodny, kłujący bukiet róż, a jakaś obca baba będzie plotła androny o tym, jaką to odpowiedzialną decyzję podejmują Nastia i Czistiakow... i że od dzisiaj... wzajemna miłość... troska... zrozumienie... itede, itede. Potem powoli, żeby fotograf zdążył zrobić zdjęcie, trzeba będzie wymienić obrączki, pocałować się, podejść do biurka i złożyć podpis w wielkiej księdze. Wzdrygnęła się. Gdyby wiedziała, że ta

ceremonia jest taka męcząca, zastanowiłaby się jeszcze, czy w ogóle wychodzić za męża. W końcu żyją z Loszą od piętnastu lat bez żadnego ślubu, i dobrze.

- Ogłaszam was mężem i żoną... Państwo młodzi, proszę wymienić obrączki... Złożyć sobie nawzajem życzenia... A teraz podejść tutaj i złożyć podpisy... Świadków również prosimy o podpisanie się...

Wreszcie nastąpił koniec ceremonii. Nastia ucałowała Daszę i wręczyła jej kolejne róże. Następną wiązanek kłującego kwiecica dołożył Czistiakow. Maleńka Dasza zniknęła zupełnie pod naręczem kwiatów, tak że Loszy zrobiło się żal dziewczyny i wyjął jej z rąk bukiety. Znowu znaleźli się w gabinecie Diny Borisowny, gdzie Nastia z ulgą opadła na fotel.

- No i co, Aleksandrze Pawłowiczu, wszystko w porządku? - upewniła się kierowniczką. - Zgodnie z pańskim życzeniem?

- Bardzo dziękuję, Dino Borisowno, jak najbardziej. Proszę usiąść z nami, zapraszam na kieliszek szampana - odparł Sasza.

Wypili wino, Sasza i Aleksiej symbolicznie, po pół łyżeczka, jako że musieli jeszcze usiąść za kółkiem. Dasza również ledwie umoczyła wargi w pieniącym się, złotawym płynie, gdyż przestrzegająca wszelkich zakazów, chcąc urodzić zdrowe dziecko. Nastia natomiast, ku własnemu zdziwieniu, z wielką przyjemnością opróżniła swój kieliszek i poprosiła o następny. Szampan wydał jej się wspaniały. Możliwe, pomyślała, że nie chodzi o szampana, tylko o to, że - choć to dziwne - jestem zdenerwowana. Ciekawe, czym? Tym, że wychodzę za męża, czy listem?

Z Sokolnik do Izmajłowa jechali w tym samym szyku - na przedzie Sasza i Nastia, za nimi - Czistiakow z Daszą.

- Sania, jak myślisz, można załatwić w urzędzie, żeby udzielili nam ślubu bez tych wszystkich ceremonii?

- Nie wiem. A dlaczego nie chcesz? Nie podobało ci się?

- Szczerze mówiąc, nie. Nie lubię takich cyrków. Człowiek stoi na środku sali jak krowa i słucha jakichś bredni... Głowa mnie rozboleła z tego wszystkiego. Drugi raz, i do tego w głównej roli, chyba czegoś takiego nie wytrzymam.

- Dobrze, spróbuję coś załatwić - obiecał Sasza.

W urzędzie od razu się rozdzielili. Nastia i Dasza usiadły w przestronnym, ładnie urządzonej holu, a mężczyźni poszli poprosić o uproszczenie ceremonii. Losza zdecydowanie poparł pomysł Nasti, żeby, o ile to tylko możliwe, uniknąć zbędnej pompy, więc Saszy nie pozostawało nic innego, jak pogodzić się z dziwactwami siostry.

- Wyjdę na chwilę na zewnątrz - powiedziała Nastia, kiedy po dziesięciu minutach oczekiwania znudziło jej się sterczeć w holu na widoku zgromadzonych tam osób.

- Po co?

- Chcę zapalić.

- Pójdę z tobą. - Dasza już miała wstać, ale Nastia powstrzymała ją krótkim gestem.

- Siedz tutaj, nigdzie nie odchodź, bo nasi panowie nie będą mogli nas znaleźć.

Wyszła na schodki i stanęła z boku, przy koszu na śmieci. Był to pierwszy papieros po dwóch kieliszkach szampana, i Nastia poczuła, że kręci jej się w głowie i nogi ma jak z waty. Trwało to jednak zaledwie kilka sekund, po czym wszystko wróciło do normy. Anastazja z ciekawością zaczęła się przyglądać wychodzącym z urzędu i wchodzącym do niego osobom. Z kanarkowożółtego żiguli wysiadł z trudem młody człowiek, od stóp do głów obwieszony aparatami fotograficznymi.

- Może potrzebny fotograf? - zagadnął Nastię, przechodząc.

- Nie, dziękuję - odmówiła z uśmiechem.

Chłopak wszedł przez szklane drzwi do holu. Nastia zobaczyła, jak podszedł do Daszy, i odnotowała w pamięci, że z bliska wygląda na trochę starszego niż z większej od-

ległości. Daszka też pokręciła głową przecząco i fotograf szybko ruszył dalej.

Nastia wróciła do holu, gdzie bratowa niecierpliwiła się, że mężczyźni przepadli na tak długo.

- Gdzie oni się podziali?

- A po co się śpieszyć? - z filozoficznym spokojem odrzekła Nastia. - Siedzimy sobie, nikt nas nie wyrzuca, nikt nad nami nie stoi, jest ciepło, sucho. Czego nam więcej trzeba?

- Czyżbyś nie chciała jak najprędzej zostać mężatką? - spytała zdziwiona Dasza.

- Wszystko mi jedno - przyznała się Nastia. - Jesteśmy ze sobą od piętnastu lat. Po ślubie nic się nie zmienia.

- Ale chyba zamieszkacie razem?

- Skąd ci to przyszło do głowy? Loszka będzie mieszkał u siebie, w Żukowskim, ma stamtąd do pracy pięć minut piechotą. Dawniej też przyjeżdżał do mnie przeważnie tylko na weekendy, owszem, czasami w tygodniu również, ale rzadko. I teraz będzie tak samo.

- To jednak zupełnie co innego - upierała się Dasza, która za nic nie chciała ustąpić i przyznać, że formalnie zawarte małżeństwo bynajmniej nie jest najważniejszą i najwspaniałszą rzeczą w życiu.

Wreszcie zza załomu korytarza wyłonili się Aleksander i Losza.

- Wszystko załatwione, dziewczyny, zgodnie z życzeniem, tylko trzeba będzie jakieś pół godzinki poczekać. Przed nami są jeszcze dwie pary, na każdą trzeba liczyć po piętnaście minut, a potem poproszą nas, oddadzą nam dowody, wasze z odpowiednim wpisem i pieczęcią, wręczą świadectwo ślubu, podpiszemy się w księdze - i na tym koniec. Wszystko razem potrwa dwie minuty.

- A obrączki? - zaniepokoiła się Dasza.

- Wymienimy je w restauracji - powiedziała Nastia. - Albo od razu tutaj, w holu.

- Coś ty! Nastiu, no wiesz, naprawdę...

Przejętej Daszy znów łzy zabłyśły w oczach. Miała za ledwie dwadzieścia lat, Sasza Kamieński był jej pierwszą wielką miłością, nosiła pod sercem jego dziecko i ślub z ukochanym uważała za najważniejsze wydarzenie w swoim życiu. W żaden sposób nie mogła zrozumieć, dlaczego Nastia i Aleksiej podchodzą do tego tak obojętnie, a nawet z rezerwą.

Siedzieli w holu i cierpliwie czekali, aż skończy się uroczysta ceremonia zaślubin dwóch par, które były przed nimi. Nastia jeszcze raz wyszła na ganek zapalić papierosa. Tym razem stał tam młody fotograf, który proponował jej przedtem swoje usługi.

- Może się pani namyśliła? - zapytał z uśmiechem. - Ceny mam umiarkowane, jakość zdjęć gwarantowana.

- Nie, dziękuję - powtórnie odmówiła Nastia.

- Ale dlaczego? - zdziwił się chłopak. - Taka kobieta jak pani powinna lubić się fotografować.

- Skąd panu to przyszło do głowy?

- Jest pani bardzo fotogeniczna. Jakkolwiek się pani ustawi, zawsze wyjdzie pani na zdjęciu doskonale. Pracuje pani jako fotomodelka?

- Nie. I nie musi się pan uciekać do pochlebstw szytych tak grubymi nićmi, to mnie może tylko jeszcze bardziej zniechęcić.

- Czegoś tu nie rozumiem...

- Prawi mi pan komplementy, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistością, po to, żebym skorzystała z pańskich usług jako fotografa. Doskonale pan wie, że nie jestem żadną piękną i nigdy nie mogłabym nią być. Ale ma pan nadzieję, że złapię się na lep pańskich pochlebstw i zapragnę, by mnie sfotografował ktoś, kto dostrzegł, że jestem piękna, i potrafi sprawić, że będę tak wyglądała na zdjęciach.

Fotograf spojrział na Nastię w zamyśleniu i współczująco pokiwał głową.

- U-u-u, ale panią wzięło! Aż trudno uwierzyć! Taka uroda - i takie kompleksy. Zostały pani z dzieciństwa?

Nastia poczuła, że się czerwieni. Własny niepozorny wygląd był jej obojętny, nie miała z tego powodu żadnych kompleksów, nie mogła natomiast znieść, gdy obcy ludzie zaczynali komentować jej powierzchowność.

- Wie pani co - ciągnął fotograf, patrząc na Nastię wesołymi, zielonobrazowymi oczyma - zaraz pstryknę panią polaroidem, w dwie minuty zdjęcie będzie gotowe, i sama się pani przekona. Zrobię to bezpłatnie, niech się pani nie obawia. Pokażę pani, co to *master class*.

- Co mi pan pokaże? - spytała Nastia, która już zdołała opanować zmieszanie.

- Udowodnię, że wcale pani nie oszukuję. Nie będę pani specjalnie ustawiał, zrobię zdjęcie bez przygotowania, a jeżeli się okaże nieudane, nie spodoba się pani, to znaczy, że przegrałem.

- Dobrze, zgoda - poddała się dla świętego spokoju Nastia. I tak zdażyła wypalić papierosa dopiero do połowy.

- A więc teraz nastawiam aparat i odwracam się. Pani staje w dowolnej pozie i zaczyna liczyć na głos. Na „trzy” znów się odwracam i robię zdjęcie. Pasuje?

- Zgoda - powtórzyła Anastazja obojętnie.

Chłopak odwrócił się, a ona dalej zaciągała się dymem, pograżona w myślach o Artiuchinie, którego fałszywe alibi pękło niczym bańka mydlana, a on sam przysłał jej dziś, w dniu ślubu, ohydny list z pogrózkami. Kiedy dopaliła papierosa już prawie do końca, przypomniała sobie, że ma liczyć, i powiedziała szybko:

- Raz - dwa - trzy.

Fotograf zręcznie się odwrócił, na chwilę znieruchomiał, po czym rozległ się krótki trzask i nastąpił rażący w oczy błysk.

- Długo się pani szykowała - zauważył chłopak, majstrując przy aparacie.

- Prawdę mówiąc, zapomniałam o panu - chłodno odparła Nastia.

- Więc co pani robiła tak długo?

- Myślałam o swoich sprawach.  
- Będzie pani świadkiem na ślubie przyjaciółki?  
- Nie, sama wychodzę za mąż.  
- Niemożliwe!  
- Dlaczego?  
- W czarnej spódnicy i czarnej bluzce? Panna młoda, która wychodzi zapalić na ganek i rozmawia z nieznanym mężczyzną, zamiast umierać ze szczęścia i wzruszenia, trzymając ukochanego za rękę? Nigdy w to nie uwierzę.

- To pańska sprawa. No i co tam ze zdjęciem?  
- Jeszcze chwilka cierpliwości, zaraz będzie gotowe. Na pewno nie po raz pierwszy wychodzi pani za mąż? W takim razie pani spokój jest rzeczą zrozumiałą. Zna już pani tę procedurę i jej następstwa, niestety, też. Może nie? - Fotograf parsknął zaraźliwym śmiechem.

Nastia nie wytrzymała i też się uśmiechnęła.

- No już, gotowe. I kto z nas miał rację?

Anastazja oszołomiona patrzyła na zdjęcie, nie wierząc własnym oczom. Czyżby to była ona? Ta wytworna młoda kobieta w krótkiej spódniczce, odsłaniającej zgrabne, długie nogi, w czarnej bluzce, podkreślającej jasną karnację, i w eleganckim białym żakiecie - to ona? Z fotografii spoglądała na nią chłodna twarz o klasycznych, regularnych rysach, wydatnych kościach policzkowych, ładnie zarysowanych ustach i zamyślnym spojrzeniu. Dopiero patrząc na zdjęcie, Nastia przypomniała sobie, że poświęciła dziś pół godziny na staranny makijaż, dzięki któremu rzeczywiście wygląda nie najgorzej. Tak dalece przywykła już do swej niepozornej powierzchowności, że czuła się jak szara myszka nawet wtedy, kiedy w istocie mogła uchodzić niemal za gwiazdę filmową.

- Przyznaję, przegrałam. Co jestem panu winna?

- Ależ nic. Wystarczy „przepraszam” za to, że była pani dla mnie taka niemiła.



- Przepraszam - powiedziała Nastia. - Pan miał rację i przykro mi, że zachowałam się wobec pana tak niegrzecznie - przyznała szczerze.

Chciała jeszcze coś dodać, ale właśnie dostrzegła, że Dasza daje jej jakieś znaki. Widocznie przyszła ich kolej.

- Wybacz pan - rzuciła tylko z uśmiechem - ale już mnie wzywają przed ołtarz.

Chciała oddać fotografowi zdjęcie, on jednak pokręcił odmownie głową.

- Proszę to zatrzymać na pamiątkę.

Nastia szybko weszła do holu, gdzie cała trójka już na nią czekała.

- To tam. - Losza machnął ręką w prawo, gdzie znajdował się cały rząd jednakowych drzwi, różniących się tylko numerami. - Pokój numer dziewięć.

W pokoju numer dziewięć siedziały dwie sympatyczne dziewczyny, które na cztery ręce wypisywały świadectwa ślubu i przybijały pieczętki w dowodach osobistych. Jedna z nich wybiegła na moment i po chwili wróciła z ogromną księgą.

- Proszę się szybciotko podpisać - powiedziała zdyszana.

- Muszę zaraz odnieść księgę, bo bez niej nie można zacząć następnej ceremonii.

Nastia i Losza oraz ich świadkowie złożyli podpisy i dziewczyna pomknęła z księgą do sali ślubów.

- Czy przyjmuje pani nazwisko męża? - zapytała urzędniczka, wypisując świadectwo ślubu.

- Nie, zostaję przy swoim.

- A więc piszemy: nazwisko męża - Czistiakow, nazwisko żony - Kamińska...

W tej samej chwili rozległ się przeraźliwy krzyk kobiety, po czym dołączyło do niego jeszcze kilka damskich głosów.

- Dasza, zaczekaj tutaj - poleciła Nastia wybiegając pędem do holu.

Aleksander i Losza rzucili się za nią. Koło drzwi do toalety zebrał się czarno-biały tłum panien i panów młodych.

Nastia błyskawicznie wyjęła z torebki legitymację służbową i trzymając ją wysoko nad głową, bez trudu przecisnęła się przez ciżbę, powtarzając głośno:

- Proszę mnie przepuścić, milicja, milicja, proszę zrobić przejście.

W progu toalety zatrzymała się. Na terakotowej posadzce leżała piękna młoda dziewczyna w ślubnej sukni. Na śnieżnobiałym gorsie rozpląwała się krwawa plama. Oczy dziewczyny były otwarte, ale nieruchome. Musiała umrzeć natychmiast, gdy kula trafiła w serce.

Obok niej klęczał młody człowiek w ciemnym garniturze. Jego twarz nie wyrażała nic, przypominała maskę. Nastia zrozumiała że mężczyzna znajduje się w silnym szoku i nie dociera doń to, co się stało.

Cofnęła się o krok, odwróciła twarzą do ludzi za swymi plecami i stojąc w otwartych drzwiach toalety, rozłożonymi szeroko rękami oparła się o ścianę po obu ich stronach. Wspięła się na palce, odszukała wzrokiem męża i brata, po czym zakomenderowała:

- Sasza, Losza, stańcie przy wyjściach. Nie wypuszczajcie nikogo. I dopilnujcie, żeby Daria się tu nie zbliżała.

Nagle błysnął flesz i na lewo od siebie Nastia zobaczyła fotografa.

- Ej, młody człowieku, proszę tutaj! - wezwała go.

Chłopak przecisnął się do niej i szepnął podniecony:

- Jest pani z milicji, tak? Niech mi pani pozwoli zrobić zdjęcia! Z tego żyję, to moja praca.

- Co pan powiedział?

- Cóż, nie chciałbym, żeby się tu o tym dowiedziano... Rozumie pani, pracuję jako fotoreporter w „Wiadomościach Kryminalnych”, a w soboty dorabiam w urzędach stanu cywilnego. - Wyjął legitymację służbową. - Proszę mi pozwolić sfotografować miejsce zajścia, bardzo proszę!

- Dobrze, tylko szybko - powiedziała Nastia. - Daję panu pięć sekund na zrobienie zdjęć, a potem musi pan mi pomóc.

Chłopak trząsał zdjęcia jedno za drugim, nie zwracając uwagi na okrzyki oburzenia za plecami.

Przez ciżbę precyzyjnie się błada z przerażenia kierowniczką, zupełnie jeszcze młoda kobieta ze zniszczonymi stałym rozjaśnianiem włosami, które upodabniały ją do dawno niestrzyżonego bolończyka.

- O mój Boże, o mój Boże... - powtarzała, załamując ręce.

- Wezwwała pani milicję? - zapytała Nastia.

- Milicję... nie... - bełkotała kierowniczką.

- Więc proszę ją wezwać - poleciła Anastazja z naciskiem. - A zresztą nie. Niech pani tu stanie zamiast mnie i pilnuje, żeby nikt nie wchodził do toalety. Pana młodego najlepiej zostawić teraz w spokoju, na razie może tu zostać. Wszystko pani rozumiała?

- T-tak - wybąkała z trudem kierowniczką.

- Gdzie tu jest telefon?

- U mnie... w gabinecie...

- A gabinet?

- Przez hol i na prawo... zobaczy pani tabliczkę...

Nastia przemknęła przez hol, w biegu rzuciwszy spojrzenie na drzwi wejściowe, gdzie Czistiakow sumiennie stał na warcie, cierpliwie coś wyjaśniając kolejnej parze, która właśnie przyjechała, i towarzyszącym jej gościom. Anastazja pchnęła drzwi do gabinetu kierowniczką, chwyciła słuchawkę i wybrała numer.

- Dyżurny podpułkownik Kudin - usłyszała głucho brzmiały bas.

- Cześć, Wasia - powitała koleżkę. - Tu Kamieńska.

- Co za ludzie! - zagrzemiał Kudin. - Czego tutaj szukasz w wolny dzień?

- Mam trupa Wasia.

- Adres?... Telefon?... Tak, rozumiem... Urząd stanu cywilnego? Cholera jasna! Poczekaj chwileczkę.

Usłyszała, jak szcęknał przełącznik a potem głos Kudina powiedział gdzieś obok: „Dyżurna grupa wyjazd. Dyżurna grupa, wyjazd”.

- Zaraz, zaraz, a czy ty przypadkiem nie wychodzisz dzisiaj za mąż? - Głos dyżurnego znów się przybliżył.

- Dzisiaj, Wasieńka, dzisiaj. Właśnie przed chwilą wzięłam ślub. Pięć minut temu.

- O kurde, co z ciebie za baba, Kamieńska? Nawet za mąż nie możesz wyjść po ludzku, bez trupa.

- Widać już tak mi pisane. Wasieńka, mam do ciebie prośbę. Zadzwoń na wewnętrzny do Jurija Korotkowa, on przeważnie w soboty przychodzi do pracy.

- Zaraz, poczekaj... Już... Korotkow, to ty? Kudin z tej strony. Szuka cię twoja przyjaciółka... Jak to która? Nastazja... Żebym tak wolności nie zobaczył, jeżeli cię podpuszczam. Mam ją tutaj, na miejskim telefonie... Czego chce? Zaraz się dowiem. Halo, Kamieńska, Korotkow pyta, czego od niego chcesz.

- Niech przyjedzie z dyżurną grupą operacyjną - powiedziała Nastia.

- Słyszałeś, prosi, żebyś przyjechał. Ma trupa w urzędzie stanu cywilnego. Posyłam tam grupę, więc jeżeli chcesz się z nimi zabrać, to schodź szybko... Przyjedzie - znów powiedział Kudin do Nasti. - Może jeszcze coś? Mów, nie krępuj się, dziś w prezencie ślubnym spełniamy wszystkie twoje życzenia.

- W takim razie przyślij Olega Zubowa. Możesz?

- O, co to, to nie. Chciałbym jeszcze trochę pożyć, dzieci wychować. Dziś rano już go szukali, dzwoniли z prokuratury miejskiej, szkoda, że nie słyszałaś, jak się ciskał, miotał i szalał. Akurat kończył dobeę, już miał jechać do domu, kiedy go zdybali.

- Dobrze, Wasieńka, przysyłaj chłopaków. W razie czego zadzwonię.

- Jasne, dzwoń.

Nastia odłożyła słuchawkę i wyszła z pokoju. Za drzwiami stał fotograf.

- Co pan tu robi? - spytała groźnie.

- Czekam na panią! Powiedziała pani, że mogę być pomocny. Więc oczekuję rozkazów.

- Niech pan zaczyna fotografować.

- Co konkretnie? Czy też kogo?

- Wszystko i wszystkich dookoła. Ludzi, meble, wnętrza, rozkład pomieszczeń, główne wejście, tylne wejście, ale najważniejsi są ludzie. Istnieją tylko dwie możliwości: albo przestępca zdołał się stąd wymknąć, albo nie. Jeżeli tak, cała robota na nic. Jeżeli nie, jest teraz tutaj.

- Wie pani, ja właściwie rozumowałem podobnie... - zaczął chłopak i nagle urwał.

- I co?

- No... Zacząłem fotografować od razu, jak tylko usłyszałem pierwszy krzyk. W tej samej chwili. Niech pani nie zapomina, że pracuję w „Wiadomościach Kryminalnych” i w takich sytuacjach działam automatycznie. To już odruch.

- Dużo zdjęć pan zrobił?

- Trzy kasety.

- Trzy kasety? - zdziwiła się Nastia. - Szybki pan jest.

- Mogła się pani o tym przekonać. - Chłopak uśmiechnął się. - Mam fotografować dalej?

- Naturalnie. Nazywa się pan Szewcow? Anton Szewcow?

- Skąd pani wie?

- Pokazywał mi pan przecież legitymację.

- Ale pani nawet na nią nie spojrzała.

- To panu się tak wydawało. Zobaczyłam wszystko, co trzeba.

- A jak pani godność?

- Anastazja. Anastazja Kamieńska. Proszę, Anton, niech się pan zabiera do roboty, a przy tym uważnie słucha, co kto mówi. Czasem jedno rzucone przypadkiem słowo może się okazać bardzo ważne.

Nastia wyszła na ganek, gdzie Loszka powstrzymywał, jak mógł, napór zjeżdżających do urzędu młodych par. Zdawała sobie sprawę, że sytuacja jest dramatyczna. Z powodu nieprzewidzianych okoliczności można odwołać i przełożyć na

następny dzień spektakl teatralny, ale nie ślub. Nawet osoby najbardziej chłodne i cyniczne ostatniej nocy przed zawarciem związku małżeńskiego dokonują jakiegoś bilansu, podejmują decyzje, a dzień ślubu stwarza szczególną aurę, której nie można nie ulec, a która kiedy indziej się nie powtórzy. Goście są już zaproszeni, zamówiona sala w restauracji lub przygotowane przyjęcie w domu, kupione bilety, bo wieczorem ma nastąpić wyjazd w podróż poślubną... Tak, wszystko da się odłożyć, ale nie ślub.

Nastia wystąpiła krok naprzód i podniosła rękę.

- Proszę o chwilę uwagi! Szanowni państwo! W urzędzie zdarzył się nieszczęśliwy wypadek, dlatego chwilowo, do czasu przyjazdu lekarza i milicji, dostęp do budynku zostaje zamknięty. Proszę się nie denerwować. Macie państwo dwie możliwości do wyboru: albo zgadzacie się na zawarcie małżeństwa według uproszczonej procedury, albo - jeżeli zależy wam na uroczystej ceremonii - będziecie musieli poczekać co najmniej dwie-trzy godziny. W każdym jednak wypadku osoby, które miały dziś zawrzeć związek małżeński, będą mogły to zrobić. W ciągu piętnastu minut pracownicy urzędu wyniosą przed budynek stoły i dokumenty i zaczną udzielać ślubów. Bardzo państwa przepraszamy za utrudnienia.

W grupie zapanowało pewne ożywienie. Po chwili odłączyli się od niej kobieta i mężczyzna i podeszli do Nasti.

- Jesteśmy lekarzami - oznajmił młody jeszcze, ale mocno szpakowaty brunet. - Jeśli trzeba, chętnie pomożemy.

- Jaką państwo mają specjalność? - spytała Nastia.

- Ja jestem psychiatrą, więc pewnie będę mało przydatny, a moja żona - chirurgiem, więc jeżeli ktoś został ranny czy doznał jakichś obrażeń...

- Doskonale - szybko powiedziała Anastazja. - Psychiatra akurat bardzo się przyda. Proszę za mną.

Przeprowadziła lekarza przez wyraźnie już przerzedzony tłumek przed damską toaletą. Narzeczony zabitej dziewczyny wciąż klęczał przy jej zwłokach i kiwał się miarowo, zasło-

niwszy twarz rękami. Szpakowaty mężczyzna w jednej chwili ocenił sytuację.

- Jest w szoku. Można do niego podejść?

- To raczej niewskazane. Na podłodze mogą być jakieś ślady. Dopóki chłopak nie rusza się z miejsca, jestem spokojniejsza. Ale chciałabym, żeby pan mnie dokładnie poinstruował, jak należy działać, kiedy przyjedzie ekipa milicyjna. Mam na myśli to, co robić, żeby mu nie zaszkodzić. Bo może przecież tłuc głową o ścianę czy coś w tym rodzaju... Może też na przykład podjąć jakąś próbę samobójczą.

- Rozumiem. - Lekarz skinał głową. - Będę obok i dopilnuję go. Na wszelki wypadek trzeba posłać kogoś do apteki, zaraz wypiszę receptę na potrzebny lek. W razie czego zrobię mu zastrzyk. Znajdzie się tu jakaś strzykawka?

- Wątpię. Ale nasz lekarz na pewno będzie miał.

- Świetnie.

Mężczyzna wyjął z kieszeni receptariusz, oderwał czysty blankiet z pieczętkami i szybko go wypełnił. Nastia wzięła od niego receptę i znów wyszła na ganek.

- Czy ktoś mógłby pojechać do najbliższej apteki? - zapytała głośno.

Ochotnicy znaleźli się nie od razu. W końcu podszedł do Nasti jakiś młody Kaukazczyk.

- *Wajme*, to nie mężczyźni, to szakale - rzucił z cichą wściekłością. - Gdybym nie widział tego na własne oczy, nigdy bym nie uwierzył, przysięgam. Daj receptę, siostrzyczko.

- Pan też się żeni? - spytała Nastia, gotowa zaproponować mu załatwienie formalności ślubnych poza kolejką z wdzięczności za bezinteresowną pomoc.

- Nie, siostrzyczko, przejeżdżałem tędy, przyhamowałem, żeby zobaczyć, co się dzieje, dlaczego taki tłum stoi przed urzędem, a ty akurat wyszłaś. Ktoś zasłabł? Stało się coś złego?

- Nic gorszego stać się nie może, braciszku - poinformowała go smutnym głosem Nastia. - Zastrzelono młodą dziewczynę, pannę młodą.

- *Wajme!* - Oczy Kaukazczyka zrobiły się okrągłe. - Już jadę! Zaraz wracam!

Zbiegł pędem ze schodków, a ryk silnika złał się z wyciem syreny milicyjnej. Grupa operacyjna wreszcie przyjechała.

### ROZDZIAŁ 3

Jurij Korotkow popatrzył na Nastię ze współczuciem. Na jej twarzy malował się wyraz napięcia i skupienia; Anastazja nie wyglądała na młodą żonę w dniu swego ślubu.

- A niech to, mieć taki niefart... - Jura tylko kręcił głową, słuchając relacji Nastii.

- Mniejsza o mnie, jestem cała i zdrowa, ba, nawet zamężna, ale tamta dziewczyna... - Nastia westchnęła.

Dzień był ciepły jak latem, i w otwarte szeroko okna wdzierały się dźwięki muzyki, strzępy podniosłych słów przysięgi małżeńskiej i gratulacje. Na dworze, tuż przed wejściem do urzędu, ustawiono stoły i w tych zaimprovizowanych naprędce warunkach udzielano kolejnych ślubów. W budynku pracowała już grupa operacyjna i technicy. Katastrofalnie brakowało ludzi, gdyż należało przesłuchać wszystkich, którzy w chwili zabójstwa przebywali w budynku urzędu, a było ich niemało, około pięćdziesięciu osób.

- Jura, muszę jechać - powiedziała przepraszająco Nastia, spojrzawszy na zegarek. - Mamy zamówiony stolik w restauracji, rodziny czekają.

- No pewnie, przecież bez ciebie sobie nie poradzimy! - zakpił Korotkow. - Jedź, kobieto, i nie zwracaj sobie tym wszystkim głowy. Chyba że nie wiem o czymś, o czym powinienem wiedzieć?...



- Jura, coś ci powiem, tylko się nie złość, dobrze?  
- Obiecujący początek, nie ma co. Wal.  
- Pamiętasz sprawę tej Pietriczec?  
- Gwałt na Pieczatnikach? Pamiętam.  
- A głównego podejrzanego Artiuchina?  
- Tego, co to się potem okazało, że ma alibi? Pamiętam.  
- Wczoraj zupełnie przypadkowo wyszło na jaw, że alibi było fałszywe. Świadek, która zeznała, że Siergiej Artiuchin znajdował się w chwili popełnienia przestępstwa w zupełnie innej części miasta, bo rozpoznała w nim mężczyznę pytającego ją na ulicy o drogę, jest w rzeczywistości jego kochanką. Nasza para zna się od dawna. Uprzedziłam Artiuchina, że powiadomię o tym śledczego w poniedziałek. Ale dziś rano dostałam list tej treści: „Nie rób tego. Pożałujesz”.

- A ty to, oczywiście, zrobiłaś. Zgadłem?

- Zgadłeś. W dodatku dziesięć minut po rozmowie z Artiuchinem, który nie mógł o tym wiedzieć, dlatego sądził, że otrzymam jego ostrzeżenie w porę. A dzisiaj o dziesiątej widziałam się z Kostią Olszańskim, i mógł to widzieć zainteresowany.

- A po kiego, przepraszam, grzyba spotykałaś się z Kostią?

- Oddałam mu list, żeby technicy zbadali odciski.

- Co za idiotka! Zdajesz sobie chociaż sprawę, że sama się wystawiłaś?

- Teraz tak.

- Teraz? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, Jura, że byłam dziesiąta w kolejce do ślubu. Ale poprosiliśmy, żeby załatwiono to szybko, bez tej całej pompy, po prostu w pokoju, gdzie urzędniczki dokonują wpisów do dowodów. I w wyznaczonym terminie, o dwunastej piętnaście, do sali ślubów weszliśmy nie my, tylko para, która miała być jedenasta z kolei. A właściwie nie weszła; powinna była wejść. Nie zrobiła tego, bo dziewczynę zastrzelono.

-Tak.

Korotkow wstał z niskiego fotela i z jękiem rozprostował zdrętwiałe nogi. Potem podszedł do Nasti i stanął tuż przed nią, przytłaczając ją swą masywną, zwalistą sylwetką.

- Bardzo mi się podoba tok twojego rozumowania - rzucił wściekły. - I co, gdzie się teraz wybierasz, wyciągnąwszy tak optymistyczne wnioski? Czy aby jesteś przy zdrowych zmysłach, droga przyjaciółko? Jeżeli dziewczynę zabito przez pomyłkę, zamiast ciebie, skąd pewność, że próba nie zostanie ponowiona?

- Nie strasz mnie, bo już wystarczająco się boję, ale mój mózg jeszcze na razie pracuje. Jeżeli zabójca miał zlikwidować mnie, tylko się pomylił, znaczy, że nie mógł to być Artiuchin, bo ten mnie zna i wie, jak wyglądam. Raczej chyba kogoś wynajął. Jeśli zaś facetowi udało się wymknąć zaraz po dokonaniu zabójstwa, nie może wiedzieć, że ja żyję. Natomiast jeżeli mu się nie udało, to musi wciąż być tutaj, bo jakieś dziesięć minut po zabójstwie wszystkie wyjścia już były pod kontrolą. Skoro więc utknął tu, to myślę, że do restauracji dojadę bez przygód. Teraz, gdy nazwisko ofiary jest na ustach wszystkich, zrozumiał, że się pomylił, ale nic nie może zrobić - ani stąd wyjść, ani skontaktować się z Artiuchinem.

- No, nie wiem, Asiu. - Korotkow z powątpiewaniem pokręcił głową. - Na twoim miejscu bym nie ryzykował.

- Ja też nie, Jurka, ale goście czekają na nas w restauracji. Osiem osób. Rodzice Loszki, Darii, Saszy i moi. Jak to będzie wyglądało, jeżeli przyjedzie tylko Saszka z Daszą i Losza beze mnie? Mama specjalnie przyleciała ze Sztokholmu na moje wesele, nie odebrałam jej nawet wczoraj z lotniska, myślałam, że dziś się zobaczymy.

- O której macie tam być?

- O drugiej. Za dwadzieścia minut.

- Dobra, niech ci będzie - z ciężkim sercem zgodził się Korotkow. - Ciebie człowiek nie przegada. Weź na wszelki wypadek mój pistolet.

- Oszalałeś? A jeśli, nie daj Boże, coś się stanie? Jak się potem będziemy tłumaczyć z tego, że dałeś mi swoją broń, a ja ją wzięłam? Przecież głowy nam pourywają.

- Fakt. Ale jeśli coś się stanie, a ty nie będziesz miała czym się bronić? Czy ci urwą głowę, czy odstrzelą, i tak na jedno wychodzi. Bierz, będę spokojniejszy.

Nastia poszukała oczyma kogoś ze swojej trójki. Przez otwarte drzwi jednego z pokoi zobaczyła Czistiakowa. Rozmawiał ze śledczym. Saszy nigdzie nie było widać, za to w pobliżu, na fotelu pod sztuczną palmą, siedziała smutna, opuszczona przez wszystkich Dasza. Nastia zrobiło się naprawdę żal młodej kobiety, która tak się szykowała na to najważniejsze dla siebie święto, a tymczasem musi siedzieć tu sama i obserwować krzątanicę milicjantów wokół zastrzelonej dziewczyny.

- Daszuniu! - zawołała. - Można cię prosić na chwilę?

Dasza wstała ociężale i powołała podeszła do Nastii i Korotkowa. Mizerna twarzyczka i cienie pod oczyma świadczyły o tym, że dziewczyna jest zmęczona i rozbita. Nic dziwnego, dostać się w taki młyn, będąc w ósmym miesiącu ciąży! Powinna raczej poleżeć przy otwartym oknie i zasuniętych zasłonach, zdrzemnąć się godzinę, tymczasem od szóstej rano jest na nogach, a tu jeszcze tyle emocji!

- Daszeńko, zasłoń nas na chwilę. Zaraz jedziemy. Gdzie Sasza?

- Zabrał go jakiś facet.

- Jaki facet?

- Mały, z wąsami, w koszuli w kratę.

- To nasz technik - powiedział Korotkow. - Zaraz znajdę twojego brata. Daszo, niech pani tu stanie, tak żeby Anastazji i mnie nie było widać.

Dasza posłusznie zasłoniła oboje przed cudzymi spojrzeniami. Rozglądając się jak złodziej, Nastia otworzyła torebkę, a Korotkow szybko wsunął do niej pistolet, zręcznym ruchem wyjąwszy go z kabury.

- W porządku.

Jura wszedł do gabinetu, gdzie przesłuchiowano Czistiakowa.

- Michałycz, daj już człowiekowi spokój, weselny obiad mu stygnie.

Widząc, że śledczy się waha, dodał:

- Puść go, puść, to świeżo upieczony mąż naszej Aśki. Jeśli będzie trzeba, na pewno go znajdziemy.

Śledczy najwyraźniej niechętnie przerwał rozmowę. Losza uśmiechnął się z wdzięcznością i wyszedł do holu, a Korotkow pobiegł dalej, wołając głośno:

- Technik Sajenko! Technik Sajenko!

- Jest tam - poinformował go funkcjonariusz, który akurat nadszedł z owczarkiem na smyczy od strony tylnego wejścia.

Minutę później Aleksander Kamieński dołączył do pozostałej trójki i wszyscy razem z Korotkowem wyszli na ulicę.

- Jak siadamy? - spytała Nastia, przenosząc niezdecydowane spojrzenie z samochodu Saszy na wóz Czistiakowa. Miała wielką ochotę jechać z Loszą, ale bała się zostawić Darię i brata samych. Sasza wiedział o liście, który rano dostała, i Nastia nie zdziwiłaby się, gdyby doszedł do tych samych wniosków, co ona. W żadnym razie nie można było dopuścić, żeby podzielił się nimi z żoną czy z Loszą.

- Teraz już... - zaczęła Dasza.

Ale Nastia, przewidując, że bratowa zaraz powie: „Teraz już każdy może jechać ze swoją drugą połową”, przerwała jej szybko:

- Musimy się trzymać starej, dobrej zasady. Tak jak jechaliśmy dwa razy, pojedziemy i trzeci. Do trzech razy sztuka.

Dasza posłusznie wsiadła do samochodu Czistiakowa, a Nastia - Saszy.

Jakiś czas jechali w milczeniu. W końcu Aleksander nie wytrzymał.

- Asiu, nie wydaje ci się, że...

- Wydaje mi się. I proszę cię, Sanieczka, niech tak się wydaje tylko nam. Powiedziałeś rano, że zawsze mogę liczyć na twoją pomoc. Tak czy nie?

- Naturalnie. Co mam robić?

- Po pierwsze, zachować dyskrecję. Loszka nie powinien o niczym wiedzieć, a Daria - tym bardziej. Po drugie, patrz w lusterko i obserwuj, czy ktoś za nami nie jedzie. Po trzecie... Nie, nic.

- O co chodzi? Mów, Asiu, zrobię wszystko.

- Po trzecie, pamiętaj, że mam w torebce pistolet. Chyba nie dam rady się nim posłużyć.

- Dlaczego?

- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Nie jestem przyzwyczajona... Zawaham się, przestraszę, różnie bywa...

- Chcesz, żebym ja to zrobił?

- Niech Bóg broni! W żadnym wypadku. Po prostu pamiętaj, że mam broń. I jeśli coś się zdarzy, pilnuj, żeby ktoś nie wyrwał mi torebki albo żebym ja sama gdzieś jej nie zostawiła. Nie wiadomo, jak człowiek może zareagować w chwili niebezpieczeństwa. Poza tym nie zapominaj, że w razie czego torebką, w której jest pistolet, bardzo skutecznie można ogłuszyć. Ja nie potrafię tego zrobić, ale ty na pewno sobie poradzisz.

Dojeżdżali już do restauracji. Rodzice stali przed wejściem, rozmawiając z ożywieniem. Nastia wyskoczyła z samochodu i podbiegła do matki, której nie widziała od paru miesięcy.

- Mamusku!

- Córeńko! Gratuluję! Alosza, chodź tutaj, mój kochany!

Nadieżda Rostisławowna stanęła na palcach i pieszczotliwie potar mosiła Czistiakowa za ruda czuprynę.

- Brawo, Aloszeńka, żeś wreszcie zmusił Nastię, żeby poszła po rozum do głowy. Zawsze wiedziałam, że dopniesz swego. Mądry chłopak!

Nastąpiły uściski, całusy, gratulacje. Nastia z zaciekawieniem obserwowała Pawła Iwanowicza, swego rodzionego

ojca. Nie wyglądało na to, by czuł się skrepowany sytuacją. Aleksander miał chyba rację - wszystko to było tak dawno, że nikt nie pamiętał o minionych urazach.

Po drodze do sali restauracyjnej Nastia, która została z tyłu, przyspieszyła kroku i znalazłszy się obok Daszy, idącej ze swoją matką, dotknęła ramienia bratowej.

- Daszuniu, robimy dobrą minę, pamiętaj. Nie ma sensu niepokoić rodziców. Zgoda?

Dasza podniosła na nią smutne, zmęczone oczy i kiwnęła głową.

Przy stole Nastia siedziała naprzeciw ojczyma, który od razu zauważył jej bladość i wyraz napięcia na twarzy. Jakiś czas w milczeniu przyglądał się pasierbicy, a potem demonstracyjnie wyjął z kieszeni papierosa i skinął na nią porozumiewawczo.

Wyszli do holu, gdzie stały fotele i popielniczki, usiedli i zapalili.

- Mów, dziecino - nakazał surowo Leonid Pietrowicz. - I nie próbuj mnie okłamywać, że nic się nie stało.

- W urzędzie zabito dziewczynę, która miała wziąć ślub - powiedziała Nastia. - Musieliśmy czekać na grupę operacyjną, przed jej przyjazdem nikogo nie wypuszczano z budynku. Dlatego się trochę spóźniliśmy.

- Możesz to opowiadać swojemu mężowi - rzucił gniewnie Leonid Pietrowicz. - Ile razy ci mówiłem, że widzę cię na wylot? Dlaczego ani rusz nie możesz tego zrozumieć? Co?

- Daj słowo, że nie powiesz mamie - zażądała Nastia.

- Nie będę dawał żadnego słowa! - wybuchnął ojczym. - Jestem starym, doświadczonym wywiadowcą i chociaż w ostatnich latach zająłem się nauczaniem innych, sam zdecyduję, co mam mówić i komu. Więc nie stawiaj mi tu warunków, smarkulo.

- Nie jestem żadną smarkulą, tylko młodą małżonką, kobietą zamezną - poprawiła go z uśmiechem Nastia.

- Młodą małżonką możesz być dla Loszki, dla mnie zawsze będziesz dzieckiem. Mów.

- No cóż... Pewien typek mi grozi, ale to nic nadzwyczajnego, normalka. Dlatego jestem trochę zdenerwowana. To wszystko.

- Wszystko? I nie ma żadnego związku z zabójstwem w urzędzie?

- Żadnego. Nawet o tym nie myśl, tatuśku.

- A więc ma związek - skonstatował Leonid Pietrewicz. - Jakoś za bardzo starasz się mnie przekonać, to podejrzane. Pamiętaj, dziecino, im więcej słów, tym mniej są przekonujące. To tylko zasłona dymna. Dasz sobie radę sama?

- Chyba tak. Ale nie mów mamie, dobrze?

- Nie ucz uczonego. - Leonid Pietrowicz uśmiechnął się, zgasił papierosa i wstał. - Chodźmy świętować. A tak przy okazji: będziesz musiała tam wrócić?

- Niekoniecznie. Chociaż, oczywiście, zżera mnie ciekawość, ale to nie ma znaczenia dla sprawy. Zresztą od poniedziałku jestem na urlopie.

- Znowu kłamiesz, Nastazjo. - Ojczym, dotknięty, pokiwał głową. - Przez ten czas, kiedy tu siedzieliśmy, dziesięć razy zerknęłaś na automat telefoniczny. Dać ci żeton?

- Mam.

- Więc dzwoni szybko i wracamy, nie wypada zniknąć na tak długo.

Wdzięczna Nastia cmoknęła ojczyrna w policzek i wybrała numer kierowniczkę urzędu.

- I co tam? - spytała bez wstępów, gdy poproszono do telefonu Korotkowa.

- Nic nowego - odparł Jurij ponuro. - Tego fotografa, Szewcowa, puściliśmy do laboratorium, żeby wywołał zdjęcia. Obiecał, że na wieczór będą gotowe. Może na nich coś zobaczymy. Wszystkich obecnych przesłuchujemy na okoliczność ewentualnej znajomości z ofiarą i Artiuchinem. Broni nie znaleźliśmy. W ogóle ciężka sprawa. Jest tu kupa ludzi,

ale przecież nie możemy ich trzymać w nieskończoność, na wszystkich czekają goście. Trzeba będzie ten tłum wypuścić.

- Nie znaleźliście żadnych osób postronnych?

- Nie. Wszyscy, którzy tu są, to krewni i znajomi młodych par. Nikogo podejrzanego.

- To znaczy, że zdążył uciec.

- Ano zdążył - potwierdził skłopotany Korotkow. - A tobie jak się bankietuje?

- Nic nie mogę przełknąć. No dobra, cześć.

Nastia i Leonid Pietrowicz wrócili na salę akurat w chwili, gdy Dasza i Aleksander kolejny raz się całowali. Anastazja od razu dostrzegła pytający wzrok Czistiakowa.

- I co tam? - zapytał cicho, mimo woli powtarzając słowa, którymi Nastia zwróciła się przed chwilą do Korotkowa.

- Gdzie?

- Przecież poszłaś zatelefonować.

- Jak się domyśliłeś?

- Albo to ja cię nie znam? - Losza uśmiechnął się. - Aśka, jestem normalnym człowiekiem, i to, że ktoś potrafi bez reszty zaangażować się w swoją pracę, mnie nie wkurza. Kto wie, może właśnie za to cię kocham.

- Tak? A ja cię kocham za co innego.

- Ciekawe, za co?

- Za to, że mnie znasz i nie wkurzasz się. Wiesz co, wypijmy.

- Prowadzę.

- To po prostu podnieś kieliszek. Zaraz wygłoszę toast.

Nastia zdecydowanym ruchem wstała z krzesła.

- Mogę powiedzieć parę słów? Ci, którzy mnie znają od dawna, z pewnością dziwią się, dlaczego postanowiliśmy z Aleksiejem zalegalizować nasz związek. Więc powiem, żeby nie było nieporozumień i niedomówień. Okazuje się, że przez wiele lat nie zdawałam sobie sprawy, że go kocham. Myślałam, że jest po prostu dobrym człowiekiem, do którego się przywiązałam. A potem nagle zrozumiałam, że to jeden



jedyny i że go kocham. I gdy tylko sobie to uświadomiłam, od razu pobiegliśmy do urzędu, żeby ustalić datę ślubu. No!

- Co „no”? - odezwał się Paweł Iwanowicz z drugiego końca stołu. - Nie „no”, tylko „gorzko”!

- Gorzko! - podchwycili inni.

*Czerń i biel, biel i czern. Narzeczeni i narzeczone, narzeczone i narzeczeni... O Boże, jak ja was wszystkich nienawidzę!*

*Nienawidzę tych w czerni, bo czern to zło.*

*Nienawidzę tych w bieli, bo mnie odrzucili.*

*Ubiorę się na czarno i będę patrzeć na was, przystrojonych w biel, rojących się hen, z dala ode mnie. Jako że nigdy się nie zbliżycie.*

*Ponieważ mnie odrzuciliście...*

Do domu wrócili wcześniej, nie było jeszcze siódmej. Nastia natychmiast zrzuciła ubranie i zamieniła je na wygodną, obszerną podomkę. Bardzo ją męczył oficjalny strój i wysokie obcasy, czuła się swobodnie i komfortowo tylko w dżinsach, swetrach i sportowym obuwiu.

Napięcie nie słabło, za nic nie mogła się skupić na najprostszych domowych zajęciach. Czy powinna zająć się kolacją, czy też organizm zadowolony do jutra tym, co zjedli w restauracji? Czy zaprosić na jutro gości, czy nie zaprzętać sobie głowy tym tradycyjnym zwyczajem? I gdzie jest gazeta z programem telewizyjnym?

Pamiętała, że powinna coś zrobić, do kogoś zadzwonić, ale ani rusz nie mogła sobie przypomnieć, do kogo i po co. W restauracji, w towarzystwie gości i rodziców, jakoś potrafiła wziąć się w garść, ale teraz zawładnął nią strach. Zdawała sobie sprawę, że musi koniecznie porozmawiać z Loszą, jeżeli bowiem Artiuchin rzeczywiście postanowił ją załatwić, Aleksiejowi grozi to samo, co jej. A może jednak ten drań nie jest zamieszany w dzisiejsze zabójstwo Galiny Kartaszowej? Co, jeśli to tylko przypadkowy zbieg okoliczności?

W końcu przypomniała sobie, że miała zadzwonić do Olszańskiego.

- Muszę cię zmartwić, Kamieńska - oznajmił Konstantin Michajłowicz. - Kazałem zatrzymać Artiuchina, ale odciski palców na liście nie należą do niego.

- A do kogo? - zapytała głupio.

- Nie wiadomo. Dzwonił do mnie Korotkow, tak że jestem poinformowany o twoich przygodach w urzędzie stanu cywilnego. Weźmiemy, oczywiście, odciski palców od wszystkich, którzy tam byli, i porównamy z tymi na liście. Ale to dłuższa sprawa.

- Co mówi Artiuchin?

- A co może mówić? Naturalnie, wszystkiemu zaprzecza. Ale już ja go przycisnę, nie bój się. Od początku byłem pewny, że ten gwałt to jego sprawka, tyle że facet miał żelazne alibi. No cóż, teraz mam rozwiązane ręce. Poza tym dzisiaj się dowiedziałem, że ma coś wspólnego z przemytem narkotyków.

- Kiedy go zatrzymaliście?

- Około drugiej...

Rozmowa z Olszańskim nie przyniosła Nasti ulgi. Poczucie zagrożenia nie słabło, więc postanowiła czymś się zająć, wszystko jedno czym, byle nie myśleć. Weszła do kuchni, gdzie Czistiakow już rozłożył na stole swoje książki i pograżył się w pracy.

- Loszka, wiesz co, urządzmy sobie swoje własne święto. Tylko we dwoje. I napijmy się.

Aleksiej podniósł na żonę zdziwione oczy.

- Asieńko, co ci jest? Zupełnie cię rozstroił ten dzisiejszy dzień. Powinnaś odpocząć, a nie świętować.

- Nonsens. W końcu to nasze wesele. Piętnaście lat trwało, nim się zdecydowaliśmy. Złóż swoje książki i wyciągnij szampana.

- Przecież ty nie lubisz szampana - przypomniał Czistiakow z uśmiechem, ale uprzątnął ze stołu rozłożone papiery.

- Nic innego nie ma.

- Kto tak powiedział? Jest twoje ukochane martini.
- Skąd się wzięło?!
- Jak to skąd? Ze sklepu, a skąd by? Sam go nie produkuje.

- Loszka, ubóstwiam cię!

Objęła męża i mocno się do niego przytuliła.

Kiedy wypijała maleńkimi łyżkami martini, poczuła się lepiej. Lodowate palce rozgrzały się, blada twarz lekko się zaróżowiła, dławiący ciężar w piersi zniknął, i Nastia mogła głęboko odetchnąć.

- Loszeńka, jakie mamy plany na jutro? - zapytała, odchyłając się na oparcie krzesła i wyciągając przed siebie nogi, wreszcie odprężona.

- Spać, spać i jeszcze raz spać do całkowitej utraty świadomości. A potem zobaczymy.

- Boże, jak dobrze! - zachwyciła się Nastia. - Wyśpimy się, później zabierzesz mnie na spacer, będziemy chodzić, dopóki mnie nogi nie rozbolą, a potem zjemy obiad i siądziemy do roboty. Możesz zająć komputer.

- A ty? Znowu będziesz stukać na maszynie?

- Maszyna jeszcze przez dwa dni nie będzie mi potrzebna. Najpierw przeczytam całą książkę, od deski do deski, żeby wejść w styl autora, w jego koncepcję. Dopiero potem zabiorę się do przekładu. Poza tym, jeżeli nie znam treści, ciekawość przeszkadza mi tłumaczyć. Chcę wiedzieć, co będzie dalej, jak cała rzecz się kończy, dlatego tak mnie kusi, żeby przerwać robotę, paść na tapczan i czytać.

- Rozumiem. A propos, Asieńko, chciałem ci przypomnieć, że nasze małżeństwo to także wspólny budżet. Czy aby o tym nie zapomniałaś?

- Właściwie wcale o tym nie myślałam - przyznała się Nastia.

- To niedobrze. Ponieważ tak się składa, że całkiem przyzwoicie zarabiam, myślę, że nie musisz już męczyć się nad przekładami. Może się umówimy, że ten będzie ostatni?

- Nie gniewaj się, Loszeńka, ale nie. Po pierwsze, przyzwyczaiłam się w ten sposób spędzać urlop. Po drugie, lubię to zajęcie i pozwala mi ono odświeżać znajomość języków. A po trzecie, nie cierpię prosić o pieniądze. Wolę mieć własne.

- Aśka, twoja niezależność przybiera obraźliwe formy.  
- Czistiakow roześmiał się, ale oczy mu pociemniały, i Nastia zrozumiała, że go uraziła.

Już miała powiedzieć coś miłego, żeby zatrzeć przykrą gafę, ale akurat zadzwonił telefon.

Odezwał się Korotkow. Mówił jakoś dziwnie.

- Asiu, jesteś trzeźwa? - upewnił się najpierw.

- Pan mnie obraża, szefie - zażartowała Nastia. - Widziałeś kiedyś, żebym była w stanie wskazującym na spożycie?

- Ale, jak dotąd, nigdy jeszcze nie miałaś wesela. Kojarzysz, czy lepiej dzisiaj dać ci spokój?

- Wal. Są nowiny?

- Jeszcze jakie! Stoisz czy siedzisz?

- Stoję.

- To usiądź.

Nastia przeniosła aparat w poblize fotela i rozsiadła się wygodnie.

- Już siedzę.

- Dzisiaj o dziesiątej rano w urzędzie stanu cywilnego w Kuncewie zastrzelono pannę młodą. Dopiero niedawno się o tym dowiedziałem. Byli tam chłopcy z okręgu, ekipy z Pietrowki nie wzywano.

- Co takiego?!

- Poczekaj, to jeszcze nie wszystko. Jedna z panien młodych powiedziała, że wczoraj, w przeddzień ślubu, dostała list w białej kopercie. Domyślasz się, co w nim było?

- Niemożliwe - wyszeptała Nastia schrypniętym nagle głosem i zakrztusiła się nerwowo. - Podpuszczasz mnie.

- Ani mi to w głowie. Tak że zostaw w spokoju swojego Artiuchina, bo facet nie ma z tym nic wspólnego. To jakaś grubsza sprawa. Musi chodzić o coś innego.

- Jurka, nic nie rozumiem. Dwa identyczne listy i dwa identyczne zabójstwa? Oba tego samego dnia, w urzędach stanu cywilnego, i w obu zginęły nie te osoby, które otrzymały list? To niemożliwe. Coś takiego się nie zdarza.

- Jakoś łatwo zmieniasz zdanie, koleżanko - zauważył Jura. - Przecież to ty stale twierdziłaś, że w naszym fachu nie ma słowa „niemożliwe”. W życiu wszystko się może zdarzyć.

- Masz rację. W życiu wszystko się może zdarzyć - powtórzyła w zamyśleniu Nastia. - Ale też wszystko musi mieć swoje wyjaśnienie. Trzeba tylko nad tym pomyśleć.

- Słusznie. Więc zrób to.

- A co z Szewcowem? Wywołał zdjęcia?

- Wywołał. Chcesz obejrzeć?

- Chcę.

- Kiedy?

- Jutro. Możesz?

- Ja mogę, ale boję się, że twój świeżo upieczony mąż mnie zabije.

- Nie zabije cię. Przyjdź jutro rano, koło jedenastej.

- Dobra. Nawet nie wiedziałem, że taki ze mnie kamikadze...

Nastia odłożyła słuchawkę i znieruchomiła w fotelu. Jedno zabójstwo można było od biedy wyjaśnić pomyłką sprawcy, ale dwa?! Dwie pomyłki jednego dnia - czy to nie za wiele? A jeżeli to wcale nie pomyłka? Jeżeli to tylko pomysłowy kamuflaż? Wtedy należy założyć, że jedna z ofiar była właśnie tą, o którą chodziło przestępcy, a cała reszta to jedynie maskarada mająca zmylić tropy i utrudnić śledztwo. Ale jednocześnie wymagająca dokładnie przemyślanego planu i niemałego zachodu.

A co, jeśli to jednak pomyłki? Czy można dla nich znaleźć jakieś wyjaśnienie? Skoro tak, to między nią, Nastią, a tą drugą dziewczyną, która dostała list, musi istnieć jakiś związek.

Tak się pograżyła w myślach, że nawet nie zauważyła, kiedy do pokoju wszedł Czistiakow.

- Coś się stało?
- Tak. Jeszcze jedno zabójstwo w urzędzie stanu cywilnego. Loszka, rusz głową, co?
- Dobra. Proszę o dane wstępne.
- Tylko się nie denerwuj.
- Postaram się...
- Przyjmijmy, że zamiast Galiny Kartaszowej miałam zgiąć ja. Jak myślisz, czy zabójca mógł się pomylić? Mógł wziąć ją za mnie?
- Asiu, nie strasz mnie. Skąd nagle takie dziwaczne założenie?
- Nieważne. Ale ja przecież nie patrzę na siebie z boku, dlatego trudno mi to ocenić. Więc powiedz mi, czy mnie i tę dziewczynę łączy jakieś podobieństwo?
- Nie rozumiem...
- Dobrze, wyjaśnię ci. Dzisiaj rano dostałam list z pogrozkami i sądzę, że napisał go człowiek, który zna mnie osobiście. W urzędzie go nie widziałam, ale to o niczym nie świadczy, bo przecież nie rozglądałam się i nie szukałam go. Gdyby strzelał on sam, nie mógłby się pomylić, zna mnie i ostatni raz widział nie dawniej niż wczoraj wieczorem. A zatem raczej kogoś wynajął i opisał mu, jak wyglądam. Więc pytam cię teraz, czy można było na podstawie takiego opisu nas pomylić?
- Nie, nie łączy was żadne podobieństwo oprócz koloru włosów - zdecydowanie odparł Czistiakow. - Ale zapominasz o jednej istotnej rzeczy, Asieńko.
- O jakiej?
- Dzisiaj w ogóle nikt by cię nie rozpoznał na podstawie słownego opisu. Daj no mi to zdjęcie, które ci ktoś zrobił na ganku urzędu.
- Nastia sięgnęła do torby i wyjęła polaroidową odbitkę.
- A teraz podejdź do lustra. Widzisz? W lustrze jesteś taka jak co dzień. I właśnie taką cię widział ten typ, którego wczoraj spotkałaś. Prawda? To powiedz mi, czy normalnie

bardzo przypominasz tę Nastię ze zdjęcia? Czy opis by się zgadzał?

- Do diabła! - rzuciła zaskoczona Nastia. - Dlaczego sama o tym nie pomyślałam? Można zatem przyjąć, że nie poznawszy mnie z opisu, dowiedział się o mój numer w kolejności udzielania ślubów, znalazł parę, która była dziewiąta, i zorientował się, kto będzie następny. To wszystko. Bardzo proste!

- Co jest proste? Anastazjo, o czym ty mówisz? Ktoś ci grozi śmiercią? - dopytywał się przerażony Losza.

- Całkiem możliwe. Ale nie bój się, już został zatrzymany. Oczywiście, jeżeli to on.

- A są jakieś inne hipotezy?

- Ile tylko chcesz. Na przykład, ofiarą miała być Kartaszowa, a listy i drugie zabójstwo to tylko próba skierowania śledztwa na fałszywy trop. Niewykluczone też, że chciano zabić dziewczynę, która dostała taki sam list jak ja. Albo tę, która została zastrzelona w Kuncewie. Jedna z nas czterech miała być prawdziwą ofiarą, a cała reszta to tylko przedstawienie.

- Muszę przyznać, że dość krwawe. Ale czemu miał służyć cały ten kamuflaż?

- Właśnie się nad tym zastanawiam... Trzeba się uważnie przyjrzeć rodzinom tych dziewczyn. I szukać w ich otoczeniu człowieka, który ma jakieś powiązania z urzędami stanu cywilnego. Przecież skądś się musiał dowiedzieć, że wszystkie cztery bierzemy dziś ślub. Albo...

- Albo co?

- Albo to maniak, który zabija kobiety mające wyjść za mąż. W takim wypadku wszystkie moje kombinacje nie są nic warte.

- Lepiej, żeby się okazał maniakiem.

- Dlaczego?

- Dlatego że jeśli interesują go tylko dziewczyny, które dopiero zamierzają się wydać, tobie już nic nie grozi.

- Ale, Loszeńka, jeżeli rzeczywiście tak jest, to lada dzień tragedia może się powtórzyć. Nie ma nic gorszego niż zabójca psychopata, ponieważ jest kompletnie nieprzewidywalny. Rozumiesz to? Lepiej niech już poluje na mnie.

- Asiu, a czy ty rozumiesz, że ja nie chcę zostać wdowcem? Nie chcę, słyszysz? Nie chcę!

- Nie krzycz, Losza. Doskonale wiedziałeś, z kim się żenisz. I że praca w milicji to nie dziecinna zabawa.

- Nie krzyczę, tylko...

Odwrócił się gwałtownie i wyszedł z pokoju, trzasnąwszy drzwiami. Nastia w roztargnieniu machnęła ręką i znów spojrzała na swoje odbicie w lustrze.

No co, koleżanko? Udało się wesele? Nie darmo ludzie powiadają, że nie należy wychodzić za mąż w maju, na dodatek trzynastego. Dzień z samego rana źle się zaczął - od tego idiotycznego listu - i potem wszystko już szło na opak. A skończyło się awanturą z Loszką. Wesoło, szkoda gadać...

Ela Bartos, której nie udało się dzisiaj wyjść za mąż i zmienić nazwiska, chociaż tak bardzo tego pragnęła, szlochała w swoim pokoju. Jej narzeczony, Walerij Turbin, milczał zgnębiony, siedząc przy nakrytym stole w towarzystwie Tamili i Istvana, swoich niedoszłych teściów.

- Uważam, że nic strasznego się nie stało - mówiła Tamila, nakładając mężowi na talerz apetyczne kawałki mięsa. - W końcu, jeśli wasze uczucia są dostatecznie silne, możecie jeszcze trochę poczekać. Weźmiecie ślub za miesiąc.

Nie kryła zadowolenia. Najważniejsze, że dzisiaj ślub się nie odbył, a co będzie dalej, to się zobaczy. Może Ela się opamięta. Jej, Tamili, nie jest potrzebny taki zięć. Ani córce taki mąż. Dlatego gdy tylko w urzędzie wybuchło całe to zamieszanie, zrobiła wszystko, co możliwe, by odwieść młodych od zawarcia małżeństwa.

- Jak można brać ślub, gdy obok leżą nieostygłe zwłoki? - szeptała wzburzona do męża. - Idź, porozmawiaj z Walerijem jak mężczyzna z mężczyzną. To znak od losu, Pista,



oni nie powinni się pobierać. Widzisz, że nie tylko ja jestem przeciwna temu małżeństwu.

Istvanowi było żal córki, choć w głębi duszy zgadzał się z żoną. Nie miał nic przeciwko Turbinowi, ale także żadnych argumentów za. W zięciu chciał widzieć pomocnika w interesach, partnera, na którym można polegać. A ten mól książkowy będzie pracował za nędzne grosze w budżetówce i trwonił ciężko zapracowany przez niego, Istvana Bartosa, kapitał.

Istniała jeszcze jedna okoliczność, której Bartosowie nie mogli nie brać pod uwagę. Wszystko już było przygotowane, by przenieść się na stałe do Kalifornii. Czekająca tam praca, partnerzy i zawarta oficjalnie umowa, że z dniem 1 stycznia 1996 roku firma zacznie funkcjonować. Ale bez Eli nigdzie nie pojedą, za nic nie zostawią tutaj swojej dziewczynki. A Ela z kolei nie wyjedzie bez męża, Tamila i Istvan wiedzieli, że Walerij ma chorą, starą matkę. Więc co, i ją mieliby ciągnąć ze sobą, bo przecież inaczej zięć nigdzie się nie ruszy?... Nie udało się dotąd odwieść córki od małżeństwa z tym gołodupcem asystentem, ale teraz na pewno się uda. Trzeba tylko mądrze to rozegrać.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli pójdziesz teraz do domu - powiedziała Tamila do Turbina. - Ela jest roztrzęsiona, pozwólmy jej się uspokoić.

- Wydaje mi się, że raczej powinienem być przy niej - sprzeciwił się Walerij słabo. Trochę się bał władczej i szorstkiej Tamili.

- Ja lepiej znam swoją córkę. Kiedy płacze, woli być sama, czyjaś obecność źle na nią wpływa. Idź, Walerij, idź, zobaczycie się jutro. Ranek jest mądrzejszy od wieczora. Idź.

- Tamilo Szałowno, ktoś przecież przysłał Eli ten dziwny list...

- Skąd pewność, że był przeznaczony dla niej? Nie podano adresata. Równie dobrze mógł zostać napisany do Istvana czy do mnie. Rozumiesz, Istvan jest biznesmenem, ma konkurentów i nawet przeciwników, żeby nie powiedzieć:

wrogów. Nadawcy także na kopercie nie było. Jestem więcej niż pewna, że te pogróżki nie dotyczą Eli. Idź do domu, Walerij, wszyscy jesteśmy zmęczeni, powinniśmy odpocząć.

Tak bezceremonialnie wypraszała narzeczonego córki, że Istvan czuł się nawet trochę niezręcznie. Turbin bez słowa skierował się do drzwi, ale w spojrzeniu, które posłał Tamili, było tyle nieskrywanej nienawiści, że oboje małżonkowie poczuli się nieswojo.

Odprowadziwszy gościa, w milczeniu zaczęli sprzątać ze stołu nietknięte w większości dania.

- Naprawdę nie wiesz, kto napisał ten list? - zapytał nagle Istvan żonę po węgiersku. Nie chciał, żeby córka przypadkiem usłyszała ich rozmowę.

- Naturalnie, że nie, Pista. Nie mam pojęcia - odpowiedziała Tamila, również w ojczystym języku męża.

Nie udało jej się jednak ukryć przed nim tryumfального uśmiechu.

- Nie wydaje ci się to dziwne? List nadszedł jakoś dziwnie w porę, nie sądzisz?

- Wszystko będzie dobrze, Pista, możesz mi wierzyć. Wszystko będzie dobrze. Zabierzemy Elę do Kalifornii i tam znajdziemy dla niej wspaniałego męża. To zdolna i ładna dziewczyna, w Stanach będzie mogła zrobić karierę. Na co jej ten filozof? Nie będziemy z niego mieli żadnego pożytku. No i jeszcze ta chora, stara matka...

- Tamilo, jesteś bezwzględna. Ela go kocha. Oczywiście, masz zupełną rację, ale...

- Ach, Pista, daj spokój, na miłość boską!

Tamila wstawiła do zlewozmywaka stertę brudnych talerzy i przyłgnęła do męża, objąwszy go mocno za szyję.

- Sam powiedz, co taka naiwna głuptaska może wiedzieć o miłości? On to kawał samca, trudno zaprzeczyć, ale nasza Ela tego nie rozumie. Krew się w niej burzy, chciałaby z nim pójść do łóżka i nie wychodzić z niego przez miesiąc. Ale co będzie potem, kiedy już się nacieszy seksem do przesyty? Teraz, kiedy im się udaje zostać sam na sam

w pustym mieszkaniu jeden czy dwa razy w tygodniu, wydaje jej się, że nic słodsze od tego ciastka nie ma na świecie. Ale my oboje wiemy, że to nie tak. Prawda, kochanie? Myśmy też przez to przeszli. Pomyśl, jakie kłopoty nas czekają, jeśli nie zdołamy rozkręcić firmy pierwszego stycznia. Akcje są już w sprzedaży, więc jeśli zawalimy sprawę...

- Tak, tak, oczywiście - zgodził się Bartos. - Nie możemy ryzykować, zbyt wiele postawiliśmy na jedną kartę. Ale, Tami, moja kochana, jedna rzecz mnie niepokoi.

- Co takiego?

- Mam jakieś nieprzyjemne wrażenie, że ten list przyszedł za późno. I nieszczęście, do którego doszło w urzędzie, również.

Tamila odsunęła się od męża i popatrzyła na niego bawczo.

- Co chcesz przez to powiedzieć? O coś mnie podejrzewasz? Myślisz, że ja napisałam ten list?

- Tami...

- No wiesz! A żeby ci język kołkiem stanął! Może jeszcze powiesz, że to ja zastrzeliłam tę nieszczęsną dziewczynę? Całkiem zwariowałeś, Istvanie Bartos!

Zamachnęła się, żeby wymierzyć mężowi policzek, ale on uchylił się zręcznie, chwycił ją za rękę i pewnym ruchem wykręcił ją tak, że znalazła się za plecami. Tamila zagryzła z bólu wargę, ze złością wpijając się rozgniewanymi oczyma w szare oczy Istvana, po chwili jednak jej twarz złagodniała. Tak, Tamila Bartos była władczą i okrutną kobietą, ale jej mąż potrafił być naprawdę ostry. Inteligencja i dobre maniery, które wyniósł z kulturalnego domu o europejskich tradycjach, stanowiły jedynie fałszywą przykrywkę dla dobrej rosyjskiej szkoły, jaką ten człowiek odebrał w środowisku przestępczego marginesu. W swoim czasie to właśnie podniecało w nim Tamilę. Zupełnie straciła głowę dla tego wyrafinowanego macho, który w łóżku zachowywał się brutalnie, wyuzdanie i mówił o swoich uczuciach

i doznaniach seksualnych, używając wyłącznie najwulgarniejszych, niecenzuralnych rosyjskich słów, wypowiedzianych z uroczym węgierskim akcentem. Teraz, stojąc z wykręconą do tyłu ręką i spoglądając w chłodne oczy Istvana, Tamila zrozumiała, że mąż nie tylko ją podejrzewa, ale akceptuje jej - jak sądzi - pomysł.

Nagle coś błysnęło w jego oczach, ręka, która jeszcze przed chwilą trzymała w żelaznym uścisku nadgarstek żony, błyskawicznie przesunęła się na biodro kobiety. Istvan gwałtownie przyciągnął Tamiłę do siebie, zbliżył wargi do jej ucha i szepnął:

- Obejmij mnie. Ela na nas patrzy.

Tamila odwróciła się... W progu stała córka z zapuchniętą od płaczu twarzą i nieprzytomnymi oczami.

- Co się tu dzieje? Tak krzyczałaś, mammo...

- Rozmawiałam telefonicznie z twoją babcią Judit - szybko odparła Tamila, wiedząc, że córka słyszała ją mówiącą po węgiersku i nie rozumiała ani słowa. - Dzwoniła z Budapesztu, było bardzo źle słyhać. Babcia chciała ci złożyć życzenia z okazji ślubu, więc musiałam jej powiedzieć, że twój narzeczony miał wypadek i złamał nogę, tak że ślub został odłożony.

Łzy znów pociekły po twarzy dziewczyny. Odwróciła się gwałtownie i pobiegła do swego pokoju.

## ROZDZIAŁ 4

Wczorajsza sprzeczka pozostawiła bolesny ślad i w niedzielny ranek Nastia po raz pierwszy odczuła nieprzyjemny chłód, który zapanował pomiędzy nią a Czistiakowem. Kłócili się rzadko, w ciągu dwudziestu lat znajomości nie więcej niż pięć razy, z których jeden przypadł właśnie na dzień ślubu. Wspaniały początek życia rodzinnego.

Jakkolwiek jednak było, przed przyjściem Korotkowa należało rozładować przykrą atmosferę. Nastia wybrała najprostszy sposób.

- Loszka - powiedziała, dopijając drugą filiżankę kawy i zapalając trzeciego papierosa - przepraszam cię. Źle się wczoraj zachowałam. Nie miałam racji. Wybaczysz mi?

- A co mam zrobić? - Czistiakow westchnął z widoczną ulgą. Tak samo jak Nastia, nie cierpiał konfliktów, zwłaszcza bezsensownych. - Ale proszę cię, pamiętaj: nigdy nie zapominał, gdzie pracujesz, i cały czas się o ciebie boję. Będziesz pamiętać?

- A co mam zrobić? - powtórzyła, przedrzeźniając męża, i wykrzywiła się do niego zabawnie. Konflikt został zażegnany.

Jura Korotkow przywiózł grubą kopertę ze zdjęciami. Anton Szewcow naprawdę się postarał: na fotografiach byli wszyscy, którzy znajdowali się w budynku urzędu. Nastia rozłożyła odbitki na podłodze i wzięła do ręki listę tych osób, sporządzoną przez Korotkowa. Na pierwszy rzut oka wszyscy przyszli nowożeńcy wyglądali bardzo podobnie, więc sporo czasu zajęło spisanie na odwrocie każdego zdjęcia nazwisk ludzi, którzy się na nim znaleźli. Praca trwała prawie trzy godziny, zanim ustalili, że w spisie jest dokładnie tyle nazwisk, ile osób figuruje na fotografiach.

- Coś się nie zgadza - powiedziała zaniepokojona Nastia.  
- Powinno być o jedno nazwisko więcej.

- Dlaczego?

- Fotograf. Nie może go być na zdjęciach, a jest na liście. Rozumiesz, jeśli w spisie mamy pięćdziesiąt cztery nazwiska, na odbitkach powinny być pięćdziesiąt trzy osoby. A nam wyszło pięćdziesiąt cztery. Musimy poszukać tej jednej nadliczbowej.

Znowu skrupulatnie zbadali wszystkie fotografie i wreszcie znaleźli jedną, która nie była podpisana. Przedstawiała kobietę mniej więcej pięćdziesięcioletnią, o chudej, zniszczonej twarzy, i z wyrazem dziwnego napięcia w oczach.

- Kto to jest? - spytała Nastia, podając zdjęcie Korotkowowi.

- Pierwszy raz ją widzę - odparł, przyglądając się kobiecie na fotografii. - Nie było jej tam. To pewne.

- Była - poprawiła go Nastia - ale zniknęła. Musiała być w chwili znalezienia zwłok, bo Szewcow zaczął fotografować od razu, gdy tylko podniósł się krzyk i wybuchło zamieszanie. I najprawdopodobniej wymknęła się, zanim obstawiono wyjścia. Trzeba natychmiast ustalić jej tożsamość. Będziemy pokazywać zdjęcie wszystkim, którzy tam byli, może przyjechała z którąś z młodych par. Albo jest pracownicą urzędu.

- Nie. - Korotkow przecząco pokręcił głową. - Wszyscy pracownicy byli na miejscu, sprawdziłem. Prędzej już towarzyszyła jakiejś parze nowożeńców. Ale dlaczego wyszła?

- Powody mogły być różne. Może chciała odetchnąć świeżym powietrzem, kupić kwiaty albo zatelefonować, czy wziąć coś z samochodu. Więc wyszła, ale nie mogła wrócić, bo tymczasem już obstawiono drzwi.

- Czemu nie wyjaśniła sytuacji? Wpuszczono by ją.

- Pewnie się przestraszyła. Niewykluczone też, że pospierała się z kimś i demonstracyjnie wyszła, wcale nie mając zamiaru wrócić. Tak czy siak, Jura, trzeba ją znaleźć. Może coś widziała lub słyszała?

- Znajdziemy ją, nigdzie nam nie ucieknie. Wiesz co, spytajmy jeszcze Losze, może ją zauważył.

Ale Czistiakow nie przypominał sobie takiej osoby.

Postanowili zacząć od Bartosów i Turbinów, rozumując, że w urzędzie zastrzelić można każdą dziewczynę, ale bynajmniej nie każdej - wysłać list przed samym jej ślubem. Żeby to zrobić, trzeba wiedzieć, że przyszła ofiara nazajutrz ma wyjść za mąż, i znać adres. W swoim otoczeniu Nastia nie znajdowała nikogo, komu zależałoby na zerwaniu jej ślubu. A więc należało poszukać wśród znajomych Eleny Bartos i Walerija Turbina.

Tamila Bartos powitała Korotkowa ubrana w oficjalny, ciemny kostium, całym swym zachowaniem dając do zrozumienia, że jest szalenie zajęta, ma masę rzeczy do załatwienia i powinna zaraz wyjść, ale oczywiście, w takiej sytuacji odłoży wszystkie pilne sprawy na później.

- Nie sądzę, byście musieli przywiązywać aż taką wagę do tego głupiego listu - oświadczyła wyniośle, powoli mieszając łyżeczką świeżo zaparzoną angielską herbatę w wytwornej porcelanowej filiżance. - Sądzę, że groźba skierowana była raczej pod adresem mojego męża, nie córki.

- A więc jest pani przekonana, że zamażpójście Eleny nie mogło wywołać u nikogo... no, powiedzmy, negatywnych emocji?

- Ależ skąd! - Tamila roześmiała się. - Kogo mogłoby obchodzić zamażpójście Eli?

- A zazdrość? Może ktoś był o nią zazdrosny?

- Zapewniam pana, że odkąd Elena poznała Walerija, nie miała żadnego innego wielbiciela.

- A przedtem?

- Przedtem były jakieś dziecięce zauroczenia, z których ostatnie szczęśliwie się skończyło na kilka miesięcy przed znajomością z Walerijem. Nie, nie, o żadnej zazdrości nie może być mowy.

- Proszę powiedzieć, Tamilo Szałwowno, dlaczego świadkiem ze strony córki miała być pani siostrzenica?

- A dlaczego nie? Co w tym złego?

- Nic, ale wie pani, to trochę nietypowe. Dziewczyny z zasady proszą na świadka najbliższą przyjaciółkę. Istnieje nawet takie pojęcie: „przyjaciółka panny młodej”. Czy pani córka nie ma nikogo takiego?

Co to? Korotkowowi wydało się, że twarz Tamili na chwilę spochmurniała.

- Widzi pan, wszystkie szkolne koleżanki Eleny żyją teraz własnym życiem, uczą się, pracują, niektóre wyszły za mąż. Ela z żadną z nich nie utrzymuje stosunków. A właściwie nie tyle ona z nimi, ile one z nią. Sam pan rozumie, dziewcz-

czyna z zamożnej rodziny, pędząca na pozór beztrudne życie... To drażni.

- A więc pani córka nie ma żadnej przyjaciółki? Ani jednej? Tamilo Szałwowno, jakoś trudno mi w to uwierzyć.

- Cóż... - Kobieta zawahała się. - Chyba tylko Katię.

- Jaką Katię?

- Gołowanową. Mieszka w tym samym domu, w sąsiedniej klatce. Chodziły z Elena do jednej klasy.

- I co, pokłóciły się?

- Nie, skąd panu to przyszło do głowy? Wcale nie.

- Więc czemu Elena nie zaprosiła jej na ślub? Moim zdaniem, byłoby to całkiem naturalne.

- Ela mi chyba mówiła, że Katia jest tego dnia zajęta. Ma zdawać jakieś kolokwium czy coś w tym rodzaju...

- Jak pani córka zareagowała na otrzymany list?

- Jak?... - Tamila wzruszyła ramionami. - Zdziwiła się.

- I to wszystko? A może się przestraszyła?

- Nie, nie zauważyłam, żeby się specjalnie przejęła.

- Gdzie jest teraz Elena?

- Wyjechała z ojcem za miasto. Musi się trochę zrelaksować, uspokoić.

- Turbin wybrał się z nimi?

- Nie. Pojechali we dwoje.

- Kiedy wróca? Muszę porozmawiać z pani córką.

- Pewnie wieczorem.

*Biel i czerń, czerń i biel...*

*Cały świat składa się tylko z tych dwóch kolorów. Nie pozwolono mi zająć miejsca pośród białych, zmuszono do poniżenia i próśb, a potem odrzucono, odepchnięto brutalnie i bezlitośnie, ze wstrętem i obrzydzeniem. Powiedziano, że w szeregach białych mogą się znaleźć tylko najlepsi, najgodniejsi. Najbielsi.*

*A co ze mną?*

*Czy mój kolor nie jest najbielszy? Czy mam na sobie choć jedną, najmniejszą plamkę, skazę? Dlaczego mnie odrzucono?*



*Wiem dlaczego.*

*Dlatego że oni tylko udają, że są biali. Naprawdę ich dusze są czarne, czarne są ich ręce i zamiary. Wcale nie są im potrzebni biali, tylko czarni, którzy umieją dla niepoznaki przebierać się w białe szaty. A ja tego nie potrafię.*

*Za to teraz potrafię co innego. Teraz potrafię zespolić biel i czerń w jedno. Kto powiedział, że połączenie bieli i czerni daje szarość? To nieprawda. Wcale nie szarość je łączy.*

*Łączy je czerwień. Kolor krwi. Kolor śmierci. Wobec czerwieni biel i czerń są równe, jako że nie ma przed nią ucieczki. Czerwień wszystkich zrównuje.*

*Purpura na bieli - zabite pannymłode.*

*Potem będzie purpura na czerni...*

Jekatierina Gołowanowa wróciła z uczelni dopiero około ósmej. Korotkow cierpliwie czekał na nią na ławeczce stojącej przy wejściu do klatki schodowej. Był już u dziewczyny w domu, rozmawiał z jej matką i nawet widział zdjęcie Kati, więc poznał ją od razu.

- Dzień dobry, Katiu - powiedział, wstając i podchodząc do niej.

Dziewczyna przystanąła i popatrzyła na niego z zaciekawieniem. Była rówieśnicą Eleny, ale wyglądała dorosłej, może dlatego, że nie miała w sobie dziewczęcej lekkości i wdzięku, za to co najmniej osiem, jeśli nie dziesięć, kilogramów nadwagi. Oczy Kati spoglądały smutno i poważnie.

- Nazywam się Jurij Wiktorowicz, jestem z wydziału kryminalnego - przedstawił się Korotkow. - Mogę z panią porozmawiać?

- O co chodzi? - przestraszyła się dziewczyna. - Co przeskrobałam?

- Nic. - Jura uśmiechnął się życzliwie. - Chciałbym zamienić parę słów na temat pani przyjaciółki Eleny.

- Boże, co z nią?

- Ależ nic się nie stało, proszę się nie denerwować. Usiądźmy na chwilę. A może woli pani się przejść?

Katia zastanowiła się, potem niezdecydowanie przełożyła torbę do drugiej ręki.

- Przespacerowałabym się, ale mam ciężkie książki...

- Ja będę niósł. Proszę mi je dać.

Korotkow wziął torbę i zdziwił się, jaka jest ciężka. Owszem, dziewczyna nie wyglądała na słabą i kruchą, ale książki ważyły naprawdę sporo.

- Jak tam sobotnie kolokwium? - rzucił mimochodem.

- Zdała pani?

- Jakie kolokwium? - zdziwiła się Katia.

- Nie zdawała pani w sobotę?

- Nie. Skąd panu to przyszło do głowy? W soboty w ogóle nie ma zajęć.

- Przepraszam, widocznie coś pokręciłem. A gdzie pani była w sobotę?

Dłuższa pauza, która teraz nastąpiła, nie spodobała się Korotkowowi. Katia w milczeniu szła obok niego, popychając czubkiem buta puste kartonowe pudełeczko po soku.

- Czekam na odpowiedź - przypomniał. - Gdzie pani była w sobotę?

- W domu. A co?

- I co pani robiła?

- Niech pan posłucha, Juriju Wiktorowiczu, powiedział pan, że chce ze mną porozmawiać o Eli. A tymczasem interesuje pana, co robiłam w domu w sobotę. Jaki to ma związek z Elą?

- Bardzo prosty. Chcę się dowiedzieć, dlaczego pani nie była na jej ślubie. Dlatego pytam, jakie to pilne sprawy zatrzymały panią w domu. Przecież Elena jest pani przyjaciółką. Zapraszała panią do urzędu stanu cywilnego?

Katia w milczeniu skinęła głową, wciąż popychając butem kartonik.

- Więc dlaczego pani nie poszła?

- Nie chciałam.

- Dlaczego, Katiu? Proszę, niech mnie pani nie zmusza, żebym wyciągał z pani odpowiedź obcęgami. Dokonano

przestępstwa, więc gromadzę konieczne dla wykrycia sprawy informacje, a pani zachowuje się jak dziecko. Tak nie można. Jest pani dorosłą, rozsądną osobą i jeśli może mi pani pomóc, proszę to zrobić.

- Pewnie powinnam to uznać za komplement. - Dziewczyna uśmiechnęła się cierpko. - Ale wie pan, czasami lepiej być naiwnym, głupim dziewczątkiem niż dorosłą, rozsądną osobą.

- Co to znaczy „lepiej”? Dlaczego?

- Wygodniej.

- Co pani ma na myśli?

Katia znowu zamilkła. Tym razem pauza była jeszcze dłuższa. Wreszcie dziewczyna powiedziała:

- Zostałam w sobotę w domu, ponieważ nie chciałam pojechać na ślub Eli. Czy to wystarczy?

- Nie, Katiu. Nie wystarczy. Proszę wyjaśnić, dlaczego nie chciała pani tego zrobić.

- Dlatego że nie lubię jej rodziców. Oboje są bardzo wyniośli i mają o sobie Bóg wie jakie mniemanie. Źle się czuję w ich towarzystwie. Teraz wystarczy?

- Proszę powiedzieć, a narzeczony Eleny podoba się pani?

- Narzeczony jak narzeczony. - Katia wzruszyła ramionami. - Dlaczego miałby się podobać mnie? To Eli powinien się podobać.

- Ale czy w jego towarzystwie czuje się pani dobrze, czy tak samo jak w towarzystwie rodziców Eli?

- W jego towarzystwie nijak się nie czuję.

- Dlaczego?

- Dlatego, że w nim nie bywam.

- Jak to, nawet pani nie zna Walerija?

- Owszem, znam.

- Jak pani sądzi, co to za człowiek?

Znowu nic niemówiące wzruszenie ramionami.

- A czemu pan o to pyta mnie? Proszę spytać Eli, ona go lepiej zna.

- Spytam - zapewnił Katię Korotkow. - Ale chciałbym usłyszeć pani opinię.

- Nie mam o nim zdania. Juriju Wiktorowiczu, proszę, rozmawiajmy o Eli, a nie o jej narzeczonym.

- To dla pani nieprzyjemny temat?

- Ależ nie, po prostu o Eli wiem wszystko, a o nim nic nie mogę powiedzieć.

- Katiu, czy słyszała pani, dlaczego ślub się nie odbył?

- Ela mówiła, że zastrzelono w urzędzie jakąś dziewczynę...

- A wspominała pani o liście?

- Tak.

- I jak się pani wydaje, czy była nim bardzo przestraszona?

- Bardzo.

- Czy po przeczytaniu listu nie przyszła jej do głowy myśl, żeby odwołać ślub z Turbinem?

- Przecież następnego dnia pojechała do urzędu...

- Ale to było następnego dnia. A w piątek, od razu po otrzymaniu listu?

- Nie wiem. Po otrzymaniu listu w piątek do mnie nie dzwoniła. Dowiedziałam się o nim dopiero w niedzielę wieczorem. Ale myślę, że mamuńcia Eli wykorzystała okazję i zrobiła córce pranie mózgu. Tamili Szałwownie Turbin się nie podoba. Na pewno jest bardzo zadowolona, że się nie pobrali.

- A co Tamila Szałwowna ma przeciwko niemu?

- Nie wiem, proszę ją o to zapytać. Po prostu Elka zawsze strasznie się przejmowała tym, że matka nie akceptuje jej wyboru.

- Przejmowała się, ale mimo to zdecydowała się wyjść za Turbina - zauważył Korotkow.

- Jest bardzo zakochana. Obejdzie się bez matczynego błogosławieństwa.

- Katiu, jak pani myśli, kto mógł napisać do Eleny list z pogrózkami?

- Nie wiem.  
- Nie ma pani żadnych przypuszczeń w tej sprawie?  
- Cóż... Mogła to zrobić sama Tamila Szałwowna, stać ją na to.

- Ach tak? To ciekawe. Pani podejrzenie jest czysto intuicyjne czy też oparte na jakichś konkretnych faktach?

- Nie znam żadnych faktów. Po prostu wiem: jeśli trzeba, Tamila Szałwowna gotowa iść po trupach, żeby dopiąć swego.

- A trzeba?

- Nie mam pojęcia. Może nie chce, żeby Walera wszedł do ich rodziny. Wie pan, wory pieniędzy zawsze stanowią zaporę pomiędzy klanem bogaczy a obcymi, zwłaszcza biedakami. Tamila i Istvan to przecież para snobów, jakich świat nie widział.

Walera... Biedak... Ciekawe. Zwłaszcza że mowa o człowieku, w którego towarzystwie Katia rzekomo nie przebywa. Jakoś zbyt często powtarza „nie wiem”, chociaż powinna wiedzieć. Rodzinę Bartosów zna przecież od lat. Dziwna dziewczyna z tej Kati.

Głos Antona Szewcowa w słuchawce zupełnie nie przypominał głosu tamtego energicznego młodego człowieka, który tak przekonująco namawiał Nastię, by pozwoliła się sfotografować na ganku urzędu. Chłopak mówił bardzo cicho, połykając słowa i robiąc między nimi długie przerwy.

- Co panu dolega, Anton? - spytała Nastia. - Jest pan chory?

- Wie pani, jakoś się rozkleiłem... Serce mi nawala. Miewam czasem takie zapaści.

- Coś podobnego - powiedziała Nastia ze współczuciem - w pana wieku...

- Zdarzało mi się to już w dzieciństwie. Wiadomo, jak to jest. Człowiek lata, biega, nie śpi po nocach, no i potem łapie go straszna zadyszka, robi się słaby. Ledwie dojdę do kuchni i już muszę odpoczywać. Potem wstanę, zapalę gaz i znowu

siadam. Nalewam wody do czajnika... Kiedyś sprawdziłem, jak długo trwa wstanie z tapczanu i postawienie wody na gazie. Cała ta operacja zabiera mi czterdzieści minut...

- Wiem, jak to jest. Mnie się to też przytrafiło. Bardzo panu współczuję. Cóż, w takim razie nie będę panu zawracała głowy. Życzę zdrowia.

- A o co chodzi?

- Interesuje mnie jedna z pańskich fotografii, ale skoro jest pan chory... To może poczekać.

- Która konkretnie?

- Jest na niej kobieta, która zaraz po zabójstwie zdażyła wyjść z budynku. Nie ma jej nazwiska na liście sporządzonej przez naszych funkcjonariuszy. Pomyślałam, że może pan ją sobie przypomni. Ma pan te zdjęcia w domu?

- Nie, robiłem je w laboratorium, pojedyncze odbitki, żeby było szybciej. A pani będzie teraz prowadziła tę sprawę?

- Niezupełnie... Widzi pan, od dzisiaj jestem na urlopie. Tak że mój udział w wykrywaniu tych zabójstw będzie czysto formalny. Wystąpię w charakterze detektywa amatora.

- Powiedziała pani „zabójstw”... - Anton znów stracił oddech; Nastia słyszała, jak ciężko dyszy. - A co, jest ich kilka?

- Dwa. Tego samego dnia, dwie godziny wcześniej, w innym urzędzie również zastrzelono dziewczynę. Dlatego tak mnie interesuje ta tajemnicza nieznajoma. Właściwie chciałam poprosić o negatyw, żeby sporządzić kilka odbitek. Ale to nic ważnego, można zrobić kopie z fotografii. Negatyw też pan ma w laboratorium?

- Tak. Gdybym wiedział... Wziąłbym go ze sobą... W sobotę strasznie się śpieszyłem, ledwie wysuszyłem odbitki i poleciałem. Czekał na mnie pani kolega, Jurij.

- Dziękuję, Anton. Przepraszam, że pana niepokoiłam. Niech się pan kuruje, życzę zdrowia.

Nastia odłożyła słuchawkę i odchyliła się na oparcie fotela. Po raz nie wiadomo już który zauważyła, że jej miejsce pracy, gabinet, staje się zupełnie inne, kiedy ona jest na urlopie. Niby te same ściany, okno, biurko, aparat telefo-

niczny, sejf, a jednak, kiedy człowiek znajdzie się tu poza służbowo, ma jakieś dziwne uczucie obcości.

Oczywiście, Anastazja nie wytrzymała i pobiegła do firmy. Loszka tylko parsknął cichym śmiechem, kiedy rano powiedziała mu nieśmiało, że chciałaby pojechać na Pietrowkę.

- Jedź, jedź. A ja z czystym sumieniem popracuję na twoim komputerze. Widzę przecież, że nie możesz usiedzieć na miejscu. Zresztą i tak nie dadzą ci spokoju, Korotkow czuje się bez ciebie jak bez ręki.

W przeciwieństwie do Czistiakowa Gordiejew nie był zachwycony, widząc Nastię w pracy.

- Naucz się wyłączać - burknął, gdy natknął się na nią w korytarzu. - Nie jesteś strażą pożarną.

Nastia już chciała się na niego obrazić, ale rozmyśliła się. I bez tego miała dość spraw na głowie.

A więc dwa absolutnie identyczne zabójstwa, dokonane w odstępie dwóch godzin. Ktoś zabił te młode kobiety w damskiej toalecie wystrzałem z pistoletu TT, kaliber 7,62 mm. Broń była najprawdopodobniej z tłumikiem, gdyż w obu wypadkach nikt nic nie słyszał. Przestępca wybierał moment, kiedy każda z dziewczyn zostawała w toalecie sama, i strzelał z odległości mniej więcej 1,3 - 1,5 metra. Miał dość zimnej krwi, by za każdym razem wejść i wyjść z toalety, przez nikogo niezauważony, innymi słowy, zaczekać na moment, kiedy na korytarzu będzie pusto. To wcale nie takie łatwe, ale jemu się udało. A może nie jemu, tylko jej? Czy mężczyzna może wejść niepostrzeżenie do damskiej toalety i tak samo z niej wyjść? I tu rodzi się następna refleksja: żeby wybrać ów dogodny moment, trzeba cały czas obserwować miejsce, w którym wszystko ma się rozegrać. To znaczy, że zabójca musiał się znajdować gdzieś w pobliżu ślepego korytarzyka, na który wychodzą drzwi toalety. Bardzo możliwe, że strzelała kobieta. Dlatego należy jak najszybciej ustalić tożsamość starszej pani ze zdjęcia zrobionego przez Antona Szewcowa.

Nastia jeszcze raz przeczytała kopie protokołów z oględzin miejsca zajścia. Możliwe, że jej analiza zdarzeń nie jest zbyt ścisła. Położenie zwłok wskazywało na to, że zabójca mógł strzelić, stojąc w drzwiach, od progu. Budynki obu urzędów były typowe i toalety usytuowano dokładnie w tym samym miejscu. Prowadziły do nich drzwi, za którymi znajdował się wspólny, przestronny przedsionek - palarnia, i dopiero stamtąd wchodziło się do dwóch oddzielnych części - męskiej i damskiej. Dziewczyna wychodzi z toalety do palarni, widzi, jak z przeciwka idzie w jej stronę mężczyzna, jest zaniepokojona tą sytuacją, cofa się... jeden krok, drugi... już jest z powrotem w damskiej toalecie, mężczyzna też dochodzi do drzwi, staje w progu i oddaje strzał. Mogło tak być? Oczywiście. Pod warunkiem, że nikt akurat nie korzystał z palarni. Ale w takim razie wcale nie musiała to być kobieta. Jest równie prawdopodobne, że zabójstwa dokonał mężczyzna.

Czy dziewczyna przestraszy się na widok mężczyzny kierującego się do damskiej toalety? Może się nie przestraszy, ale na pewno spieszy. A jeśli zmierza w jej stronę kobieta? To sytuacja zupełnie normalna. Nie ma powodu się cofać. Jedna wchodzi, druga wychodzi, niby nic nadzwyczajnego. A gdyby tak była to kobieta, która w żadnym wypadku nie powinna się w tym miejscu znaleźć? Której dziewczyna nie spodziewała się tu zobaczyć? Albo gdyby miała twarz wykrzywioną grymasem wściekłości i szaleństwo w oczach? Wtedy dziewczyna mogłaby się odruchowo cofnąć. Zwłaszcza gdyby zobaczyła w jej ręce pistolet. Zresztą pistolet w ręce mężczyzny również nie wróży nic dobrego. A więc wracamy do punktu wyjścia: albo kobieta, albo mężczyzna.

Dalej: listy. Przy założeniu, że celem przestępcy było nie dopuścić za wszelką cenę do zawarcia małżeństwa przez, dajmy na to, Elenę Bartos i Walerija Turbina, można przyjąć następujący tok rozumowania: dziewczyna w wigilię ślubu otrzymuje list z pogroźkami, a jeśli to nie zniechęci jej wystarczająco do wstąpienia w związek małżeński, należy się



posunąć do zabójstwa w urzędzie stanu cywilnego, co całkowicie udaremni planowy przebieg kolejnych ceremonii. Żeby się jednak zdecydować na tak krwawe rozwiązanie, trzeba bardzo wiele postawić na jedną kartę. Jest natomiast zupełnie nieistotne, którą z młodych kobiet się zabije. Ofiarą będzie ta, która w odpowiedniej chwili akurat znajdzie się w toalecie. Grunt to zakłócić tok udzielania ślubów. Ale dlaczego? Po co? Komu mogło na tym zależeć?

I czemu dokładnie taki sam list przysłano jej, Nasti? Nikomu z pewnością nie zależało na tym, by nie dopuścić do jej małżeństwa. W każdym razie jej nic na ten temat nie wiadomo. Nie wchodzili w grę ani zazdrośni wielbiciele, ani porzucone przez Czistiakowa kobiety, ani zawiedzeni spadkobiercy. A więc list do niej był elementem obmyślnego wcześniej kamuflażu. Gdyby małżeństwo Eleny Bartos i Turbina nie doszło do skutku z powodu otrzymanego przez dziewczynę listu, list do Nasti zostałby potraktowany jako czyjś złośliwy żart i szybko zapomniany. Gdyby natomiast trzeba było sięgnąć do środków ostatecznych, żeby nie dopuścić do zawarcia małżeństwa przez Elenę i Walerija, to drugi list i drugie zabójstwo narobiłyby kompletnego zamieszania w śledztwie. Żeby jednak coś podobnego obmyślić i zrealizować, trzeba być prawdziwym potworem. Zabić dwie młode dziewczyny w dzień ślubu wyłącznie w tym celu, by przeszkodzić małżeństwu trzeciej? To się w głowie nie mieści...

Nastia już miała wyjść, kiedy zadzwonił Korotkow.

- Posiedzisz jeszcze trochę w pracy? - zapytał.
- Właśnie się zbieram do domu. Już dziewiąta.
- Wobec tego złapię cię gdzieś po drodze. Musimy pogadać.

Spotkali się w metrze, w pół drogi do domu Nasti.

- Odprowadzę cię - powiedział Korotkow. - Chciałbym z tobą pogadać.

-Tak?

- Chodzi o najbliższą i jedyną przyjaciółkę Eleny Bartos, niejaką Jekatierinę Gołowanową. Widzisz, zastanowiło mnie, dlaczego dziewczyna nie wybrała się na ślub i czemu Elena nie poprosiła jej na świadka. Podkreślam jeszcze raz, że Gołowanowa to jedyna przyjaciółka Bartos.

- I czego się dowiedziałeś?

- Samych kłamstw. Kłamstwo na kłamstwie i kłamstwem pogania.

- Brzmi interesująco - zauważyła Nastia. - Mów.

- A więc tak. Nasza Katia udaje, że Walerija Turbina ledwie zna, chociaż studiuje na tej samej uczelni, gdzie doktorant Turbin obecnie pisze pracę. Jasne więc, że Elena nie poznała go w tramwaju ani w kolejce po bilety do teatru, tylko przez Jekatierinę. W dodatku podczas naszej rozmowy Katia na chwilę przestała się kontrolować i nazwała Turbina Walera, chociaż przedtem oboje nie mówiliśmy o nim inaczej niż „narzeczony Eleny”.

- I jak wytłumaczyła to przejęzyczenie?

- Nie było o tym mowy, udałem, że puściłem je mimo uszu. Na razie niech kłamię, jeszcze nie pora ją przyciskać. Dalej: podczas rozmowy oświadczyła, że czasami lepiej być naiwnym, głupiutkim dziewczątkiem niż dojrzałą, rozsądną osobą. Jak ci się to podoba?

- Sądysz, że miała na myśli Elenę?

- Jestem pewien. Poza tym wyjaśniła swoją nieobecność na ślubie tym, że nie lubi rodziców Eleny. I bardzo nieprzychylnie wypowiadała się o matce swojej przyjaciółki, Tamili Szałwownie. Twierdziła, że ta, jeśli trzeba, gotowa iść po trupach, by dopiąć swego. I że list do Eleny też ona mogła napisać.

- Kto? Matka?

- No. Tak uważa Katia. Że Tamili Szałwownie przyszły zięć się zdecydowanie nie podoba.

- Ale jeżeli rzeczywiście tak jest, dlaczego pozwoliła córce na ślub? Czemu dopuściła, żeby sprawy zaszły tak daleko?

- Okazuje się, że córka wcale jej nie prosiła o zgodę. Tak bardzo pragnęła zostać żoną Turbina, że złożyli papiery w urzędzie, nie zawiadamiając o niczym rodziców, i poinformowali ich o tym dopiero dwa tygodnie temu. I jeszcze jedna ciekawa nowina: początkowo ślub Bartos i Turbina był wyznaczony na trzynastą trzydzieści. Właśnie przed dwoma tygodniami, gdy się o wszystkim dowiedziała, Tamila Szałwowna wybrała się do urzędu, by przełożyć uroczystość na dziesiątą, tak żeby młoda para była pierwsza w kolejce. Bardzo sprytnie, prawda?

- Prawda, Jurka, prawda. - Nastia pokiwała głową. - O dziesiątej w urzędzie jest bardzo mało ludzi. To dogodne warunki do popełnienia przestępstwa.

- No właśnie, mnie też się tak wydaje - podchwycił Korkow. - Ale trudno tu coś przesądzać. Z jednej strony, mamy matkę Eleny, z drugiej pozostaje ta nieznamiona kobieta. Która jest bardziej podejrzana?

- Zapomniałeś o tej dziewczynie, Kati.

- Myślisz?... - Popatrzył na Nastię niepewnie.

- To chyba oczywiste. Dziewczyna najwyraźniej zna Turbina lepiej, niż mówi. W połączeniu z faktem, że nie miała ochoty wybrać się na ślub, stanowi to klasyczny przypadek zazdrości. Turbin wolał ładną i głupiutką, a w dodatku pochodzącą z zamożnej rodziny Elenę niż ją. Czy to nie przykre?

- Jakoś za dużo mamy tych kobiet. Może znajdziemy im do towarzystwa jakiegoś faceta. Na przykład, ojca Eleny.

- A co? On także nie akceptuje Turbina?

- Tego nie wiem, za to jego nie lubi Katia Gołowanowa. O obojgu rodzicach przyjaciółki jest tego samego zdania: to para snobów, którzy za nic nie dopuszczają, by do ich rodzinnego klanu wszedł biedny jak mysz kościelna nieudacznik.

- I właśnie w całym tym uroczym towarzystwie należy szukać nici prowadzących do urzędów stanu. Ten, kto napisał do mnie list, musiał wiedzieć, że wychodzę za męża. I o której godzinie odbędzie się ślub. Inaczej cały plan nie

miałby sensu. Zabójstwo musiało dojść do skutku wtedy, kiedy będę w urzędzie, żeby stworzyć wrażenie, iż sprawca się pomylił. Gdybyśmy obie - ja i ofiara - znalazły się tam w różnym czasie, cały plan spaliłby na panewce. Rozumiesz?

- Stacja Szczełkowska. Koniec trasy. Pociąg kończy bieg, prosimy pasażerów o opuszczenie wagonów - zaskrzeczał megafon tuż nad ich głowami.

Ruchomymi schodami wyjechali na górę i skierowali się w stronę przystanku autobusowego.

- Jak przyjemnie, niedługo przyjdzie lato - rozmarzyła się Nastia. - Nie lubię zimna. Marznę, cały czas mnie trzęsie, żebym nie wiem jak ciepło się ubrała. Powinnam mieszkać gdzieś, gdzie przez cały rok panuje temperatura dwadzieścia dwa stopnie.

- Najlepiej w tropikach, tam na pewno nie zmarzniesz - złośliwie doradził Korotkow. - Jesteś teraz żoną profesora, możesz sobie na to pozwolić.

- Nie, w tropikach jest duszno. Źle to znoszę, moje krąże nie wytrzymuje.

- Cóż, koleżanko, trudno ci dogodzić. Twój autobus.

Począł, aż Nastia razem z tłumem pasażerów wsiądzie do wozu, pomachał jej na pożegnanie i zawrócił do metra.

Sympatyczny, czarnooki Michaił Docenko od rana sterował w kunczewskim urzędzie stanu cywilnego, pokazując pracownikom zdjęcie nieznaną kobietę.

- Zdaje mi się, że ją widziałam - powiedziała z wahaniem młodzieńca urzędniczka z wydziału urodzeń. Wypisywała metryki i wciągała dane do ksiąg.

- Niech pani sobie przypomni, kiedy - zachęcił ją Michaił.

Musiał koniecznie znaleźć kogoś, kto pamięta cokolwiek, choćby jakiś drobiazg, szczegół, który mógłby być punktem wyjścia. Sprawienie, by ten ktoś przypomniał sobie resztę tego, co widział lub słyszał, było już tylko kwestią techniki, którą Misza doskonale opanował.

- Nie pamiętam. - Dziewczyna pokręciła głową.

- A co się pani wydało znajome? Twarz? Oczy? Uczesanie? Może suknia? - wypytywał dalej Docenko.

- Trudno powiedzieć. Słowo daję, nie pamiętam. Po prostu spjrzałam na nią wtedy i pomyślałam: Co ona tu robi?

- To bardzo interesujące - ożywił się Misza. - A czemu pani tak pomyślała?

- Nie wiem. Pamiętam tylko, że pomyślałam. Ale nie wiem dlaczego.

- Dobrze, spróbujmy z innej strony. Kiedy widzi tu pani młodą kobietę w towarzystwie młodego mężczyzny, co pani myśli?

- Że przyszli złożyć papiery w sprawie ślubu lub rozvodu.

- A gdyby to była kobieta z pięcioletnim dzieckiem?

- Że chce załatwić dla niego zmianę nazwiska.

- A w wypadku samotnego starszego mężczyzny?

- Że przyszedł po akt zgonu żony albo któregoś z rodziców. Gramy w dwadzieścia pytań?

- A dlaczego nie? To bardzo fajna gra. - Michaił uśmiechnął się rozbijając. - A jeżeli zobaczy pani zgrzybiałą staruszkę, co pani pomyśli?

- Że zgubiła jakiś ważny dokument i przyszła wyrobić duplikat. Cóż jeszcze mogłaby tu robić? Za męża na pewno się nie wybiera. Na dzieci też trochę za późno. - Dziewczyna roześmiała się.

- A do tamtej kobiety nie dopasowała pani żadnej historyjki? Czemu, na przykład, ona także nie mogła przyjść po świadectwo zgonu?

- Miała taki wyraz twarzy... - Dziewczyna umilkła, szukając właściwego słowa.

-Jaki?

- No... inny. Nie taki, jak u człowieka, który stracił kogoś bliskiego. Akty zgonu wydaje się przecież tylko najbliższej rodzinie. Ich twarze wyglądają zupełnie inaczej.

- A jej twarz jaka była?

- Kamienna. Wie pan, ta kobieta robiła wrażenie absolutnie obojętnej i jak gdyby zwróconej w głąb siebie. Nie zdenerwowanej, nie przybitej, nie radosnej... Wie pan, nasz urząd to bardzo szczególna instytucja. Może się pan nad tym nie zastanawiał, ale tutaj wszystko wiąże się z doniosłymi zmianami w ludzkim życiu. Stąd nazwa: urząd s t a n u cywilnego. Kiedy ten stan się zmienia, każdy trafia do nas. A taka zmiana to zawsze jakieś niecodzienne wydarzenie. Radosne albo smutne, ślub, rozwód, narodziny dziecka, śmierć kogoś bliskiego - ale wydarzenie. Więc dlatego nie widuje się tutaj raczej spokojnych, obojętnych twarzy. Rozumie pan? A ta kobieta... Zresztą po co to mówię, sam pan widzi, na zdjęciu właśnie tak wygląda.

Dziewczyna miała rację. Twarz na fotografii była jakby nieobecna, a jednocześnie znieruchomiała, zastygła w wyrazie dziwnego napięcia. W ciągu lat swojej służby wywiadowczej Michaił nie raz widywał takie twarze. Zwykle u ludzi chorych psychicznie.

Nastia wchodziła do domu z niepokojem, spodziewając się zastać śmiertelnie obrażonego Czistiakowa, nastawiona na to, że będzie musiała się tłumaczyć i usprawiedliwiać. Ku ogromnej uldze Anastazji Losza ani myślał robić jej wymówek, że zamiast się cieszyć miodowym miesiącem, znowu pograżyła się w pracy. Śmieszne zresztą byłoby mówić o jakimś miodowym miesiącu po piętnastu latach bycia razem.

Aleksiej siedział w kuchni i układał pasjansa zwanego Grób Napoleona. Na kuchence stały patelnie, a spod pokrywek wydobywały się upajające wonie.

- Co tak pachnie? - zapytała Nastia wesoło, wyciągając rękę, żeby zdjąć pokrywkę.

Losza odwrócił się i żartobliwie trzepnął ją po dłoni.

- Nie dotykaj brudnymi łapami. To nie dla ciekawskich.

- A dla kogo?

- Dla grzecznych dziewczynek, które siedzą w domu i piorą mężowi koszule jak Pan Bóg przykazał.

- To co mam zrobić, umrzeć z głodu? Jestem już stara, nie przerobisz mnie na grzeczną dziewczynkę, za późno. Jak to się mówi, wiedziały gały, co brały. Nie trzeba było się ze mną żenić.

- Jak to nie? Zastanów się nad głębokim sensem mojego genialnego planu: najpierw latami wyrabiać w tobie nawyk nierobienia zakupów i niegotowania, no bo przecież zawsze możesz liczyć na mnie, a następnie zwabić cię do ołtarza, po czym przestać żywić. Wtedy ty umierasz z głodu, a ja zostaję twoim spadkobiercą. I wszystko to jest moje. - Tu wykonał zamaszysty gest. - Dziedziczę pokój z kuchnią w Moskwie i przywożę tu młodą żonę, która będzie właśnie grzeczną dziewczynką. A mieszkanie w Żukowskim zostawiam rodzicom. No? Czy nie sprytny ze mnie gość? A ty mówisz, że nie trzeba było się żenić. Zostaw to w tej chwili! - zakrzyknął groźnie, widząc, jak Nastia, słuchając go, szybko uniosła pokrywkę i chwyciła z patelni apetyczny, rumiany kawałek cielęciny. - Natychmiast odłóż mięso na miejsce!

- Za późno - wybełkotała z pełnymi ustami. - Już je jem! Dobrze, dobrze, układaj dalej swego pasjansa, grzeb Napoleona. Mojej śmierci na pewno się nie doczekasz. Też mi coś, profesor żonobójca!

Czistiakow wybuchnął śmiechem, jednym ruchem zmieszał rozłożone na stole karty i szybko uporządkował talię.

- Idź umyj ręce, złodziejaszku, i siadamy do kolacji. Wyobraź sobie, że udało mi się dziś napisać cały rozdział podręcznika. A ty czym się możesz pochwalić po dniu spędzonym w pracy?

- Niewiele tego. Właściwie żadnych konkretów - odparła z westchnieniem Nastia. - Głównie myślałam. Ale mogę cię uspokoić: nic mi nie grozi. To, że miałam zostać ofiarą, było czystym przypadkiem.

Umyła ręce, włożyła szlafrok i usiadła przy nakrytym stole. Na kolację Aleksiej przygotował cielęcinę i kalafior, polany masłem z przyrumienioną tartą bułką, co Nastia bardzo

lubiła. Zmiotła wszystko w takim tempie, jakby tydzień nie jadła.

- Dołożyć ci? - spytał Czistiakow, z uśmiechem spoglądając na jej pusty talerz.

- Oj, nie! - jęknęła. - Przejrzałam twój plan. Nie umrę z głodu, tylko z obżarstwa. Nikomu nie udaje się wepchnąć we mnie takich ilości jedzenia, jak tobie. Za rok będę tak wielka i gruba, że nie zmieszczę się w drzwi.

Nalała sobie kawy, ale nie zdążyła upić dwóch łyków, kiedy zadzwonił telefon.

- Mam dla ciebie radosną nowinę - usłyszała w słuchawce głos Nikołaja Siełujanowa, kolegi z wydziału. - Przed chwilą otrzymaliśmy cynk z redakcji „Wiadomości Kryminalnych”. Ktoś się włamał do laboratorium fotograficznego.

- Co zginęło?

- Na razie trudno powiedzieć. Na pierwszy rzut oka aparatury nie ruszono. A jeśli chodzi o negatywy i odbitki, wątpię, żeby ktoś się w tym połapał. Żadnej ewidencji, jak sama rozumiesz, nie ma, cały ten kram trzymają w otwartych szufladach i szafach, które się nie zamykają. Trzeba będzie wezwać wszystkich fotografów, żeby każdy się rozejrzył po swoim gospodarstwie.

- Pierwszego ściągnij Szewcowa - szybko powiedziała Nastia. - Jeżeli jego klisze nie zostały skradzione, spokojnie możesz przekazać tę sprawę sekcji Grigoriana. To ich działka. Jeśli natomiast zginęły negatywy Szewcowa, my się zajmemy tym włamaniami.

- Mądrała z ciebie - burknął Siełujanow. - Już dzwoniłem do twojego Szewcowa, jest chory, ledwo łązi. Jak mogę go zmusić, żeby tu przyjechał? Mam faceta przynieść na rękach, czy co? Oczywiście zdenerwował się, chciał zaraz przyjść, ale słyszałem, jak dyszał, nawet mówi z trudem. Siądzie za kółkiem, zasłabnie w czasie jazdy i jeszcze się na coś, nie daj Boże, włada. Najpierw chciałem sam po niego podjechać, ale potem myślę sobie, jakoś głupio. Człowiek jest chory, a my na siłę wyciągamy go z domu. Dobra, sprawa



może poczekać do jutra, rano Szewcow pewnie lepiej się poczuje.

- Kola, jesteś jak dziecko, słowo daję! Ściągnij tam kogoś, kto widział zdjęcia Szewcowa i może stwierdzić, czy negatywy są, czy ich nie ma. Nic prostszego.

- Aha - mruknął Siełujanow - sam na to wpadłem. Komplet zdjęć widziały trzy osoby. Jedna to sam Szewcow, druga - Korotkow, którego gdzieś nosi, nie ma go ani w domu, ani w pracy. Domyślasz się może, kto jest tą trzecią?

- Kola, Czistiakow tego nie wytrzyma. I tak nie było mnie dzisiaj cały dzień w domu, a od ślubu minęły zaledwie dwa dni. Nie mogę nadużywać jego cierpliwości. Znajdź Korotkowa, dobrze?

- A skąd ja ci go wytrzasnę? Zresztą jeżeli nawet za godzinę zjawi się w domu, będzie dwunasta w nocy. Myślisz, że rodzina się ucieszy, że ledwie przyszedł, zaraz znowu wychodzi? Nie rozśmieszaj mnie. Twój Czistiakow to przynajmniej normalny człowiek, a żona Jurki? Zapomniałaś już, co to za jędza? Baba zatruje mu życie. Krótko mówiąc, decyduj: albo przyjeżdżasz, albo czekamy z tym do jutra.

- Zaraz, nie odkładaj słuchawki, muszę pogadać z Loszką.

Zasłoniła mikrofon i niepewnie popatrzyła na męża, który najspokojniej pił herbatę, zagryzając keksem, i choć niczym się nie zdradzał, doskonale rozumiał, o czym mowa.

- Loszka, musimy gdzieś pojechać.

- Razem? - zainteresował się, odgryzając kolejny kęs ciasta.

- Tak, razem. Ktoś się włamał do laboratorium fotograficznego „Wiadomości Kryminalnych”, gdzie pracuje Szewcow. On sam jest chory, to coś z sercem. Trzeba pilnie sprawdzić, czy nie zginęły negatywy zdjęć, które robił w urzędzie. Oprócz nas nikt nie może tego zrobić. Tylko my widzieliśmy cały komplet odbitek. To te, które wczoraj przywiózł Korotkow.

- Cóż robić? - filozoficznie zauważył Czistiakow. - Jak trzeba, to trzeba. Pojedziemy. I z łaski swojej, nie rób ze

mnie domowego tyrana, bo w oczach twoich kolegów chyba kimś takim właśnie jestem.

- Dziękuję ci, słoneczko. - Nastia uśmiechnęła się. Co za ulga.

Czterdzieści minut później wchodzili do budynku, w którym mieściła się redakcja „Wiadomości Kryminalnych”. A po półtorej godzinie było już wiadomo, że ostatnich negatywów Szewcowa nie ma w laboratorium.

## ROZDZIAŁ 5

Grupa złożona z oficerów operacyjnych z Kuncewa i Pietrowki rozdzieliła się. Jedna jej część pracowała nad wersją, że prawdziwą ofiarą przestępstwa była Galina Kartaszowa, zastrzelona w izmajłowskim urzędzie stanu cywilnego, druga zajęła się zabiłą w Kuncewie Swietłaną Żuk.

Pogrzeby obu dziewcząt odbyły się tego samego dnia, w środę, 17 maja. Obserwacja ceremonii żałobnych nie zawocowała żadnymi nowymi informacjami, utwierdziła jedynie funkcjonariuszy w przekonaniu, że nawet najprzyzwoitszy pod słońcem człowiek może mieć wrogów, których istnienia nie podejrzewa. Pracownicy operacyjni szli w kondukcie żałobnym, czujnie łowiąc dobiegające ich uszu pojedyncze, oderwane zdania.

- Gdyby Gala nie rzuciła Igora, na pewno by do tego nie doszło...

- Czułam, że znajomość z tym chłopakiem nie wyjdzie jej na dobre...

- Swietoczka nie musiała być tak ślepo posłuszna jego rodzicom. To oni się uparli, żeby ślub był w maju. Mówiłam, że lepiej poczekać do jesieni.

- Ja po prostu czuję, coś mi mówi, że to Edik. Zawsze wiedziałam, że się z tym nie pogodził, nie chciał w to uwierzyć, kiedy z nim zerwała...

Trzeba było odnaleźć wszystkich tych Igorów i Edików, a także wyjaśnić, dlaczego znajomość z „tym chłopakiem” nie mogła wyjść na dobre... Słowem, długa, żmudna, męcząca praca, a czy na cokolwiek się zda - to jeszcze wielki znak zapytania.

Matka Walerija Turbina powitała Korotkowa niezycliwie. Otworzyła mu drzwi, sucho poprosiła go do pokoju i usiadła naprzeciw, przewiercając gościa małymi, złymi oczkami.

- Tak, jestem zadowolona, że ślub się nie odbył - oświadczyła, patrząc Jurijowi w twarz.

- Ale dlaczego, Weroniko Matwiejewno? Elena się pani nie podoba?

- Nie mam nic przeciwko Eli, to miła dziewczyna. Po prostu uważam, że mój syn nie powinien się na razie żenić. Nie potrafi jeszcze być dobrym mężem ani samodzielnie utrzymać rodziny.

- Ależ Walerij ma dwadzieścia siedem lat. Uważa pani, że jest za młody, by założyć rodzinę? - całkiem szczerze zdziwił się Korotkow, który sam ożenił się zaraz po skończeniu szkoły milicyjnej, w wieku dwudziestu jeden lat.

Reakcja Weroniki Matwiejewny na tę niewinną uwagę speszyła go. Kobieta zamilkła i odwróciła wzrok. Jurij zaczął się gorączkowo zastanawiać, czym mógł obrazić swoją rozmówczynię, co powiedział nie tak. Trzeba było za wszelką cenę ratować sytuację. Nagle przyszło mu do głowy, że jak na matkę dwudziestosiedmioletniego mężczyzny Weronika Matwiejewna jest trochę za stara. Ma co najmniej siedemdziesiąt lat. Urodziła go w czterdziestym trzecim roku życia? Rzadko się to zdarza, jeśli w ogóle...

- Walerij jest pani jedynym synem?

Kobieta zbladła tak, że jej pociągnięte czerwona szminką usta wydawały się teraz prawie czarne w ziemistoszarej twarzy.

- Przyszedł pan, żeby porozmawiać o ślubie, który nie doszedł do skutku, czy o mojej rodzinie? - zapytała podniesionym głosem, który zdradzał jednak napięcie i strach.

- Pomyślałem po prostu, że może pani niechętny stosunek do małżeństwa syna ma źródło w tym, że inne pani dzieci nie są szczęśliwe w swoich związkach. Nie jest tak?

- Nie - ucięła ostro Weronika Matwiejewna. - Nie mam innych dzieci. Walerij to mój jedyny syn.

- Proszę mi opowiedzieć o jego ojcu - poprosił Korotkow i natychmiast się zorientował, że trafił w bolesny punkt.

Twarz kobiety wykrzywił niemal konwulsyjny grymas, palce pomarszczonych rąk splotły się tak mocno, że zdawało się, iż nie zdoła ich rozerwać żadna siła, w małych, ciemnych oczkach zapłonęła nienawiść.

- Nie zamierzam wdawać się z panem w pogawędkę o człowieku, który był ojcem Walerija, zwłaszcza że już od dawna nie żyje.

Rozmowa nie kleiła się, wciąż utykając na jakichś niewidocznych przeszkodach. Korotkow zaczął się denerwować. Matka Turbina najwyraźniej coś ukrywa, ale czy ma to związek z dwoma zabójstwami i czy jest sens zmuszać kobietę do mówienia, nie wiadomo.

Rozejrzał się, usiłując wychwycić wzrokiem jakieś szczegóły urządzenia i ogólnej atmosfery mieszkania, które mogłyby posłużyć jako punkt zaczepienia do dalszej rozmowy, sprowadzając ją na bezpieczniejsze tory, a zarazem czyniąc bardziej efektywną. Już na pierwszy rzut oka było widać, że mieszkają tu ludzie niezamożni. Umeblowanie składało się jedynie z najniezbędniejszych sprzętów; zgromadzono wprawdzie sporo książek, ale Jurij od razu się zorientował, że to wydania z czasów „normalnych” cen. Egzemplarzy w jaskrawych, twardych oprawach, ozdobionych tłoczonymi, złotymi napisami, w ogóle nie było. Na parapecie stał samotnie stareńki, czarno-biały przenośny telewizor, od którego odchodził i nikał w uchylonym lufciku kawałek drutu - dorobiona domowym sposobem antena.

Korotkow wyjął chustkę do nosa i zaczął trzeć dłoni, krzywiąc się z niezadowoleniem.

- Czy mógłbym umyć ręce? - zapytał w końcu z przeproszącym uśmiechem, podnosząc się z krzesła.

Weronika Matwiejewna również wstała i w milczeniu zaprowadziła go do łazienki. Jura odkręcił kran i z przesadną starannością zaczął mydlić ręce, rejestrując jednocześnie wzrokiem pęknięte lustro nad umywalką i taniutką maszynkę do golenia Iskra sprzed dziesięciu lat, która kosztowała wtedy, jeśli dobrze pamiętał, dwa ruble trzydzieści kopiejek. Walerij miał wówczas siedemnaście lat i pewnie była to jego pierwsza golarka, której używał do dzisiaj. Kafelki w niektórych miejscach odpadły, emaliowaną powierzchnię wanny pokrywały rdzawe plamy i zacieki. Od razu było widać, że mieszkania od wielu lat nie remontowano.

- Dawno tu państwo mieszkają? - zapytał jakby mimochodem, osuszając ręce cienkim, spranym ręcznikiem.

- Trochę dłużej niż rok.

- A przedtem?

- Przedtem mieszkaliśmy w Marjinej Roszczy.

Dziwne, pomyślał Korotkow, Marjina Roszcza to niezła dzielnica, blisko stamtąd do prospektu Pokoju, jest dobra komunikacja, duże sklepy. Po co było się przenosić do tych ciasnych slumsów bez windy, w zadymionym, przemysłowym rejonie miasta?

Bez powodzenia mordował się z Weroniką Matwiejewną jeszcze godzinę; usiłował „wymacać” temat, na który można byłoby z nią porozmawiać, nie wywołując ostrej, negatywnej reakcji i uzyskując jednocześnie garść pożytecznych informacji. Weronika Matwiejewna okazała się jednak trudną rozmówczynią i Korotkowowi nie udało się jej podejść.

- Nie wie pani, kiedy Walerij i Ela powtórnie zamierzają stanąć na ślubnym kobiercu?

- Nigdy - wyskandowała dobitnie kobieta, obrzucając Korotkova pełnym złości spojrzeniem.

- Jak to należy rozumieć?

- Dosłownie. Nie dopuszczę do tego, żeby mój syn się ożenił. W każdym razie dopóki ja żyję, to się nie stanie. Spodziewam się zresztą, że po mojej śmierci również.

Korotkowowi znudziła się rola układowego dyplomaty, który sam czuje się skrępowany tym, co robi. Uświadomił sobie, że cały czas miał wzgląd na wiek Weroniki Matwiejewny; wydawało mu się rzeczą niedopuszczalną rozmawiać w zwykłym, szorstkim tonie z siedemdziesięcioletnią kobietą. Ale przecież zginęły dwie młode dziewczyny, a dwie inne - z których jedna była narzeczoną jej syna - otrzymały listy z pogrózkami...

- Weroniko Matwiejewno - powiedział ostro, znowu wchodząc do pokoju - z pewnością nie zdaje sobie pani sprawy z powagi sytuacji. Dokonano dwóch ciężkich przestępstw. Ponadto mamy podstawy sądzić, że jest ktoś, komu bardzo zależy na tym, by nie doszło do zawarcia małżeństwa pani syna z Eleną Bartos. Słowa, które kilkakrotnie padły z pani ust w czasie naszej rozmowy, skłaniają mnie do opinii, że ta osoba to właśnie pani. Dlatego nalegam, by pani przestała mnie zbywać ogólnikami, lecz wreszcie przeszła do sedna. Proszę pamiętać, że nie wyjdę stąd dopóty, dopóki, po pierwsze, nie zrozumieję, dlaczego pani nie chce, żeby syn ożenił się z Eleną, a po drugie, dopóki pani mnie nie przekona, że nie ma nic wspólnego z tymi listami. Czy wyraziłem się jasno?

Wygłosiwszy tę groźną tyradę, Korotkow demonstracyjnie zasiadł przy stole, złożył przed sobą ręce i zaczął się badawczo wpatrywać w kobietę. Twarz Weroniki Matwiejewny przybrała barwę popiołu. Staruszka usiłowała przyjąć pełną godności postawę, prostując swą drobną, niewysoką postać, ale tylko bezsilnie oparła się o ścianę. Korotkow widział, jak drżą jej ręce.

- Nie ma pan prawa - zaprotestowała rwącym się głosem.  
- Jestem starą, schorowaną, siedemdziesięcioletnią kobietą, a pan wtargnął do mojego mieszkania i żąda ode mnie odpowiedzi na pytania o sprawy, których nie mam ochoty

z nikim roztrząsać. Powinien pan się wstydzić. Wykorzystuje pan przewagę swojej młodości i siły, żeby zmusić mnie do złożenia zeznań. Nie będę z panem rozmawiała.

Odwróciła się i wyszła do drugiego pokoju, zostawiając Korotkowa samego. Takiego obrotu sprawy się nie spodziewał, ale po chwili zaskoczenia zebrał myśli, wstał zdecydowanie i skierował się do przedpokoju.

- Weroniko Matwiejewno - powiedział głośno, stojąc pod drzwiami do małego pokoju - wychodzę, proszę za mną zamknąć. Bardzo żałuję, że nie udało nam się porozmawiać, ale szczerze mówiąc, sama pani jest winna. Może następne spotkanie okaże się bardziej owocne.

Szczęknął zasuwa, otworzył drzwi i wyszedł na klatkę schodową. Na ulicy rozejrzał się w poszukiwaniu dwóch niezbędnych mu w tej chwili miejsc - budki telefonicznej oraz stanowiska, z którego mógłby wygodnie obserwować wejście do klatki. Telefon znalazł dość szybko, zadzwonił i uzyskał zapewnienie, że w ciągu dwóch godzin otrzyma informację, dlaczego Turbinowie rok temu przeprowadzili się do nieodnowionego mieszkania w fatalnej pod względem ekologicznym dzielnicy. Następnie zajął punkt obserwacyjny, z którego dobrze widoczny był budynek, w którym mieszkali Turbinowie. Nigdy jeszcze nie miał do czynienia z siedemdziesięcioletnią podejrzaną, trudno mu było przewidzieć, jak kobieta się zachowa, więc nastawił się na długie oczekiwanie. Wcześniej czy później coś się przecież zdarzy.

Aleksander Kamiński potraktował prośbę siostry bardzo poważnie.

- Oczywiście, że znam firmę Modry Dunaj - powiedział. - Z Bartosem też widywałem się nieraz w różnych sprawach bankowych. Wyznacz mi konkretne zadanie, a ja postaram się dowiedzieć tego, co trzeba.

Po przyjsciu do pracy przejrzał przede wszystkim tak zwaną niezobowiązującą pocztę - ulotki reklamowe, zapro-

szczenia na prezentacje i inne tego rodzaju pisma. W różnokolorowym chaosie lśniących kartoników szybko znalazł to, czego szukał - Intermed zapraszał pracowników jego banku na wystawę nowych urządzeń i środków do pielęgnacji chorych. Wśród wystawców - dziesięciu różnych firm - znajdował się również Modry Dunaj. Znaczyło to, że na wystawie będą obecni jego przedstawiciele.

Zadzwoił do domu, doznając nieporównywalnego z niczym uczucia radosnej satysfakcji, gdy wybierał numer, do którego palce jeszcze nie przywykły, a zarazem wiedział, że za chwilę usłyszy głos kochającej kobiety, przyszłej matki jego dziecka.

- Daniu, jak się czujesz? - zapytał troskliwie.

- Świetnie - powiedziała Daria wesoło. - Tylko strasznie się nudzę. Wracaj jak najprędzej, dobrze?

- Mam propozycję. Muszę wpaść na wystawę sprzętu przeznaczonego do opieki nad obłożnie chorymi. I przyszło mi do głowy, żeby zabrać cię ze sobą. Przecież mniej więcej za miesiąc sama będziesz leżącą pacjentką, więc nie zaszkodzi, jeśli sobie obejrzysz to, co ewentualnie może ci się przydać.

- Ależ Saszeńka, przecież będę leżeć zaledwie kilka dni - ze śmiechem wyjaśniła Dasza. - Poród nie jest chorobą, to zupełnie naturalny dla kobiety stan fizjologiczny.

- Nie sprzeczasz się ze mną, Daniu, moja żona musi mieć wszystko, co najlepsze, nawet jeśli nie będzie to potrzebne dłużej niż przez parę dni. Poza tym muszę poznać ofertę i zorientować się, czy warto inwestować pieniądze w prezentowane towary, więc będę potrzebował rady, a nikt nie doradzi mi lepiej niż ty. Ubieraj się, za pół godziny po ciebie przyjadę.

Przy wejściu na wystawę powitał ich elegancki menedżer w europejskim stylu, o zadbanym, świetnie ostrzyżonych włosach, w malinowej marynarce i śnieżnobiałej koszuli.

- Bank Vega - przedstawił się Aleksander, wręczając mu wizytówkę.



- Zapraszam - rozciągnął wargi w uprzejmym uśmiechu menedżer - radzi jesteśmy państwa widzieć. Przepraszam, czy pani będzie panu towarzyszyć, czy zaprowadzić panią do pokoju wypoczynkowego?

Aleksander zauważył, że menedżer zwrócił uwagę na wyraźnie widoczną ciążę Darii.

- Ta dama jest moją żoną i konsultantką - wyjaśnił chłodno. - Będzie oglądała ofertę handlową razem ze mną.

Dasza oblała się rumieńcem i nieśmiało zerknęła na wymuskanego menedżera, po czym nagle jej twarz rozjaśniła się łobuzerskim uśmiechem i dziewczyna zabawnie zmarszczyła nos.

Menedżer ledwo zauważalnie uśmiechnął się w odpowiedzi i ruszył przodem, zachęcając, by szli za nim.

Powoli przechodzili z sali do sali, zatrzymując się przy każdym stoisku i oglądając krytycznym okiem niezwykle kształtów termofory, gumowe baseny, pojemniki na płyny z podgrzewaczem, tkaniny antybakteryjne, higroskopijne prześcieradła i kołdry. Zainteresowały ich zwłaszcza specjalne meble. Były to przeważnie superlekkie konstrukcje, złożone ze statywów i różnego kształtu płaszczyzn, przeznaczone do spełniania funkcji biurka, szafy, stolika pod telewizor lub komputer, do gry w karty (ze specjalnymi szufladkami na talie i maszynką do tasowania) i tak dalej, i tak dalej. Wszystkie meble były oczywiście na kółkach i można je było bez trudu przesuwac lekkim dotknięciem ręki. Po naciśnięciu guzika natomiast kółka bezpiecznie się blokowały i mebel stawał się absolutnie stabilny.

- O, spójrz, kupię ci coś takiego. - Sasza wskazał na kolejną konstrukcję, przeznaczoną do przewijania noworodków przez matkę, która musi leżeć, nie wolno jej wstawać.

- Ale po co, Saszeńka? Myślisz, że po porodzie będę obłożnie chora? Wcale nie mam tego w planie - zapewniła męża Dasza.

- Daniu, musimy być przewidujący - upomniał żonę Aleksander. - A jeżeli, na przykład, upadniesz, złamiesz nogę

i będziesz leżała w gipsie, a ja do wieczora nie zdołam wyrwać się z pracy? W życiu zdarzają się różne rzeczy. Lepiej, żebyśmy mieli takie urządzenie.

- Powiedz wprost, że ono ci się po prostu podoba! - Dasza roześmiała się.

W końcu dotarli do stoiska firmy Modry Dunaj. Oferta była skromna, ale Aleksander od razu zrozumiał, że za tymi niewieloma towarami stoją ogromne pieniądze, wydane na ich zaprojektowanie, i wielkie zyski. Specjaliści zatrudnieni u Bartosa potrafili opracować aktywne biologicznie tkaniny, których zastosowanie pozwalało rozwiązać dwa podstawowe problemy pacjentów leżących: groźbę zapalenia płuc i powstawanie odleżyn. Każda rodzina, w której jest obłożnie chory, chce mieć bieliznę pościelową z takiego materiału, bez względu na cenę. Finansista Kamieński musiał przyznać, że zainwestowanie kapitału w produkcję tkaniny zdecydowanie się opłaca - przyniesie szybki i duży zysk. Warto wejść w bliższy kontakt z przedstawicielem firmy.

Okazała się nim czarująca młoda kobieta w zielonym jedwabnym kostiumie, skromnie stojąca z boku przy okrągłym niskim stoliku, otoczonym miękkimi fotelami. Uchwyciwszy wzrok Kamieńskiego, uśmiechnęła się i podeszła do gościa.

- W czym mogę pomóc? - zadała sakramentalne pytanie.  
- Mam na imię Tatiana, jestem przedstawicielką firmy na tej wystawie. Modry Dunaj cieszyłby się bardzo ze współpracy z bankiem Vega. Proszę, oto skromny upominek dla pańskiej żony.

Tu Tatiana podała Daszy efektownie opakowany prezent, który jakimś czarodziejskim sposobem nagle znalazł się w jej rękach.

- Czy my się znamy? - zdziwił się Aleksander. Mógłby przysiąc, że widzi młodą kobietę po raz pierwszy.

- Dotychczas się nie spotkaliśmy - Tatiana znów się uśmiechnęła, tym razem nie tylko profesjonalnie, lecz odrobinę figlarnie - ale gdy tylko państwo weszli do budynku,

uprzedzono mnie, że przyszedł Aleksander Kamieński z Vegi z małżonką.

Pokazała ręką gdzieś za siebie i Sasza, skierowawszy spojrzenie w tamtą stronę, zobaczył telefon bezprzewodowy.

- Uprzedzają panią o wszystkich ważniejszych klientach?  
- domyślił się.

- Naturalnie. Nie byłabym wiele warta jako pracownik, gdybym wcześniej się o to nie zatroszczyła. Nawet Rockefellera można przegapić. Skoro chcę przyciągnąć do naszej firmy solidny kapitał, muszę być do tego dobrze przygotowana. Zgodzi się pan ze mną?

Wszyscy troje roześmiali się i usiedli w miękkich fotelach, ustawionych wokół stolika. Tatiana gdzieś zadzwoniła i po chwili przyniesiono im kawę oraz zimne napoje.

- Jak się ma pan Łatyszew? - spytał Aleksander, upiwszy duży łyk soku pomarańczowego z lodem. - Spotkaliśmy się ostatnio bodaj na otwarciu nowego studia filmów reklamowych.

- Wszystko u niego w porządku. Co prawda, przeżywa pewien dramat osobisty, ale sędzę, że i z tym się upora.

- A co się stało?

- Dziewczyna, z którą miał się ożenić, wychodzi za mąż za innego. Banalna historia, nieprawdaż? Pewnie nie ma na świecie mężczyzny, który choć raz nie znalazłby się w podobnej sytuacji. Moim zdaniem, nikt jeszcze od tego nie umarł. - Tatiana wszystko to mówiła z uśmiechem, jakby opowiadała dobry dowcip.

- A kogóż to wołała niewierna oblubienica? Kogoś jeszcze bogatszego? Czy może przystojniejszego?

- O, nie uwierzy pan, ale o ile wiem, jej wybranek pochodzi z zupełnie innego kręgu ludzi.

Kamieński czujnie nadstawił ucha. Marata Łatyszewa, dyrektora handlowego Modrego Dunaju, widział parę razy na różnych spotkaniach biznesowych; facet robił wrażenie bardzo pewnego i zadowolonego z siebie człowieka, dostatecznie sprytnego, by jego interesy kwitły, dostatecznie bez-

względny, żeby dopiąć swego wszelkimi sposobami, i dostatecznie przebiegłego, by się z tym nie afiszować.

- A narzeczona? - zapytał Aleksander, odstawiając na stół szklankę z grubym dnem i wyjmując papierosy. - Warta jest tego, by tak po niej rozpaczać?

- Nie chciałabym uchodzić za plotkarkę - Tatiana zrobiła obłudną minkę - ale ponieważ sądzę, że zna pan pana Łatyszewa wystarczająco dobrze, powiem panu: to córka samego Bartosa. Marat bardzo na nią liczył.

- Co pani mówi! - Dasza aż klasnęła w ręce. Wprawdzie mąż nie wtajemniczył jej w postawione mu przez Nastię zadanie, ale była wystarczająco bystra i domyślna, by się zorientować, o co chodzi. Nie wiedziała nic o drugim zabójstwie ani o Elenie Bartos, która otrzymała dziwny list, ale zrozumiała, że Sasza nie bez powodu zaciągnął ją na tę wystawę i nieprzypadkowo wdał się w rozmowę z ładną Tatianą, na przedstawiciele innych firm w ogóle nie zwracając uwagi. Skoro Sasza stara się pociągnąć ją za język, trzeba mu w tym pomóc. - Jakże to! - Dasza zrobiła okrągłe oczy.

- Marat to wspaniały mężczyzna, i każda dziewczyna powinna być szczęśliwa, mogąc za niego wyjść. - Nigdy w życiu nie widziała Marata, ba, nawet o nim nie słyszała, ale przecież Sasza pytał Tatianę, czy nowy narzeczony Eleny jest jeszcze bogatszy i przystojniejszy. To wystarczyło, by Daria w lot podchwyciła, o co chodzi. A imię Marat, które przypadkiem się Tatianie wymknęło, pozwoliło Daszy tak sformułować zdanie, że rozmówczynie mogła wnioskować, iż żona Aleksandra nie tylko słyszała o Łatyszewie, ale dobrze go zna.

- Cóż, nie darmo się mówi: majowe stadło diabłu pocierało - zauważyła Tatiana. - Do ślubu jednak nie doszło, więc Marat znów nabrał nadziei.

- Ach, to tylko niemądry przesąd - z przekonaniem oświadczyła Dasza, która przechwyciła inicjatywę w tej typowo kobiecej rozmowie, za co mąż był jej niezmiernie wdzięczny.

- My także braliśmy ślub w maju, w dodatku trzynastego,

a na pewno będziemy żyli długo i szczęśliwie. I umrzemy tego samego dnia, tak jak to było u Grina.

Na twarzy Tatiany odbiło się takie zdumienie, jakby ujrzała nagle statek powietrzny z przybyszami z kosmosu.

- Brali państwo ślub trzynastego maja? Zeszłego roku?

- Nie, tego. W ubiegłą sobotę.

- To niemożliwe!

- Ależ dlaczego?

- Dlatego że córka Bartosa miała wyjść za mąż właśnie w ostatnią sobotę. Co za zbieg okoliczności! Pomyśleć tylko!

Rachuby Daszy były proste - i dzięki temu trafiła w sed-  
-o. Istnieje bardzo niewiele spraw, które niezależnie od okoliczności, z zupełnie niezrozumiałych przyczyn, nagle usposabiają ludzi wobec siebie życzliwie i przyjaźnie. Jedną z nich są właśnie przypadki. Będąc akurat w obcym mieście, możesz poznać człowieka, który mieszka w sąsiednim domu, a przypadkowo w tym samym czasie co ty, dzięki pomyślnemu zbiegowi okoliczności, znalazł się również w tym samym miejscu, i serdecznie się z nim zaprzyjaźnić, chociaż dotąd przez wiele lat spotykałeś go codziennie na przystanku autobusowym i nawet nie mówiliście sobie „dzień dobry”. Możesz też w przedziale kolejowym wdać się w pogawędkę z towarzyszem podróży i odkryć, że w różnych latach studiowaliście na tej samej uczelni. Albo że urodziliście się tego samego dnia...

- Powiedziała pani, że do ślubu nie doszło. Ale dlaczego?

- zapytała z przejęciem Dasza, wyraźnie współczując nieobecnemu Maratowi Łatyszewowi.

- Nie uwierzy pani! W urzędzie stanu cywilnego doszło do zabójstwa. Wyobrażają sobie państwo, co za koszmarna sytuacja! Oczywiście, przyjechała milicja, zaczęła wszystkich przesłuchiwać. Płacz, krzyk. W takich okolicznościach o ślubie nie mogło być mowy.

Dasza już miała odpowiedzieć, ale pochwyciła ostrzegawcze spojrzenie męża i powstrzymała się. Zrozumiała, że powinna coś przemilczeć, ale nie wiedziała, co konkretnie, toteż

wolała zvekslować rozmowę na bezpieczniejsze tory - osobę pechowego, odtrąconego narzeczonego.

- Ale mam wrażenie, że sam Bartos bardzo popierał matrymonialne plany Marata, prawda? Trudno o lepszego zięcia.

Sasza wyraźnie się odprężył, na jego twarzy odmalowała się ulga, i Daria zrozumiała, że pokierowała rozmową w sposób właściwy. Nie miała pojęcia, o co w ogóle chodzi, nie znała osób, o których mówiła, skupiła więc całą uwagę na tym, by przypadkiem niepotrzebnie się z czymś nie wygadać. Ciekawe, kto to jest Bartos? A Łatyszew? Dobrze byłoby się jeszcze dowiedzieć, jak ma na imię córka Bartosa, ta, która nie wyszła za mąż, żeby wrażenie, iż ona, Dasza, doskonale się we wszystkim orientuje, było przekonujące. Ze strachu, by czegoś nie zepsuć, przy każdym wypowiedzianym słowie oblewała się falą gorąca.

- Zdradzę państwu w tajemnicy, że Marat miał przyjaciółkę, która pracuje u nas w dziale reklamy, i ona właśnie mi opowiadała, że Łatyszew już dawno zagiął parol na Elenę, interesował się nią, odkąd skończyła szkołę. Istvan na wszystkie przyjęcia zabierał żonę i córkę, a Marat po prostu nie odstępował ich na krok. Tamili strasznie się podobał. To była jej idee fixe - wydać Elenę za Łatyszewa. Robiła w tym celu, co mogła, wysłała nawet córkę na wakacje nad Balaton, do swojej teściowej, a na osobę towarzyszącą wybrała Elenie Marata, że niby dobrze mówi po węgiersku, a Ela nie zna języka i trudno jej się będzie porozumieć.

Tamila. Elena. Istvan. Boże, cóż to za imiona! Byleby tylko czegoś nie poplątać. Istvan to pewnie sam Bartos. Elena to córka. A Tamila? Bez wątpienia żona Bartosa.

- I co, dziewczyna zawróciła Maratowi w głowie? - spytała Dasza z niewinną minką, wewnątrz skręcając się ze strachu, że popełni jakiś nieodwracalny błąd.

Tatianę poniosło, najwyraźniej zapomniała, że rozmawia z żoną finansisty, i widziała przed sobą tylko młodą dziewczynę, z którą można poplotkować o wspólnych znajomych.

- Skądże! - Machnęła ręką. - Marat to babiarz, jakich mało! Ale pieniądze! Pozycja w firmie! Gdyby został zięciem szefa, miejsce w radzie nadzorczej miałyby zapewnione. Poza tym proszę nie zapominać, że Bartosowie to bardzo zamożna rodzina od pokoleń, ich majątek pochodzi jeszcze z czasów pradziadka Istvana. Bartos to gwarancja bezpieczeństwa. Pewność. Ma powiązania w całym świecie, i nie chodzi tu o posiadaczy nuworyszowskich fortun, którzy poza Turcją, Grecją i Cyprzem nic więcej nie widzieli. W ciągu bez mała stu lat potęga finansowa rodziny Bartosów ani razu się nie zachwiała, a oni sami wciąż parli naprzód i stawali się coraz bogatsi.

Sasza nagle wybuchnął śmiechem. Uświadomił sobie, że gadatliwość Tatiany jest tylko przykrywką dla sprytnie obmyślanej kampanii reklamowej. Dziewczyna bardzo zręcznie prowadziła swoją grę, nadając jej charakter niewinnej, kobiecej paplaniny i ploteczek, ale kto umiał słuchać, dowiadywał się, że Modry Dunaj to firma pewna, solidna, warto w nią zainwestować pieniądze, gdyż nigdy jeszcze w ciągu lat jej działalności nie zdarzyło się nic nieprzewidzianego, zawsze utrzymywała swoją pozycję i nie groziło jej bankructwo. Co więcej, prawie stuletnie doświadczenie w sprawach handlu pozwoliło klanowi Bartosów wypracować kulturę biznesu, tak cenioną w krajach Zachodu i pozwalającą na prowadzenie interesów w wysoko rozwiniętych krajach Europy i Ameryki. A to ci trajkotka z tej Tatiany! Kto potraktuje poważnie takie informacje, jeśli będzie je przekazywać z mądrą miną ładna kobieta? Ale jeżeli się je przemyci w formie niby to przypadkowo rzuconych słów podczas błahej rozmowy o niczym, ten, kto usłyszy te rewelacje, będzie przekonany, że znalazł się w posiadaniu starannie strzeżonych, a przez to tym cenniejszych informacji, które pomogą mu prawidłowo ocenić perspektywy ewentualnej inwestycji. Co więcej, sam siebie uzna za człowieka okropnie mądrego i domyślnego, co da mu poczucie zadowolenia z siebie i dumy z własnej bystrości i sprytu. W rezultacie, nie będąc tego

świadom, weźmie za dobrą monetę każdą propozycję przedstawiciela firmy. Do diabła, Modry Dunaj musi zatrudniać wytrawnego psychologa! Trzeba będzie pomyśleć o kimś takim dla banku, zakonotował w duchu Kamieński.

- Kochane panie, pomówmy teraz o interesach - włączył się do rozmowy, uzyskawszy już potrzebne siostrze informacje. - Kiedy moglibyście państwo przystąpić do produkcji tkaniny antyodleżynowej, gdybyśmy zainwestowali w ten biznes, dajmy na to, pół miliarda dolarów?

Tatiana momentalnie spoważniała, w jednej chwili pojawił się przed nią notebook, i jej palce zaczęły sprawnie biegać po klawiszach.

- Czy nasz bank będzie miał prawo eksportować wyroby, które zakupimy u was za swoją część zysku? Jeżeli tak, to do jakich krajów? Czy macie już załatwione sprawy z Urzędem Patentowym?

Kamieński, zamieniwszy się znów w człowieka interesu, powoli dyktował Tatianie pytania, na które chciałyby znać odpowiedź, zanim przedstawi sprawę inwestycji na zebraniu rady nadzorczej. Daszę to nudziło, więc cichutko wstała i znów zaczęła krążyć pomiędzy efektownie zaaranżowanymi stoiskami.

Godzinę później Nastia Kamieńska połączyła się z Nikołajem Siełujanowem.

- Do naszego towarzystwa dołączyła jeszcze jedna postać - powiadomiła kolegę. - Niejaki Marat Łatyszew, dyrektor handlowy firmy Modry Dunaj. Bardzo mu było nie na rękę, żeby Elena Bartos wyszła za Turbina. Sam zamierzał zostać jej mężem.

- Skąd wiesz?

- Nie twoja sprawa - zażartowała Nastia. - Ale informacje są prawdziwe. Gdzie Korotkow?

- Pojechał do matki Turbina i zginął.

- Jak to zginął?!



- Nie bój się, nie w tym sensie. Pojechał do niej, potem zadzwonił i prosił, żebyśmy sprawdzili, ile razy i kiedy Turbinowie zmieniali miejsce zamieszkania. Obiecałem mu, że za dwie godziny będę miał dla niego te informacje. Termin już dawno minął, a jego gdzieś wcięło, nie zgłasza się. Może się wybrał do Lusi?

- W środku dnia pracy? Zwariował, czy co? - z niedowierzaniem odezwała się Nastia.

Tak naprawdę supozycja Siełujanowa nie była pozbawiona podstaw. Trzy lata temu Korotkow po raz kolejny się zakochał, tyle że było to uczucie dziwnie głębokie i stałe. Może przyczyna tkwiła w tym, że Ludmiła sama niegdyś pracowała jako śledczy i dlatego rozumiała Jurę tak, jak żadna inna kobieta, z żoną włącznie. Z Lusią Korotkow mógł rozmawiać o swojej pracy, mógł liczyć na kompetentne rady, poprosić o pomoc i mieć pewność, że wszystko będzie zrobione jak należy. Niewykluczone też, że Jura Ludmiłę kochał, a w innych kobietach bywał po prostu zakochany. Jakkolwiek jednak było, nigdy by nie spotykał się z nią w środku dnia, mówiąc, że wychodzi w sprawach służbowych. Korotkow był zdyscyplinowany i jeśli miał zamiar zrobić sobie przerwę w pracy, całodziennej nerwowej bieganinie, zawsze kogoś o tym informował, żeby ten ewentualnie mógł go kryć. Zwykle była to Nastia, która na pytanie swego szefa, Gordiejewa, pilnie poszukującego Korotkowa, patrząc, pułkownikowi prosto w oczy, odpowiadała, że Jura właśnie przed chwilą dzwonił i powiedział, że wyjeżdża stąd a stąd i za godzinę będzie w pracy, po czym telefonowała pod podany przez Jurija numer i mówiła: „Godzina minęła, wracaj”. Poza tym Ludmiła miała nie tylko dwóch synów, ale na dodatek męża, dlatego jej spotkania z Korotkowem zawsze wymagały całego splotu sprzyjających okoliczności, jak wyjazd surowego męża z Moskwy i możliwość skorzystania z wolnego mieszkania.

- Jak się pojawi, niech do mnie zadzwoni, dobrze? - poprosiła Nastia.

- Przekażę mu - obiecał Siełujanow.
- Jest coś nowego w sprawie włamania do laboratorium fotograficznego?
  - Na razie nic. Wszyscy fotoreporterzy przeglądają swoje archiwa, sprawdzają, czy nie zginęły jeszcze jakieś negatywy.
  - Szkoda zachodu. Jestem pewna, że zginęły tylko negatywy Szewcowa. Bardzo sprytny przestępca nam się trafił!
  - Nam! - powtórzył cierpko Nikołaj, przedrzeźniając Nastię. - Chyba raczej „wam”. Sama byczysz się na urlopie, a my tu biegamy w kółko jak pies za własnym ogonem. Wasia Kudin miał rację, kiedy ci powiedział, że nawet za mąż nie potrafisz wyjść po ludzku, bez trupa.
  - To nie trzeba mnie było zmuszać, żebym wychodziła za mąż - odparowała Nastia. - Sami wciąż brzęczeniście mi za uszami, a teraz macie pretensje. Kazaliście szukać kobiety ze zdjęcia?
  - A jakże. Mieliliśmy już ze dwadzieścia sygnałów, ale na razie same fałszywe. Słuchaj - ożywił się Nikołaj - a może by tak wykorzystać „Wiadomości Kryminalne”? To teraz nasi najlepsi przyjaciele. Niech opublikują fotografię i zawiadomienie, że milicja poszukuje osoby ze zdjęcia.
  - No widzisz, Koleńka, jak chcesz, to możesz. Ruszyłeś mózgiem i zaraz przyszedł ci do głowy dobry pomysł.
  - Ale ty sama z nimi pogadaj.
  - A to dlaczego?
  - Bo jak wczoraj w nocy szukaliśmy klisz w laboratorium, był tam jeden typ, który ani na chwilę nie spuszczał z ciebie oka, musiałaś mu się spodobać. Do twojej wiadomości: to zastępca redaktora naczelnego. Więc ten ruch należy do ciebie.
  - Nie pleć głupstw, Siełujanow. Powiedz wprost, że nie masz ochoty dzwonić.
  - Nie tyle dzwonić, ile prosić. Tobie jest łatwiej, możesz przecież przez swojego znajomego wszystko załatwić. No to jak? Umowa stoi?
  - Co mam z tobą zrobić! - Nastia tylko westchnęła.

Anton Szewcow najwyraźniej czuł się już lepiej. Dzisiaj jego głos brzmiał o wiele silniej, zadyszka ustąpiła. Fotograf od razu zgodził się zadzwonić do zastępcy naczelnego i dogadać się w sprawie publikacji ogłoszenia i zdjęcia.

- Nie będzie z tym żadnych problemów, zapewniam panią, Anastazjo - mówił. - W końcu taki jest profil naszego pisma, taka specyfika. Jak tylko sprawę uzgodnię, od razu do pani zadzwonię.

Rzeczywiście zatelefonował po półgodzinie.

- Wszystko w porządku - zameldował wesoło. - Zastępca naczelnego z przyjemnością zrobi, o co tylko pani poprosi. Ale on również ze swojej strony ma osobistą prośbę do pani.

- Jaka?

- Żeby pani udzieliła naszemu wysłannikowi wywiadu na temat zajścia w urzędzie.

- Za nic - ucięła Nastia kategorycznie. - Obowiązuje mnie tajemnica śledztwa.

- Źle pani zrozumiała, Anastazjo. Nie chodzi o to, żeby pani wypowiadała się jako pracownik milicji, który wie więcej niż inni. To po prostu byłaby rozmowa z naocznym świadkiem zdarzenia, który akurat się tam znalazł. O tym, że pani pracuje w wydziale kryminalnym, nie będzie nawet wzmianki. Przecież oprócz pani było tam jeszcze pół setki ludzi. A pani właśnie opowie to tak, jak mógłby to zrobić każdy z nich.

- Ale pan też tam był - zauważyła Nastia. - Więc niech pan udzieli wywiadu.

- Nic z tego. - Anton roześmiał się. - Ja jestem etatowym pracownikiem pisma, nie mogę występować w tej roli, bo gazeta w takim wypadku nie ma prawa wypłacić mi honorarium. A pani tak.

- Niepotrzebne mi żadne honorarium.

- Pani może nie, ale kto zapłaci za miejsce, które gazeta udostępni, zamieszczając zdjęcie i ogłoszenie? Nie mamy przecież wolnego milimetra, który moglibyśmy oferować bezpłatnie, działamy na zasadach komercyjnych. A więc żeby

nie brać pieniędzy od milicji, opublikujemy wywiad z panią, wypłacimy pani honorarium, pani je odbierze i odda z powrotem do kasy jako należność za płatne ogłoszenie i zdjęcie. Rozumie pani teraz?

- Sprytnie pomyślane! Tacy jesteście interesowni? Nawet w wykryciu zabójstwa nie możecie pomóc za darmo?

- Dyscyplina finansowa, nic na to nie poradzimy. Zgadza się pani?

- Co mam robić? Zgadzam się.

- Wobec tego podam pani telefon naszemu dziennikarzowi, zadzwoni do pani i umówicie się. Może nawet spotkamy się we trójkę, on będzie z panią rozmawiał, a ja zajmę się fotografowaniem. Jutro już wracam do pracy.

Po rozmowie z Szewcowem Nastia zaczęła przebiegać w myślach sobotnie wydarzenie, żeby zawczasu ustalić, o czym można i trzeba powiedzieć, a co należy przemilczeć. Niewykluczone, że gazeta z wywiadem wpadnie przestępcy w ręce, więc trzeba wykorzystać tę sytuację.

Jurij Korotkow przesiadał się do kolejnego autobusu już trzeci raz, podążając za Weroniką Matwiejewną Turbiną. Wyszła z domu czterdzieści minut po nim i teraz włókł się za nią, sam nie wiedząc dokąd i po co. Trasa była długa i skomplikowana, ale kobieta widać znała ją dobrze, bo ani razu się nie zawahała ani nie spytała nikogo o drogę. Kierowała się w rejon Luberc, i Korotkow nie mógł zrozumieć, dlaczego nie pojechała pociągiem podmiejskim, tylko wybrała podróż dusznymi, zatłoczonymi autobusami, wciąż się w dodatku przesiadając.

Wreszcie dotarła do domu, który był najwyraźniej celem jej wyprawy. Jura odczekał parę minut, gdy weszła do klatki schodowej, po czym ostrożnie uchylił drzwi i zajrzał do środka. W nozdrza buchnął mu odór kotów, moczu i dymu papierosowego. Odrapane ściany, upstrzone nieprzyzwoitymi napisami i rysunkami, ucieszyłyby z pewnością oko etnografa dwudziestego pierwszego wieku, jako że dawały pełny

przeгляд niecenzuralnego słownictwa naszych czasów oraz stanowiły świadectwo stopnia rozwoju symboliki graficznej. Korotkow na palcach wszedł schodami na ostatnie piętro, uważnie oglądając drzwi do mieszkań, które - sądząc po liczbie dzwonek na futrynach - prawie wszystkie były komunałkami. Idąc, wsłuchiwał się w odgłosy zza drzwi, które mogłyby zdradzić, że przed chwilą zawitał do domu gość. Nie miał jednak szczęścia. Nic nie wskazywało na to, że do któregoś z mieszkań niedawno weszła Weronika Matwiejewna.

Korotkow zbiegł z powrotem na dół, po czym skierował się do miejscowego komisariatu.

## ROZDZIAŁ 6

Weronika z nienawiścią patrzyła na siedzącego przed nią mężczyznę, znacznie młodszego od niej, chociaż przepita, zaczerwieniona, obrzmiała twarz i brak połowy zębów postarzały go co najmniej o dziesięć lat.

- Przyniosłaś? - zapytał schrypniętym tenorkiem, nie spuszczać oczu z torby kobiety.

- Przyniosłam - potwierdziła sucho Weronika Matwiejewna. - Żebyś już prędzej umarł, Pasza. Sił mi brak.

Mężczyzna, rozżłoszczony, usiłował tylko parsknąć śmiechem w odpowiedzi; z jego bezzębnych ust prysnęły przy tym kropelki śliny. Jedna upadła na rękaw Turbinej. Weronika Matwiejewna z nieukrywanym obrzydzeniem wytarła sukienkę.

- Czego krzywisz głowę, czego? - ryknął wulgarnie Pasza. - Zmajstrowałem ci chłopaka jak się patrzy, a tobie jeszcze źle? Jak go robiłem, to się nie brzydziłaś.

- Zamknij się - przerwała mu szorstko staruszka. - Powiedz lepiej, gdzie się podziewałeś w sobotę.

- A co, byłaś tu, czy jak? Nie zastałaś mnie? Nigdzie nie wychodziłem, siedziałem w domu. No, może na chwilę wyskoczyłem z kumplami do lasu, ale tak to zawsze jestem na miejscu, sama wiesz.

- Jak ja ci mogę wierzyć, Pasza - Weronika Matwiejwna westchnęła ze znużeniem. - Dawno już przepiłeś swoje sumienie i rozum także. Powiedz prawdę, ty to zrobiłeś?

- Co zrobiłem? - szczerze zdziwił się mężczyzna. - O czym ty gadasz?

- Jeździłeś w sobotę do Moskwy?

- Nie jeździłem, ile razy mam powtarzać? Czegoś się przypczyła? W sobotę Walerka się żenił, tak?

- Nie ożenił się, Pasza. I chwala Bogu, że nie.

- A co się stało? Narzeczona zwała sprzed ołtarza?

- Nie twoja sprawa. Powiem ci tylko jedno: nie potrzebuję nienormalnych wnuków. Wolę nie mieć żadnych niż takich degeneratów jak ty.

- Ojoj - zakpił znowu Pasza. - Takaś delikatna. Myślałby kto. Syn ci się udał jak ta lala, to i wnuk nie będzie gorszy. Przypomnij sobie siebie. Co, może byłaś piękną? Rozumu też za dużo nie miałaś. Wzięłem starą pannę, czterdzieści dwa lata ci stuknęło, kto by cię chciał z twoją gębą i krzywymi nogami? A ja byłem o dwadzieścia lat od ciebie młodszy i zdrowszy. Jeśli jest w Walerce coś dobrego, to ma to po mnie, nie po tobie. Nie na darmo taka dziewczucha się na niego napaliła.

- Taka? To znaczy jaka? - zmartwiałym nagle głosem odezwała się Weronika Matwiejwna. - Skąd wiesz, jaka?

- Widziałem - odparł Pasza i uśmiechnął się bezczelnie, obnażając rzadkie, popsute zęby. - Dupcię ma, że daj Boże zdrowie. Cycuski też niczego sobie, uch, cała jest jak cukierczek! Sam bym ją..

- Pasza, przecież mi obiecałeś... Bój się Boga... - wymamrotała Turbina. - I tak robię wszystko, o co poprosisz, przynoszę ci pieniądze. Tylko zostaw chłopaka w spokoju.

- Coś ty znów wymyśliła: zostaw, zostaw! To mój syn. Zrobię, co zechcę. Nie będę cię słuchał, stara ruro. O sobie też muszę pomyśleć. Jak zdechniesz dziś czy jutro, kto mnie będzie utrzymywał? Rodzony syn. Ot co.

Odchylił się na oparciu rozchwianego, wysłużonego krzesła i bardzo z siebie zadowolony, wpatrzył się w Weronikę Matwiejewną. Ona spojrzała na niego z goryczą, przypominając sobie ten nieszczęsny dzień, kiedy... A teraz robi, co tylko możliwe, żeby syn nigdy się nie dowiedział, jakiego ma ojca. Przynosi temu degeneratowi pieniądze, odmawiając sobie i Walerijowi najpotrzebniejszych rzeczy, urywa żałosne okruchy z ich i tak nędznego budżetu i codziennie ze strachem czeka, że to przepite zero, ten kryminalista zjawi się u jej syna. To, że widział Elę, znaczy, iż jest coraz bliżej Walerika. I jeżeli syn ożeni się z dziewczyną z zamożnej rodziny, ten straszny dzień naprawdę nastąpi: Paweł nie da za wygraną. O Boże, żeby tak umarł!

- Dobra, dawaj forszę i możesz stąd zmiatać - zezwolił łaskawie Pasza. - A może czegoś jeszcze ode mnie chcesz?

- Chcę - przytaknęła zimno Weronika Matwiejewna.  
- Chcę nigdy więcej nie widzieć twojej ohydnej gęby, wyrzutku.

- Nie tak ostro - obruszył się mężczyzna. - Sama masz gębę... No cóż, zdechniesz, to więcej mnie nie zobaczysz. tylko zawiń się jak najszybciej, od razu ci ulży. A ja po starej znajomości sam osobiście cię umyję i wystroję w ostatnią drogę, jeszcze nie zapomniałem, jak to się robi.

- Zapomnij lepiej, jak się nazywam i gdzie mieszkam, bydlaku! Wszystkie żyły ze mnie wyprułeś, życie mi zatruwasz! Boże, za co mnie tak karzesz!

Kobieta rozpłakała się, z nienawiścią patrząc na ojca swojego syna. Nie zakryła nawet twarzy rękami. Pragnęła umrzeć i jednocześnie bała się śmierci. Przecież jeśli jej zabraknie, syn nie zniesie takiego ciosu.

Dzielnicowy z rejonu, gdzie znajdował się dom, do którego weszła Weronika Matwiejwna Turbina, okazał się sympatycznym młodym chłopakiem o jasnych rzęsach i figlarnym uśmiechu. Korotkow cierpliwie czekał prawie dwie godziny, aż milicjant wróci z obchodu swych włości.

- Kola, muszę mieć informacje o mieszkańcach tego domu - powiedział, podając dzielnicowemu karteczkę z adresem.

- O wszystkich? - upewnił się Kola. - Tam są same komunałki, jest dużo lokatorów.

- Weszła do tego domu kobieta, Weronika Matwiejwna Turbina. Chcę wiedzieć, kogo odwiedziła. A może mi powiesz od razu, z głowy?

- Turbina, Turbina... Nie, nie, takiego nazwiska sobie nie przypominam. Musimy przejrzeć wszystkie.

Wyjął z sejfu kartonową teczkę, a z niej - długą listę lokatorów domu. Żadne nazwisko ze spisu nic Korotkowowi nie mówiło.

- Zrobimy tak - zaproponował dzielnicowy. - Zaraz pójdziemy na obchód mieszkań i szybko się dowiemy, kto miał dziś gości. Potem już będzie łatwiej. Chce pan iść ze mną?

- Nie. - Korotkow pokręcił głową. - Turbina mnie zna, dzisiaj z nią rozmawiałem. Idź sam, dobra?

- W porządku. Jak ona wygląda?

- Starsza kobieta, około siedemdziesiątki, mała, chuda, siwe włosy w kok. Ubrana w ciemnogrnatową sukienkę i szary płaszcz. Aha, i jeszcze chustka na szyi. Jasna.

Jura został na komisariacie, a młodzietki dzielnicowy wyruszył na obchód mieszkań, opowiadając lokatorom budzącą grozę historię o tym, jak to dzisiaj na ulicy obrabowano dziewczynę, a przestępca ukrył się właśnie w tej klatce schodowej. Kola wrócił mniej więcej po godzinie i powiadomił Korotkova, że starsza kobieta odwiedzała recydywistę i alkoholika Pawła Smitijenkę. Ściągnęli zaraz wszystkie dane dotyczące Smitijenki, ale nie znaleźli nic interesującego. Co mógł mieć wspólnego ze starszą panią?



- Masz coś na tego typu? - zapytał Korotkow.

- Pijaństwo. - Nikołaj skrzywił się. - Nie pracuje, co dzień nietrzeźwy.

- Ciekawe, za co pije, skoro nie pracuje?

- Dobrze pytanie! - Kola roześmiał się. - To dawniej, kiedy groziła kara za pasożytnictwo, można było sprawdzać, kto za jakie pieniądze pije. Teraz nikogo to nie interesuje, prawo nie zabrania się upijać.

- Ty mi tu nie opowiadaj o prawie, znam się na nim nie gorzej od ciebie. Jako dzielnicowy powinienś wiedzieć, kto w twoim rejonie z czego żyje.

- Co pan, Juriju Wiktorowiczu - zaczął się tłumaczyć Nikołaj. - Myśli pan, że nie mam innych zmartwień? Ledwie sobie radzę z awanturami rodzinnymi, żeby się nie podźgali nożami, nie mówiąc już o tych kioskach; to prawdziwa beczka prochu, nic tylko rozróby i rozróby. A Smitijenko jest nieszkodliwy, tyle że pije, ale nikomu krzywdy nie robi.

- Skąd wiesz, czy robi, czy nie robi, skoro się nim nie interesujesz? - nie ustępował Korotkow.

- Nie mam żadnych sygnałów ani skarg, to znaczy, że jest w porządku - wyjaśnił uśmiechnięty dzielnicowy.

- Nie ma cię kto przycisnąć, Kola - westchnął Jura - a bez tego nic z ciebie nie będzie. Pamiętaj: ci, na których nie wpływają żadne skargi, są najniebezpieczniejsi. No dobra, cześć.

Wrócił na Pietrowkę późnym wieczorem. Nikogo już nie było, ale na biurku znalazł informację, kiedy i ile razy Weronika Matwiejewna Turbina zmieniała miejsce zamieszkania. Był bardzo zaskoczony tym, co przeczytał. Otóż kobieta Od urodzenia do sześćdziesiątego roku życia mieszkała pod tym samym adresem, a w ciągu następnych dziesięciu lat przeprowadzała się cztery razy, przy czym każde kolejne lokum było gorsze i mniejsze od poprzedniego. Ciekawe, co się za tym kryło.

Marat Łatyszew rzeczywiście robił wrażenie partii godnej zazdrości. Wysoki, pewny siebie, przystojny, z dobrą ręką do interesów, był już raz żonaty, ale mniej więcej po roku rozwiódł się i teraz, wolny, stanowił cel licznych zakusów matrymonialnych. Siełujanowowi trudno było z nim rozmawiać, jako że Łatyszew należał do licznego, niestety, grona ludzi, którzy uważają, że pieniądze stanowią bezpieczną ochronę przed wszelkimi niepożądanymi okolicznościami.

- Zanim zacznę odpowiadać na pańskie pytania - oświadczył wyniośle - chciałbym się dowiedzieć, w związku z jaką sprawą pan je zadaje.

- W związku z wydarzeniami, do których doszło w ubiegłą sobotę, dzień ślubu córki Bartosa.

- A co ja mam z tym wspólnego?

- Widzi pan - cierpliwie wyjaśniał Siełujanow - okoliczności wskazują na to, że ktoś nie chciał dopuścić do zawarcia tego małżeństwa. Ponieważ pan dobrze zna Bartosa, jego córkę i osoby z ich otoczenia, mam nadzieję, że pomoże nam pan rzucić światło na całą sprawę.

- W jaki sposób, jeśli wolno wiedzieć?

- No, na przykład, opowie pan, czy Elena miała jakichś wielbicieli, którzy sami chcieliby się z nią ożenić. A może to Bartos ma wrogów, którym zależało na tym, żeby jego córka nie wyszła za mąż? Trudno coś takiego wykluczyć.

- To jakaś bzdura. Komu może przeszkadzać małżeństwo Eleny?

- Właśnie mam nadzieję, że pan mi to podpowie.

- Wątpię, czy na coś się panu przydam. Nie wiem nic takiego, co mogłoby pana zainteresować.

- Czyżby? - Siełujanow uśmiechnął się sceptycznie. - A może jednak spróbujemy? Czy nie wie pan, na przykład, dlaczego Bartos odmówił zawarcia kontraktu z turecką firmą Naza?

- Mój Boże, jaki związek... Co ma do tego Naza?

- Ale czy może pan odpowiedzieć na moje pytanie?

- Pan przecież jest z sekcji zabójstw, a nie z OBChSS\*...  
- OBChSS już dawno nie istnieje. Teraz nazywa się OBEP\*\*, wydział do walki z przestępczością gospodarczą - poprawił Łatyszewa Siełujanow.

- Wszystko jedno, niech będzie OBEP. Nie jestem upoważniony do rozmów na temat warunków zawierania umów. To tajemnica handlowa.

- Możemy nie rozmawiać - zgodził się Nikołaj. - Wystarczy mi, jeśli pan powie, że warunki umowy wam nie odpowiadały. No więc dlaczego nie doszło do podpisania kontraktu z Naza?

- Sam pan już sobie odpowiedział na to pytanie: nie odpowiadały nam warunki umowy.

- A co, Naza zmieniła początkowe ustalenia?

- Skąd panu to przyszło do głowy?

- Znikąd. Właśnie pana o to pytam.

- A ja pana nie rozumiem - odparł z rozdrażnieniem Łatyszew, wyjmując papierosy. - To jakieś bezpodstawne domysły.

- O ile wiem, negocjacje z Naza zaczęły się w styczniu i cała sprawa zmierzała do podpisania kontraktu, aż nagle pod koniec kwietnia utknęła w martwym punkcie. Co się stało?

- Nie jestem upoważniony...

- Oczywiście, oczywiście - przerwał Maratowi Siełujanow. - Tajemnica handlowa. Już to słyszałem. Ale pomyślałem, że gdyby warunki od początku były dla was nie do przyjęcia, nie tracilibyście trzech miesięcy na bezsensowne rozmowy. Czym się zajmowaliście przez ten czas, jeśli, koniec końców, nic z tego nie wyszło?

- Jaki to ma związek z incydemem w urzędzie stanu cywilnego?

OBChSS (odtęł bor'by z chiszczenijami socyjalisticzeskoj sobstwienności i spekulacyjej) - wydział do walki z zaborem mienia socyjalistycznego i spekulacją (przyp. tłum.).

OBEP - odtęł bor'by z ekonomiczeskimi priestuplenijami (przyp. tłum.).

- Pewnie nie ma żadnego. - Siełujanow wzruszył ramionami. - Ale chciałbym się upewnić, bo a nuż jednak ma? Jak pan myśli?

- Zapewniam pana, że nie.

- Dobrze, idźmy dalej. Wasza firma w ciągu roku 1993 podpisała osiemnaście kontraktów, w ciągu 1994 - dwadzieścia jeden. A w tym roku przez cztery i pół miesiąca - ani jednego. Czy może pan to jakoś skomentować?

- Bez komentarza - oświadczył sucho Łatyszew. - Mówiłem już panu o tajemnicy handlowej.

- A więc uważa pan, że nie ma w tym nic nadzwyczajnego?

- Nie powinno pan obchodzić to, co ja uważam.

- Ale przecież pan jest dyrektorem handlowym firmy...

- I co z tego? Mam swoją opinię na ten temat, ale nie zamierzam się nią dzielić z każdym, kto się nawinie.

„Doczekaliśmy się - smętnie pomyślał Siełujanow. - Oficer z wydziału kryminalnego, który zajmuje się sprawą dwóch zabójstw, to każdy, kto się nawinie. Co będzie dalej?”

- A mnie się wydaje, że firma Modry Dunaj powoli kończy swoją działalność w Rosji. Niech pan mnie poprawi, jeśli się mylę.

- Nie zamierzam. Może pan myśleć, co się panu podoba. Nawet jeśli ma pan rację, firma nie robi nic wbrew prawu.

- Proszę powiedzieć, gdzie pan był w zeszłą sobotę?

- W domu - rzucił Łatyszew bez chwili namysłu.

Ta odpowiedź wcale się Siełujanowowi nie spodobała.

- Czy ktoś może to potwierdzić?

- Naturalnie. Byłem z kobietą, mogę podać jej nazwisko, ona potwierdzi.

Alibi zapewnione przez kobietę podobało się Siełujanowowi jeszcze mniej. Dobrze wiedział, ile jest warte.

- Słyszałem, że jakiś czas starał się pan o względy Eleny Bartos. Czy to prawda?

- I co z tego? Czy prawo tego zabrania? Zresztą to było dawno.

- Co za różnica, dawno czy niedawno. Grunt, że tak było.  
- Przypuśćmy.  
- Miał pan zamiar się z nią ożenić?  
- Skąd panu to przyszło do głowy?  
- Po prostu pytam. Tak czy nie?  
- Nic podobnego. Po prostu podobała mi się ładna dziewczyna.

- Córka pańskiego szefa - z niewinną miną uściślił Siełujanow. - To znaczy, nie zamierzał się pan z nią żenić?

- Ani mi to było w głowie.

- Ale Tamila Szałwowna myślała inaczej.

- Nie interesuje mnie, co myślała Tamila Szałwowna.

- A co myślała Elena, także pana nie interesuje?

Łatyszew nic nie odpowiedział. Twarz mu skamieniała.

- Nie rozumiem, do czego prowadzą te wszystkie pytania - oświadczył wreszcie. - To, co było między mną i Elena, nie ma żadnego związku z wydarzeniami w urzędzie stanu cywilnego.

- A więc nie interesuje pana, co myślała Elena na temat waszych stosunków?

- Nie.

- Dziwne. Bo dziewczyna była przekonana, że chce się pan z nią ożenić.

- Na jakiej podstawie? To nonsens.

- Na takiej, że ją pan poprosił o rękę. A ona przyjęła pańskie oświadczenia. Zapomniał pan o tym?

- Różne rzeczy mogą się przywidzieć takiej młodej kowie.

- Pierścionek też jej się przywidział?

- Jaki pierścionek?

- Ten, który jej pan ofiarował, kiedy razem spędzaliście urlop nad Balatonem. Elena cierpi na halucynacje?

- Wie pan co, niech pan nie stwarza problemów, tam gdzie ich nie ma. Tak, byliśmy razem nad Balatonem u babki Eleny, tak, wszystkie noce spędzaliśmy razem, tak, ofiarowałem jej pierścionek. I co z tego? Jestem normalnym,

dobrze wychowanym człowiekiem, więc jeżeli dziewczyna ze mną śpi, uważam, że wypada zrobić jej prezent.

- Taki drogi? Z trzema brylantami?

- Pańskie wyobrażenia o tym, co drogie, a co tanie, pochodzą jeszcze z poprzedniej epoki, z czasów radzieckich.

- Łatyszew znów stał się wyniosły i zaczął traktować Siełujanowa z góry. - Przy moich dochodach taki pierścionek nie wydaje się zbyt kosztownym upominkiem.

- A więc nie czuł się pan ani odrobinę dotknięty, kiedy Elena postanowiła wyjść za mąż za kogo innego?

- Nawet przez sekundę.

- Dobrze. - Siełujanow westchnął. - Proszę mi podać nazwisko pańskiej przyjaciółki, z którą spędził pan sobotę. Muszę je zanotować.

- Proszę bardzo. Olga Jemieljancewa, pracownica naszej firmy. Jest zatrudniona w dziale reklamy.

*Biel i czerni, czerni i biel...*

*Mój świat od dzieciństwa sprowadzał się do tych dwóch pojęć. Wolno i nie wolno. Źle i dobrze. Ładnie i brzydko. Nic pośredniego, żadnych półtonów, okoliczności ubocznych, niejednoznacznych decyzji. Tylko „tak” i „nie”. Nigdy „być może”.*

*Mam pięć lat... Rodzice głośno się o coś sprzecząją, wydaje mi się, że się kłóćcą. Ojciec nazywa matkę dziwką, a ja natychmiast podchwytyuję nieznanne słowo, które tak łatwo wymówić.*

*- Dzwka! Mama dzwka! Mama dzwka! - krzyczę radośnie, ciesząc się, że tak szybko udało mi się zapamiętać nowy wyraz, którego wypowiedzenie nie sprawia najmniejszych trudności.*

*Spór natychmiast ucicha i cała uwaga rodziców skupia się na mnie.*

*- To bardzo brzydkie słowo - surowo upomina mnie mama.*

*- Nie wolno go powtarzać. Źle postępujesz.*

*- To znaczy, że tata też źle postąpił? - pytam rezolutnie.*

*Mama milknie speszona, ale tu włącza się ojciec. Odchrząkuje i robi poważną minę.*

- *Widzisz, kotku - mówi, nie wiadomo dlaczego patrząc przy tym na mamę, nie na mnie - bywają sytuacje, kiedy... Słowem, nie wszystko jest takie proste... Nigdy nie można twierdzić z całą pewnością...*

*Ale ja mam pięć lat i nie odpowiada mi chwiejny, nieprzewidywalny świat, w którym „nigdy nie można twierdzić z całą pewnością...”. Jestem dzieckiem i chcę, żeby wszystko było jasne i wyraziste. Moje dziecięce poczucie zagrożenia domaga się pewności, że mama i tata będą zawsze, że zawsze będzie moje przytulne, ciepłe łóżeczko, pluszowy zając koło poduszki, bajka na dobranoc, sok jabłkowy rano i babcine pierogi w sobotę. Chcę wiedzieć na pewno, że jeśli codziennie będę myć zęby, mówić „dziękuję” i „proszę” i słuchać starszych, pochwalą mnie za to, a kiedy zacznę grymasić albo coś popsuję - ukarzą. Ale skoro bywają różne sytuacje i nie wszystko jest takie proste, i nigdy nie można twierdzić z całą pewnością, to może będzie kara za dobre zachowanie, a pochwała za złe? Mój pięcioletni mózg nie jest w stanie uporać się z tak trudnym problemem. Więc zaczynam się złościć.*

*Mam osiem lat... Rodzice zabrali mnie do kina i razem z nimi oglądam film, w którym niebezpieczny przestępca, zbiegły z więzienia, kogoś ratuje i ginie. Mama ukradkiem ociera łzy, ale ja nie mogę zrozumieć, co ją tak wzruszyło.*

- *Mamo, było ci go żal? - pytam po wyjściu z kina na ulicę. Jest ciepły, pachnący wiosenny wieczór.*

- *Oczywiście, słoneczko - przytakuje mama.*

- *Ale przecież on był przestępcą! - protestuję gorąco. - Uciekł z więzienia. Czemu go żałujesz? Umarł, i dobrze. To mu się należało.*

- *Widzisz, dziecinko - zaczyna tata starą piosenkę - nie wszystko jest takie proste. Nie ma ludzi absolutnie złych i absolutnie dobrych. Oczywiście, bohater filmu był przestępcą, ale przecież uratował dziewczynę, nie pozwolił jej zginąć, a więc znaczy, że był mimo wszystko dobrym człowiekiem. Nie zawsze można precyzyjnie określić...*

*Ale mnie to nie odpowiada. Ja chcę mieć ściśle wyznaczone punkty orientacyjne, żeby nie zabłądzić i nie zgubić się w świecie dorosłych. Chcę wiedzieć dokładnie, jakich ludzi uważa się za dobrych, a jakich za złych.*

*Chcę wiedzieć dokładnie, co wolno robić, a czego nie wolno, za co zawsze się chwali i nagradza, a za co surowo karze. I szukam tej wiedzy, zbieram ją po okruszynie, po drobinie, zadając rodzicom tysiące pytań, ale oni ani rusz nie mogą pojąć, o co mi chodzi, i ciągle mgliście, w sposób nieokreślony wyjaśniają, że nie wszystko jest takie proste i że bywają sytuacje, gdy-*

*Kiedy mam lat jedenaście, potrąca mnie samochód i ze wstrząśnieniem mózgu trafiaam do szpitala. Po raz pierwszy w życiu mama nie całuje mnie na dobranoc, a rano nie dostaję swojej szklanki soku. A przecież wydawało mi się, że tak jak było dotąd, będzie zawsze, i teraz zamęczam lekarzy pytaniem: Kiedy mnie wypuszczą ze szpitala? Wytrzymam tak długo, jak trzeba, ale chcę wiedzieć dokładnie: kiedy.*

*- Widzisz, dziecko - odpowiada doktor z bródką i w okularach - to zależy od wielu okoliczności...*

*Znów te same słowa, które słyszę od rodziców. Zaczynam już wariować i doprowadzam się do ataków hysterii, żądając, by mnie puszczono do domu. W końcu lekarze mają tego dość i wypisują mnie, zalecając surowo leżenie w łóżku, otrzymawszy od mamy solenne zapewnienie, że będzie bacznie obserwować mój stan.*

*Cieszę się, że wreszcie znów jestem w domu, w swoim pokoju, we własnym łóżku, z mamą i tatą, z ukochanymi książkami. Bardzo chcę jak najszybciej wydobrzeć, dlatego przyrzekam sobie pilnie przestrzegać wszystkiego, co nakazał doktor - leżeć w pomieszczeniu z zasłoniętymi oknami, jak najmniej wstawać, nie czytać, nie oglądać telewizji i sześć razy dziennie zażywać lekarstwa. Ale mam dopiero jedenaście lat i, oczywiście, nie mogę cały dzień leżeć, pograżony w myślach. Rodzice wychodzą do pracy, a ja rozsuwam zasłony i czytam. Po południu przychodzą do mnie dzieciaki z klasy,*



więc wyskakuję z łóżka i wygłupiam się razem z nimi. Ale nie zapominam o lekach, to bodaj jedyne zalecenie, które naprawdę respektuję. Po zabawie z rówieśnikami kręci mi się w głowie, a niekiedy dostaję mdłości, wymiotuję, ale ukrywam to przed mamą, i kiedy wraca z pracy i wypytuje troskliwie, jak się czuję, kłamię jak z nut, że świetnie, z każdym dniem coraz lepiej. Naprawdę czuję się coraz gorzej, ale boję się do tego przyznać, żeby znów nie wylądować w szpitalu.

Któregoś dnia jednak moje kłamstwo się wydaje - mama wraca z pracy wcześniej, akurat w chwili gdy walczę w łazience z męczącymi, szarpiącymi wnętrzości torsjami. Mama chce wezwać pogotowie, ale ja szlocham, błagam ją, żeby tego nie robiła, dostaję hysterii i tracę przytomność, zachłysnąwszy się własnym krzykiem. Mamie robi się mnie żal. Dlatego po prostu bierze bezpłatny urlop i sama zaczyna mnie pielegnować w domu. Pod jej nadzorem zachowuję się jak należy i rzeczywiście po jakimś czasie wracam do zdrowia.

Od tamtej pory minęło wiele czasu i teraz tylko jesień i wiosna przypominają mi o tamtym ciężkim wstrząśnieniu mózgu. W listopadzie i kwietniu miewam silne bóle głowy i prawie zawsze zły nastrój. Łatwo wpadam w rozdrażnienie i zaczynam się wściekać z byle powodu, a potem długo płaczę, litując się nad sobą. Ale to mija.

Pracownik sekcji zabójstw, Nikołaj Siełujanow, nie lubił kobiet. Tak jak nie lubił alibi potwierdzanego przez kobiety, zwłaszcza jeśli były one żonami lub przyjaciółkami podejrzanych. Uważał wszystkie przedstawicielki płci przeciwnej za kłamliwe zdrajczynie, i przekonać go, że nie ma racji, nikt już od dawna nie próbował, ściślej biorąc, odkąd żona Nikołaja rzuciła go, zabierając dwoje dzieci, i wyjechała z nowym mężem do Woroneża. Rozwód Siełujanow przeżywał długo i ciężko, a rozłąka z dziećmi okazała się ponad jego siły. Obwiniając żonę o własne cierpienia, cały swój gniew i oburzenie przenosił na te kobiety, z którymi stykał się w toku pracy.

Dlatego chociaż Marat Łatyszew powołał się na Olę Jemieljancewą jako świadka, że w dniu dokonania dwóch zabójstw cały dzień spędził w domu, Siełujanow wcale mu nie uwierzył. Nie wątpił ani przez chwilę, że przyjaciółka młodego biznesmena potwierdzi wszystko, co trzeba, a Łatyszew wydał mu się bardzo podejrzanym typem.

Nikołaj miał własne sposoby sprawdzania i obalania alibi, którym nie dawał wiary. Sposoby owe często nie zyskiwały akceptacji jego szefa, pułkownika Gordiejewa, ale Siełujanow z uporem robił wszystko po swojemu, lekceważąc ciągłe upomnienia i reprimendy przełożonych. Należał do tej kategorii ludzi, dla których liczy się tylko końcowy rezultat, a negatywne emocje, doświadczane w toku jego uzyskiwania, nie mają znaczenia.

Do realizacji swego zamierzenia potrzebował dobrego fotografa, więc nie namyślając się długo, zadzwonił do Antona Szewcowa.

- Pokażę ci pewną dziewczynę, a ty pstrykniesz jej kilka zdjęć na ulicy. Potem dostaniesz inne fotografie i zrobisz fotomontaż. Potrafisz?

- Nie ma problemu - zapewnił wesoło Szewcow, który w piątek czuł się już całkiem dobrze i znów na zlecenie redakcji biegał bez wytchnienia po całym mieście.

Bez trudu rozpoznał pracownicę firmy Modry Dunaj, Olę Jemieljancewą, i „odprowadził” ją do domu, zrobiwszy po drodze około dziesięciu zdjęć - na ulicy, na przystanku trolejbusowym, w sklepie, w alejce, koło klatki schodowej. Dziewczyna była ładna, ale niezbyt fotogeniczna, Szewcow ocenił to od razu wprawnym okiem i starał się o takie ujęcia, dzięki którym Olga wyjdzie na zdjęciach jak najkorzystniej. Najbardziej udane wydało mu się to, na którym Olga kupuje u ulicznego sprzedawcy banany; Anton uchwycił moment, kiedy dziewczyna stoi z wyciągniętą ręką, odbierając resztę. Chyba myśli, że handlarz chce ją oszukać, i szybko stara się policzyć, czy waga bananów istotnie odpowiada cenie:

dziesięciu tysiącom rubli. W każdym razie na twarzy dziewczyny maluje się wyraz skupienia i jakby lekkiej obawy.

Nikołaj i Szewcow spotkali się jeszcze tego samego wieczoru i razem poszli do Siełujanowa, który w maleńkiej komórcie, przylegającej do kuchni, urządził sobie minilaboratorium fotograficzne, przebiwszy ścianę, żeby doprowadzić do niego wodę.

- Oho! - zachwycił się Anton, oglądając nieskomplikowane, za to utrzymane w idealnym stanie wyposażenie Siełujanowa.

- Trzeba kombinować. - Kola wzruszył ramionami. - Bez sztuczek nic w naszej pracy nie wychodzi. Tylko jedna Aśka potrafi wykryć przestępstwa, nie uciekając się do żadnych podstępów, ale cóż, do tego trzeba być Aśką.

- Aśka to Kamieńska? - zapytał Szewcow.

- Tak, to ona.

- A dlaczego jej się udaje, a tobie nie? Jest jakaś inna niż wszyscy?

- Diabli ją wiedzą. - Siełujanow uśmiechnął się. - Cóż, na pewno dobra z niej aktorka. Umie mówić prawdę tak, żeby się wydawało, że kłamie, i faktycznie jej nie wierzą. Skutek taki sam, a nic jej nie można zarzucić.

- Jak to? - zaciekawiał się fotograf. - Chyba czegoś nie Zrozumiałem.

- To proste jak drut. Na przykład wracasz do domu, a żona cię pyta: „Jadłeś obiad?”. Naprawdę w ciągu dnia odwiedziłeś swoją kochankę, która poczęstowała cię doskonałym obiadem, ale odwracasz oczy i mamroczesz pod nosem: "Co? A, tak... Tak, jadłem... Oczywiście, że jadłem, nie martw się". I już. Pożądany efekt został osiągnięty. Twoja ślubna jest przekonana, że byłeś, biedaku, cały dzień na nogach, w biegu, nie miałeś czasu nic wziąć do ust. Żal jej, żeś taki zagoniony, stara się być dobra i czuła. A ty ją okłamałeś, mówiąc najczystsza prawdę. Rozumiesz?

- Sprytne. - Anton roześmiał się. - A dlaczego tobie to nie wychodzi?

- Nie wiem. Widocznie brak mi zdolności. No i za ciężko myślę. Aśka w lot orientuje się w sytuacji i błyskawicznie się adaptuje do okoliczności, a ja dopiero parę godzin po fakcie uświadamiam sobie, jak można było skierować rozmowę na właściwe tory albo jaką minę zrobić... Ale mam za to swoje, własne sposoby. Zjesz coś czy od razu zabierzemy się do roboty?

- Zrobimy tak. Możemy coś przegryźć, jeśli to nie kłopot, podczas wywoływania zdjęć. Potem zrobimy drugą przerwę, jak będą schły.

Fotografie wyszły doskonale, ale Anton uświadomił sobie to dopiero wtedy, kiedy Siełujanow pokazał mu te, z którymi należało „zmontować” Jemieljancewą. Zgodnie z zamysłem Nikołaja, końcowym rezultatem tego zabiegu miały być zdjęcia, na których Olga odbiera od jakichś mężczyzn niewielkie pakiety. Dlatego też klatka z ręką wyciągniętą po resztę okazała się niezwykle przydatna. Poza tym Jemieljancewą trzeba było „przebrać”.

- Ale co chcesz dzięki temu zyskać? - spytał zaciekawiony Szewcow. - Po co to robimy?

- Żeby oszukać, to chyba jasne - zażartował Siełujanow. - W naszym fachu kierujemy się prostą zasadą: jeśli nie skłamię, nie dojdiesz do prawdy. Napijemy się kawy, zanim zdjęcia wyschną?

- Nie, ja, jeśli można, proszę o herbatę - powiedział Anton. - Kawy w ogóle mi nie wolno.

- A co? Chorujesz na coś?

- Mam chorobę wieńcową.

- Poważnie? Przecież jesteś jeszcze młody - zdziwił się Kola.

- To pozostałość z dzieciństwa. Ale nie patrz na mnie jak na inwalidę. - Fotograf roześmiał się. - Przyzwyczailem się. Z moją chorobą wzięli mnie do wojska, odkiblowałem, jak to się mówi, dwa lata. W pracy też mi wieńcówka nie przeszkadza. Dopada mnie mniej więcej raz na dwa miesią-

ce, wystarczy, że poleżę wtedy trzy, cztery dni, i koniec. Na razie jeszcze nie umieram.

Sielujanow zaparzył herbatę, zrobił kanapki, wyjął z szafki butelkę koniaku, po czym z wahaniem popatrzył na gościa.

- Tego pewnie też ci nie wolno?

Anton skinął głową.

- Nie wolno. Ale ty pij, jak masz ochotę, mnie to nie przeszkadza.

- Naprawdę? - ucieszył się Kola. - Tyle że to trochę głupio: ja będę pił, a ty - patrzył.

- Całe życie patrzę, jak inni piją, tańczą całą noc do upadłego i zabawiają się z dziewczynami. Przyzwyczajłem się.

- A sam ani-ani?

- Mam stracha - przyznał się Szewcow. - Tylko pałę, nie mogę rzucić. Ale z innych przyjemności musiałem zrezygnować. Chciałbym jeszcze trochę pożyć.

- Słusznie. - Kola wyjął kieliszek i nalał sobie koniaku.  
- Twoje zdrowie.

Wychylił trunek jednym haustem. Pochwyciwszy zdziwione spojrzenie gościa, zapytał:

- Co tak patrzysz? Że piję koniak jak wódkę? Myślisz, że jestem alkoholiczkiem?

Anton wzruszył ramionami i ostrożnie podniósł do ust filiżankę gorącej, parującej herbaty.

- Mieszkasz sam? - zapytał, nie odpowiadając na pytanie Sielujanowa.

- Sam. Żona mnie rzuciła, nie wytrzymała presji. Służba w milicji nie sprzyja życiu rodzinnemu. - Nikołaj szybko nalał sobie drugi kieliszek i opróżnił go tak samo jak poprzedni - jednym haustem. - A ty nie jesteś żonaty? - zapytał.

- Jeszcze nie. - Anton uśmiechnął się.

- Ale myślisz o żeniactwie?

- Na razie nie.

- A na co czekasz?

- Tworzę podstawy materialne - zażartował fotograf. - Wyobraź sobie: żenię się, przychodzi na świat dziecko, a mnie nagle wysiada serce. Żona liczyła, że przeżyje ze mną długie lata, że pomogę jej wychować syna czy córkę, a tymczasem ja nagle odwalam kitę i zostawiam ją z dzieciakiem na pastwę losu. To tak samo, jakbym ją oszukał i zdradził. Dlatego muszę koniecznie zgromadzić jakieś środki, żeby po mojej śmierci niczego im nie brakowało, przynajmniej przez jakiś czas.

- Po co samemu się grzebać zawczasu? - krytycznie odniósł się do jego planów Siełujanow, wychylając trzeci kieliszek. - Może akurat dożyjesz siedemdziesiątki.

- Może - przytaknął Anton. - A może nie. Więc jeżeli zdecyduję się na małżeństwo, muszę rodzinę zabezpieczyć. Dopiero wtedy będę spokojny. Pewnie ci się to wydaje dziwne, ale ludzie chorzy na serce rozumują trochę inaczej. Zdrowym trudno to zrozumieć.

- Dobra, nie miałem nic złego na myśli. I nie patrz tak na mnie, więcej nie będę dzisiaj pił. Trzy kieliszki to moja norma na wieczór. Bez tego nie kładę się spać. No już, patrz, chowam flaszkę.

Rzeczywiście wstawił butelkę z powrotem do szafki. Odprężył się, twarz mu się zaróżowiła, oczy błyszczały.

- Wiesz co, Anton, wróćmy na chwilę do kradzieży w naszym laboratorium. O ile wiem, zamek wprost zachęcał do włamania?

- A kto by się miał połasczyć na nasze klisze i zdjęcia? W pracowni od początku świata zawsze wszystko stało otworem. Widziałeś przecież, w pokoju stoją metalowe szafki, chłopaki czasem zostawiają tam aparaty, ale rzadko. Wiesz, każdy pracuje inną kamerą, to nasz fach, dlatego sami kupujemy sprzęt i sami go naprawiamy, nie lubimy oddawać aparatów w obce ręce. Poza tym najcenniejsze są zdjęcia robione „na gorąco”, więc praktycznie nie rozstajemy się ze sprzętem, bo może po drodze trafi się jakiś interesujący temat. Jeżeli już ktoś zostawia kamerę w szafce, to ją zamyka

i opieczętowane. A cała reszta leży porozrzucana po pokoju, jak popadnie. Każdy może wejść i wziąć, co chce, nie ma żadnej kontroli.

- Wzorowy porządek, pogratulować - zakpił Nikołaj.

- Nie trzymamy tam przecież żadnych tajnych materiałów...

- To, co dziś nikogo nie interesuje, jutro może się komuś przydać. Czy jakiemś innemu fotografowi też zginęły klisze?

- Chłopaki nie doliczyli się jeszcze dwóch, tak samo nieszkodliwych, jak moje. Jednemu zginęła klisza z zeszłego roku, ze zdjęciami, które robił podczas święta „Moskiewskiego Komsomolca”, a drugiemu całkiem świeża, z briefingu w waszym Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Możliwe, że złodziejowi akurat na niej zależało, było tam sfotografowane całe nowe kierownictwo resortu. Jak myślisz?

- Niczego nie można wykluczyć, Anton. Chodź, sprawdzimy, co tam z naszymi zdjęciami.

Ostrożnie zdjęli ze sznura klamerki, którymi były przypięte lekko jeszcze wilgotne odbitki. Z fotografii spoglądała na nich Olga Jemieljancewa i dwóch mężczyzn o charakterystycznej, wyrazistej powierzchowności. Mężczyźni wręczali Oldze pakiety, a ona z niepewnym, trochę zaleknionym uśmiechem je odbierała.

Jutro Siełujanow dzięki tym zdjęciom szybko wyjaśni, gdzie naprawdę był Marat Łatyszew, w chwili gdy w urzędach stanu cywilnego zginęły dwie młode dziewczyny.

Weronika Matwiejewna usłyszała dzwonek telefonu jeszcze na schodach. Szybko wyjęła klucze, otworzyła drzwi i rzuciła się do aparatu.

- Dobry wieczór, Weroniko Matwiejewno - rozległ się w słuchawce sympatyczny męski głos.

- Jak się masz, Marat.

- Co u pani słyhać?

- Pomalutku. Był u mnie ktoś z milicji.

- U mnie też. Wypytywał o sobotę.

- I co powiedziałaś?
- Że byłem w domu, z Olgą. Panią też pytali?
- Nie. Kogo obchodzi taka starucha? Nawet do głowy im nie przyjdzie mnie podejrzewać. Zresztą o co? Ty jesteś w trudniejszej sytuacji.
- To prawda. - Marat chyba się uśmiechnął przy tych słowach. - Cóż, Weroniko Matwiejewno, miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Może obojgu nam się uda. Nic więcej ciekawego mi pani nie powie?
- Zdaje się, że jutro po południu Walerik i Ela wybierają się na daczę.
- Tak? - ożywił się Łatyszew. - To dobrze. Bardzo się cieszę.
- Co w tym dobrego? Myślisz, że wystarczy nad nimi miesiąc popracować, żeby się rozmyślili?
- Spróbujemy, Weroniko Matwiejewno. Jeżeli pojedą na daczę, ja też się tam wybiorę, zepsuję im popołudnie. Z góry przepraszam, że będę musiał pani syna trochę poniżyć w oczach ukochanej dziewczyny. Dwa tygodnie nam nie wystarczyły, ale teraz mamy trochę czasu. I niech pani nie zapomina, że bez względu na to, jaki obrót przybiorą sprawy, pozostanę pani dłużnikiem.
- Dziękuję ci, Marat. - Kobieta westchnęła.
- Nie ma za co. To ja pani dziękuję.

Weronika Matwiejewna powoli się rozebrała i zaczęła sobie szykować skromną kolację. Dla Walerija jedzenie było już gotowe - dwie apetyczne bitki i ziemniaki do odsmażenia. „Prawdziwe” mięso Turbina kupowała tylko dla syna i gospodarowała nim oszczędnie. Sobie gotowała najczęściej jakiś makaron, który krasila odrobiną margaryny i posypywała cukrem. To nic, myślała, odcedzając na durszlaku wermiszel, kiedy sprawy się wyklarują, Marat da pieniądze, tak jak obiecał. Dużo pieniędzy. Starczy ich, by opłacać tego drania Paszkę i utrzymać na jakim takim poziomie dom. Boże, jak ona ma już dość tego wiecznego biedowania!



## ROZDZIAŁ 7

Olga Jemieljancewa tylko dwa razy w życiu miała do czynienia z milicją - kiedy wyrabiała sobie dowód osobisty i kiedy meldowała się w nowym mieszkaniu. Dlatego wizyta łysawego wywiadowcy z Pietrowki budziła w niej pewne zaciekanie, a zarazem niepokój. Facet zjawił się znienacka, bez uprzedzenia, i Olga kolejny raz pochwaliła się w myślach za to, że zawsze - nie tylko od przypadku do przypadku - utrzymuje w mieszkaniu idealny porządek i nie chodzi rozmemłana, w niechlujnym szlafroku, tylko w eleganckim domowym stroju. Nabrała tego zwyczaju, odkąd Marat zainteresował się córką Bartosa. Kiedyś z góry planowali spotkania, ale zabieganie o względy Eleny zaowocowało tym, że Marat nigdy nie wiedział, którego dnia i o jakiej godzinie będzie akurat miał okienko", które pozwoli mu odwiedzić dawną przyjaciółkę. Jego wizyty stały się nieregularne i niespodziewane, tak że Olga, mając w duchu nadzieję na utrzymanie bliższej znajomości z Maratem, przyjęła jako zasadę, że musi być gotowa na jego przyjście dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Oficer operacyjny, który przedstawił się jako Nikołaj Siełujanow, uprzejmie spytał, czy może usiąść, i rozłożył na stole kilka fotografii.

- Proszę mi powiedzieć, kim są ci ludzie na zdjęciach? zwrócił się do Olgi.

Dziewczyna uważnie przyjrzała się odbitkom. Kobieta by-- zdumiewająco podobna do niej, prawdziwy sobowtór, ale inaczej ubrana - Olga nigdy nie miała takich spódnic i kostiumów.

- Pierwszy raz widzę te osoby - powiedziała zdziwiona, odrywając oczy od zdjęć.

- Jak to, Olgo Dmitrijewno, została pani sfotografowana w ich towarzystwie, a mówi pani, że pierwszy raz je widzi - łagodnie zwrócił jej uwagę Siełujanow. - Dlaczego posuwa się pani do tak jawnego kłamstwa? Przecież to pani, nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

- Ależ skąd! - zaprzeczyła gwałtownie Olga. - To nie ja.  
- Jak to nie pani? Proszę się dobrze przyjrzeć. To pani twarz.

- Ta kobieta jest do mnie bardzo podobna, ale to nie ja - upierała się Olga. - A w ogóle o co tutaj chodzi?

- O to, Olgo Dmitrijewno, że tego samego dnia, trzynastego maja, spotkała się pani z dwoma przestępcami, którzy są poszukiwani za handel narkotykami. Mam wszelkie podstawy sądzić, że pani pomaga im w tym procederze. Proszę spojrzeć tutaj, ten mężczyzna to niejaki Walentin Kiriuchin. ma na swoim koncie trzy wyroki, a pani odbiera od niego paczuszkę z heroiną. Dwie godziny później została pani sfotografowana z innym przestępcą, który ma ksywkę Fiedot. Nie chce mi pani chyba wmówić, że to nie miało miejsca. Zdjęcia są najlepszym dowodem, że spotkała się pani z tymi mężczyznami.

- Ależ daję panu najświętsze słowo honoru, że widzę tych ludzi po raz pierwszy w życiu! - Spanikowana Olga niemal krzyczała. - To jakaś pomyłka! Straszna pomyłka, ta kobieta jest do mnie bardzo podobna, ale to nie ja! Nie mam takich ubrań, zaraz, chwileczkę...

Zerwała się z krzesła, rzuciła do szafy i gwałtownym szarpnięciem otworzyła drzwi.

- Proszę, niech pan sam zobaczy, czy są tu rzeczy, które ma na sobie kobieta na zdjęciu. No, niechże pan sprawdzi!

Wydawało się, że Olga gotowa jest siłą zaciągnąć Siełujanowa do szafy, żeby zademonstrować mu swoje efektowne toalety. Miała łzy w oczach, i Nikołaj uznał, że wywarł już na nią wystarczającą presję - teraz nadszedł czas, by wyciągnąć do Olgi pomocną dłoń.

- Chce pani powiedzieć, że nasi ludzie się pomylili? - zapytał z niedowierzaniem. - Podobieństwo jest uderzające.

- Oczywiście, że się pomylili. - Olga błyskawicznie uchwyciła się koła ratunkowego, które rzucił jej Nikołaj. - Fakt, jesteśmy do siebie podobne jak dwie krople wody. Twarz,

włosy, tak. Ale ubranie nie należy do mnie, niech pan spraw-  
---! Ja takich rzeczy w ogóle nie noszę.

- Cóż, wszystko to są tylko słowa. - Siełujanow znów  
zrobił krok do tyłu. - „Noszę”, „nie noszę” - to żaden dowód.  
Może rzeczywiście nie ma pani teraz tych ubrań w domu,  
ale w sobotę, trzynastego, mogła je pani mieć. A co do twa-  
rzy, trudno się mylić, tak że skłonny jestem sądzić, że jednak  
pomaga pani handlarzom w rozprowadzaniu narkotyków.  
Olgo Dmitrijewno, jeżeli zaraz opowie mi pani wszystko  
o tych ludziach, gwarantuję, że nie zostanie pani pociągnięta  
do odpowiedzialności karnej za współudział w przestęp-  
stwie. No co, dogadaliśmy się?

Jemieljancewa znów wpadła w panikę.

- Boże kochany, co mam robić? - Rozpłakała się. - Jak  
mogę panu udowodnić, że to nie ja? Nie ja, rozumie pan?!  
Nie ja!

- Była pani w sobotę, trzynastego maja, w parku Gorkie-  
go? - zapytał Nikołaj, obracając w rękę jedno ze zdjęć.

- Nie! Nie byłam! Od wieków tam nie byłam! Nie mam  
w parku nic do roboty!

- A gdzie pani była w tym czasie, jeśli wolno wiedzieć?

- Do jedenastej w domu, potem poszłam na targ, kupi-  
arn warzywa i mięso i gotowałam obiad. W sobotę miałam  
gości...

- Chwileczkę, po kolei - przerwał jej Siełujanow. - Kto  
może potwierdzić, że do jedenastej nie wychodziła pani  
Z domu? Ktoś u pani był?

- Nie, nikt. - Olga znów się zdenerwowała.

- A może ktoś do pani dzwonił?

- Czy ktoś dzwonił? Tak, oczywiście, dzwoniła mama, roz-  
-awiałam z nią jakieś piętnaście minut, a poza tym przyja-  
ciółka, którą zaprosiłam na wieczór razem z mężem.

- O której to było godzinie?

- Mama dzwoniła, jak tylko wstałam, chyba koło dziewią-  
tej, a Ania później. Tak, tak, pamiętam, że ją pytałam, jakie

warzywa powinnam kupić do ragout, podyktowała mi, zanotowałam i prawie zaraz wyszłam na bazar.

- To znaczy gdzieś około wpół do jedenastej?

- Tak, mniej więcej.

- Dobrze. A na bazarze ktoś panią widział? Ktoś mógłby potwierdzić, że po jedenastej rzeczywiście pani była tam, a nie w parku Gorkiego na spotkaniu z Kiriuchinem?

- Oczywiście, oczywiście - pośpiesznie zapewniła dziewczyna. - Wie pan, bazarek jest tuż obok, trzy minuty drogi piechotą, dlatego mieszkańcy naszego domu i sąsiednich stale się tam spotykają. Zaraz sobie przypomnę, kogo widziałam na bazarze w sobotę... - Zmarszczyła czoło, a po chwili jej twarz się rozjaśniła. - Małżeństwo z szóstego piętra, Fiodorowowie. Kupowali truskawki. Zapamiętałam dlatego, że truskawki są jeszcze bardzo drogie, a oni brali trzy kilogramy. Podeszłam do nich i spytałam żartem, po co im tyle, czy zamierzają je dalej sprzedawać detalicznie. Powiedzieli mi, że ich syn ma urodziny, zaprosił dziesięciu kolegów z klasy, a że nikt nie może już patrzeć na torty i ciastka, chcą dzieciakom podać na deser truskawki ze śmietaną. Może pan ich zapytać, potwierdzą. Na pewno pamiętają, że do nich podeszłam. Poczęstowali mnie nawet truskawką.

- Zapytam - obiecał z całą powagą Siełujanow. - Co jeszcze może sobie pani przypomnieć? Kto panią widział, z kim pani rozmawiała?

- Kto jeszcze... - Znowu się zamyśliła. - Wstąpiłam do spożywczego po majonez i sos, kasjerka nie miała dla mnie reszty z pięćdziesięciu tysięcy, stałam przy kasie z dziesięć minut, zanim mogła mi wydać, i cały czas wyrzekała, że wszyscy chcą płacić banknotami o dużych nominałach, więc skąd ma niby brać drobne. Ale nie wiem, czy sobie przypomni...

- Co to za kasjerka i który sklep?

- Spożywczy na sąsiedniej ulicy, nazywa się Jelena-plus. są tam dwie kasjerki, jedna to młodziutka dziewczyna, najwyżej osiemnaście lat, a druga jest starsza i ma jakąś taką

wymyślną fryzurę. Właśnie ta starsza nie mogła mi wydać reszty.

- O której była pani w sklepie?

- Chwileczkę... Tak, burczała coś, że zaraz będą zamykać na przerwę obiadową, a ja stoję nad nią jak kat nad dobrą duszą. Strasznie kłótniwa baba! - rzuciła ze złością Olga.

- Przerwa obiadowa jest od pierwszej do drugiej?

- Tak. To znaczy, była wtedy pewnie za pięć czy za dziesięć pierwsza.

- Dobrze. - Siełujanow kiwnął głową. - Jedźmy dalej. Dokąd udała się pani ze sklepu?

- Do piekarni, tam jest przerwa od drugiej do trzeciej, tak że było jeszcze otwarte. A potem wróciłam do domu.

- Kto może to potwierdzić?...

I tak dalej, aż do późnych godzin wieczornych. Jemieljancewa gorliwie wymieniała osoby, z którymi miała kontakt w ciągu dnia, a Siełujanow w milczeniu kiwał głową, konstatuując z zadowoleniem, że jeżeli Łatyszew istotnie prosił Olgę, by potwierdziła jego alibi, dziewczyna ze strachu zupełnie o tym zapomniała.

- Dobrze, Olgo Dmitrijewno, jeśli mówi pani prawdę, to znaczy, że nasi ludzie wzięli za panią kogoś innego, zmyleni tym nieprawdopodobnym podobieństwem. Oczywiście, sprawdzimy każde pani słowo, dlatego też proszę wziąć kartkę i napisać oświadczenie z dokładnym wyszczególnieniem wszystkiego, co pani robiła trzynastego maja, oraz nazwiskami i numerami telefonów lub adresami osób, które mogą potwierdzić pani słowa.

Pół godziny później Siełujanow wyszedł z mieszkania Olgi Jemieljancewej i z najbliższego automatu zadzwonił do Marata Łatyszewa, by powiadomić go, kiedy ma się stawić na Pietrowce.

Dacza Bartosa znajdowała się na najbardziej malowniczym odcinku przy Trakcie Kijowskim, niedaleko Pieriedielkina. Łatyszew dobrze wiedział, jak dojechać tam najłatwiej

i najszybciej, dlatego pokonywał tę trasę niemal automatycznie, pogrążony w niewesołych myślach. Że też ta mała idiotka tak go wsypała! Co za bezmyślność!

Nie spodziewał się po wizycie na Pietrowce żadnych nieprzyjemności, ale mina Siełujanowa powiedziała mu, że głęboko się mylił.

- Jeszcze raz zadam panu pytanie - zaczął tamten bez wstępów - gdzie pan był w sobotę, trzynastego maja?

- Mówiłem już, w domu.

- Kto może to potwierdzić?

- Podawałem panu przecież nazwisko: Olga Jemieljancewa, pracownica naszej firmy.

- Muszę pana rozczarować. - Siełujanow westchnął. - Jemieljancewa tego nie potwierdza. Proszę się z tym zapoznać.

Marat wziął z rąk Nikołaja kartkę i szybko przebiegł oczyma równe rzędy wyraźnego, czytelnego pisma Olgi. Co za kretynka! Przecież ją prosił... Zapomniała czy co? A może też postanowiła w taki podstępny sposób zemścić się na nim za Elę? To niesprawiedliwe. Ileż to razy, przychodząc do niej, zauważał - ledwie widoczne wprawdzie - oznaki, że bywa tu inny mężczyzna, ba, może nawet kilku! Czy kiedykolwiek urządził z tego powodu jakieś sceny? Czy choć raz zrobił jej wymówkę albo próbował przyłapać ją na niewierności? Nie, i jeszcze raz nie. Zawsze zachowywał się wobec niej jak dżentelmen, a ona pozwala sobie na prymitywne, kobiece gierki. I co teraz zrobić? Bić się w piersi i wymyślać nowe kłamstwa?

- Byłem w domu - powiedział z naciskiem Łatyszew.  
- Tak, skłamałem, że spędziłem tamten dzień w towarzystwie Olgi. Ale, powtarzam, byłem w domu.

- Sam?

- Tak, sam.

- Więc po co mieszał pan w to Jemieljancewa?

- Pan przecież żądał, żeby ktoś potwierdził moje alibi.

- Ale potwierdzić go, oczywiście, nikt nie może. - Siehulanow uśmiechnął się kwaśno. - Wie pan co, Łatyszew, a mnie się zdaje, że tamtego ranka był pan w pobliżu urzędu stanu cywilnego w Kuncewie. Nie myłę się?

- Myli się pan, nie byłem tam.

- Widziano w tej okolicy pański samochód. Potrafi pan to jakoś wytłumaczyć?

Marat zmartwiał. Cholera jasna, kto go mógł widzieć? Przecież zaparkował wóz dość daleko od placu, przy którym stoi budynek urzędu. I chyba nikt z jego znajomych nie mieszka w tamtym rejonie. Kto to mógł być?

- Dlaczego pan sądzi, że to był właśnie mój samochód? - Starął się mówić spokojnie, ale nie najlepiej mu to wychodziło.

- Dlatego że zielony ford, numer T308MK, zarejestrowany został na nazwisko Marata Aleksandrowicza Łatyszewa, urodzonego w roku 1969, czyli pańskie. Jak pan to skomentuje?

- Bez komentarza. To pomyłka.

Marat mówił to, co wydawało mu się w tej sytuacji najrozsądniejsze, ale i tak miał uczucie, jakby grunt palił mu się pod nogami. Nie wolno mu się do niczego przyznać, iaczej wyjdzie na jaw jego bliska znajomość z matką Turbina i zacznie się niepotrzebne gadanie. Weronika Matwiejewa poprosiła, żeby zawiózł ją do urzędu. Nie zaproszono jej na ślub, a przecież koniecznie musiała tam być. Naturalnie, nie powiedziała Maratowi dlaczego, ale on i tak się domyślił, jednak nic nie powiedział. Nie, w żadnym wypadku nie może się przyznać, ale nie przyznać się w takiej sytuacji też niepodobna. Trzeba natychmiast coś wymyślić.

- Nie, Maracie Aleksandrowiczu, to nie pomyłka - mówił Siehulanow cicho i jakby z wyrzutem. - A zatem ma pan dwie możliwości do wyboru: albo był pan w pobliżu miejsca zbrodni, albo pożyczył pan swój samochód człowiekowi, którego pan wynajął, by nie dopuścił do zawarcia małżeństwa Eleny Bartos z Walerijem Turbinem.

Marat długo zwlekał z podjęciem decyzji, ale nie było wyjścia. Musiał się szybko przestawić na odgrywanie roli cierpiącego, porzuconego kochanka. Ale, swoją drogą, co za bydlę przywazyło jego wóz w Kuncewie? Jak znajdzie drania, nogi mu z tyłka powyrywa.

- Tak, byłem tam - powiedział w końcu z głębokim westchnieniem. - Byłem. I co z tego?

- No właśnie, co z tego? - powtórzył Siełujanow. - Był pan i tyle. Jaki sens miało ukrywać ten fakt i wplątywać w to jeszcze nieszczęsną Jemieljancewą? Chciał pan zmusić biedaczkę, żeby kłamała, ale i tak z tego nic nie wyszło. Więc co pan robił trzynastego maja w Kuncewie, Maracie Aleksandrowiczu?

- Pan tego nie zrozumie - rzucił oschle Łatyszew. - Rzuciła pana kiedyś kobieta?

- Jeszcze jak! - Nikołaj uśmiechnął się. - Ale co to ma do rzeczy?

- A pan spokojnie się z tym pogodził, usunął się i nie liczył, że może coś się zmieni?

- Proszę konkretniej, panie Łatyszew, z łaski swojej. - Siełujanow skrzywił się zniecierpliwiony. - Mówimy teraz o panu, nie o mnie.

- Ja miałem nadzieję, że tak. Rozumie pan? Miałem nadzieję, do ostatniej chwili czekałem na cud, że Elena się opamięta i do mnie wróci. Nawet w dzień jej ślubu wciąż jeszcze na to liczyłem, dlatego pojechałem do Kuncewa. Patrzyłem z daleka, jak ci dwoje wysiadają z samochodu, jak wchodzi do urzędu. I wciąż nie mogłem uwierzyć, że to koniec. Chciałem zobaczyć na własne oczy, jak wyjdą stamtąd jako małżeństwo. Postanowiłem, że do tej chwili nie ruszę się z miejsca. Na razie jeszcze do ślubu nie doszło - więc mam nadzieję. To właściwie wszystko.

- Dlaczego od razu mi pan tego nie powiedział?

- A pan by powiedział komuś coś takiego? - odwrócił pytanie Marat. - Człowiek się wstydzi słabości, uczuć. To niemęskie.



- No cóż, pan wie lepiej. Proszę powiedzieć, czy pańska przyjaciółka, Olga Jemieljancewa, wie, gdzie pan był trzy-nastego maja? Musiał pan przecież jakoś uzasadnić swoją dziwną prośbę.

- Jaką prośbę? - nie zrozumiał Łatyszew.

- Żeby skłamała w sprawie pańskiego alibi. Jak pan jej to wytłumaczył?

- Wcale - powiedział Łatyszew obojętnie. - Poprosiłem, i tyle.

- I to jej wystarczyło?

- W zupełności. Olga ma do mnie zaufanie...

Po rozmowie z Siełujanowem pozostało Maratowi nieprzyjemne wrażenie, że ten mu nie wierzy, chociaż tego nie okazuje, ze zrozumieniem kiwa głową i przytakuje współczująco. Z drugiej strony jednak, niczego mu nie mo-e dowieść. No dobrze, skłamał, wplątał w to Olgę, ale przyznał się i żałuje. Trudno osądzić, czy to prawda, czy fałsz.

Marat minął boczną drogę, którą można było dojechać do daczki od frontu, i skręcił kawałek dalej. Chciał się znaleźć na tyłach domu, od strony furtki, przez którą szło się nad jezioro.

Zgasił silnik, starannie zamknął wóz i wyjął klucz od furtki. Daczkę ogrodzono wysokim płotem i zamek przy furtce był solidny. Łatyszew szedł ścieżką pomiędzy krzakami malin, wciągając głęboko w płuca aromatyczne, chłodne powietrze i z przyzwyczajenia rozglądając się po ogromnej działce. Ostatni raz był tu pod koniec zeszłego lata, kiedy nikomu się jeszcze nie śniło o tym chłystku filozofie, on sam wciąż miał w pamięci upojny miesiąc nad Balatonem, a w perspektywie - wejście do klanu Bartosów. Przyjeżdżał tu wtedy w zupełnie innym nastroju i innymi oczyma patrzył na dużą, piętrową, murowaną willę. Oczyma przyszłego posiadacza. Wiedział już wtedy, że Bartos zamierza przenieść się do Kalifornii, i gotów był na wszystko, byleby tylko wyjechać z nim. Nawet na małżeństwo z jego głupiut-

ką córką. Dziewczyna jest ładna, trudno zaprzeczyć, ale w głowie kompletna pustka. Dwóch słów nie można z nią zamienić na żaden temat. Nie to co z Olgą, z którą po seksie potrafił rozmawiać w łóżku godzinami. Ale związek z Olgą nie miał przyszłości. Nie rokował żadnych oszałamiających perspektyw. Co innego z Elą. Tamila, osoba bezpośrednia i cyniczna, powiedziała mu przed rokiem:

- Pamiętaj, Maratik, że do Stanów przenosi się tylko nasza rodzina, a nie cały personel firmy. Możesz wyjechać z nami jedynie w charakterze zięcia, nie inaczej. I nie pochlebiaj sobie, że Pista wysoko ceni twoje umiejętności. Owszem, w Rosji one są na wagę złota. Ale w Stanach każdy początkujący menedżer potrafi to, co ty.

Kiedy Marat usłyszał te słowa, był zaszokowany i urażony. Zaczął pracować w Modrym Dunaju jeszcze jako chłopiec; kończył szkołę, a wieczorami przychodził do firmy myć podłogi i wycierać kurze; zrywał się o piątej rano, żeby przed ósmą, nim zaczną się lekcje, zdążyć z dostarczeniem zakupów, które robił dla sąsiadów na bazarze. Zaczął od posady gońca, potem rozpoczął studia wieczorowe, pracując jednocześnie u Bartosa, gdzie przyswajał sobie w praktyce wszystkie ekonomiczne mądrości. Wystawał za plecami księgowych, usiłując się rozeznać w zawiłościach bilansu, biegał po mieście, roznosząc ulotki reklamowe, wyszukując klientów, słowem, wypełniając całą masę poleceń, najpierw drobnych, a z czasem coraz ważniejszych. Uwielbiał Istvana, uważał go za swego nauczyciela i szczerze wierzył, że jego, Marata Łatyszewa, życie odtąd na zawsze będzie związane z Modrym Dunajem. Co prawda, nie przeszkodziło mu to przed dwoma laty dostrzec niedwuznaczej zachęty w oczach Tamili. Zrozumiał ją należycie i wywiązał się ze swego zadania zgodnie z oczekiwaniami drugiej strony, gorliwie i dyskretnie. Żona szefa była zadowolona i, trzeba przyznać, nie zamęczała go zbyt częstymi schadzками. Spotykali się od tamtej pory regularnie, mniej więcej raz na miesiąc.

Kiedy Tamila zaczęła natarczywie swatać Maratowi swoją córkę, on upatrywał w tym chęć zatrzymania przy sobie młodego kochanka. Poznawszy jednak Elenę bliżej, zrozumiał, że Tamila kieruje się nie tyle swoimi zachciankami seksualnymi, ile pragnieniem oddania córki w dobre ręce. Najwiśdziej trzeźwo oceniała skromne możliwości umysłowe Eleny i obawiała się, że ta wprowadzi do domu kogoś zupełnie nieodpowiedniego, padnie ofiarą jakiegoś łowcy posagów. Cóż, tak też właśnie się stało. Marat winił o to tylko siebie - nie trzeba było zwlekać, lecz od razu po powrocie znad Balatonu zaciągnąć dziewczynę do urzędu stanu cywilnego. Tylko że, prawdę mówiąc, zdecydowanie nie miał na to ochoty. Bartos wciąż go chwalił, nazywał swoją prawą ręką, podkreślał jego wysoką pozycję w firmie, a on, głupiec, wierzył, że szef bez niego nie wyjedzie. Tymczasem okazało się, że ani myśli się przejmować jego losem.

Ela nosiła pierścioneł, który Marat jej ofiarował, i Łaty-szew trwał w przekonaniu, że może być jej pewien. W zasadzie dziewczyna zgodziła się wyjść za niego, a wziąć ślub zawsze zdążą, choćby w przeddzień wyjazdu. Najważniejsze, myślał Marat, żeby Ela nie dowiedziała się o wyjazdowych planach rodziców. Po pierwsze, zaczęłyby o tym rozpowiadać wszystkim wokół, i zaraz znaleźliby się chętni, żeby zająć jego, Marata, miejsce. Po drugie zaś, jest całkiem prawdopodobne, że właśnie oni ochoczo uświadciliby dziewczynę, iż samemu Maratowi przyświeca taki właśnie cel - wyjechać razem z bogatym teściem. A jeśli znajdzie się wśród nich życzliwy, który spenetruje głębiej życie rodziny Bartosów, mogą, czego nie daj Boże, wyjść na jaw związki Marata z matką Eleny. Wtedy wszystkie misterne plany wezmą w łeb.

Pamiętał, jak pobiegł z tym do Tamili, a ona całkowicie zgodziła się z jego argumentami. Była jednak osobą niewiarogodnie wprost cyniczną.

- No cóż, najlepiej nazywać rzeczy po imieniu, mój drogi  
- Powiedziała wtedy, przeciągając się leniwie pod cienkim

kocem. - Nie o takim mężu dla Eli marzę. Do życia w Rosji nadajesz się idealnie. Młody, ale starszy od niej, przystojny, człowiek sukcesu. Mnie też całkowicie zadowalaś. Wątpię, czy tutaj znajdę dla niej kogoś lepszego od ciebie. Zgodzisz się jednak, że Kalifornia to zupełnie co innego. Do życia w Stanach Eli potrzebny będzie zupełnie inny mąż, i jestem pewna, że potrafię wybrać kogoś odpowiedniego. Cała rzecz w tym, żeby wywieźć ją stąd bez przeszkód. Trzeba poczekać jeszcze półtora roku. Przez ten czas Elena nie może ani wyjść za nikogo za mąż, ani zająć w ciążę. Rozumiesz? Dlatego stawiam na ciebie. Niech Ela zostanie twoją żoną - a wtedy ja do wyjazdu będę spała spokojnie. Potem zabierzemy cię ze sobą, w Stanach dasz jej rozwód, po czym już ja się zajmę tym, by zapewnić swojej córce życie na odpowiednim poziomie. Przysługa za przysługę - ty mi ustrzeżesz Elę, a my cię zabierzemy do Stanów. Zresztą, mój drogi, dlaczego nie miałbyś wyjechać sam? Brakuje ci pieniędzy? Przecież bardzo przywoicie u nas zarabiasz.

Boże, tak właśnie powiedziała: „u nas”. Nie „w firmie”, nie „u Istvana”, tylko „u nas”. Cóż, Tamila Bartos nigdy zbyt nie liczyła się ze słowami, pozwalając, by rozmówca był w pełni świadom jej prawdziwych opinii i planów. Nawet człowieka, który kiedyś zostanie mężem Eleny, nazywała „ktoś”. „Ktoś nieodpowiedni”. „Ktoś odpowiedni”. Bez twarzy.

Wzmianka o pieniądzach nie przypadła Maratowi do gustu. Rzeczywiście ich nie miał. To znaczy, miał, naturalnie, dość, żeby kupić bilet do Stanów i mieszkać tam przez jakiś czas w przyzwoitym hotelu. Ale tylko tyle. A przecież na to, żeby od razu kupić porządny dom i otworzyć własny interes, potrzebne są zupełnie inne pieniądze. Takich nie miał. Mógłby mieć, gdyby... Gdyby nie grał. Nie potrafił jednak nad tym zapanować. Dawał sobie słowo, przysięgał, zarzekał się, dręczył, po czym znowu szedł do kasyna. W firmie Bartosa, oczywiście, nikt nie mógł się o tym dowiedzieć, gdyż inaczej

Marat wyleciałby stamtąd jak z procy. Wyrzucono by go na zbity pysk, bez chwili namysłu.

Tamtego dnia zgodnie doszli z Tamilą do wniosku, że należy ukryć przed Eleną przygotowania do mającego wkrótce nastąpić wyjazdu. Tamila obiecała bacznie śledzić, w jakim towarzystwie obraca się jej córka, i kontrolować wszystkie jej znajomości. A mimo to przegapiła niebezpieczeństwo. Ale kto mógł się spodziewać podobnie nieoczekiwanych konsekwencji tak, zdawałoby się, niewinnego faktu, jak dotrzymanie towarzystwa przyjaciółce studentce, zdenerwowanej przed egzaminem...

Niestety, Tamila dowiedziała się o planowanym ślubie za późno. Atak wściekłości szybko minął, ustępując miejsca trzeźwej, chłodnej kalkulacji. Tym razem Bartosowa sama przybiegła do Marata.

- Ten chłopak ma na nią zły wpływ - oznajmiła. - Wie, że nie jesteśmy w stanie w żaden sposób przeszkodzić im w ich planach. W ciągu dwóch tygodni, które zostały, nie zdołam przedsięwziąć nic, co mogłoby go skompromitować i sprawić, by Ela od niego odeszła. Jest zakochana jak kotka i nawet słyszeć nie chce o tym, by jeszcze trochę poczekać ze ślubem. Pozostaje tylko nadzieja, że uda mi się szybko doprowadzić do rozwodu. Będziesz musiał mi w tym pomóc.

Obmyślili wówczas cały plan, zgodnie z którym młodych małżonków należy skutecznie skłócić, żeby najdalej w połowie grudnia było już po rozwodzie. Teraz, kiedy ślub został przesunięty o miesiąc, można spróbować sensownie wykorzystać ten czas. Na tak szybki rozwód trudno byłoby liczyć, ale a nuż uda się nie dopuścić do zawarcia małżeństwa? Jeśli młody małżonek dowie się o wyjeździe, nie po-  
-oli się oderwać od Eli nawet kleszczami, będzie unikał wszelkich kłótni, nie da się sprowokować, zje każdą żabę i jeszcze powie „dziękuję”. Najważniejsze to nie dawać im okazji do przebywania sam na sam. Na szczęście, Ela na razie nie jest w ciąży, ale nie można kusić losu. Strzeżonego pan Bóg strzeże.

Łatyszew obserwował dom, siedząc na ławeczce pod rozłożystym dębem. Widział Ełę i jej narzeczonego, którzy pili kawę na werandzie, najzupełniej pewien, że nie są świadomi jego obecności. Sprawdzał wiele razy - z domu ta ławeczka nie była widoczna, bo chociaż stała blisko werandy, zasłaniała ją gęste listowie. Wreszcie Marat wstał i powoli wszedł na obszerny ganek.

Para narzeczonych nie była zadowolona. Ani Ela, ani Turbin nawet nie starali się tego ukryć, i mimo że dziewczyna potraktowała fakt pojawienia się Marata jako coś zupełnie naturalnego, choć może niezupełnie w porę, mniej więcej jak wcześniejszy powrót rodziców z pracy, kiedy gości się w swoim pokoju młodego człowieka, to Turbin widział w Łatyszewie rywala i denerwował się. Przybysz demonstracyjnie podkreślał, że czuje się na daczycy u siebie, że bywał tu nieraz, wie, gdzie co leży, i ma nawet własny komplet kluczy do domu, bramy i garażu.

Ela, w długiej, lekkiej spódnicy z sześcioma wysokimi rozcięciami i jedwabnym topie na cieniutkich ramiączkach, znalazła się z chwilą przyjazdu Marata w dość pikantnej sytuacji. Łatyszew wiedział, że i strój, i pozy, które przybierała, były obliczone na to, by więcej pokazać, niż zakryć. Wszystko to miało na celu oczywiście oczarowanie Turbina, ale teraz wyglądało na to, że i Marata. Dziewczyna co chwila czuła na sobie rozbawiony wzrok Łatyszewa, przesuwający się po jej odsłoniętej, pełnej nodze lub po rowku między piersiami, który ukazywał się za każdym razem, gdy tylko Elena się pochylała. Przechwytywała spojrzenia Marata i peszyła się, a Turbin - Łatyszew to widział - robił się z każdą chwilą bardziej wściekły.

- Elenko, proszę cię, podaj mi cukier - odezwał się Marat.

Kiedy podsunęła mu cukiernicę, wziął ją tak, by nakryć dłoń dziewczyny swoją dłonią.

- A gdzie pierścionek? - zapytał, jedną ręką przytrzymując Elenę za nadgarstek, a drugą pieszczotliwie gładząc jej palce.

Ela zmieszała się.

- Pierścionek? - szepnęła, z wyrzutem patrząc na Łatyszewa.

- Boże drogi, dziecino, naprawdę myślisz, że nasz romans może być dla kogokolwiek tajemnicą?! - wykrzyknął z rozbawieniem Marat, nawet nie patrząc w stronę Turbina, jakby go tu w ogóle nie było. - No więc, co zrobiłaś z pierścionkiem? Czemu przestałaś go nosić? Przecież tak ci się podobał.

Marat nie grał czysto, ale nie miał żadnych skrupułów. Każdy chwyt był dozwolony. Walczył wszak o życie, dostannie, komfortowe, wspaniałe życie. W imię swojej przyszłości gotów był poniżyć to głupiutkie dziewczątko, które nie ma dość rozumu ani doświadczenia, by godnie wybrnąć z trudnej sytuacji i ostro przywołać go do porządku. Olga na jej miejscu wiedziałaby, jak się zachować. Łatyszew niemal słyszał opany głos swojej przyjaciółki, mówiącej: „Nosłam twój pierścionek tak długo, jak długo mi się podobałeś. A teraz wychodzę za mąż za kogo innego, nie jestem już z tobą, Więc nie noszę pierścionka, który mi ofiarowałeś. Masz mi to za złe?”. Trudno coś na to odpowiedzieć. Ale co innego Olga, a co innego Elena. Ta na pewno tak nie odpowie.

- Niech pan sobie wyobrazi - zwrócił się nagle Łatyszew do Turbina - że to głupiątko myśli, że pan się obrazi, jeśli ona będzie nosić pierścionek ode mnie. Mam nadzieję, że pan nie sądzi, iż był jej pierwszym mężczyzną?

- Nie zamierzam rozmawiać na ten temat - sucho oświadczył Turbin. - Ela zostanie moją żoną i jej przeszłość jest mi absolutnie obojętna.

- No widzisz! - Marat uśmiechnął się tryumfalnie, znów odwracając się do Eli i nie puszczając jej ręki. - Twój przyjaciel ma właściwy pogląd na sprawę. Jeśli chodzi o przeszłość kobiet, nie należy tragizować, lecz wyciągać z niej pożyteczne wnioski.

- I jakież to wnioski, pańskim zdaniem, powinienem wyciągnąć z faktu, że był pan kiedyś z Ela blisko? - oschle spytał Turbin.

- Może się pan ode mnie dowiedzieć, jak trzeba się starać o jej względy, jakie prezenty lubi, gdzie chętnie spędza czas, w których restauracjach, hotelach, uzdrowiskach, kasynach najlepiej się czuje. A ja panu wszystko powiem jak na spowiedzi, nic nie będę ukrywał - zapewnił Marat z uśmiechem. - Dzięki temu uda się panu uniknąć tych błędów, które ja niegdyś popełniłem.

- Na przykład?

Marat stwierdził z zadowoleniem, że jego plan się powiódł - Turbin dał się wciągnąć w rozmowę na niemiły dla siebie temat.

- Na przykład, zaprowadziłem ją do butiku Balenciagi, pół dnia przymierzała suknie i futra, wybierała dodatki i w rezultacie na nic się nie zdecydowała. Okazuje się, że nie cierpi jego stylu, ale nie chciała mi zrobić przykrości i nie powiedziała o tym od razu. Zmarnowaliśmy w tym butiku parę godzin, zamiast się w tym czasie kochać albo leżeć na plaży. Versace - to jest coś dla naszej dziewczynki.

Mówiąc to, Marat objął stojącą obok Elę w pasie, mocno przycisnął do siebie, a potem zaczął ją okręcać jak zabawkę, głaszcząc przy tym to po plecach, to po brzuchu.

- Okazało się, że nasza dziewczuszka nie nosi wytwornych, surowych kostiumów, ponieważ jej okrągła pupka nie mieści się w wąskich spódniczkach, a wspaniałe biust nie prezentuje się jak należy w wysoko zapiętych żakietach. Prawda, Elenko? Dlatego nasza piękność woli rzeczy bardziej fantazyjne i seksowne, żeby dostęp do ciała był zawsze swobodny. No, no, nie czerwień się, dziecino, nie ma nic złego w tym, że dziewczyna lubi seks. W tym wieku to normalne, nie trzeba się tego wstydzić. Mam nadzieję, że przyjaciel potrafi sprostać twoim wymaganiom?

Marat celowo już po raz drugi nazwał Turbina nie narzeczonym, lecz przyjacielem. To też była jedna z cegiełek gmachu, który zaczął wznosić, przyjeżdżając tutaj. Pokazać Eli, że nie traktuje Walerija jak prawdziwego rywala, nie jest o chłopaka zazdrosny, nie widzi w nim poważnego zagroże-



nia. Elenie łatwiej będzie wrócić do Marata, wiedząc, że on nie uważa jej związku z Turbinem za zdradę. Po prostu ich stosunki na pewien czas zostały przerwane, a właściwie nie tyle przerwane, ile rozluźnione, ale teraz wszystko znów będzie jak dawniej. Nie powinna mieć poczucia winy, jest przecież zbyt młoda i głupia, żeby się z tym uporać.

- Marat, przestań - ze łzami w głosie poprosiła Ela, usiłując się wyrwać z jego silnych objęć.

- Ależ dlaczego? - zdziwił się Łatyszew, jeszcze mocniej przyciskając ją do siebie. - Robię to dla twojego dobra, głuptasie. A właśnie - znów odwrócił głowę w stronę Turbina - niech pan pamięta, że Ela lubi mieszkać w pięciogwiazdkowych hotelach. Bardzo jej się podoba, że co dzień zmieniają tam bieliznę pościelową i ręczniki, no i szlafroki kąpielowe, a w dodatku ręczniki i szlafroki są dobrane kolorem. Aha, i jeszcze niech pan wybiera hotele nie z pełnym wyżywieniem, tylko ze śniadaniem i obiadokolacją, ale koniecznie musi być szwedzki stół. Żadnych kontynentalnych śniadań, rano Ela ma zawsze zwierzęcy apetyt, jeśli, oczywiście, w nocy się pan postara jak należy. Spodziewam się, że tak?...

Uśmiechnął się obleśnie i mrugnął do Turbina, który przy tych słowach spaşowiał ze złości.

- A więc - ciągnął Marat jakby nigdy nic - na śniadanie Ela lubi dużo owoców i koniecznie coś na gorąco, na przykład pastę.

Po twarzy Turbina przemknął cień zaskoczenia, i Marat z satysfakcją odnotował, że Walerij najwyraźniej nie zrozumiał, o co chodzi. Myśli pewnie, że to jakieś mazidło w rodzaju nutelli, którym smaruje się chleb. Strasznie jesteś ambitny, Turbin, nie wiesz, a nie zapytasz. Wyjaśniłbym Ci, że pasta to zwyczajny makaron. Zaraz jeszcze bardziej ci dopiekę.

- Jeżeli zatem Ela poprosi, żeby pan jej przyniósł talerz pasty, niech pan nie popełnia tego błędu, którego ja się nie ustrzegłem przez pierwsze trzy dni: proszę nie wybierać

žadnej długiej i cienkiej, która ześlizguje się z widelca. Wskazane są większe formy, kolanka, muszelki. Tak, co do śniadania, to byłoby chyba wszystko. Obiady nasza dziewczynka bardzo lubi jadać w restauracjach rybnych, niech pan o tym pamięta. Jak będzie pan wybierał hotel, koniecznie proszę się upewnić, czy niedaleko jest dobra restauracja rybna, inaczej będzie pan musiał wozić Elenę na obiad taksówką. Chociaż to też właściwie żaden problem. Aha, ponieważ Elenka to wstydlive stworzenie, pewnie sama będzie się krępować panu o tym powiedzieć, ale ostrzegam: nie można jej dawać nic na surowo ani z ostrym sosem. Ostrygi po chińsku są stanowczo zabronione, ma potem straszną alergię. Homary niech pan zamawia wyłącznie w sosie portugalskim, a łososia nie rzecznoego, tylko z górskich jezior.

- Marat, przestań, proszę cię, daj już spokój - znów żałośnie wtrąciła Ela.

- Nie mamy zamiaru mieszkać w pięciogwiazdkowych hotelach ani jadać w rybnych restauracjach - oświadczył Turbin, którego cierpliwość się wyczerpała. - Tak że pańskie mądre rady są zupełnie bezużyteczne.

- Co to znaczy, nie macie zamiaru? Wobec tego jak chcecie żyć?

- Tak samo jak do tej pory.

- To pan tak żył - odparł Łatyszew, szczególny nacisk kładąc na słowo „pan”. - Dlatego pan osobiście może prowadzić takie życie, do jakiego pan przywykł. Ale Ela żyła zupełnie inaczej i teraz to pan będzie musiał jej zapewnić taki poziom codziennej egzystencji, do jakiego jest przyzwyczajona od dziecka. Inaczej byłoby nie w porządku. Potrafi pan stanąć na wysokości zadania?

- Oszalałeś, Marat? Skąd Walera miałby wziąć na to pieniądze?

Eli udało się w końcu wyrwać z silnych objęć dawnego kochanka, siedziała teraz na małej kanapce, usiłując przybrać taką pozę, by rozcięcia w spódnicy od strony Łatyszewa nie obnażały ciała.

- Nie jest przecież handlowcem, tylko pracownikiem naukowym - ciągnęła dziewczyna, usadowiwszy się wreszcie odpowiednio i stopniowo wracając do równowagi. - Oboje z matką żyją tylko z jego stypendium i z jej emerytury.

- Wspaniale! - parsknął Łatyszew. - I jak sobie wyobrażasz wasze dalsze wspólne życie? Za te nędzne grosze będziecie się utrzymywać we troje? A może zamierzasz podjąć pracę?

- Daj spokój, Marat, o co ci chodzi? - powiedziała Elena z wyrzutem. - Rodzice nam pomogą. Przestań się czepiać.

- Rodzice? Skąd ci przyszło do głowy, kochaneczko, że oni wam pomogą? Uważasz tak tylko dlatego, że do tej pory cię utrzymywali? W takim razie muszę cię rozczarować, po ślubie nie zobaczycie ani grosza.

- Ale dlaczego? - zdziwiła się Elena. - Rodzice zawsze pomagają dzieciom. I wnukom. Dają im pieniądze. Dlaczego sądzisz, że tata i mama postąpią inaczej?

- Dlatego, moja kochana, że twoi rodzice to prawdziwi Europejczycy, a nie tutejsze zapyziałe, prowincjonalne ciemiaki. Według europejskich norm, córka, która wychodzi za paż, powinna wraz z małżonkiem zacząć budować własne, oddzielne gniazdo rodzinne. Na Zachodzie dorosłe dzieci, które założyły rodzinę, nigdy nie mieszkają pod jednym dachem z rodzicami i nie liczą na ich pomoc. To nie jest przyjęte, nie wypada. Dopóty, dopóki nie jesteś zamężna i mieszkasz u ojca i matki, oni cię żywią, ubierają i organizują ci wypoczynek. Nawiasem mówiąc, jeśli cię to interesuje, powiem, że koszty naszego uroczego pobytu nad Balatonem pokryłem w całości sam, z własnej kieszeni. No bo skoro cię kocham i pragnę spędzić z tobą wakacje w eleganckim kurorcie, to wszelkie związane z tym wydatki są sprawą moją, i tylko moją, a nie twoich rodziców. Natomiast kiedy już zostaniesz czyjaś żoną, to wybaczone, ale wszystkie koszty musi ponosić mąż.

- Specjalnie tak mówisz - z uporem broniła się Ela. - Nie wierzę, że tatuś nie będzie mi dawał pieniędzy. Na pewno

będzie nam pomagał. Więc bardzo cię proszę, przestań straszyc.

- Wcale nie straszę, kochanie, skądże znowu - roześmiał się Łatyszew - po prostu wyjaśniam ci sprawy, o których niewiele wiesz. Może zresztą masz ochotę żyć w biedzie? No cóż, żyj sobie na zdrowie. To, że twój przyjaciel do tego przywykł, już zrozumiałem. Ale ty, ty? Czy w ciągu ostatnich pięciu lat chociaż raz zrobiłaś zakupy w zwykłym sklepie spożywczym? Lubisz, na przykład, paluszki krabowe, ale nie nasze, krajowe, za trzy i pół tysiąca, tylko z importu, których jedno opakowanie kosztuje dwanaście tysięcy. Kupujesz dwa i zasiadasz przed telewizorem. Po półgodzinie oba są puste, widziałem to sto razy. Przejadłaś dwadzieścia cztery tysiące w ciągu trzydziestu minut, i to nie zamiast obiadu czy kolacji, tylko po prostu tak, jako drobną przekąskę. W budżecie twoich rodziców czy moim taka pozycja w ogóle się nie liczy, to drobiazg. Ale w budżecie twojego przyjaciela i jego matki emerytki? Cały ich miesięczny dochód to dziesięć twoich seansów przed telewizorem. Pociąga cię taka przyszłość?

- Zaraz, zaraz - odezwał się Turbin - pozwoli pan, że sami ułożymy sobie życie. Z paluszków krabowych istotnie można zrezygnować, ale o tym zdecydujemy oboje z Ela, a nie we troje, razem z panem.

- Oczywiście, z paluszków można zrezygnować - zgodził się ulegle Łatyszew - można też nosić rzeczy ze sklepów ze starzyzną, jeździć metrem, urlopy spędzać u rodziny na wsi, gdzie jest drewniany wychodek i nie ma ciepłej wody. Wszystko można. Pytanie tylko, czy warto. W imię czego, jakich wyższych celów, Ela miałaby zmieniać swoje przyzwyczajenia i sposób życia, do którego przywykła od dzieciństwa? Elenko, dziecino, z jakiego właściwie powodu zamierzasz się tak poświęcać? No powiedz?

- Kochamy się - oświadczył Turbin, widząc, że zbita z tropu Ela nie jest w stanie wykrztusić nic na tyle sensownego, żeby powstrzymać wreszcie szyderstwa Łatyszewa.  
- A z tego powodu można ponieść wszelkie ofiary.

- Zgoda - potwierdził skinieniem głowy Marat. - W takim razie chciałbym, żeby Ela mi wytłumaczyła, czym to uczucie, które żywi dla pana, różni się od tego, którym darzyła mnie, i to zupełnie niedawno, dosłownie jeszcze na tydzień przed poznaniem pana. Wyjaśnij mi, Elenko, z łaski swojej, co takiego czujesz do niego, czego nie czułaś do mnie. No powiedz, dziecino.

- Niech pan wreszcie przestanie z niej kpić - wtrącił się ze złością Turbin. - Widzi pan przecież, że nie jest w stanie panu na to odpowiedzieć, zresztą nikt inny też nie potrafi tego zrobić. Istnieje miłość i cała reszta, a jeśli znajdzie się człowiek, który zdoła uchwycić różnicę między nimi i sformułować uniwersalną definicję miłości, z pewnością zasłuży na Nagrodę Nobla.

- O, przemówił przez pana filozof - ucieszył się Łatyszew. - No cóż, wobec tego przerzucmy się na filozofię, skoro z ekonomią jakoś nam nie wychodzi i nie ma pan ochoty liczyć pieniędzy, zwłaszcza cudzych. Ela nie potrafi odpowiedzieć, zatem niech pan to zrobi. Co jest w panu takiego, że gotowa się bez reszty poświęcić? Nie może pan zapewnić Elenie normalnego życia, każe jej pan zamieszkać pod jednym dachem ze swoją matką staruszką. Więc co? Rozumie ją pan lepiej niż inni? Ela jest wrażliwą, skomplikowaną istotą, która od lat nie znajduje zrozumienia w swoim otoczeniu, nagle pojawia się pan, i wszystko się staje łatwe i proste? Nie? W takim razie może jest pan genialnym uczonym, twórcą nowego kierunku w filozofii, a ona pana kocha i ceni właśnie za to, zafascynowana pańską niezwykłą osobowością i intelektem? Proszę wybaczyć, że to mówię, Waleriju, ale nasza dziewczynka przez całe swoje życie przeczytała może półtorej książki i wątpię, czy potrafi trafnie ocenić pański wkład w naukę.

- Próbuje pan wyodrębnić elementy składowe z integralnego pojęcia. - Turbin uśmiechnął się pobłaźliwie. - Jako filozof mogę panu powiedzieć, że to strata czasu.

- Świetnie. A więc pozostaje tylko jedno. I to mnie cieszy.

- Co pan ma na myśli?

- To samo, co pan. Podobno kobiety z punktu tracą dla pana głowę. I jako filozof - Marat uśmiechnął się, wypowiadając te słowa - powinien się pan wstydzić i buntować, że dziewczyna widzi w panu tylko samca z dużym, twardym członkiem. Dopiero cośmy sobie wyjaśnili, że niczego poza tym nie dostrzega. Jest pan niewątpliwie złożoną, interesującą osobowością, na pewno więc znajdzie się kobieta - myślę, że niejedna - która właśnie te walory w panu dojrzy i za to pana pokocha, a nie za to, że potrafi pan ją doprowadzić do orgazmu.

- Dość tego, przekracza pan wszelkie granice!

- Nic podobnego, po prostu trzeźwo oceniam sytuację. Tak, w sprawach seksu jestem gorszy od pana, ale pan - jeszcze raz podkreślę: jako filozof - nie może nie wiedzieć, że osiemdziesiąt procent małżeństw ludzie zawierają, kierowani wzajemnym pociąganiem seksualnym, ani jednego wszakże z tych związków seks nie umacnia i nie przedłuża. Ani jednego, powtarzam. A to dlatego, że najdalej po roku przychodzi nasycenie i jeśli przez ten czas małżonkowie nie stali się prawdziwymi przyjaciółmi, to zarówno wielokrotne orgazmy, jak i fantastycznych rozmiarów członki nie uratują związku. Więc niech pan zada sobie teraz pytanie, co z wami będzie za rok. Do tej chwili, owszem, nabzykacie się, ile wlezie, i jeśli nie będzie pan Eli wypuszczał z łóżka, może nie zauważy, w jakich nędznych warunkach mieszka i jakimi ochłapami musi się żywić. Ale co potem?

- Potem przyzwyczai się do takiego życia, jakie zawsze było moim udziałem - spokojnie zareplikował Turbin.

- Myli się pan - zaproponował Łatyszew. - To wcale nie jest takie oczywiste. Żeby wasze małżeństwo przetrwało, będzie pan musiał w ciągu tego roku dokonać dwóch rzeczy - stać się dla Eli naprawdę bliskim człowiekiem i przyzwyczaić ją do biedy. Jeżeli natomiast zamierza pan przez cały

ten okres oddawać się rozkoszom łoża. to nie poradzi pan sobie z tym zadaniem, zabraknie panu sił i czasu. Jeśli zaś zechce pan tego dokonać kosztem seksu, Ela nie wytrzyma nawet roku. Tak że, używając pańskiego określenia, to strata czasu.

- Nie rozumiem, o co panu chodzi. Przyjechał pan tu jak do siebie, zaczął pan obrażać Elę, mnie wciągnął w jakąś bezsensowną dyskusję o miłości i małżeństwie. Po co? Chce pan, żeby Elena mnie rzuciła i wyszła za pana?

- Oczywiście. Tego właśnie chcę i wcale swoich zamiarów nie ukrywam. A chodzi mi tylko o jedno: żeby Ela mogła porównać dwóch kochających ją mężczyzn, spojrzawszy na obu trzeźwym, niezmaconym wzrokiem. I żeby patrząc na nich, dokonała wyboru - niech zadecyduje, którego woli. Czy tego, który nie może jej dać nic oprócz intensywnego i, mam nadzieję, pomysłowego seksu, czy tego, który jest w stanie zapewnić jej dobrobyt, życie na poziomie, do jakiego przywykła, stroje, podróże, restauracje, mnóstwo wolnego czasu - jako że nie każe żonie pracować zawodowo, a w domu będzie miała służącą - biżuterię i inne kosztowne prezenty. Jedyne wada drugiego kandydata to to, że nie jest tak dobry w łóżku. Ale już po upływie kilku miesięcy Ela zrozumie, że te sprawy nie tylko nie są najważniejsze, ale w ogóle nie mają żadnego znaczenia.

- Typowa logika impotenty - zauważył sarkastycznie Turbin. - Negowanie wartości wszystkiego tego, co mu nie wychodzi. To pańska własna teoria czy gdzieś pan wyczytał te nonsensy?

„Doskonale - ucieszył się w duchu Łatyszew. - A jednak udało mi się ściągnąć tego zasmarkanego intelektualistę do takiego poziomu, na którym pozostaje już tylko wzajemnie się obrażać. Długo się trzymał, trzeba mu to przyznać, ale teraz wszystko pójdzie znacznie szybciej, facet wyraźnie traci panowanie nad sobą. Tak, teraz rozumiem, dlaczego Tamila nie zdołała ich skłócić w ciągu dwóch tygodni. On jest z natury flegmatykiem i w rozmowie z przyszłą teściową nigdy

nie pozwoliłby sobie na żadną uwagę, która mogłaby mu w oczach Eli zaszkodzić. Tamili nie wypadało wdawać się z nim w dyskusje o seksie, podobnie jak nie mogła w jego obecności wspomnieć o mnie, gdyż Elena uznałaby coś takiego za zdradę z jej strony. Mnie natomiast nic nie powstrzymuje, nie odsłaniam cudzych tajemnic, mówię wyłącznie o własnych uczuciach".

- Przeczy pan sam sobie - zauważył spokojnie. - To mężczyzna, który nie potrafi nic poza pieprzeniem, zaczyna negować wartość wszelkich innych spraw. Wie pan, kto jest przekonany o tym, że seks to rzecz najważniejsza? Nieszczęśni pechowcy, którzy nic więcej nie byli w stanie w życiu zdziałać. Oni właśnie pocieszają się tym, że w łóżku są genialni, a cała reszta nie ma znaczenia. Pan jako filozof powinien chyba rozumieć, że seksualność to nie wytwór cywilizacji, lecz dar natury, tak więc szczylenie się swoimi walorami anatomicznymi i możliwościami fizjologicznymi jest tak samo głupie i niegodne mężczyzny, jak, na przykład, chwalenie się gęstymi włosami czy pięknymi oczami. To dobre dla kobiet. Prawdziwego mężczyznę można cenić jedynie za to, co osiągnął, do czego doszedł, co potrafi stworzyć, wymyślić, wynaleźć. Zatem ja, Waleriju, mam się czym pochwalić. A pan?

Marat przeniósł spojrzenie na Elę, która siedziała bez ruchu, niczym królik zhipnotyzowany przez wężą. Z jej twarzy było widać, że w żaden sposób nie może uchwycić istoty sporu, a więc i zrozumieć wytaczanych przez obie strony argumentów, a co dopiero ocenić ich słuszość. Należało, jak to się mówi w kręgach naukowych, obniżyć poziom dyskusji.

- Elu, zwracam się do ciebie. Nie nalegam, żebyś podjęła decyzję teraz, zaraz, bo będzie z pewnością trudna i bolesna. Ale zanim ją podejmiesz, chcę, żebyś wszystko dobrze rozważyła. Nasz romans trwał rok. Twoja znajomość z nim - zrobił gest w stronę Turbina - zaledwie pięć miesięcy. My



jesteśmy przywiązani do siebie o wiele bardziej, ponieważ znamy się dłużej. Rozumiesz?

Ela posłusznie skinęła głową, niczym przykładna uczennica, której nauczyciel wyjaśnia jakieś twierdzenie na lekcji geometrii.

- Moja sytuacja materialna jest taka, że mogę ci zapewnić przyzwoitą egzystencję. A co się tyczy seksu, przypomnij sobie Balaton. Czy byłeś ze mnie niezadowolona? Wszystko grało i było nam ze sobą dobrze. I potem, w Moskwie, też. A teraz wyobraź sobie, że pierwszy raz w życiu jesz brzoskwinię. Są takie smaczne, że pałaszujesz od razu trzy kilo i wydaje ci się, że mogłabyś pochłoniąć ich całe tony. Ale już przy piątym kilogramie robi ci się niedobrze. Nazajutrz nie możesz na nie patrzeć. A po miesiącu zaczynasz traktować brzoskwinię zupełnie normalnie, zjadasz owoce z zadowoleniem, kiedy ci je podają, i nie myślisz o nich, gdy nie stoją na stole. To też rozumiesz?

Dziewczyna pokiwała głową, i dopiero teraz do Turbina dotarło, co odbywa się na jego oczach.

- Zachowuje się pan jak ostatni łajdak! - oburzył się. - Niech pan przestanie wywierać na nią presję. Wykorzystuje pan to, że Elena łatwo ulega wpływom i pokornie pana słucha. Proszę się stąd zabierać!

- Elu, mam jechać?

Elena jeszcze raz skinęła głową. Z oczu popłynęły jej łzy, ale nie była tego świadoma. Wzrok wbiła w przestrzeń, gdzieś pomiędzy siedzącymi po obu jej stronach mężczyznami.

- Dobrze, dziecinko, pojedę, chociaż Bóg mi świadkiem, że zupełnie nie mam na to ochoty. Twój przyjaciel nazwał mnie impotentem i łajdakiem, co znaczy, że wkrótce już usłyszysz od niego, że jesteś głupią suką. Jeśli w charakterze człowieka leży obrażanie, to obrzucenie obelgami ukochanej żony jest tylko kwestią czasu. I jeszcze jedno. Znasz porzekadło: „Bóg dał, Bóg wziął”? Jego sens jest taki, że wszystko, czym człowieka obdarzyła natura, w każdej

chwili może mu zostać odebrane. Gęste włosy zaczynają wypadać. Piękna twarz zostaje oszpecona w wyniku nie-szczęśliwego wypadku. Bywa, że nawet życie tracisz w jednej chwili. To natomiast, czego człowiek dokonał, może przetrwać całe wieki. Również to, czego nauczył się sam, nie ginie, gdyż nie otrzymał tego jako daru od Boga, który może mu go odebrać, lecz doszedł do osiągniętego rezultatu własnymi siłami. Jutro twój przyjaciel rozchoruje się ciężko na gripę, i jego atrakcyjność seksualna znacznie osłabnie. Co wtedy zostanie? Nuda i ubóstwo. Jeżeli natomiast przytrafi się to mnie, wszystko inne będzie jak przedtem. Przypomnij sobie, Elu, ile razy się zdarzało, że nie miałem sił, a ty mimo to byłaś zadowolona.

Marat wstał powoli, nalał sobie do filiżanki wystygłej kawy z dzbanka i wypił ją na stojąco, obserwując spod oka Elę i Turbina. Twarz dziewczyny wyrażała przygnębienie, Walerija - złość. Teraz już chyba można zostawić ich samych, uznał Łatyszew; kiedy minie pierwszy szok, wdadzą się w długie rozmowy. Jeżeli Turbin zacznie go oczerniać, wytykać jego wady, każde słowo tamtego będzie grało na jego korzyść; nie darmo on, Marat, wspominał o obraźliwych epitetach, wiedział, co mówi. Im zawzięciej Turbin zacznie na nim psy wieszać, tym bardziej Ela będzie się utwierdzała w przekonaniu, że Marat miał rację. A jeżeli Walerij zachowa się powściągliwie i kulturalnie, Elena nie doceni jego subtelności. To dla niej zbyt skomplikowane, rozumie tylko proste zdania i znane słowa. Marat już dawno to zauważył.

## ROZDZIAŁ 8

Mieszkanie, w którym Siełujanow został sam po rozwodzie, było ogromne i zapuszczone. Żonie nie zależało na zamianie dotychczasowego lokum na dwa mniejsze, gdyż jej

przyszły nowy mąż był w Woroneżu ważną figurą i nie miał żadnych kłopotów mieszkaniowych. Nikołaj wyznaczył jako granice swego terytorium duży pokój i kuchnię, gdzie utrzymywał wzorowy porządek i czystość, a na pozostałe dwa pokoje i przedpokój po prostu machnął ręką. Bywał u niego często Jura Korotkow, który razem z żoną, synem i sparaliżowaną teściową zajmował ciasne, dwupokojowe mieszkanie. Tu, w spokoju i ciszy przestronnych pokoi, regenerował się i nabierał sił. Za najbardziej udane uważał wieczory, kiedy żona po raz kolejny urządzała mu awanturę z jakiegoś błahego powodu, a on - choć bardzo cierpliwy - jak z procy wylatywał z mieszkania, trzasnąwszy drzwiami. Biegł wtedy prosto do metra i już za niecałą godzinę wchodził do cichej przystani swojego kolegi i przyjaciela. Niesprzątniętej, pełnej kłaków zbitego kurzu, kłębiących się pod nogami przy najlżejszym poruszeniu powietrza, z poobdzieranymi tapetami, ale za to spokojnej i bezpiecznej. Mieszkanie Siełujanowa było jedynym miejscem, gdzie Jura mógł się wyspać. Być może grał w tym istotną rolę fakt, że Nikołaj, gdy tylko kończyły się zimowe chłody, stale trzymał wszystkie okna otwarte, tak że powietrze w mieszkaniu zawsze było świeże i rześkie, a u Korotkowa z obawy, by sparaliżowana teściowa nie dostała zapalenia płuc, lufciki otwierało się zaledwie na piętnaście minut dziennie. Każdy, kto miał tak ciężko, obłożnie chorą osobę w domu, zna ów specyficzny, duszący zapach lekarstw, moczu i wiecznie wilgotnej pościeli, która schnie, rozwieszona w całym mieszkaniu. Jura wstawał z ciężką głową, zły i niewyspany.

Dzisiaj jednak miał szczęście. Kiedy rano zaczął się szykować do pracy, żona po raz kolejny spytała złośliwie, dokąd to się wybiera w sobotę. W ciągu ostatnich czterech lat nie spędził w domu ani jednej soboty, ale za każdym razem jego wyjściu do pracy towarzyszyły podejrzliwe pytania i daleko idące wnioski, wyciągane ze zwięzłych, uprzejmych odpowiedzi Jury. Małżonka od wczoraj była w fatalnym humorze, dlatego też nie wymagało wielkiego trudu doprowa-

dzenie do tego, by z jej ust padły magiczne słowa, które otwierały Korotkowowi drogę do upragnionej kanapy, stojącej przy otwartym oknie w pustym pokoju Siełujanowa. Im bardziej ostre i nieprzyjazne były wymówki żony, tym „boleśniej” i „głębiej” mógł się poczuć dotknięty Jurij.

- Czuję, że najbardziej byś się cieszyła, gdybym umarł i więcej ci nie przeszkadzał - oświadczył zimno, otwierając drzwi wejściowe i zarzucając torbę na ramię. - Nocować będę w pracy albo u Kolki, odpocznij sobie ode mnie, może w końcu zrozumiesz, że nie wolno nikim bez końca pomiatać.

Sobotni dzień był pełen bieganiny i różnych spraw, Nikołaj był zajęty Maratem Łatyszewem i jego alibi, Jura poświęcił kilka godzin Jekatierinie Gołowanowej, której zachowanie wydawało mu się dziwnie podejrzane. Oczywiście, mało prawdopodobne, żeby sama zorganizowała dwa wymagające starannego zaplanowania i precyzyjnego wykonawstwa zabójstwa, ale niewątpliwie mogła być ich inspiratorką. Ciekawe, z kim współdziałała? Z rodzicami Eleny? Z matką Turbina? Z porzuconym kochankiem Maratem Łatyszewem?

Drugą część dnia poświęcił Korotkow Weronice Matwiejewnie Turbinej, dziwnej kobiecie, która mając siódmy krzyżyk na karku, zapałała nagle chęcią ustawicznych przeprawek. Oczywiście, sobota nie była najszcześniejszym dniem dla poczynań Jurija, gdyż w maju ludzie już zaczęli wyjeżdżać na dache i trudno ich było zastać w domu. Mimo to jednak zdobył garść informacji.

Do Siełujanowa do domu przyjechał Korotkow razem z gospodarzem, z którym spotkali się w pół drogi. Wstąpili do dużego uniwersamu, gdzie zrobili zakupy. Co prawda, kupował przede wszystkim Jura. Tak bywało zawsze, gdy miał nocować u przyjaciela. Z początku Kola usiłował odgrywać gościnnego gospodarza i przygotowywać kolację, ale Jurij szybko położył kres jego kulinarnym próbom.

- Kola, w domu po prostu nie mogą patrzeć na jedzenie. Nie w tym rzecz, że Lalka źle gotuje, po prostu są tylko dwie

pensje i cztery gęby do nakarmienia, więc musi gospodarować oszczędnie. Oczywiście, ja za te same pieniądze żywiłbym się zupełnie inaczej, ale czy mogę pisać choć słowo na ten temat? Na wszystko ma jedną odpowiedź: jak zaczniesz przynosić do domu tyle pieniędzy, ile Iwanow, Pietrow czy Sidorow, wtedy będziesz mógł mnie pouczać, jak należy się odżywiać i jakie produkty kupować. No i co mam jej na to odpowiedzieć? Że nie jestem winien temu, że w czasach mojej młodości praca w milicji po ukończeniu studiów prawniczych uchodziła za zajęcie prestiżowe i cieszyła się powszechnym uznaniem, a cywilistyka, prawo finansowe czy handlowe to było skazanie się na monotonię i nudę radcostwa w takiej czy innej instytucji? I że dwadzieścia lat temu, kiedy wybierałem kierunek studiów, nikt nie mógł przewidzieć, że wszystko się zmieni i stanie na głowie? Że specjaliści od finansów, ekonomiści, księgowi, prawnicy cywiliści, których, delikatnie mówiąc, uważano wtedy za nic, dziś okażą się królami życia i milionerami, a my, duma narodu i elita, znajdziemy się na marginesie, opluwani i ob smarowywani przez każdego, kto ma ręce i nogi? Krótko mówiąc, Kola, jeśli pozwolisz mi u siebie nocować, ja sam będę gotował. Mówię ci, nie pożalujesz. Żarcie będzie, że palce lizać.

Siełujanowowi bardzo to odpowiadało.

Wyładowali siatki jakimiś wymyślnymi sosami, przyprawami, warzywami, których nazw Nikołaj nawet nigdy nie słyszał i nie miał pojęcia, co można z nich przyrządzić, a Jura kupił tylko po parę sztuk każdego rodzaju, i szybkim krokiem ruszyli w stronę domu Siełujanowa.

- Czym tak pachnie z twojej torby? - dopytywał się niewysoki Siełujanow, spoglądając z dołu w twarz masywnego Korotkowa i przełykając ślinę. Smakowita woń podrażniła jego apetyt.

- Nie powiem - oświadczył twardo Korotkow, dla którego największą przyjemnością było sprawić, by przyjaciel gubił

się w domysłach. Nigdy nie zdradzał wcześniej, co zamierza ugotować. Ale potrawy zawsze udawały się doskonale.

- Prawdziwe bydlę z ciebie, Korotkow! - oburzył się Kola. - Wiesz przecież, że mogę znieść wszystko oprócz niezaspokojonej ciekawości. No powiedz, co tak pachnie. Marynowany czosnek?

- Nie.

- Dymka?

- Nie. Kola, uspokój się. - Jura wybuchnął w końcu śmiechem. Już otwierał drzwi do klatki schodowej. - Za godzinę się dowiesz.

- Chyba zwariowałeś! - zachnął się Nikołaj. - Za godzinę zejde z głodu i ciekawości.

- Jeżeli będziesz się dobrze zachowywał, wpuszczę cię do kuchni, żebyś mógł podziwiać pracę mistrza - obiecał Korotkow.

Na miejscu każdy z nich zajął się własnymi obowiązkami, Jura włożył fartuch i zaczął obierać i kroić warzywa, Siełujanow zaś rozłożył przed sobą kartki z zapiskami, wyrwane z notesu.

- Krótko mówiąc, Łatyszew przyznał się, że w chwili zabójstwa był w pobliżu urzędu w Kuncewie - zakończył relację. Zwięźle przedstawił Jurze swoją rozmowę z Maratem i jego przyjaciółką Jemieljancewą.

- A kto widział samochód Łatyszewa? - zaciekawił się Korotkow, drobno siekając cebulę i wierzchem dłoni ocierając łzy.

- Jeśli chcesz znać prawdę, nikt. Blefowałem - przyznał się Kola.

- Co, tak na chama?

- No, niezupełnie. Jakiś zielony wóz tam był, jest świadek, który go widział. Ale z numerem to już pograłem va banque. Okazało się, że trafiłem w dziesiątkę.

- A ten świadek to kto?

- Facet, który na budowie obok pracuje jako dźwigowy. Siedzi wysoko, więc ma duże pole widzenia. Pierwsze, co

zrobiłem, to pociągnąłem za język tych budowlańców, dobrze, że pracują w soboty. Operator dźwigu powiedział, że plac, na którym stoi budynek urzędu, jest z jego miejsca dobrze widoczny, i on tam cały czas zerka. Sam ma zamiar wkrótce się ożenić, dlatego go to ciekawi. I on właśnie sobie przypomniał, że około jedenastej ruszył spod urzędu i przejechał z dużą prędkością przez plac zielony samochód.

- Miałeś szczęście - przyznał Korotkow. - I co zamierzasz robić dalej?

- Naradzić się z tobą. - Nikołaj uśmiechnął się. - Poza tym, że Łatyszew był w pobliżu urzędu, nic na niego nie mam. Rozmawiałem ze śledczym, który kategorycznie odmówił wydania nakazu przeszukania w mieszkaniu Łatyszewa w celu odnalezienia broni.

- Miał rację. Minął tydzień i jeżeli pistolet jest u Marata, to z pewnością tam pozostanie, na rewizję nigdy nie będzie za późno. Jeśli natomiast facet go wyrzucił, to przeszukanie tym bardziej nie ma sensu. Teraz możemy już tylko kombinować na różne sposoby; na podjęcie jakichś radykalnych działań jest za późno. Pamiętaj o tym, że osób, którym zależało na tym, aby nie dopuścić do małżeństwa Bartos i Turbina, wytypowaliśmy sporo, a zabójstwa mogła dokonać każda z nich. Marat akurat podpadł, a inni mieli więcej szczęścia, nikt ich nie widział ani nie rozpoznał, ale to wcale nie znaczy, że ich tam nie było. Weź, na przykład, tę Gołowanową czy starą Turbiną. Albo samą Tamię Bartos. Zabiła, narobiła zamieszania w urzędzie, dyskretnie oddała komuś broń, choćby Kati, która kręciła się w pobliżu, starając się nie nasuwać na oczy narzeczonej. Katia szybko odjechała samochodem Marata, który czekał na nią pod urzędem. I po sprawie. Więc albo trzeba by przeszukać mieszkania wszystkich, albo przyczaić się i działać po ciuchtku.

- On właśnie tak powiedział, słowo w słowo - rzekł Siełujanow. - Aha, jeszcze coś, żadnych powiązań Łatyszewa z pracownikami urzędów na razie nie wykryłem. Tak że

jeżeli potraktujemy go jako głównego podejrzanego, na początek będziemy musieli zająć się właśnie tą sprawą. A u ciebie co nowego?

- U mnie? Weronika Matwiejewna. - Korotkow westchnął ciężko. - Bardzo dziwna osoba. Posłuchaj, opowiem ci, czego zdołałem się dowiedzieć. Turbina urodziła się w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku w rodzinie znanego architekta. Wychowała się w dostatku, dbano o nią i kochano ją. Skończyła medycynę i jako specjalizację wybrała laryngologię. Nie była zameżna. Jej ojciec zmarł w roku pięćdziesiątym szóstym, a matka - w sześćdziesiątym trzecim. Została sama w wielkim, pięknym mieszkaniu, pełnym książek, obrazów i antyków. W sześćdziesiątym ósmym urodziła syna Walerika; nikt nie wie, kto jest ojcem dziecka. Turbina miała dwie bliskie przyjaciółki, które pewnie wiedziały, ale obie już nie żyją, jedna zmarła w zeszłym roku, druga przed czterema laty, tak że nie ma kogo zapytać. Bo dawne sąsiadki i koleżanki z pracy też nic nie potrafią powiedzieć: Turbina sama nigdy nie mówiła na ten temat, więc nie wypadało pytać. I tak sobie żyła Weronika Matwiejewna w swoim zastawionym antykami mieszkaniu do roku osiemdziesiątego piątego, chowała Walerika, a potem nagle jakby coś w nią wstąpiło, zaczęła się przeprowadzać, przy czym każde następne lokum było mniejsze i gorsze od poprzedniego.

- Czyli zamiana z dopłata? - wtrącił Siełujanow.

- Najprawdopodobniej - przytaknął Jura. - Rodzi się więc uzasadnione pytanie: na co są jej potrzebne pieniądze? Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że pierwsza przeprowadzka nastąpiła, kiedy Walerij miał siedemnaście lat, można założyć, że forsa była przeznaczona na jakąś olbrzymią łapówkę. Żeby uchronić chłopaka przed wojskiem albo zapewnić mu przyjęcie na uczelnię, co zresztą wychodzi na jedno.

- Poczekaj, ale przecież w tym czasie stuknęła jej już sześćdziesiątka. Prawda? Wobec tego nie mogło chodzić o wojsko, bo Walerij był jej jedynym synem i jako opiekun



starej matki zostałyby zwolniony z obowiązku służby wojskowej.

- A, cholera, zupełnie zapomniałem o tym przepisie. - Korotkow skrzywił się. - Czyli musimy odrzucić moje sugestie i zacząć od początku. Na co akurat w osiemdziesiątym piątym roku mogły być jej potrzebne pieniądze? I to taka duża suma?

- A może chciała się przed kimś ukryć, zmieniając miejsce zamieszkania? Nie pamiętasz, kiedy się przeprowadziła po raz pierwszy?

- W kurtce, w górnej kieszeni, jest mój notes, przynieś go, bądź tak dobry. Mam tam zapisaną datę.

Nikołaj wrócił z okryciem i na oczach Korotkowa wyjął kartkę, którą sam dwa dni temu zostawił na jego biurku.

- Dziwne. - Wzruszył ramionami. - Kobieta mieszka sześćdziesiąt lat w tym samym domu i nagle przenosi się dosłownie na sąsiednią ulicę.

- Mówisz serio?

Korotkow przestał mieszać nożem smażącą się na patelni cebulę i wbił spojrzenie w przyjaciela.

- Jesteś pewien, że jej nowe mieszkanie znajdowało się przy sąsiedniej ulicy? - zapytał.

- Ależ tak, jestem zupełnie pewien. O trzy minuty drogi pieszo od starego. Jeżeli nie wierzysz, możemy tam pojechać, sprawdzisz.

Ale Korotkow wierzył. Kola Siełujanow znał Moskwę jak własną kieszeń, tak że na jego słowach można było polegać.

- A więc nie chodziło o to, żeby się ukryć - wymamrotał Jura, zlizując z noża przyklepione do ostrza złociste drobinki cebuli. - Czyli jednak potrzebne jej były pieniądze. Tyle że nie na zwolnienie Walerija z wojska i nie na łapówkę na uczelni. W takim razie na co? Walerik dopuścił się jakiegoś przestępstwa i trzeba było spłacić poszkodowanych albo dać w łapę śledczemu?

Umilkli na parę minut, gdyż Korotkow przystąpił do wymagającej najwyższego skupienia i wyrafinowania czynności

- przygotowania marynaty. Ponieważ Siełujanow nie miał na gospodarstwie szklanek z podziałką, wszystkie składniki Jura musiał odmierzać na oko. Jakiegokolwiek rozmowy były przy tym wykluczone.

Gdy już marynata była gotowa, Korotkow włożył do niej starannie pokrojone i zbite mięso, po czym spojrzął na zegarek.

- Kotlety po tadżycku powinny leżeć w zalewie dokładnie czterdzieści pięć minut - oznajmił. - To będzie nasze drugie danie gorące. Pierwsze podam za dziesięć minut.

- A co zjemy na pierwsze? - niecierpliwie spytał Kola.

- Ragout z dziesięciu warzyw. Nie bój się, będzie ci smakowało, pycha. A teraz wrócimy na chwilę do mojej staruszki. Sprawę pieniędzy zostawmy na razie otwartą i zajmijmy się tym, co zaprzęta Turbiną dzisiaj. A więc, drogi przyjacielu, po pierwsze, nie chce ona, żeby jej syn ożenił się z Eleną Bartos, dla czego nie widzę żadnego racjonalnego uzasadnienia, po drugie, jeździ aż do Luberc, gdzie diabeł mówi dobranoc, i odwiedza tam w niewiadomym celu pewnego recydywistę, alkoholika Pawła Smitijenkę.

- Kogo, kogo? - zapytał nagle Siełujanow, zaskoczenia strząsając popiół nie do popielniczki, ale do szklanki z wodą mineralną. - Pawła Smitijenkę?

- No tak. A co, znasz go?

- Coś ty, Jura, zapomniałeś? Ty też go znasz. Niemożliwe, żebyś nie pamiętał. Osiemdziesiąty rok, wszyscy zostaliśmy wezwani na świadków, bo wszyscy go znaleźliśmy. Przypominasz sobie teraz?

- A niech to, do diabła!

Korotkow ciężko opadł na krzesło i wytarł ręce w fartuch.

- Więc to on?

- No tak. Smitijenko.

- Że też nazwisko wyleciało mi z głowy! Coś podobnego! Oczywiście, teraz sobie przypominam, Paweł Smitijenko. Boże, co za ohyda! - Skrzywił się z obrzydzeniem. - Jak o tym

pomyśle, rzygać mi się chce. I co wspólnego może mieć taki obmierzły typ z emerytką, była lekarką, córką sławnego architekta?

- Zlecenie? - wysunął domysł Nikołaj. - Zleciła mu nie-dopuszczenie do ślubu syna?

- Możliwe. Tylko dlaczego? Czemu tak bardzo nie chce, żeby ożenił się z Elena? Zresztą jeżeli Smitijenko rzeczywiście jest alkoholikiem, wyciągnięcie z niego prawdy to kwestia dwóch minut. Jutro raniutko się do niego wybiorę i napoję go darmową wódką.

- Jadę z tobą - oświadczył zdecydowanie Siełujanow.

- A niby po co? - zdziwił się Jura. - Poradzę sobie sam, to nic trudnego.

- Ciekawość mnie zżera. - Nikołaj uśmiechnął się. - No i z przyjemnością popatrzę sobie na Paszkę, tyle lat go nie widziałem.

- Dobra - zgodził się Korotkow. - Pojedziemy razem.

Zjedli kolację, wypili butelkę wódki, z której na Korotkowa przypadło trochę mniej niż jedna trzecia. Potem jeszcze długo siedzieli w kuchni, jakby w ciągu tygodnia pracy nie zdążyli się nagadać. Kola tęsknił za dziećmi i z goryczą mówił o wiarołomnej żonie. Jura narzekał, że nie może odejść od swojej Lalki, zostawić jej samej z synem i sparaliżowaną matką. Poza tym, oczywiście, rozmawiali o dziwnej, zawikłanej sprawie dwóch zastrzelonych panien młodych i o dwóch jednakowych listach, które w przeddzień ślubu otrzymały zupełnie inne kobiety. Co jakiś czas któryś z nich wtrącał z westchnieniem:

- Szkoda, że Aśka jest na urlopie! Ona by się w tym połapała...

Niedziela, która dla Nasti Kamieńskiej miała być dniem spokojnego leniuchowania, nieoczekiwanie przyniosła napięcie i stres. Najpierw zadzwoniła matka Anastazji, Nadieżda Rostisławowna. Nastia i Aleksiej byli dziś zaproszeni na niedzielny obiad do niej i ojczyma, ale plany

się zmieniły. Leonida Pietrowicza pilnie wezwano do pracy, na wydział prawa, gdzie prowadził zajęcia z kryminalistyki. Zmarł nagle ktoś z kierownictwa instytutu i należało zorganizować pogrzeb i stypę, a jak zwykle w niedzielę, nikogo nie można było znaleźć.

- Nastiuszka, ponieważ tatuś zaraz musi wyjść i wróci dopiero późnym wieczorem, zrobimy inaczej - mówiła stanowczym tonem matka. - Ojciec podrzuci mnie do was, a kiedy się już ze wszystkim upora, wstąpi po mnie w drodze do domu. Pogadamy sobie, poplotkujemy, a wy przyjdziecie do nas we wtorek albo w środę.

- Oczywiście, mamusku.

Nieoczekiwana wizyta matki znaczyła, że planowane pół dnia spokojnej pracy nad przekładem diabli wzięli. Należało jakoś ogarnąć mieszkanie, odkurzyć, uporządkować porozrzucone rzeczy, pójść do sklepu i ugotować obiad. Nie była to przyjemna perspektywa, ale Nastia nie mogła przecież wy mówić się od spotkania z matką.

W kulminacyjnym momencie sprzątanania zadzwonił Anton Szewcow.

- Anastazio Pawłowno, przepraszam bardzo, rozumiem, że to nie wypada, ale naczelny przyłożył nam nóż do gardła.

- Co się stało?

- Pamięta pani, rozmawialiśmy o wywiadzie, którego udzieli pani naszej gazecie w zamian za to, że zamieścimy zdjęcie tej kobiety?

- Pamiętam. I co?

- Widzi pani, puściliśmy je we wczorajszym numerze, a naczelny powiedział, żeby pod fotografią i informacją, że ta osoba jest poszukiwana, dać następujący tekst: „Szczegóły na temat krwawego zajścia, w związku z którym koniecznie należy odnaleźć tę kobietę, już w poniedziałkowym numerze. Czytajcie wywiad naszego reportera z naocznymi świadkami wydarzeń”. Z komercyjnego punktu widzenia postąpił słusznie. Taka zapowiedź sprawi, że za miejsce na

reklamę w jutrzejszym numerze będzie mógł policzyć trzy razy drożej niż normalnie.

- Rozumiem - powiedziała Nastia. - W czym problem?

- Ano w tym, że jeśli wywiad ma się ukazać jutro, trzeba go przeprowadzić zaraz. Rozumiem, jest niedziela, ma pani inne plany, ale...

- Co mam z panem zrobić? - Nastia westchnęła. - Dobrze, możemy się umówić. Tylko niech pan weźmie pod uwagę, że nie mogę wyjść z domu. Czekam właśnie na matkę, która zostanie u mnie do wieczora.

- Oczywiście, oczywiście, Anastazjo Pawłowno, przyjeździemy do pani do domu, tylko proszę wyznaczyć godzinę.

- Może o trzeciej, dobrze?

- Stawimy się punktualnie co do minuty - zapewnił Nastię Anton.

Złoszcząc się na siebie w duchu za brak asertywności, Anastazja zaciekle wodziła końcówką odkurzacza po leżącym w pokoju dywanie. Co za pech, jednego dnia wizyta matki i jeszcze dziennikarze. Niestety, na tym nie miało się skończyć. Akurat gdy wreszcie sprzątnęła, wzięła prysznic i w ulubionym szlafroku usiadła w kuchni, żeby wypić filiżankę kawy i przegryźć jakąś kanapkę, rozległ się dzwonek do drzwi i do mieszkania wpadła Dasza.

- Daszeńko, zamiast dziecka masz chyba w brzuchu balon powietrzny i na nim lataasz - zażartował Losza, całując dziewczynę. On, który zawsze był chudy jak szczapa i, wedle obrazowego określenia przyjaciół, grzechotał kośćmi przy każdym kroku, nie potrafił sobie wyobrazić, jak można żyć z takim brzuchem, ba, nie tylko żyć, ale poruszać się, chodzić, a nawet biegać.

- Jesteś sama? A gdzie Sania? - spytała Nastia, uściskawszy bratową.

- Na dole, zamyka samochód.

- Tak? - rzuciła podejrzliwie Nastia. Już dawno zwróciła uwagę, że brat nie tracił na to ani chwili, twierdząc, że alarm

włącza się automatycznie, z chwilą gdy on zamyka na klucz drzwi od strony kierowcy. Coś tu było nie tak.

Jednak podejrzenia Nasti okazały się przedwczesne. Po paru minutach do mieszkania wszedł Sania, zgięty pod ciężarem ogromnej skrzynki.

- Co to? - ze strachem zapytał Aleksiej, patrząc na pakę, która musiała ważyć co najmniej ze czterdzieści kilogramów.

- Owoce i świeże ryby. Jeszcze dziś w nocy pływały w Morzu Kaspijskim - z trudem łapiąc oddech, wyjaśnił Aleksander. - Przesyłka od przyjaciela z Baku. To miał być prezent ślubny, ale pod koniec zeszłego tygodnia było tam jakieś zamieszanie, zamknięto lotnisko. Dopiero wczoraj wznowiono loty. Dzwonił do mnie, że porannym rejsem wysłał świeżo zerwane owoce i ryby, które zostaną złowione wieczorem. Mówiłem mu, że nie trzeba, żeby sobie nie robił kłopotu, wesele odbyło się tydzień temu, ale nawet nie chciał słuchać. Tak postanowił i kropka. Twoja żona powinna się teraz dobrze odżywiać, powiedział, niech je na zdrowie.

- Co racja, to racja - rzuciła ze śmiechem Nastia. - Daszy przydadzą się te smakołyki. Ale dlaczego przydzwigałeś je tutaj?

- A co miałem zrobić? - Aleksander rozłożył ręce. - Facet przysłał pięć takich skrzynek. Po jednej chcemy zawieźć rodzicom, moim i Daszy, ta jest dla was. Muszę gdzieś upchnąć jeszcze jedną. Owoców nie można długo przechowywać, są bardzo dojrzałe, trzeba je zjeść najdalej w ciągu trzech, a jeszcze lepiej dwóch dni. O rybach nawet nie ma co mówić. Zamrozić je już za późno, pół doby spędziły na upale. Muszą być natychmiast przyrządzone i spożyte. Asiu, nikt z twoich znajomych nie wzięłby trochę? Szkoda, żeby się zmarnowały. Człowiek zadał sobie ryle trudu, pakował, wysyłał...

Nastia pieszczotliwie pogładziła brata po mokrej od potu twarzy i cmoknęła go w nos.

- Sania, z tobą naprawdę można zwariować. Dlaczego dźwigałeś taki straszny ciężar sam? Przecież Loszka by zszedł i ci pomógł. Mogłeś sobie zrobić jakąś krzywdę. Patrzcie go, Żabotyński\* się znalazł. A o tę zbywającą skrzynkę bądź spokojny, ja i Czistiakow też mamy rodziców.

- Świetnie! - ucieszył się Sasza. - To teraz daj mi się czegoś napić i pojedziemy dalej, odwieźć te cholerne skrzynki.

Nastia przyniosła bratu szklanekę wody mineralnej i z czułością patrzyła, jak przy każdym łyku porusza się grdyka na jego chudej szyi. Nagle przysła jej do głowy pewna myśl.

- Sania, niech Daszka zostanie u nas przez ten czas, kiedy będziesz rozwoził skrzynki. Po co ma się z tobą tłuc i wdychać spaliny? My tymczasem posortujemy owoce, wybierzemy te, które trzeba zjeść od razu, odłożymy te, co mogą poleżeć, i pogadamy sobie o babskich sprawach. Co ty na to, Daszuniu?

Nastia mrugnęła do Daszy porozumiewawczo, dając jej do zrozumienia, że bynajmniej nie chodzi o owoce.

- Oj, tak, Sanieczka, pozwól mi zostać, dobrze? Potem po mnie przyjedziesz.

- Dobrze, zostań - zgodził się Kamieński. - Będę z powrotem koło piątej.

Mężczyźni zjechali na dół i po paru minutach przydzwigali kolejną skrzynkę, której zawartość należało podzielić między rodziców Loszy i Nasti.

Drzwi za Saszą jeszcze się dobrze nie zamknęły, gdy zjawiła się wyświeżona i zabójczo elegancka Nadieżda Rostisławowna. Za nią stał Leonid Pietrewicz z ogromną torbą w ręku.

- Dziecino, oddaję ci mamę do rąk własnych i uciekam - zapowiedział na wstępie. Wystarczyło jedno spojrzenie, by wyczuł nastroj pasierbicy. Od razu zauważył wyraz zmieszania i obawy na jej twarzy, a także stojącą w pokoju Daszę,

Leonid Żabotyński, zawodnik wagi ciężkiej w podnoszeniu ciężarów, w latach 60.-70. XX w. wielokrotny medalista mistrzostw świata i igrzysk olimpijskich, reprezentant ZSRR (przyp. tłum.).

i zorientował się, że nagły ścisk w maleńkim mieszkaniu wytrącił Nastię z równowagi.

Anastazja ucałowała go z wdzięcznością, nie kryjąc ulgi.

- Weź torbę, to dla ciebie.

- Co to? - zdziwiła się Nastia.

- Prezenty od mamy. Przywiozła ci ze Szwecji różne ciuszki i kosmetyki.

Anastazja rzuciła okiem na zegarek. Do przyjazdu dziennikarza i fotografa pozostało dwadzieścia minut. Cóż, jeśli uda się dziś nie zwariować, to już nic nigdy nie zagrozi jej równowadze psychicznej.

W ciągu tego krótkiego czasu Nastia zdążyła poinstruować Daszę, zwięźle wyjaśnić sytuację mamie, przebrać się i nawet lekko podmalować. Punktualnie o trzeciej zjawili się Szewcow i dziennikarz, Sława Wostroknutow.

- Nie chciałabym, żeby moje zdjęcie ukazało się w gazecie - powiedziała im Nastia, gdy już usiedli. - Dlatego proponuję równorzędne zastępstwo. Udzieli wam wywiadu moja bratowa, która również tam była. Anton, pamięta pan Daszę?

- Oczywiście - przytaknął Szewcow z uśmiechem. - Trudno pani nie zapamiętać - zwrócił się do Darii. - Ma pani bardzo wyrazistą urodę.

- Nie urodę, tylko sterczący brzuch. - Dasza roześmiała się dźwięcznie. - Po prostu w urzędach stanu cywilnego nieczęsto widuje się kobiety w tak zaawansowanej ciąży. Ale doceniam pańską delikatność.

- A więc - mówiła dalej Nastia - udzieli wam wywiadu Daria Kamieńska, którą możecie też fotografować do woli. Jeżeli macie jakieś pytania, na które potrafię odpowiedzieć tylko ja, a bezwarunkowo muszą się znaleźć w wywiadzie, odpowiem na nie, ale moje słowa przypiszeć Daszy. O mnie w ogóle nie należy wspominać. Umowa stoi?

Po minie dziennikarza Nastia zorientowała się, że nie jest zachwycony jej propozycją; wolałby, żeby wywiadu udzielił pracownik wydziału kryminalnego, bo potem mógłby wykorzystać ten fakt jako dowód użytecznych znajo-



mości w kręgach moskiewskiej milicji. Kiedy ktoś nie chce z dziennikarzem rozmawiać i udostępnić mu koniecznych informacji, dobrze jest rzucić niekiedy od niechcienia: „Wiem, jak należy traktować tego rodzaju dane, często udzielają mi wywiadów pracownicy wydziału kryminalnego, tydzień temu, na przykład, opublikowałem rozmowę z Anastazją Kamińską z sekcji zabójstw”. Ale czy Sławie Wostroknutowowi podoba się pomysł Nasti, czy nie, i tak musi zrobić wszystko, co ona powie, gdyż we wczorajszym, sobotnim numerze „Wiadomości Kryminalnych” ukazała się zapowiedź, że w poniedziałek gazeta zamieści ten cholerny wywiad.

Anton od razu pstryknął kilka zdjęć Daszy, żeby później nie odrywać jej od rozmowy z dziennikarzem, po czym Nastia zaprowadziła go do kuchni i zostawiła w towarzystwie męża i matki, a sama wróciła do pokoju.

Kiedy Anastazja przyprowadziła do kuchni Antona Szewcowa, Losza od razu wyczuł, że we troje nie stanowią dobrego towarzystwa. Nastia prosiła matkę, żeby zabawiła fotografa rozmową, dopóki dziennikarz nie skończy wywiadu z Daszą, więc Czistiakow nie widział tu roli dla siebie. Sterczeń bez słowa, jak kołek? Zająć się przygotowaniem obiadu? Brać udział w bezsensownej rozmowie z nieznanym człowiekiem, z którym miał tylko tyle wspólnego, że przypadkowo znaleźli się obaj o tym samym czasie w tym samym miejscu - miejscu, gdzie dokonano zabójstwa? Mógłby, oczywiście, wdać się w pogawędkę nie z fotografem, który go nie interesuje, lecz z Nadięzdą Rostisławowną, znaną dobrze i od dawna, a Szewcow - jeśli zechce - niech się włączy do rozmowy.

Słowem, po przeanalizowaniu wszystkich ewentualnych wariantów rozwoju sytuacji w małej, ciasnej kuchni Czistiakow podjął rozsądną decyzję o wycofaniu się. Pięć minut później z zaambarasowaną miną zaczął grzebać w lodówce i po dłuższej chwili oznajmił, że przez roztargnienie

popęłnił niewybaczalny błąd: do przygotowania dzisiejszego obiadu konieczny będzie potrzebny majonez, a on wczoraj zapewniał Nastię, że nie trzeba go kupować, bo w lodówce stoją dwa słoiki. Tymczasem okazuje się, że to nie majonez, tylko chrzan. Krótko mówiąc, bardzo przeprasza, ale musimy pędzej biec, bo dziś, w niedzielę, prawie wszystkie sklepy są zamknięte, więc poszukiwania majonezu mogą się przeciągnąć, niewykluczone, że będzie musiał pojechać do śródmieścia, do Jelisiejewa\* na Twerską.

Wygłosiwszy całą tę tyradę, profesor Czistiakow włożył dzinsową kurtkę i opuścił mieszkanie, w którym zgromadziło się jednocześnie zbyt wiele osób.

- ...Dlaczego tego dnia znalazła się pani w urzędzie? Co panią tam sprowadziło?

- Byłam świadkiem na ślubie Nasti...

- Była świadkiem na ślubie szwagierki - poprawiła Daszę Anastazja. - Imiona i nazwiska nie są istotne, to czytelnika nie interesuje.

- W jakim nastroju przyjechała pani do urzędu?

- W doskonałym. Sama godzinę wcześniej wyszłam za mąż, więc i humor miałam odpowiedni, sam pan rozumie.

- Co pani mówi? Pani też brała ślub trzynastego maja?...

Nadieżda Rostisławowna gościnnie zaproponowała Antonowi Szewcowowi herbatę. Zaczęła się krzątać, czemu towarzyszyły żartobliwe komentarze i zgodny śmiech gospodyni i gościa, gdyż matka od tak dawna nie była u Nasti, że kompletnie nie miała pojęcia, gdzie co leży. Najdłużej szukała herbaty.

- Wie pan co, Anton, obawiam się, że będę musiała pana przeprosić. Nic z tego nie będzie - powiedziała w końcu,

Bardzo znany moskiewski sklep jeszcze z czasów przedrewolucyjnych, wciąż nazywany nazwiskiem dawnego właściciela (przyp. tłum.).

sprawdziwszy we wszystkich szafkach i szufladach. - Nie mogę znaleźć herbaty.

- Wszędzie pani zaglądała? - spytał Anton, który uważnie śledził poszukiwania i mógłby wskazać co najmniej pięć miejsc, gdzie mogła leżeć herbata, a Nadieżda Rostisławowna tam nie zajrzała.

- Moim zdaniem, wszędzie. Wie pan co, zaparzę panu kawy.

- Dziękuję, Nadieżdo Rostisławowno, ale kawy nie pijam.

- Dlaczego?

- Serce. Lekarze mi zabronili.

- Co pan mówi! - zdumiała się kobieta. - Taki młody człowiek! Bardzo panu współczuję. Cóż, kiedy młodzi chorują, a starzy mają się dobrze, to nie jest normalna sytuacja. Ja, na przykład, jestem zdrowa jak ryba, a moja Nastienka bez przerwy na coś narzeka. Ma problemy z krążeniem, stale ją boli krzyż. Pewnie to nasza wina, sami chowaliśmy się na naturalnej żywności, a was częstowaliśmy chemią. Zniszczyliśmy środowisko, zanieczyściliśmy powietrze.

- Więc jak to się stało, że pani córkę przyjęto do pracy w milicji, skoro jest tak słabego zdrowia? Po znajomości, za łapówkę?

- Skądże znowu, nic podobnego. Została zatrudniona zgodnie ze swoją specjalnością, skierowano ją tam bezpośrednio po studiach. Co prawda, mój mąż całe życie pracował w wydziale kryminalnym...

- A widzi pani - wtrącił Szewcow.

- Ale on nie miał z tym nic wspólnego, daję panu słowo. Nastia do wszystkiego w życiu doszła sama.

- I komisja lekarska zakwalifikowała ją mimo kłopotów z kręgosłupem?

- Bo nic nikomu nie powiedziała, że miała uraz, a lekarze to przeoczyli. Trudno się dziwić.

- Czyli żeby dostać pracę w milicji, trzeba było się uciec do kłamstwa? - Anton wybuchnął śmiechem. - Życie płata zabawne figle.

- Nie, nie chodziło o kłamstwo. Wystarczyło zataić prawdę. To nie to samo.

- Według mnie, na jedno wychodzi. Aha, proszę zajrzeć do tego pojemnika, tam jeszcze pani nie sprawdzała. Może się znajdzie herbata.

- Tutaj? Och, rzeczywiście, coś podobnego, jest. Jak pan się domyślił?

- Intuicja.

- Skąd pewność, że już dziesięć minut po zabójstwie nikt nie mógł wyjść z urzędu?

- Ponieważ mój mąż i Alosza...

- Mąż mojej szwagierki - poprawiła Daszę Nastia.

- Tak, słusznie, mąż mojej szwagierki. A więc oni obaj stanęli przy drzwiach i nikogo nie wypuszczali.

- A dlaczego to zrobili? Ktoś im polecił tak postąpić?

- Nastia.

- Siostra mojego męża.

- Czemu jej to przyszło do głowy? Czy może znalazła się już kiedyś w takiej sytuacji?

- Przeczytała całe mnóstwo kryminałów i stąd wie, co i jak należy robić - odpowiedziała Nastia w imieniu bratowej. - Widzi pan, Sława, rozumiem, że chce pan zasugerować czytelnikom, że w urzędzie znalazł się akurat ktoś z milicji, kogo miał pan okazję poznać. Ale nie dopuszczę, żeby Dasza powiedziała choćby o jedno słowo za dużo.

- Dziękuję, Nadieżdo Rostisławowno, herbata była wspaniała. A ciekaw jestem, czy pani córka od dziecka chciała zostać prawnikiem i pracować w milicji?

- Ale skąd, zawsze interesowała się językami obcymi i matematyką. Byłam pewna, że pójdzie w moje ślady i zajmie się lingwistyką. Jak to się mówi, nic nie zapowiadało, że... Potem, od dziewiątej klasy, zawsze był przy niej Alosza. a nikt nie miał wątpliwości, że chłopak zostanie wybitnym

matematykiem. Sądziliśmy z mężem, że on i Nastieńka będą razem studiować. Ale, jak pan widzi, myliliśmy się.

- Córka nie pytała pani o zdanie?

- Oczywiście, że tak. Ja jej odradzałam, mąż ją namawiał. Widocznie jego argumenty okazały się silniejsze. Ale czemu to pana interesuje?

- Po prostu ciekawość. Córka wybrała niekobiecy zawód, a jak mi się zdaje, bardzo dobrze sobie radzi. Można by o tym napisać obszerny artykuł w naszej gazecie. To dobry temat.

- Być może, być może. - Nadieżda Rostisławowna w zamysleniu skinęła głową. - Choć, co prawda, o ile znam swoją córkę, nigdy się na to nie zgodzi.

- Dlaczego?

- Trudno to wytłumaczyć. - Kobieta roześmiała się. - Tak już ma charakter.

- Nie zależy jej na rozgłosie, sławie?

- Niech pan sobie wyobrazi, że nie.

- To niemożliwe. Wszyscy ludzie pragną być sławni, a już kobiety w szczególności. Myślę, że jednak da się namówić.

- Niech pan próbuje - rzekła z uśmiechem Nadieżda Rostisławowna. - Ale nie gwarantuję powodzenia.

Około szóstej wszystko wreszcie wróciło do normy. Dziennikarz i fotograf skończyli pracę i wyszli; Sasza przyjechał po żonę wcześniej, niż się umawiali, szybko wypił herbatę i zabrał Daszę do domu. Czistiakow, który czytał książkę na ławce w pobliżu, zobaczył, jak odjeżdża żółty samochód Szewcowa, i wrócił na górę. Zostali wreszcie we troje - Nastia, jej mąż i Nadieżda Rostisławowna.

Anastazja ani rusz nie mogła się pozbyć wrażenia, że matka stała się jej zupełnie obca. Od tak dawna mieszkała za granicą, że przestała rozumieć toczące się w Rosji życie, ludzi, ich radości i smutki. Nie pojmowała, dlaczego metrem jeździ się wygodniej i szybciej niż samochodem, i Nastia

musiała jej długo wyjaśniać, że teraz znacznie wzrosła liczba posiadaczy własnych aut, ulice stały się za ciasne, tworzą się korki, w których się traci całe godziny, dlatego ona, Anastazja, ani myśli kupować auta. Matka nie rozumiała też, dlaczego tak ważne jest, by na czas wypłacono pensję, i czemu tyle się o tym mówi.

- Trzeba umiejętnie gospodarować pieniędzmi - pouczała - żeby nie zostać bez grosza przy duszy pod koniec miesiąca. Odłóż po prostu pewną sumę na wypadek, gdybyś w porę nie otrzymała poborów.

- Mamo, nie o to chodzi, że nie starcza mi pieniędzy i nie mam ani kopiejki, tylko o to, że dziś moja pensja stanowi, dajmy na to, równowartość dwustu dolarów, a za tydzień będzie warta już tylko sto dziewięćdziesiąt. Pamiętaj o tym, że dolar wciąż drożeje.

- Tak? Jakoś nie mogę się do tego przyzwyczaić...

Kiedy Losza zostawił je na chwilę same, matka spytała Nastię ściszoneg głosem:

- Powiedz, dawno znasz tego fotografa, Antona?

- Od tygodnia. A czemu cię to interesuje?

- Czy on ma do ciebie o coś pretensje? Żle go potraktowałaś?

- Nie. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Nie lubi cię.

- Daj spokój, mamo. - Nastia skrzywiła się zniecierpliwiona. - A dlaczego miałby mnie lubić? Kim ja dla niego jestem? Poznaliśmy się przypadkiem w urzędzie stanu cywilnego, gdzie doszło do zabójstwa. Ja brałam ślub, a on fotografował, to jego praca.

- Nie, córeńko - obstawała przy swoim Nadieżda Rostisławowna. - Ma do ciebie jakąś złość.

- Mamo, nie fantazuj, proszę cię. Na jakiej podstawie tak twierdzisz?

- Bo od razu uznał, że do milicji dostałaś się po znajomości albo za łapówkę.

Nastia wybuchnęła śmiechem, chociaż tak naprawdę chciało jej się płakać.

- Mamo, za bardzo się przyzwyczaiłaś żyć wśród pogodnych, beztroskich ludzi, którzy nie mają żadnych problemów i dlatego mogą sobie pozwolić na luksus lubienia wszystkich. Od dawna nie mieszkasz w Rosji, więc nie wiesz, że dziś o łapówkach mówi się otwarcie i nikomu nie przychodzi do głowy, żeby się z tego powodu obrażać. Ludzie są pełni złości i nienawidzą się nawzajem. Gotowi są się pozabijać, jeśli to pozwoli im uszczknąć coś dla siebie. Otwórz oczy, mamoo! Przejrzyj wreszcie, zobacz, jak my żyjemy!

Nastia wiedziała, że matka czuje się dotknięta, i robiła sobie wyrzuty, że nie potrafiła się opanować. Powinna była rozmawiać z nią łagodniej. Co matka zrobi, kiedy skończy jej się kontrakt, będzie musiała wrócić i żyć tutaj, w Rosji, gdzie wszystko zmienia się tak szybko, że wystarczy wyjechać na trzy lata, by potem musieć się na nowo adaptować do nieznannej sytuacji? A może matka znów przedłuży sobie kontrakt i zostanie w Szwecji jeszcze jakiś czas? Czy potrafi żyć z ojczymem po tak długiej rozłące, czy też wyda się on jej nieodpowiednim partnerem w porównaniu z aktualnym ukochanym, Derekiem Cune'em, którego Nastia poznała podczas podróży służbowej do Włoch?

Wreszcie jednak ten długi, ciężki dzień powoli zaczął się zbliżać do końca. Przyjechał zmęczony Leonid Pietrowicz i zabrał żonę do domu. Nastia umyła naczynia i weszła na kwadrans pod prysznic, żeby się odprężyć. Nie udało jej się Jednak pozbyć napięcia, nawet pod strumieniami gorącej wody wciąż czuła nieprzyjemne dreszcze.

Wyszła z łazienki, nie zakręcając kranów, i owinięta ręcznikiem zjawiała się w kuchni. Nie zwracając uwagi na Loszę, który siedział przy stole i układał pasjansa, wyjęła z szafki wysoką szklanę i butelkę martini, nalała sobie solidną porcję i wychyliła alkohol jednym haustem. Ignorując zdziwione spojrzenie męża, w milczeniu odstawiła szklanę do

zlewozmywaka, a butelkę z powrotem do szafki, wróciła do łazienki i znów weszła pod prysznic. Po paru minutach poczuła się lepiej, napięte mięśnie rozluźniły się, dreszcze ustąpiły.

Nastia starannie się wytarła grubym, włochatym ręcznikiem, otuliła szlafrokiem i weszła do pokoju. Włączyła telewizor, ale po chwili rozdrażniona go wyłączyła. Na jednym programie jakiś typ o zmęczonej życiem twarzy śpiewał smętnie: „Jak piękna śmierć nas czeka przy tangu *Decadence...*”. Na drugim szła opera mydlana. Na trzecim - transmisja z meczu piłki nożnej. Na czwartym - jakieś koszmarne wygłupy strojącego błazeńskie miny kudłatego showmana.

„Boże drogi, mamo, nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, jak my tutaj żyjemy - myślała Nastia, rozkładając kanapę i wyjmując pościel. - Nie masz bladego pojęcia, co się tu dzieje. Przykładasz do ludzi jakieś nierzeczywiste miarki, odpowiednie, być może, dla rycerzy z baśni i romantycznych książek. No bo jeżeli mnie nie odpowiada to, co pokazuje telewizja, a jednak ten chłam idzie na wszystkich kanałach, widocznie większości się podoba. Wygląda więc na to, że większość w naszym kraju stanowią ludzie, którym się podoba ten kudłaty idiota i jego trywialne dowcipy, niekończące się teledyski prymitywnych piosenkarzy w bransoletach i kolczykach, reklamy, od których robi się niedobrze. Tacy teraz jesteśmy, mamo, pełni gniewu, rozdrażnieni i bezmyślni, a ty wciąż operujesz biblijnymi pojęciami, dzielisz ludzi na «dobrych» i «złych». Chyba już nigdy się nie zrozumiemy. Stałyśmy się sobie dalekie i obce”.

Nastia zdjęła szlafrok, zgasiła światło, wśliznęła się pod kołdrę i gorzko zapłakała.



## ROZDZIAŁ 9

Walerij Turbin odprowadził Ełę aż do drzwi mieszkania i pytająco spojrzął dziewczynie w oczy. Cóż, tak jak się spodziewał, znów nie zaprosiła go do domu. Na powrót znalazł się w roli wielbiciela i adoratora; nie był już narzeczonym, który jeszcze tydzień temu - gdyby nie głupi przypadek - miał się stać ślubnym małżonkiem Eli. Dlaczego sprawy tak się potoczyły? Dlaczego?

- Kiedy będę mógł cię znów zobaczyć? - zapytał, widząc, że dziewczyna już wyjęła klucze.

- Chyba jutro - odparła cicho.

- Jesteś zdenerwowana?

- Nie, wszystko w porządku.

- Wiem, że wciąż jeszcze myślisz o tym, co ci nagadał wczoraj ten palant. Elenko, moja kochana, naprawdę nie jestem zazdrosny, ani trochę, i nigdy nie będę ci robił żadnych wyrzutów, przysięgam. Zapomnij o tym wszystkim raz na zawsze.

- A więc Marat miał rację - powiedziała dziewczyna powoli i zniknęła za drzwiami mieszkania, zostawiając narzeczonego na podeście schodów.

Turbin ze złością uderzył pięścią w ścianę. Dlaczego ma takiego pecha? Przecież szło mu jak po maśle, aż nagle zdarzyło się to idiotyczne zabójstwo, które sprawiło, że wszystko legło w gruzach. Odłożono ślub, a teraz jeszcze napatoczył się ten cholerny Marat ze swoimi pieniędzmi i nuworyszowskimi zadęciami.

„A więc Marat miał rację...” Oczywiście, że miał, jeszcze jak! Każde jego słowo to była czysta, niezbita prawda. On, Walerij, dlatego robił tak żałosne wrażenie wczoraj na dacy, kiedy pojawił się Marat Łatyszew, że nie umiał znaleźć argumentów przeciwko jego wywodom. Cóż, całkowicie się z nim zgadzał, mógł się podpisać pod każdym słowem tamtego, dlatego nie był to spór, lecz raczej natchniony monolog

sprawiedliwego męża i pogńębienie nieszczęsnej ofiary. Tylko jaki z tego wszystkiego pożytek?...

Przypomniał sobie, jak pierwszy raz przespał się z kobietą. Nic jeszcze wtedy nie umiał i okropnie się bał, miał siedemnaście lat, a ona była o dziesięć lat od niego starsza. Okazała się cierpliwa i delikatna, rozumiała, że Walerij jest niedoświadczonym, młodym chłopcem.

- Dlaczego to zrobiłaś? - zapytał, kiedy już było po wszystkim. - Jak to się stało, że w ogóle zwróciłaś na mnie uwagę?

- Nie rozumiesz tego. - Uśmiechnęła się. - Masz w sobie coś... Nawet nie wiem, jak to wyrazić. Bije od ciebie jakiś żar. Wystarczy, że kobieta spojrzy w twoją stronę, i od razu zaczyna cię pragnąć. Wiesz, to się zdarza rzadko, bardzo rzadko, zwykle mężczyźni muszą się dobrze natrudzić, by kobieta naprawdę czuła coś takiego. Dlatego wymyślają tysiące różnych chytrych sztuczek i sposobów. A ty nie musisz tego robić. Bije od ciebie tak potężna fala, że już nic więcej nie trzeba, byleś tylko potrafił sprostać jej sile.

Walerij niezbyt dobrze ją wtedy zrozumiał, ale zapamiętał wszystko, co powiedziała, i stopniowo zaczął nabierać doświadczenia. Już po roku dotarł do niego w pełni sens słów kobiety. Następnie pół poświęcił Walera na to, by dobrze go sobie przyswoić i ustalić własny system wartości, pozostający w zgodzie z darem natury, który w sobie odkrył.

Walerik był miłym, porządnym chłopcem, wychowywał się pośród dobrych książek i obrazów, miał mądrą, wykształconą matkę, która nie zaglądając do podręcznika, potrafiła mu wyjaśnić każdą niezrozumiałą kwestię z dowolnego przedmiotu w zakresie całej szkoły średniej. Była niepodważalnym autorytetem intelektualnym, prawdziwą erudytką. Walerij dorastał w przeświadczeniu, że najważniejsze w życiu są wykształcenie i wiedza. Pozwalają one wybić się w każdym zawodzie i osiągnąć bez przeszkód zamierzony cel. Szkołę ukończył ze złotym medalem.

I nagle okazało się, że natura obdarzyła go czymś, co pozwoli mu osiągnąć te same cele, ale w inny, o wiele przy-

jemniejszy i mniej uciążliwy sposób. Więc co, dotychczasowe wyrzeczenia były niepotrzebne? Niezaliczone prywatki, nieobejrane filmy, niecałowane dziewczyny - wszystko, co poświęcił w imię zdobywania wiedzy i doskonalenia intelektu - to daremna ofiara? Mógł przecież bawić się do późnej nocy, po kryjomu pić wino w parkowej altance, ścisnąć podchmielone dziewczyny, a może nawet robić z nimi coś więcej, grać w karty, chodzić do kina zamiast na lekcje! Mógł przeżyć normalne, statystycznie przeciętne dzieciństwo ze wszystkimi jego urokami, zakosztować podniecającej lobużerki wieku dojrzewania, która tak skutecznie pomaga wyładować nadmiar energii, poznać wczesny seks, lekko zakropony alkoholem i podbudowany młodzieńczą brawurą. - Tak, nie musiał sobie tego wszystkiego odmawiać, a rezultat byłby taki sam. Jako że sekretarz komisji egzaminacyjnej na uczelni, na którą zdawał Walerik, młoda aktywistka partyjna przed trzydziestką, nie zwracając uwagi na jego wspaniałą cenzurę i medal, zrobiła, co należy, czyli wpisała go na listę tych, którzy i tak muszą się dostać. I uczyniła to z własnej woli, nieproszona przez Walerija, po piętnastu minutach, które spędzili sam na sam. W ciągu tego kwadransa, w zakamarkach korytarza na tyłach budynku, dostała wszystko, czego niedosyt odczuwała przez sześć lat małżeństwa, a Walerik zdobył kolejne doświadczenie: dla kobiety ważny jest sam fakt przeżycia orgazmu, a nie sposób, w jaki się ją do niego doprowadza. Doświadczenie to zresztą nigdy więcej mu się nie przydało, gdyż z potencją nie miał kłopotów.

Uczył się bardzo dobrze, pisał błyskotliwe prace semestralne, wybierając hermetyczne, trudne tematy, które szczególnie go interesowały. Profesorowie, doceniając jego zdolności, sugerowali, by zajął się socjologią, a jeszcze lepiej - politologią.

- Zapanuje system wielopartyjny, ustrój polityczny będzie ulegał coraz szybszym przekształceniom, a wówczas błyskawicznie wzrośnie zapotrzebowanie na analityków, komentatorów, doradców, którzy orientują się w tej materii -

zapewniali na wypródki. - Będzie pan rozchwytywany. A to oznacza rozgłos i pieniądze.

Owszem, Walerij pragnął rozgłosu i pieniędzy. Odkąd matka przeszła na emeryturę, a on stał się dorosły, zaczęli się przeprowadzać z mieszkania do mieszkania, zamieniając kolejno większe na coraz mniejsze z dopłatą, gdyż nie starczało im pieniędzy na życie. Podwyższone stypendium, które dostawał, było śmiesznie małe, ale matka nawet słyszeć nie chciała o tym, żeby rzucił studia i poszedł do pracy. Bieda była Walerijowi nie w smak, pamiętał przecież swoje dostatnie beztróskie dzieciństwo, spędzone pośród starych książek w złoconych oprawach i pięknych obrazów pędzla znanych artystów. Zdawał sobie sprawę, że wszystko to zostało sprzedane, żeby mógł się dobrze odżywiać, jeść zdrowe, naturalne produkty, kupione na targu, a nie te naszpikowane konserwantami, oferowane w pobliskim sklepie, co roku wyjeżdżać nad Bałtyk, gdzie matka wynajmowała na trzy miesiące cały dom, a nie nędzną klitkę z dwoma łózkami. Kosztowało to masę pieniędzy, ale ona nie żałowała tego wydatku, pragnąc, by trzy miesiące letnich wakacji nie były sezonem wyrzeczeń, niewygód i krępujących sytuacji, kiedy nie wiadomo, czy tu można usiąść lub tamto ruszyć, ale czasem prawdziwie swobodnego, wspaniałego wyczynku, czytania książek, których całe walizki zabierali ze sobą, rysowania w szkicowniku, oglądania telewizji i słuchania ulubionych płyt.

Gdy Walerij dorósł, nie zapomniał o tych matczynych ofiarach, poniesionych w imię jego zdrowia i wszechstronnego rozwoju. To, że powinien trafić na swoją złotą żyłę, nie ulegało wątpliwości. Ale miał przed sobą dwie drogi.

Jedna to zająć się znieprawdą socjologią lub obmierzłą politologią, które przyprawiły go o mdłości, i w krótkim czasie osiągnąć pozycję, nazwisko, zaszczyty i na tyle duże pieniądze, żeby zapewnić matce choć parę lat godnej, spokojnej starości.

Druga - pozostać przy tym, co go naprawdę fascynuje, co kocha i na czym już nieźle się zna, ale co stawia go jeszcze przed otchłanią nieznanego - przy filozofii starożytnych Greków. Nauczyć się porządnie, a nie po łebkach, greki i czytać autorów w oryginale, rozkoszując się stylem, frazą, głębią i nieoczekiwanymi, zaskakującymi zwrotami myśli, ostrością sądów, niezależnością ocen. Ale kogo dziś obchodzi starożytni Grecy? Kto się nimi interesuje? Doprawdy, istnieją dziedziny nauki, które są domeną jedynie ludzi bogatych. Jako że biedak, który by studiował filozofię antyczną, i tak zdechnie z głodu pod płótem, gdyż nie zarobi nawet na przyzwoity garnitur, by móc w nim stanąć na katedrze uniwersyteckiej i wygłosić wykład o swoich ukochanych filozofach. Biedak powinien studiować chemię lub biologię, żeby potem dobrze się urządzić w branży spożywczej czy tekstylnej. Albo zostać prawnikiem bądź ekonomistą. A antycznych filozofów zostawić elicie - milionerom.

Tak więc Walerij Turbin musiał zdecydować, czyby nie zająć się swoimi ukochanymi Grekami, a pieniądze zdobywać drogą zupełnie innej aktywności niż zawodowa - mianowicie seksualnej.

I wybrał Greków. Po czym zaczął uważnie wypatrywać pośród dziewcząt i kobiet ze swego otoczenia tej, która mogłaby się stać jego żyłą złota. Idealny wariant zakładał, że Walerij znajdzie młodą, samodzielną, niezależną kobietę do lat trzydziestu pięciu, która ma już wszystko i męża potrzebuje tylko do łóżka, a nie do poważnych rozmów, napraw i cięższych prac domowych oraz popierania swoich zwariowanych pomysłów. Od razu postawiłby sprawę jasno: nie będzie się wtrącał do jej spraw, żądał od niej zainteresowania ani wymagał okazywania względów, robienia śniadań i podawania ich do łóżka. Nie chciałby także, by powierzała mu swoje tajemnice czy dzieliła się z nim kłopotami, ciągała go na przyjęcia i bankiety; mogłaby tam bywać z kochankami czy adoratorami. Chciałby natomiast mieć zapewnione podstawowe wygody oraz pieniądze dla matki. W zamian za to

będzie sumiennie spełniał obowiązki małżeńskie w dowolnym czasie, miejscu, formie i z wymaganą intensywnością.

Życie jednak, jak to zwykle bywa, okazało się odległe od ideału. Kobiety, które już coś osiągnęły, były niezależne finansowo i mocno stały na nogach, nie szukały bynajmniej kochasiów-automatów. Potrzebowały duchowej bliskości, ciepła, czułości, dzieci. Pragnęły się o kogoś troszczyć i chciały, by ktoś troszczył się o nie. W każdym razie Walerij, którego naprawdę interesowały jedynie koncepcje filozoficzne starożytnych Greków, nie był dla nich odpowiednim partnerem. Inne, którym zależało wyłącznie na czystym seksie, były albo zbyt młode, a więc materialnie jeszcze niewystarczająco zabezpieczone, albo też okazywały się tak żarłocznymi piraniami, że strach go ogarniał na samą myśl o pójściu z nimi do łóżka. A zatem z lukratywnego małżeństwa na razie nic nie wychodziło, matka znów zamieniła mieszkanie i znów musieli się przeprowadzić...

I wtedy nagle pojawiła się Katia Gołowanowa, studentka, która tak bardzo przypominała jego samego, zakochana w filozofii, inteligentna i czytana. Dobrze się z nią rozmawiało w czasie długich spacerów po zajęciach, przyjemnie było ją potem odprowadzać późnym wieczorem do domu i wciąż na nowo przekonywać się, jak działa na nią nieodparta siła męskiego przyciągania. Katia z kretesem straciła dla Walerija głowę i gdyby to było lato, z pewnością potrafiłaby się z nim kochać nawet na klatce schodowej, na półpiętrze. Ale w grudniu oboje mieli na sobie za dużo ubrania.

Mało brakowało, żeby Turbin cisnął w diabły swoich ukochanych Greków, zmienił temat pracy i przerzucił się na politologię. Był już niemal gotów oświadczyć się Kati i myślał tylko o tym, żeby najpierw znaleźć jakąś wolną chatę, gdzie mógłby się z nią chociaż raz przespać, bo wydawało mu się zbyt staroświeckie prosić o rękę dziewczynę, z którą ani razu nie było się w łóżku. Jeszcze trochę i...

Ale wszystko się zawaliło. Katia przyprowadziła na uczelnię swoją przyjaciółkę, nudzącą się beczynn timerką, córkę

bogatego biznesmena. Walerij postanowi! skorzystać z okazji. Elena okazała się niezwykle łatwą zdobyczą, rozumu nie miała za grosz, za to południowy temperament i duży apetyt na seks, oraz, jako się rzekło, zamożnego ojca, który mógł znaleźć Walerze intratną, a zarazem niezbyt absorbującą posiadłość. Czyż mało jest w wielkich firmach synekur, które nie wymagają szczególnych kwalifikacji?

Owinąć sobie wokół palca głupiutką, ale ładną Ełę było rzeczą dziecinnie prostą. Walerij widział, jak cierpi Katia, wymyślał sobie w duchu od ostatnich, a jednak mając do wyboru: ona czy starożytni Grecy, oddał pierwszeństwo Grekom. To oni byli mu bliżsi i ważniejsi.

Turbin okazał się dość przewidujący, by namówić Ełę do zachowania w tajemnicy przed rodzicami faktu złożenia papierów w urzędzie stanu cywilnego. Doskonale zdawał sobie sprawę, że Bartosowie bynajmniej nie marzą o tym, by wszedł do ich rodziny, toteż starał się schodzić im z oczu, tak by widzieli w nim po prostu kolejnego adoratora, który nie stanowi żadnego zagrożenia. Chciał, żeby Ela zawiadomiła rodziców o ślubie post factum, kiedy ci nie będą już w stanie niczemu zapobiec i chcąc nie chcąc, pogodzą się z sytuacją. Ale dziewczyna, oczywiście, nie wytrzymała i wygadała się. Dwa tygodnie dzielące ich od ślubu zamieniły się w prawdziwe piekło. Złośliwa i cyniczna Tamila wierciła im dziurę w brzuchu wywodami na temat, że niekoniecznie trzeba się od razu pobierać tylko dlatego, że ma się ochotę pójść ze sobą do łóżka. Była dość inteligentna, by zorientować się w układzie sił pomiędzy swą delikatną, rozpieszczoną córeczką, która przywykła dostawać to, czego zapragnie, na pierwsze skinienie, a biednym jak mysz kościelna asystentem, osiagającym dotąd wszystko dzięki pewnemu narządowi, umiejscowionemu w dolnych partiach ciała.

Walerij zacisnął zęby i przysięgł sobie, że wytrzyma te dwa tygodnie do ślubu, zniesie nieprzyzwoite aluzje Tamili i histerie Eleny, a potem - klamka zapadnie. Zwłaszcza że głowa rodziny, milioner Istvan Bartos, odnosił się do niego

życzliwie, nie wspierał żony w jej frontalnych atakach i nawet mrugał porozumiewawczo, okazując w ten sposób męską solidarność. Turbin miał wrażenie, że ojciec Eleny ocenia sytuację inaczej niż Tamila i nie zostawi zięcia na łasce losu.

Dwa tygodnie wydawały mu się dwoma dziesięcioleciem, gdyż doprawdy wiele go kosztowało, by to wszystko wytrzymać. W dodatku otrzymał cios ze strony, z której najmniej się go spodziewał - od własnej matki. Również i ona z jakichś powodów przeciwna była jego małżeństwu. Może bała się zostać sama na starość, może nie podobała jej się rozpróżniaczona, głupiutka Ela, a może nie istniały żadne konkretne przyczyny. Nadopiekuńcze matki często nie akceptują wyboru swoich synów, po prostu dlatego, że dokonali go oni samodzielnie.

Rankiem trzynastego maja Walerij Turbin obudził się z myślą, że już nic nie zdoła im stanąć na przeszkodzie. Wsiedli w samochód, przyjechali do urzędu, oddali urzędnicze dowody osobiste i czekali, aż zostaną poproszeni do sali ślubów. Nie miało to trwać długo, jako że byli pierwsi w kolejce. Wprawdzie najpierw mieli dopiero numer czternasty, ale dwa tygodnie temu Tamila załatwiła, by ich ślub przesunięto na sam początek. Co prawda, ci, którym wcześniej wyznaczono uroczystość na dziesiątą, także przyjechali o tej porze, ale zachowywali się spokojnie, nie okazując niezadowolenia, oddali dowody i czekali na wezwanie. Prawie jednocześnie przybyła następna para wraz ze swoimi gośćmi. Turbin już niemal czuł się oficjalnym małżonkiem, gdy nagle... Wszystko runęło w jednej chwili. Kobiety zaczęły krzyczeć i szlochać, przyjechała milicja, kierownicze zrobiło się słabo, zadzwoniono po karetkę. I Tamila, ten czarnooki demon, nie przepuściła okazji. Od razu zaczęła lamentować, że to grzech brać ślub, kiedy obok leżą zwłoki, że to znak od losu, ostrzeżenie itede, itepe. Ela, oczywiście, pozwoliła się matce przekonać i uległa, chociaż niechętnie. Mimo iż namiętnie pragnęła wyjść za męża, nie ośmieliła się okazać tak jawnie nieposłuszeństwa. Czym innym było złożenie



papierów w urzędzie, kiedy nieświadoma niczego matka nie mogła powiedzieć: „Nie waż się tego robić”, czym innym zaś rzucenie matce prosto w twarz: „Zrobię, jak zechcę, nawet jeśli ci się to nie podoba”.

I teraz znów trzeba czekać cały miesiąc, który - jak przewidywał Walerij - będzie o wiele gorszy niż tamte dwa tygodnie. Do presji wywieranej przez Tamiłę przyłączyła się matka, a teraz wszedł jeszcze do gry dawny kochaś Eleny, Marat, też najwyraźniej polujący na majątek Bartosa. Jak to wszystko wytrzymać? Skąd wziąć siły, cierpliwość, opanowanie, żeby nie nawrzeszczyć na Tamiłę, nie wlepić paru policzków na otrzeźwienie tej idiotce Elenie, nie nagadać impertynencji matce i nie wywołać awantury z Maratem?

I jeszcze jedna sprawa niepokoiła Walerę: może Łatyszew wcale nie blefował, twierdząc, że Bartosowie nie będą córce pomagać materialnie po ślubie? Walerij był przekonany, podobnie jak Ela, że rodzice uważają za swój obowiązek pomagać nawet dorosłym dzieciom, wszyscy przecież tak robią. A może Marat ma rację, może on, Walerij, i Elena nigdy nie zobaczą żadnych pieniędzy? W imię czego więc zadał sobie tyle trudu? Po co rzucił Katię, krzywdząc ją i raniąc do głębi? Czemu zmusza się do wysłuchiwania tyrad Tamili i ocierania łez szlochającej i pociągającej mokrym nosem Elce?

Może to wszystko daremne wysiłki? Kiedyś już rozważał ten problem, zastanawiając się, czy ofiary, które poniósł w dzieciństwie, warte były osiągniętego rezultatu. Doszedł wówczas do wniosku, że wyrzeczenia nie na wiele się zdały, a on zmarnował tylko najlepsze lata dzieciństwa i wczesnej młodości, zamiast spędzić je na przyjemnościach i zabawie. I wtedy przyrzekł sobie, że nigdy więcej nie okupi niczego zbyt wysoką ceną. Istniało wszakże niebezpieczeństwo, że tym razem się przeliczył...

Siergieja Artiuchina, ponownie zatrzymanego po obaleniu fałszywego alibi w związku z podejrzeniem o dokonanie

gwałtu, po siedemdziesięciu dwóch godzinach przewieziono do prokuratury, gdzie śledczy powiadomił go, że zastosowano wobec niego środek prewencyjny w postaci osadzenia w areszcie. Nazajutrz adwokat Artiuchina złożył w jego imieniu skargę w sądzie, że jego klienta potraktowano zbyt surowo, przytoczył sto pięćdziesiąt cztery argumenty na potwierdzenie opinii, że podejrzany może pozostawać na wolności, i wystąpił o zwolnienie go za kaucją. Sędzia był tego dnia w dobrym humorze i przychylił się do wniosku, wyznaczając kaucję równowartości pięćdziesięciu tysięcy dolarów, którą, oczywiście, należało wpłacić w rublach. W sobotę o świcie Siergiej Artiuchin znalazł się na wolności, a wieczorem zbiegł w nieznanym kierunku.

W niedzielę rano w sokolnickim parku spotkali się trzej mężczyźni, którzy wyłożyli pieniądze na kaucję. Uciekiniera trzeba było czym prędzej odszukać, gdyż inaczej pięćdziesiąt tysięcy dolarów przejdzie na własność skarbu państwa.

- Ale jak go znaleźć? Macie jakiś pomysł? - spytał mały. Łysawy człowieczek w okularach i bluzie w kratę. Pośród kolegów ze swego kręgu słychać z utrzymywania we wzorowym porządku dokumentów finansowych oraz niewiarygodnej wprost zrzeczności w uchylaniu się od płacenia podatków.

- Trzeba kogoś wynająć - zasugerował grubas, niewyjmujący ani na chwilę papierosa z ust. Okropnie nie lubił robić niczego sam, a do interesów swego czasu zabrał się tylko dlatego, że chciał zarabiać dużo pieniędzy, by móc opłacać wszelkiego rodzaju usługi, osobiście najchętniej nie stukając palcem o palec.

- Ale kogo? To też kosztuje, w dodatku wcale niemało. Tacy tropiciele biorą procent od wysokości kaucji. Trzeba się zastanowić, czy nie można by skombinować kogoś bezpłatnie. - Ta kwestia padła z ust przystojnego, smagłego mężczyzny o starannie wygolonej twarzy, prostych, ciemnych włosach, lekko przyprószonych siwizną, i w przeciwsłonecznych okularach na nosie.

- Ten skurwiel od marca wisi mi dziesięć tysięcy baksów i właśnie na to mnie wziął, macie pojęcie? Kroci mi się dobry interes, powiada, akurat powinienem trafić dziesięć baniek, żeby ci oddać dług, ale w każdej chwili mogą mnie zgarnąć, więc jakby co, skombinuj szmal na kaucję. Co za idiota ze mnie! - Łysy westchnął z goryczą. - Połaszczyłem się na dziesięć tysięcy, a dołożyłem jeszcze trzydzieści, poszły jak psu pod ogon.

- No cóż, nas też wykiwał. Szukaj wiatru w polu. A tak, nawiasem mówiąc, to jakaś dziwna historia. Za co go zgarnęli, że już wcześniej o tym wiedział?

- Ach, wstyd nawet o tym wspominać. - Łysawy skrzywił się z niesmakiem. - Podejrzewają go o gwałt. Przedstawił alibi, ale mu nie uwierzyli. Jak tylko się zorientował, że śledczy je kwestionuje, od razu zrozumiał, że mogą go zapuszkować. Dlatego uprzedził, na wszelki wypadek.

- Tak? No, pamiętaj, Stiepaszka, wierzymy ci na słowo. Nie zawieź nas, kolego, wieczorem czekamy na informację, co jest grane. I natychmiast rozpocznij poszukiwania. Forsy na to od nas nie dostaniesz, musisz sobie radzić sam. Jeżeli naszych dwadzieścia tysięcy przepadnie, wyciśniemy je z ciebie, nie licząc, że między przyjaciółmi będzie inaczej - pozwoli cedząc słowa, oświadczył smagły. - I zdradź mi jeszcze przy okazji, drogi Stiepaszka, dlaczego to sędzia wyznaczył taką wysoką kaucję, co?

- Przecież wysokość kaucji określa się w zależności od sytuacji materialnej podejrzanego... - uprzejmie zaczął wyjaśniać łysawy.

Smagły jednak przerwał mu swoim cichym głosem:

- No właśnie, Stiepaszeczka, no właśnie. Skąd sędzia mógł wiedzieć, jaka jest sytuacja materialna twojego koleżki? Przecież facet ma w papierach, że jest ślusarzem z piątą grupą zaszeręgowania. Przynajmniej tak mi mówiłeś.

- Tak, ślusarzem - potwierdził Stiepaszka.

- A skąd ślusarz ma wziąć pięćdziesiąt tysięcy baksów, możesz mi wyjaśnić? Co?

- Dajcie spokój, chłopaki, co to ma do rzeczy, ślusarz czy nie?

- Poza tym - ciągnął groźnie, choć nadal nie podnosząc głosu, smagły przystojniak - gdyby nawet był ślusarzem, a wzięliby go za tyłek z powodu jakiejś drobnej wpadki, nigdy by mu nie wyznaczili takiej kaucji. A skoro tak zrobili, to znaczy, że wiedzą, że nie jest żadnym ślusarzem. I że dochody też ma odpowiednie. Może zresztą właśnie za te dochody go capnęli, co, Stiepaszczka? Za trawkę, a nie za to, że babę za mocno bzyknął. Myślałeś o tym? Może ci nałgał o tym gwałcie? Albo ty sam wciskasz nam ciemnotę?

- Boże, Sienia, co teraz za różnica, za co go zgarnęli? Trzeba gościa znaleźć, i to wszystko. A za co wpadł... - Łysawy machnął ręką, całą swą postawą demonstrując, że artykuł, na podstawie którego został zatrzymany Siergiej Artiuchin, jest sprawą mało istotną w porównaniu ze stratą pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

- Co za różnica, pytasz? A taka jak z babami: jedna daje, a druga tylko obiecuje - odparł grubas, przerzucając papierosa z jednego kącika mięsistych ust w drugi. - Jeżeli twój kumpel Artiuchin bawi się w handel trawką, to znaczy, że nie dotrzymuje umowy. W Moskwie wszystko zostało podzielone i zatwierdzone przez Trofima, nikt nie śmie działać na własną rękę. A skoro za Artiuchina nie ma kto wpłacić kaucji, to widocznie on nie należy do rodziny, tylko kłusuje w pojedynkę. Trofim surowo zabronił takich numerów, i całkiem słusznie. Niepotrzebnie kłują w oczy, ściągają uwagę glin, a po co drażnić mentownię? I jak teraz będziemy wyglądali, jeżeli się okaże, że zrzuciliśmy się na takiego cwaniaczka, żeby go wyciągnąć z pudła? Powinien raczej zostać poczęstowany kosą w celi, żeby inni mieli nauczkę, że Trofimowi nie należy się sprzeciwiać. A tymczasem wyszło na to, że go kryjemy i jeszcze dajemy mu szmal. Jak myślicie, ile nam życia zostanie, jeśli Trofim się o tym dowie?

- Myślę, że jakieś dwie godziny - z namysłem oświadczył smagły. - No, może trochę mniej.

- A ja, że góra czterdzieści minut - powiedział gruby. - Więc weź się do roboty, Stiepaszka, dowiedz się dokładnie, za co chcieli przymknąć twego kolesia, skąd wiedział o tym wcześniej i dlaczego sędzia wyznaczył taką wysoką kaucję. Masz na to czas do jutra rana. Jutro o tej samej porze, czyli o dziesiątej, znów się tutaj spotkamy. Audra! - ryknął nagle stentorowym głosem.

Zza krzaków wyskoczyła zapasiona, przypominająca serdelek jamniczka. Grubas z nieoczekiwaną dla swej tuszy zręcznością schylił się, wziął psa na ręce i ruszył do wyjścia. Po chwili w odpowiedzi na gwizdnięcie smagłego podbiegł różowawy pudel. Małeńki, łysy Stiepaszka odprowadził go smętnym spojrzeniem, ciężko westchnął, przypinając smycz do obroży wielkiego, kudłatego owczarka kaukaskiego, i zwrócił się do psa:

- Chodźmy do domu, Pinia.

*Biel, czern i czerwień... Trzy kolory, w których zawiera się cały sens ziemskiego bytowania. Trzy kolory, które odzwierciedlają najwyższą, podstawową ideę. Cała reszta to oszustwo, iluzja stworzona ku pocieszeniu słabych.*

*Biel była dla mnie symbolem szczęśliwego, uporządkowanego życia. Okazało się, że to życie nie dla mnie, bo nie każdy jest go godzien. To wyście tak zdecydowali, to wy nie pozwoliliście mi zakosztować szczęsnego, białego życia. Dlaczego? Czemu ono ma być dobre dla was, a dla mnie nie? Czemu?*

*Zobaczycie, unicestwię waszą biel, udowodnię wam, że nie jesteście ani odrobinę lepsi ode mnie. Więcej, pokażę, że to ja nad wami góruję. A potem umrę. Nie potrafię żyć w świecie, gdzie panują tylko kłamstwo, oszustwo, fałsz, gdzie nie istnieje prawdziwa biel, jest tylko zakamuflowana czern i zrównująca wszystkich czerwień krwi, kolor śmierci. Ale zanim umrę, udowodnię wam... Udowodnię.*

Godziny, które Korotkow i Siełujanow spędzili w towarzystwie alkoholika i recydywisty Pawła Smitijenki, wiele wyjaśniły. Obaj byli do głębi poruszeni. Dopiero teraz zrozumieli, dlaczego nieszczęsna stara kobieta tak często się przeprowadzała. Ba, nawet, jak im się wydawało, pojęli, czemu Weronika Matwiejewna tak bardzo się obawia małżeństwa swego syna z córką milionera Bartosa. Doprawdy, trudno jej się dziwić!

Zdarzyło się to upalnym latem 1967 roku. Weronika Matwiejewna miała czterdzieści dwa lata, pochowała już oboje rodziców i żyła samiuteńka w ogromnym, komfortowym mieszkaniu, w którym przyszedł na świat jeszcze jej dziadek. Była pracownicą akademii medycznej, myślała poważnie o napisaniu pracy habilitacyjnej i wydawało jej się, że życie ma już do końca zaplanowane i w przyszłości nie zdarzy się nic takiego, co mogłoby kiedykolwiek wzburzyć jego spokojny, powolny nurt.

Czerwiec tamtego roku był upalny i duszny, okna i drzwi balkonowe Weronika Matwiejewna trzymała stale otwarte, żeby słaby przewiew choć trochę poruszył stojące, nagrzane powietrze. Jeśli była w domu, starała się możliwie jak najwięcej czasu spędzać na balkonie. Ustawiła tam nawet wyplatany fotel i stary stolik, przy którym pracowała nad wykładami.

Pewnego dnia, z filiżanką herbaty w ręce przeglądając rozłożone papiery, poczuła nieprzyjemny zapach. Zapach ten był jej, jako lekarzowi z długoletnim stażem, dobrze znany i nieodmiennie przykry. Tak, poczuła zapach śmierci...

Natychmiast zadzwoniła do sąsiadów, ale nikt nie otwierał drzwi. Wiedziała, że mieszka tam para starszych ludzi, i pamiętała, że dwa tygodnie wcześniej sąsiadka pojechała do Kazachstanu odwiedzić córkę i jej rodzinę. Liczący sobie sześćdziesiąt trzy lata mąż, Grigorij Filippowicz, został w Moskwie i, o ile Turbina sobie przypominała, zamierzał spędzić upalne dni na dacy. W każdym razie od wyjazdu małżonki go nie widziała. Zaniepokojona, wezwała milicję.

Przyjechali dwaj młodzi sierżanci i długo nie mogli się zdecydować na wyważenie drzwi. Dopiero kiedy Weronika Matwiejewa zaprowadziła ich przez swoje mieszkanie na balkon, uznali, że to konieczne.

Grigorij Filippowicz nie żył prawdopodobnie od jakichś dziesięciu dni. Zwłoki znajdowały się w takim stadium rozkładu, kiedy całe ciało rozdyma się, przybiera czarnozieloną barwę i cuchnie, a miękkie tkanki stają się niemal płynne. Jeden z sierżantów dostał torsji, drugi wyskoczył z mieszkania jak oparzony i od Turbinej zadzwonił, by przysłano samochód do przewozu zwłok.

- Zaraz przyjadą - wybełkotał, ocierając pot z pobladłej twarzy. - Jak to się stało, że nikt go wcześniej nie znalazł? Ma jakąś rodzinę?

- Żonę - poinformowała Weronika Matwiejewa. - Ale ona wyjechała do córki do Kazachstanu, a ja sądziłam, że Grigorij Filippowicz jest na dacy. Pewnie musiał wrócić do miasta po zakupy i serce nie wytrzymało... Od dawna już chorował.

- Co za koszmar - mruknął sierżant. - Nie daj Boże umrzeć taką śmiercią.

Samochód przyjechał po półtorej godzinie. Turbina przez uchylone drzwi wejściowe zobaczyła, jak rozstąpiła się niewielka grupka zaalarmowanych sąsiadów, żeby przepuścić wysokiego, barczystego, czarnowłosego chłopaka z noszami pod pachą.

- Jak to, jest pan sam? - zdumiał się bardziej opanowany z dwóch młodych funkcjonariuszy.

Drugi, na wpół przytomny, siedział na dole, w milicyjnym samochodzie.

- A co? - zdziwił się z kolei sanitariusz. - Nie ma komu pomóc? Chyba się znajdzie jakiś mężczyzna. Zawsze jeździmy w pojedynkę, i tak brakuje ludzi.

- No pewnie, już lecę - ze złością odciął się sierżant. - Zobacz tylko, jaka galareta tam leży, aż strach się zbliżyć.

Ja zrobiłem, co do mnie należy, reszta to twoja sprawa. No już, zabieraj go.

Sanitariusz wzruszył ramionami i bez słowa wszedł do mieszkania, a razem z nim Weronika Matwiejewna, której zrobiło się wstyd za ordynarne zachowanie milicjanta.

- O Boże - zachnął się mężczyzna na widok zwłok. - Jak to się mogło stać? Dlaczego nikt nas wcześniej nie zawiadomił? Przecież on już z dziesięć dni tu leży jak nic, i to w takim upale, w zamkniętym pomieszczeniu... Coś strasznego.

Turbina, jakby pragnąc się usprawiedliwić, znów zaczęła opowiadać o żonie, która wyjechała w odwiedziny do córki, o dacy, o tym, że zmarły chorował na serce...

- Cóż, faktycznie sam sobie nie poradzę - skonstatował ponuro sanitariusz. - Przecież on się dosłownie leje przez ręce. Będzie pani musiała mi pomóc.

- Ja? - przestraszyła się Weronika Matwiejewna. - Co pan? To wykluczone. Od samego zapachu robi mi się niedobrze, a dotknąć, nie, nie ma mowy...

Mężczyzna delikatnie ujął ją za łokieć i zaprowadził z powrotem do mieszkania. Gruboskórny sierżant z surową i nieprzystępną miną stał na klatce schodowej i palił. Podejrzliwym spojrzeniem odprowadził wchodzących w drzwi Turbinej sanitariusza i gospodynię, ale nic nie powiedział, tylko zaciągnął się mocniej papierosem. Było widać, że i jego mdli od zapachu rozkładających się zwłok.

- Proszę zrozumieć - powiedział łagodnie sanitariusz, usadowiwszy Weronikę Matwiejewną na kuchennym krześle - ktoś musi to zrobić. Przecież pani widzi, że na milicję nie można liczyć, a ja sam nie dam sobie rady. Załatwmy to razem, dobrze? Ma pani wódkę?

Turbina w milczeniu skinęła głową. Wódki zawsze trzymała spory zapas, na wypadek gdyby trzeba było skorzystać z usług ślusarza, hydraulika czy szklarza, jeśli nagle zatnie się zamek, kran zacznie przeciekać albo stłucze się szyba.



- No i bardzo dobrze. Zaraz naleję pani szklanke, wypije pani duszkiem, posiedzi kwadrans, aż wódka zacznie działać, i pójdziemy. Jak się pani nazywa?

- Weronika Matwiejewna - powiedziała kobieta drżącym głosem. Na myśl o czekającym ich zadaniu zbierało jej się na wymioty. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że będzie musiała dotknąć tego, co zostało z Grigorija Filippowicza.

- A ja Paweł. Albo po prostu Pasza - przedstawił się z uśmiechem sanitariusz. - To co, dogadaliśmy się? Pomoże mi pani?

Turbina bezwolnie skinęła głową. Rzeczywiście, ktoś musi... Skoro nawet milicja się przed tym wzbrania... Ona, bądź co bądź, jest przecież lekarzem.

- Gdzie pani trzyma wódkę? - zapytał Paweł. - Proszę siedzieć, sam naleję. Musi pani oszczędzać siły.

- W lodówce.

Wyjął butelkę, wprawnie ją otworzył, wziął z wiszącej półeczki dwie szklanki. Jedną napełnił do połowy, do drugiej nalał odrobinę, na dno.

- Wypiję do towarzystwa - objaśnił - żeby pani tego nie musiała robić sama. No proszę, Weroniko Matwiejewno, duszkiem i do dna.

- Nie dam rady. - Pokręciła głową odmownie. - To za dużo. Nie wypiję tyle na raz.

- Ale tak trzeba, kochana, tak trzeba. Mniej nie można, nie podziała. Niech pani pije.

Turbina mocno zacisnęła powieki i jednym haustem wychyliła zawartość szklanki. Paweł, jak zauważyła, swoją porcję wypił powoli, małymi łyчками. Wiedziała, że robi się tak po to, by alkohol szybciej zaczął działać. Wstrzymała oddech i wsunęła do ust kawałek chleba.

- Dzielną z pani kobieta - pochwalił ją sanitariusz. - Teraz chwilę posiedzimy i pójdziemy. Pali pani?

- Czasami.

- To proszę zapalić - doradził. - Pomoże.

Weronika Matwiejwna wyjęła z szuflady kuchennego stołu napoczętą paczkę, zapaliła jednego papierosa i zaciągnęła się parę razy. Momentalnie zakręciło jej się w głowie, a w gardle wezbrała fala mdłości.

- Nie, nie mogę - powiedziała, gasząc papierosa w popielnicze.

W tej samej chwili w przedpokoju dały się słyszeć kroki i do kuchni wszedł sierżant.

- Więc co, zabiera pan ciało czy nie? - spytał z rozdrażnieniem, pełnym nagany wzrokiem obrzucając stojącą na środku stołu butelkę wódki i dwie puste szklanki. - Nie mam zamiaru tu sterczeć do jutra.

- To nie stercz - burknął Paweł. - Nie chcesz pomóc, to spływaj, damy sobie radę bez ciebie.

- Muszę zamknąć i opieczętować mieszkanie - z ważną miną odparł milicjant. - Jutro sędzia śledczy przyjdzie dokonać oględzin miejsca przestępstwa, bo możliwe, że denat nie zmarł śmiercią naturalną, tylko został zamordowany.

Sędzia śledczy, oczywiście, już się pojawił, ale zobaczywszy, w jakim stanie są zwłoki, skrzywił się z obrzydzeniem i oświadczył, że w takich warunkach pracować nie zamierza. Poleciał obrysować kredą miejsce położenia ciała i niczego w mieszkaniu nie dotykać, po czym zapowiedział, że wróci nazajutrz z ekipą.

- A idźże ty... - prychnął ze złością sanitariusz i wstał niechętnie. - Dobrze, Weroniko Matwiejwno, chodźmy, spróbujemy.

Wyjął z kieszeni parę gumowych rękawiczek i podał je kobiecie.

- Proszę włożyć.

- A pan?

- Jakoś sobie poradzę, jestem przyzwyczajony.

- Nie, nie - zaniepokoiła się Weronika Matwiejwna. Przemówił przez nią lekarz. - Bez rękawiczek nie może pan dotykać zwłok. A nuż ma pan na ręce jakieś skaleczenie czy

zadrapanie? Zakażenie trupim jadem to nie żarty. Niech pan poczeka, zaraz coś znajdę.

Otworzyła kuchenną szafkę i po chwili wygrzebała parę rękawic gospodarskich. Zawsze to lepsze niż nic...

Wzięła głęboki oddech i zdecydowanym krokiem skierowała się razem z Pawłem do mieszkania, gdzie leżał zmarły. Paweł stanął zamyślony nad rozkładającym się ciałem; wydawało się, że nawet nie czuje straszliwego odoru, od którego Turbinej natychmiast mdłości podeszły do gardła.

- A to ci dopiero - odezwał się. - Przydałaby się jakaś cerata, rękami nie da rady. Podsunieśmy pod niego ceratkę, a potem podniesiemy ją za rogi.

Weronika Matwiejewna wybiegła do siebie. Po paru minutach przyszedł Paweł i ze zdziwieniem zobaczył, że kobieta siedzi w kuchni przy stole, z głową opartą na rękach.

- Myślałem, że pani szuka ceraty - odezwał się z niezadowolaniem. - Czekam, czekam, a pani tu marudzi.

- Nie mogę - wyjęczała. - Przepraszam, Pasza. Nie mogę.

- Weroniko Matwiejewno, musi pani. Proszę się wziąć w garść. Rozumie pani przecież, że nikt oprócz nas tego nie zrobi. No? Kochana, przecież taka silna z pani kobieta, niech się pani postara.

- Nie, nie mogę.

- Wypijemy jeszcze po kropelce - zdecydował sanitariusz, nie pytając o zgodę, szybko nalał Turbinej wódki i wetknął jej szklankę do ręki. - Duszkciem. Powinno pomóc.

Znów mocno zacisnęła powieki i wypiła. Po dłuższej chwili poczuła, że jakby trochę jej ulżyło. Cóż, rzeczywiście, zachowuje się jak dziecko. Trzeba, to trzeba.

- Chodźmy, Pasza - powiedziała, z wysiłkiem wstając z krzesła.

Tym razem wytrzymała dłużej. Zdążyli prawie do końca podsunąć ceratę pod rozlewającą się, galaretowatą zielonoczną masę, kiedy nagle zakreśliło jej się w głowie i poczuła, że jeszcze sekunda - i zemdleje. Paweł zauważył, że gwał-

townie zbladła, wyprostował się i zdążył ją w porę podtrzymać.

- Spokojnie, spokojnie - powtarzał i objąwszy ją za ramiona, ostrożnie wyprowadził z mieszkania. - Wszystko w porządku, zaraz posiedzimy chwilę, odpoczniemy, już prawie skończyliśmy. Z pani przecież zuch kobieta, bardzo dzielna, nigdy jeszcze takiej nie spotkałem. No już, proszę usiąść i odpocząć.

Znów nalał wódki i podał Weronice szklanekę.

- To chyba niepotrzebne - niepewnie powiedziała Turbina. - Jak widać, nie skutkuje. Tylko marnujemy alkohol.

- Tak się pani wydaje - wyjaśnił z uśmiechem Paweł. - Po prostu jest pani strasznie spięta, dlatego nie czuje pani działania alkoholu. Gdyby nie wódka, nigdy by się pani nie zdobyła na to, co już pani zrobiła. No, proszę wypić na odwagę.

Turbina posłusznie wychyliła wódkę, która już jej nie paliła w gardle i nie wydawała się obrzydliwa w smaku.

W końcu szczątki Grigorija Filippowicza znalazły się na dużym ceratowym obrusie. Weronika i Paweł ujęli go za rogi, podnieśli i umieścili na rozłożonych na podłodze noszach.

- No już - odetchnął z zadowoleniem sanitariusz, zakrywając od góry zwłoki ceratą - najgorsze mamy za sobą. Teraz tylko trzeba znieść nosze do samochodu, i po wszystkim.

Wyrzął na klatkę schodową, gdzie oprócz ponurego sierżanta zostało jedynie dwóch najbardziej wytrwałych sąsiadów, u których ciekawość cudzej śmierci okazała się silniejsza niż wstręt przed ohydny, trupim zapachem.

- Ej, chłopcy, zejdźcie na dół i zawołajcie kierowcę, powiedzcie, że trzeba znieść zwłoki - poprosił Paweł.

Po chwili na klatce dały się słyszeć kroki, które jednak zatrzymały się o dwa biegi schodów niżej. Z dobiegających odgłosów wynikało, że kierowca wymiotuje. Rozkładające się ciało wydzielało straszliwy odór.

- No tak - zauważył smętnie sanitariusz - na tego też nie ma co liczyć. Musimy znieść nosze we dwójkę.

Turbina zapłakała cicho. Znowu siedziała w swojej kuchni i już zdążyła pomyśleć z ulgą, że koszmar wreszcie się skończył.

- No, Weroniko Matwiejewno, kochana - rzekł błagalnie Paweł - niech pani zrobi ostatni wysiłek. Widzi pani, co się dzieje. Ludzie nie są z żelaza. Dla mnie to normalka, ale od innych nie można za dużo wymagać.

- Ja też nie jestem z żelaza - pochlipywała kobieta. - Nie mogę już, dajcie mi spokój, radźcie sobie sami. Nie pójdę tam.

Paweł stał nad nią w milczeniu, zafrasowany. Nie wiedział, co począć. Turbinęj zrobiło się go żal. W końcu to, co się stało, to nie jego wina. Był dla niej bardzo wyrozumiały, a ona zawodzi go w ostatniej chwili.

- Dobrze, pomogę panu.

Otarła łzy, nalała sobie wódki i wypiała. Teraz już mogła działać.

- Pani niech idzie przodem - zaproponował przewidujący sanitariusz, kiedy podeszli do noszy. - Nie będzie pani musiała patrzeć.

Skinęła głową z wdzięcznością. Powoli, ostrożnie, uważnie patrząc pod nogi, znieśli ciężar z drugiego piętra na ulicę i wsunęli nosze do samochodu. Trzasnęły tylne drzwi.

- No, teraz to naprawdę koniec. - Paweł odetchnął z ulgą. - Dziękuję, Weroniko Matwiejewno. Niesamowita z pani kobieta.

Turbina odwróciła się bez słowa i weszła do domu. Nie była w stanie rozmawiać. Szczęki miała tak zaciśnięte z powodu nieznośnego odoru, że wydawało jej się, iż już nigdy nie zdoła rozewrzeć zębów. Zobaczyła na kuchennym stole butelkę, została odrobina wódki na dnie, dosłownie dwa łyki. Pomyślała odruchowo, że sama opróżniła całą flaszkę. Paweł nalał sobie tylko raz, i to bardzo niewiele. Niezbyt świadoma tego, co robi, wzięła butelkę i wlała sobie prosto

do gardła resztkę alkoholu. Wydawało jej się jednak, że nie czuje choćby cienia zamroczenia.

Weszła do łazienki, puściła gorącą wodę i pod prysznicem zaczęła zapamiętała trzeć ciało gąbką, co chwila polewając ją pachnącym niemieckim płynem do kąpieli Badusan. Wreszcie uznała, że pozbyła się już nieprzyjemnej woni, która jakby przylgnęła do skóry. Wytarła całe ciało grubym frotowym ręcznikiem i położyła się do łóżka, ale nie mogła usnąć. Przed oczyma stawały jej koszmarnie obrazy wszystkiego, co dzisiaj przeżyła.

Przewracała się z boku na bok do wieczora, aż w końcu wstała. Teraz dopiero wypity alkohol zaczął działać i Weronika poczuła pewną ulgę. Próbowwała zrobić sobie jakąś kolację, ale zapach jedzenia wywołał mdłości. Usiadła więc przy kuchennym stole i wpadła w jakieś ciężkie odrętwienie, z którego wyrwał ją dzwonek do drzwi. W progu stał Paweł.

- Dobry wieczór. - Uśmiechnął się zmieszany. - Przepraszam, że panią niepokoję. Wpadłem zapytać, jak się pani czuje. Była pani strasznie blada, jak odjeżdżałem.

Właściwie ucieszyła się z jego wizyty. Po tym okropnym dniu samotność była wprost nie do zniesienia. Myśl o tym, że ma ją dzielić z sanitariuszem z kostnicy, nie wydawała się Weronice szokująca. Był taki miły i okazał jej tyle życzliwej wyrozumiałości.

- Jadła pani coś? - zapytał troskliwie, gdy znów znalazł się w jej wielkim, pięknym mieszkaniu.

- Próbowалам - odparła - ale nie udało się.

- Tak nie można. Trzeba koniecznie coś przegryźć, miała pani bardzo nerwowy dzień.

- Nie jestem w stanie nic przełknąć.

- Niech pani nie zwraca na to uwagi. Jak kęs nie chce przejść przez gardło, trzeba go popchnąć - żartobliwie doradził Paweł. - Musi się pani jeszcze napić.

- Ale skąd, co pan. I tak już dziś wypijałam całą butelkę.

- I co z tego? Jeżeli nie działa, trzeba poprawić. Zjedźmy kolację razem, dotrzymam pani towarzystwa, żeby nie było pani smutno. Napijemy się za spokój duszy zmarłego.

Paweł zachowywał się dość bezceremonialnie, ale w tamtej chwili Weronika Matwiejewna tak tego nie odbierała. Cieszyła się z jego obecności. Szybko przygotowała kolację, starając się nie zważać na powracające fale mdłości. Nakryła do stołu, wyjęła jeszcze jedną butelkę wódki. I nawet nie zauważyła, kiedy ją wypili. Napięcie powoli z niej opadało, po ciele rozlewało się przyjemne ciepło, dzisiejsze wydarzenia zdawały się jakieś dalekie, odległe, jakby sama w nich nie uczestniczyła, lecz znała je tylko z czyjejs opowieści.

- Ładnie tu u pani - chwalił Paweł. - Książki, obrazy. Bogato sobie pani żyje. Wszystko zostanie dla dzieci.

Nie czuła się dotknięta, teraz gotowa była wszystkich lubić i wszystko wybaczyć.

- Nie mam dzieci. Mieszkam sama.

- Co, męża też pani nie ma? Ani rodziców? - wypytywał z niedowierzaniem Paweł.

- Nikogo. Rodzice zmarli, a ja nigdy nie byłam zameżna.

- Coś podobnego! - Mężczyzna zdumiony kręcił głową.

- Tyle dobra i wszystko przepadnie. Szkoda.

Chodził po pokojach, oglądał obrazy, cmokał z zachwytem, a ona, idąc za nim, objaśniała z dumą, że to płótno kupił jeszcze jej dziadek na aukcji w Paryżu, tamto otrzymał w prezencie od malarza, a te dwa portrety zostały namalowane na zamówienie i są bardzo cenne. Oczy zaczęły jej się kleić, z trudem pokonywała zmęczenie, ale Paweł wciąż nie zbierał się do wyjścia i, prawdę mówiąc, nie miała ochoty zostawać sama. Dalej wszystko pamięta jak przez mgłę...

Rano ocknęła się z dziwnym uczuciem, że obok niej ktoś leży. Z przestachem odwróciła głowę i zamarła z przerażenia. Spędziła noc z sanitariuszem z kostnicy. Boże! Ona, wnuczka arystokraty, córka wykształconego, kulturalnego człowieka, znanego architekta, pracownik naukowy, lekarz,

straciła dziewictwo w objęciach pijanego chłopaka. Jak mogło do tego dojść? Nie, nie, to niemożliwe!

Szybko obudziła pogrążonego w głębokim śnie Pawła, który - zaspany - absolutnie nie mógł pojąć, dlaczego Weronika jest tak wzburzona i chce go wyrzucić.

- Wyjdź, Pasza - powtarzała, nie patrząc mu w oczy - wyjdź, proszę cię, zbieraj się czym prędzej. Muszę iść do pracy.

Rozgniewało go to, ale nic nie dał po sobie poznać. Tyle hałasu, i o co! Powinna mu podziękować, że na starość poznała przynajmniej, co to mężczyzna, bo gdyby nie on, zeszlaby z tego świata jako prawiczka. Wychodząc, niepostrzeżenie wsunął do kieszeni leżący w otwartej szkatułce cenny pierścionek z brylantem i szmaragdem.

Ze względu na kradzież kosztownego drobiazgu więcej się u Weroniki Matwiejewny nie pokazał. Rok później dostał pierwszy wyrok za obrazę moralności - czatował w lasku na samotne kobiety i odrzucając poły płaszcza, obnażał przed nimi zuchwale sterczący z rozpiętych spodni członek. Odsiedziawszy dwa lata, wrócił do pracy w kostnicy. Chętnych do takiego zajęcia trzeba szukać ze świecą, więc zatrudniano kogo popadnie, choćby był nawet dziesięć razy karany. Meldunek, co prawda, udało się Paszy załatwić tylko pod Moskwą, nie w samej stolicy, ale to mu wcale nie przeszkadzało. W roku osiemdziesiątym znów wpadł, tym razem za to, że swoje potrzeby seksualne zaspokajał w miejscu pracy, bezczeszcząc zwłoki kobiet, zarówno młodych, jak i starszych. Młodziutki adwokat, który dostał wówczas sprawę Pawła, bardzo się starał wypaść przed sądem jak najlepiej, przekonując, że czyn oskarżonego nie może stanowić jawnej obrazy moralności publicznej, skoro podsądny Smitijenko dopuszczał się swoich występnych działań w ukryciu, bez świadków, nie obrażając niczyjego poczucia przyzwoitości. Sąd jednak słuchał tych wywodów niezbyt uważnie, bo jeśli nawet obrońca miał rację, oskarżonego i tak należało skazać,



obojętne, z jakiego artykułu. Dostał więc za swoje wyczyny osiem lat. Był to najwyższy możliwy wymiar kary.

Smitijenko został zwolniony warunkowo w roku osiemdziesiątym piątym; wyszedł z więzienia bez zębów, prawie łyсы, wyniszczony czifirem\* i wachaniem acetonu. I przypadkowo natknął się na ulicy na Weronikę Matwiejewnę, której nie widział bez mała dwadzieścia lat. Turbina prawie się nie zmieniła, wydawała się tylko trochę niższa i szczuplejsza. Zresztą wtedy, w sześćdziesiątym siódmym, też była zgrabna i miniaturowa, miała dziewczęcą figurę, wąskie biodra i płaski brzuch. Towarzyszył jej wysoki, przystojny czarnowłosy chłopak, który wyraźnie kogoś Pawłowi przypominał, tyle że ani rusz nie mógł sobie przypomnieć kogo. Podszedł do kobiety, uśmiechając się ohydny, obleśny uśmiechem. O skradzionym pierścionku dawno zapomniał, dlatego wcale się nie krępował.

Poznała go od razu. Poznała i przerażona uskoczyła w bok, rzuciwszy na idącego obok chłopaka szybkie spojrzenie zaszczutego zwierzęcia. W tej samej chwili Paweł Smitijenko wszystko zrozumiał. Oczywiście, to był wykapany on sprzed dwudziestu lat. Wzrost, budowa, kolor skóry, oczy - wszystko.

- Co u pani słyhać, Weroniko Matwiejewno? - zapytał uprzejmie. - Miło znowu panią spotkać.

Zmieszała się. Powiedzieć, że ją z kimś pomylił i że się nie znają, byłoby głupio, zwłaszcza że zwrócił się do niej po imieniu.

- Dziękuję, wszystko w porządku - rzuciła nerwowo.

- To pani synek?

- Tak.

W oczach kobiety Smitijenko ujrzał taką panikę, że w jego głowie błyskawicznie zrodził się genialny plan.

\* Czifir - bardzo mocna esencja herbaciana, która działa jak narkotyk (przyp. tłum.).

- Ładny chłopiec. - Życzliwie skinął głową. - Wciąż pani mieszka tam gdzie dawniej?

- Tak, mieszkamy w tym samym domu, na sąsiedniej ulicy - powiedziała już spokojniej. Uznała widać, że Paweł niczego się nie domyślił.

Porozmawiali jeszcze parę minut, wymieniając jakieś nic nieznaczące uwagi. Turbina pożegnała się z Pawłem, nie kryjąc ulgi. Ale jej radość okazała się przedwczesna. Smitijenko słusznie się domyślił, że Weronika da wszystko za to, by ukryć przed tym rośłym, pięknym chłopcem prawdę o jego ojcu. Ciekawe, jaki kit mu wcisnęła, myślał. Że ojciec był badaczem polarnym, który zginął na posterunku, wypełniając odpowiedzialne zadanie? A może bohaterskim strażakiem, który stracił życie, ratując ludzi z pożaru? Czy też wymyśliła inną historyjkę?

Weronikę Matwiejewnę wysledził, gdy szła sama ulicą. I od razu, bez owijania w bawełnę, przedstawił jej swoje warunki. Za uchylanie się od zatrudnienia nic obecnie nie grozi, dlatego też on nie zamierza pracować, a na to, żeby mógł żyć beztrudnie, do woli racząc się wódeczką, pieniądze będzie mu dawała ona, Weronika Matwiejewna. Bo inaczej sama wie, co jej grozi. To się synalek ucieszy! Uściska wreszcie rodzzonego tatusia. Naturalnie, dla pełnego obrazu sytuacji Smitijenko powiedział Turbinie nie tylko o tym, że ma za sobą dwa wyroki, ale też sprecyzował, za co konkretnie został skazany. Nie szczędził malowniczych szczegółów, sypał nimi jak z rękawa, żeby wiedziała z góry, jakie nowiny czekają jej ukochanego syneczka.

Wtedy właśnie wszystko się zaczęło. Turbinowie zmienili mieszkanie, potem zrobili to jeszcze raz i jeszcze, a po każdej przeprowadzce zostawały pieniądze z dopłaty, które niknęły w bezdennej kieszeni Pawła Smitijenki. A teraz jednak Weroniki Matwiejewny postanowił się ożenić. Paweł oczywiście był ciekaw, co i jak. Wybrał się w okolice, gdzie mieszkała Weronika z synem, wysledził chłopaka, zaczekał,

aż ten spotka się ze swoją dziewczyną, przyjrzał jej się uważnie, a potem wypatrzył, dokąd wraca, i sprawdził, kim jest. Kiedy się tego dowiedział, aż ślinka mu pociekła. Jeżeli wszystko się uda, będzie mógł nawet zostawić w spokoju staruchę, którą wiele lat temu przeleciał po pijanemu. Teraz warto raczej wziąć się do synka. Ten pewnie też nie zechce, by nowa rodzina została powiadomiona, jakiego zięć ma wspaniałego ojczulka, więc z mety zaczniesz bulić - wystarczy tylko podstawić kieszeń. Tak, to najlepsze rozwiązanie...

## ROZDZIAŁ 10

Łysawy biznesmen, którego przyjaciele nazywali Stiepaszką, odpiął smycz od obroży swego ogromnego, kudłatego owczarka kaukaskiego Pini i usiadł na ławce. Zaraz przyjdą tu ci krwiopijcy i zaczną mu wiercić dziurę w brzuchu - jak, co i dlaczego. Miał dla nich informacje, nie wiedział tylko, czy ucieszy ich to, czego zdołał się dowiedzieć.

Wczoraj po spotkaniu w Sokolnikach odszukał Larysę Samykiną, kochankę Sierioży Artiuchina. Larysa zaklinała się, że nie wie, gdzie zniknął jej przyjaciel, i powiedziała, że z początku wykombinowali wspólnie mocne, niepodważalne alibi: otóż w czasie gdy jakiś drań na drugim końcu miasta gwałcił kobietę, Artiuchin rzekomo był zupełnie gdzie indziej. Szukał domu, w którym mieściła się apteka, i zapytał o drogę przypadkowo tamtędy przechodzącą dziewczynę, czyli ją. Wszystko starannie obmyślili w taki sposób, by śledczy mógł potem łatwo odszukać zagadniętą przez Artiuchina młodą osobę. Podejrzany zeznał, że dziewczyna, mimo zimna, była tylko w dżinsach, T-shircie i z gołą głową, z czego łatwo wyciągnąć wniosek, że pewnie mieszkała w domu, obok którego on zagadnął ją o drogę. Może tylko wyskoczyła do sklepu po chleb albo do kios-

ku po papierosy. Dziewczyne, oczywiście, znaleziono, zwłaszcza że Siergiej opisał ją bardzo dokładnie, a i ona przypomniała sobie młodego człowieka, który pytał ją o kamienicę z apteką. Pamiętała nawet, że akurat oglądała w telewizji film w dwóch częściach, a w przerwie, gdy nadawano wiadomości, wybiegła na chwilę do sklepu. Śledczy przejrzał program telewizyjny, tamtego dnia rzeczywiście szedł taki film (Siergiej i Larysa starannie to najpierw sprawdzili), a przerwa na wiadomości wypadła akurat w czasie, kiedy dokonano gwałtu na poszkodowanej Pietriczec.

Artiuchinowi dano więc spokój. Minęły prawie trzy miesiące, aż nagle oboje napatoczyli się na Kamińską z wydziału kryminalnego, która w kawiarnianym ogródku podsłuchiwała ich rozmowę i zorientowała się, że Larysa wcale nie jest przypadkowo zagadniętą przez Siergieja dziewczyną, ale jego starą przyjaciółką. No i nazajutrz Artiuchina zgarnęli. A po tygodniu, w sobotę, wypuścili go za kaucją. Wtedy wpadł do Larysy, pożegnał się i zapowiedział, że się zmywa. I to właściwie wszystko, ona nic więcej nie wie.

- Czyli, laleczko - oznajmił kategorycznie Stiepaszka - temu, że się tak sprawy mają, jesteś winna ty sama. Zanim się rozpuści język, trzeba najpierw dobrze się rozejrzeć. To przez ciebie Sieriozę przyskrzynili. Więc bądź tak uprzejma i oddaj mi pięćdziesiąt tysięcy baksów. Nie zamierzam ponosić takiej straty tylko dlatego, że pomogłem twojemu fagasowi.

- A skąd nagle mam wziąć taką kupę forsy?! - przeraziła się Larysa.

- Bierz, skąd chcesz. Ja jakoś znalazłem szmal, żeby wyciągnąć twojego gacha z pudła. Ty też znajdziesz. Albo odzyskaj Sieriozę, niech wraca, zanim gliny zaczną na niego polować. Przedstawili mu akt oskarżenia?

- Chyba tak - odpowiedziała Larysa niepewnie. - Sierioża mówił, że sprawę skierowano do sądu.

- No to świetnie - ucieszył się Stiepaszka. - Czyli nie tak prędko trafi na wokandę, musi czekać na swoją kolejkę, więc i jego nie złączą od razu szukać. Jeżeli sam szybko wróci, sędzia nawet się nie dowie, że chciał zwać. Wtedy forsa nie przepadnie. Więc się postaraj, laluniu. Albo pięćdziesiąt kawałków, albo Artiuchin. I nie odwlekaj sprawy. Będę do ciebie codziennie dzwonił, żeby się dowiedzieć, co nowego.

Dzisiaj, siedząc na parkowej ławeczce i śledząc wzrokiem biegającego Pinię, Stiepaszka raz jeszcze analizował wczorajszą rozmowę z Larysą. Zachował się chyba właściwie - śmiertelnie ją wystraszył.

Pierwszy przybył na umówione spotkanie grubas, niosąc na rękach tłustą jamniczkę o wymyślnym imieniu Audra. Sapiąc ciężko, opadł na ławkę obok małego, łysiego Stiepaszki.

- No i co, dowiedziałeś się czegoś? Gadaj szybko, Zora nie przyjdzie. Dzwonił i powiedział, że jest zajęty.

Łysy zwięźle zrelacjonował swoje spotkanie z Larysą.

- Myślisz, że potrafi go znaleźć? - z powątpiewaniem mruknął grubas, swoim zwyczajem mamląc w ustach papierosa.

- Jeżeli nie, to przynajmniej skombinuje forszę. Postraszyłem ją jak Pan Bóg przykazał. Niech sobie teraz sama głowę łamie, co robić.

- Jak, mówiłeś, nazywa się ta baba z kryminalnego, która ich nakryła?

- Kamieńska.

- Kamieńska... Gdzieś już słyszałem to nazwisko. No dobra, zapytam Żorę. Jak się umówiłeś z Larysą?

- Ma szukać Artiuchina, a ja co dzień będę dzwonił i dowiadywał się. Jestem pewien, że go znajdzie. Zna wszystkich jego kumpli, na pewno i tego, który pomógł mu zwać.

- Ohoho, wielka mi sztuka! - z pogardą rzucił grubas. - W końcu nie uciekł z Butyrek, tylko dał nogę z miasta,

specjalna pomoc do tego niepotrzebna. Wystarczy, że wsiadł w samolot, i szukaj wiatru w polu.

- Nie gadaj - sprzeciwił się łąsy. - Przecież zabrali mu dowód. Co robi bez dokumentów? Musiał od kogoś pożyczyć, inaczej nie sprzedaliby mu biletu i nie wpuściliby go do samolotu.

- Mógł wsiąść w pociąg czy w samochód, wielka rzecz.

- To też nie takie proste. W samochód? Czyj? Swój? Mają przecież numer jego wozu, zarządzają poszukiwania. Cudzy? To znaczy, że ktoś mu pomógł, dał auto. Wyjechał pociągiem? Może. Ale dokąd? Gdzie będzie mieszkał? W hotelu? Bez dowodu się tam nie zamelduje. U znajomych? U rodziny? Czyli też ktoś musiałby mu pomóc. Tak czy siak, są osoby, które wiedzą, gdzie on jest. A Laryska je znajdzie. Możesz uspokoić Żorę, niech się nie wścieka. Zwrócimy mu forszę.

Grubas już dawno poszedł, a Stiepaszka wciąż siedział na ławce, grzejąc się w gorących promieniach majowego słońca i leniwie obserwując Pinie, który usiłował się zaprzyjaźnić z sympatyczną młodą airdale terierką. Ładną babkę przygruchał sobie ten głąb Artiuchin, myślał. I dlaczego takim bałwanom jak Sierioga zawsze trafiają się najlepsze laski? I buźka, i nogi, i biust - wszystko pierwsza klasa. A ten durny kołek napalił się na jakiegoś kocmołucha i nawet nie potrafił dziewczuchy namówić, żeby sama mu dała, więc się doigrał, że złożyła na niego skargę. Nie wystarczyła mu Laryska? Może by tak do niej zastartować, póki Sierioگی nie ma? Zaproponować pomoc, ochronę? Powinna połknąć haczyk. Należy do tej kategorii bab, które koniecznie muszą się ucześcić chłopa, bez faceta czują się jak bez majtek. Trzeba spróbować, to nic nie kosztuje. Zwłaszcza że i tak ma do niej dzwonić.

W poniedziałek Nastia spała długo i smacznie. Losza już dawno wstał, zjadł śniadanie, rozłożył w kuchni swoje

papiery i zatopił się w pracy, a ona wciąż leżała na tapczanie zwinięta w kłębek i cicho posapywała.

Czistiakow obudził ją o jedenastej.

- Wstawaj, śpiochu, bo przepisz swoje wielkie pięć minut!

Położył jej na twarzy najświeższy numer „Wiadomości Kryminalnych”, po które wyskoczył do pobliskiego kiosku. Na drugiej stronie sporo miejsca poświęcono zabójstwom w urzędach stanu cywilnego, opublikowano też zdjęcia. Nastia otworzyła gazetę i niespokojnie przebiegła oczyma artykuł, sprawdzając, czy wszystko jest tak, jak chciała, ale stwierdziła z ulgą, że dziennikarz, choć był wyraźnie niezadowolony, że musi zamienić Nastię na jakąś tam Darię Sundijewą-Kamieńską, nie pozwolił sobie na żadne samowolne odstępstwa od umowy i opisał wszystko sensownie i rzetelnie, szczególnie zwracając uwagę na fakt, że w przeddzień obu zabójstw dwie młode kobiety otrzymały listy z pogróżkami. U dołu kolumny zamieszczono powtórnie zdjęcie nieznamym i prośbę o ewentualne informacje o niej.

Nastia spokojnie wypijała dwie filiżanki kawy, myśląc z zadowoleniem, że nie musi się nigdzie śpieszyć i może posiedzieć w domu z Loszą, zabrać się do przekładu i w ogóle poczuć się, po pierwsze, osobą na urlopie, po drugie, zamężną. I to dopiero w osiem dni po ślubie! Pogratulować, nie ma co.

Ale wszystko znów potoczyło się inaczej, niż planowała. Praca nad przekładem jej nie szła, gdyż Nastia wciąż odbiegała myślami do rodziny Bartosów. Jura Korotkow nie potrafił zrezygnować z dzielenia się ze swoją przyjaciółką wszystkimi informacjami, jakie udało mu się zdobyć, tak że opowieści o Smitijence i ciężkim losie Marata Łatyszewa Anastazja wysłuchiwała już wczoraj. I im więcej wiedziała, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że oba przestępstwa mają związek ze ślubem Eleny Bartos i Walerija Turbina.

- Aśka, widzę, że jakoś ci nie idzie - zauważył Czistiakow, kolejny raz zerkając na żonę, która siedziała nieruchomo, ze wzrokiem wbitym w sufit. - Co się dzieje?

- Myślę o zabójstwach - odpowiedziała z roztargnieniem Nastia. - Nie mogę się skupić.

- Chcesz, to pójdziemy na spacer - zaproponował Aleksej. - I tak nie tłumaczysz, a chodząc, lepiej się myśli. Ja też chętnie bym się przeszedł, żeby wszystko sobie poukładać w głowie.

- Świetnie! - ucieszyła się Nastia. - Ale będziemy iść powoli, dobrze?

Długo przechadzali się ulicami, z rzadka tylko wymieniając jakieś błahe uwagi; przez większość czasu milczeli, pograżeni każde w swoich rozważaniach. W końcu Aleksej oznajmił, że wszystko, co miał przemyśleć, przemyślał i gotów jest wracać.

- A ja, niestety, do niczego nie doszłam - ze smutkiem przyznała się Nastia. - Organizmu nie oszukasz, dobrze wie, że jestem na urlopie, i odmawia sprawnego funkcjonowania.

Po powrocie do domu zajęli się obiadem, a ściślej biorąc, zajęła się nim Anastazja, która uświadomiła sobie ze wstydem, że przez cały poprzedni tydzień wszystkimi obowiązkami domowymi obarczała męża. Losza siedział w kuchni i obserwował kulinarne poczynania żony. Był to dla niego prawdziwie niezwykły widok. Dał sobie słowo, że nie będzie się do niczego wtrącał, ale dotrzymanie tego przyrzeczenia okazało się ponad jego siły.

- Po co solisz mięso, przecież wypuści cały sok - nie wytrzymał.

- To co, w ogóle nie solić? - zdziwiła się Nastia.

- Owszem, ale nie teraz.

- A kiedy?

- Później, kiedy już się zrobi chrupiąca skórka. Wtedy nie straci soczystości.

- Coś takiego, to ciekawe - rzekła w zamyśleniu Nastia.

- Od razu widać, że w szkole byłam słaba z chemii.



- Nie byłaś słaba z chemii, tylko nie umiesz gotować.
- Loszka uśmiechnął się i znów wetknął nos w książkę.

Kiedy jednak zobaczył, że Nastia zamierza położyć na rozgrzanej patelni kawałek masła, żeby usmażyć na nim frytki, jego cierpliwość się wyczerpała.

- Asiu, poczekaj!

- O co chodzi? Znów coś robię nie tak?

- Jeżeli chcesz, żeby frytki były rumiane, musisz je smażyć na oleju, przynajmniej z początku. Potem można dodać margaryny albo masła. I odstaw tę solniczkę.

- Co, kartofli też nie można solić?

- W żadnym wypadku, bo zupełnie rozmiękną. Osolisz je pod koniec smażenia.

- A idźże ty! - Nastia machnęła ręką, jakby się chciała opędzić od dobrych rad męża. - Dlaczego mnie tak krytykujesz? Staram się, staram, a ty nic tylko pouczasz!

- Wcale nie pouczam, tylko ratuję własny obiad, Asieńko. Poza tym, jeżeli rzeczywiście chcesz się czegoś nauczyć, zapytaj najpierw mądrą Czysiąkówną, jak zrobić to czy tamto, a dopiero potem bierz się do dzieła. I bądź łaskawa zdjąć pokrywkę z patelni.

- Dlaczego?

- Dlatego. Przecież smażyysz frytki, a nie dusisz. Takie, jakie lubisz, smaży się bez przykrycia.

- Dlaczego?

- Aśka, nie zawracaj mi głowy. Musiałaś być słaba nie tylko z chemii, ale i z fizyki. Nie rozumiem, jak w ogóle udało ci się skończyć szkołę o profilu fizyczno-matematycznym.

- Bo stale wszystko przepisywałam od ciebie. Co, już zapomniałeś? Przecież specjalnie przeniosłeś się z równoległej klasy do mojej, żeby mnie jakoś dociągnąć do matury.

Oboje wybuchnęli śmiechem. Naprawdę Nastia bardzo dobrze się uczyła, a Loszka przeniósł się do jej klasy tylko dlatego, żeby być bliżej niej. Po lekcjach długo się razem uczyli, odrabiając zadania domowe, a potem spacerowali do

późnego wieczora, całując się na zabój. Nie było to zresztą tajemnicą dla nikogo - ani dla nauczycieli, ani dla kolegów, ani dla rodziców.

W końcu wspólnymi siłami przygotowali obiad i nakryli do stołu. Po spacerze nabrali dzikiego apetytu i wszystko, co z takim nakładem starań Nastia pitraszyła przez półtorej godziny, zmiotli z talerzy w ciągu dziesięciu minut.

- I tak jest zawsze - podsumowała sytuację Nastia. - Człowiek się stara, traci masę czasu i sił, a potem szast-prast i po sprawie. Kilka chwil przyjemności i góra brudnych naczyń do zmywania. Czy to sprawiedliwe?

- Takie są prawa życia - orzekł filozoficznie Czistiakow. - A czy z pracą jest inaczej? Weź za przykład choćby siebie samą. Męczysz się, dręczysz, stawiasz różne hipotezy, niekiedy mylne, ryzykujesz, tracisz nadzieję, a potem trzy minuty - i przestępca zostaje ujęty. Przypomnij sobie, jak zatrzymaliście Galla. Miesiąc straciłaś na to, żeby go jakoś zwabić, podejść, spędziłaś z nim sam na sam całą noc w pustym mieszkaniu, wciąż czekając, kiedy cię zabije, a potem zdjęliście go w dwie minuty bez jednego wystrzału. Zdażyłaś tylko upaść, stłuc sobie kolano i złamać obcas. Kiedy wstałaś, już było po wszystkim. Może nie?

- Tak. - Nastia westchnęła. - Loszka, czy ty zawsze musisz mieć rację?

- No pewnie. - Czistiakow roześmiał się. - Wiesz, na czym to polega? Otóż, jeśli jej nie mam, nie może o tym wiedzieć nikt poza mną. Widzisz, ty też nie miałaś o niczym pojęcia.

- Dlaczego?

- Chciałem zachować autorytet w twoich oczach.

Po obiedzie Nasti udało się jakoś wziąć w garść i skoncentrować na przekładzie. Około ósmej jednak telefon znów zakłócił spokój w małym mieszkaniu Czistiakowów. Dzwonił Anton Szewcow.

- Anastazjo, są ciekawe nowiny - oznajmił podniecony.

- Przed chwilą do redakcji telefonowała pewna kobieta, która

powiedziała, że dwa miesiące temu wyszła za mąż i w przeddzień ślubu otrzymała identyczny list.

Zaskoczona Nastia omal nie wypuściła słuchawki z ręki.

- No tak. Czyli znaleźliśmy się w punkcie wyjścia.

A więc nie chodziło tu o Elenę Bartos. Dwa miesiące temu o jej ewentualnym ślubie z Turbinem nie wiedział nikt, nawet jej serdeczna przyjaciółka Katia Gołowanowa.

- Czy ta kobieta zostawiła swoje namiary?

- Tak, oczywiście, wszystko jest zapisane. Chce pani do niej zadzwonić?

- Nie, pojedę - zdecydowanie oznajmiła Nastia. - Tak będzie lepiej. Proszę mi podać adres.

- Jeśli pani chce, mogę panią podrzucić - zaproponował Szewcow. - Jestem wozem.

- Dobrze, dzięki. Co ja bym bez pana zrobiła, Anton? Cały czas nam pan pomaga.

- Głupstwo, nie ma o czym mówić. Kiedy po panią podjechać?

Nastia podała mu godzinę i zaczęła się ubierać.

Kobieta, do której przyjechali, miała koło trzydziestki, może trochę mniej. Nastia zauważyła, że jest radośnie podniecona, a co najdziwniejsze, również mąż kobiety był wyraźnie zadowolony. Wszystko zresztą bardzo szybko się wyjaśniło.

- Proszę sobie wyobrazić, że mąż od tamtej pory nie dawał mi spokoju - tłumaczyła kobieta, gestykując zamazyście. - Był przekonany, że w czasie gdy się z nim spotykałam, musiałam jeszcze kogoś mieć, i ten ktoś nie chciał dopuścić do ślubu. Nie pomagały żadne usprawiedliwienia i przysięgi, że wszystkie inne znajomości zerwałam, jeszcze zanim go poznałam. Nie wierzył. Dzięki Bogu, teraz się uspokoił.

- A czy nie wydało się pani dziwne, że otrzymała pani taki list, skoro było tak, jak pani mówi? - spytała z niedowierzaniem Nastia.

Kobieta zmieszała się i rzuciła krótkie spojrzenie na męża. Anastazja uznała, że popełniła błąd, zaczynając rozmowę z obojgiem jednocześnie. Trzeba było porozmawiać z każdym z osobna, ale było już na to za późno, musiała jakoś wybrnąć z sytuacji.

- Cóż, szczerze mówiąc... - Kobieta urwała.

Niespodziewanie przyszedł jej w sukurs mąż.

- Myślałaś, że napisała go moja była żona? Nigdy nawet się na ten temat nie zająknęłaś, ale wiem, że tak uważałaś.

- To prawda - przytaknęła z westchnieniem kobieta. - Sądziłam, że ty też jesteś tego pewien i dlatego chcesz zwalić wszystko na jakiegoś mojego mitycznego kochanka, żeby mi czasem nie przyszło na myśl, że to robota twojej żony. Boże, co za szczęście, że wreszcie się to skończyło!

Rozjaśniła się cała w tak promiennym i radosnym uśmiechu, że pozostali też musieli się uśmiechnąć.

- Zachowała pani ten list?

- Nie, wyrzuciłam.

- Szkoda - zasmuciła się Nastia. - Jak wyglądał?

- W białej kopercie bez adresata i nadawcy. Leżał w skrzynce pocztowej. Był napisany drukowanymi literami. Tekst identyczny z tym, jaki podano w gazecie: „Nie rób tego. Pożałujesz”.

- A kto pisał te listy? - zapytał mąż, wyraźnie zadowolony, że nieprzyjemną rozmowę o byłej żonie ma już za sobą.

- Ba, gdybyśmy to wiedzieli! - Nastia westchnęła. - Dobrze, dziękuję i przepraszam, że państwa niepokoiiliśmy.

- Ależ co pani, to my dziękujemy - powtarzali uradowani małżonkowie. - Nareszcie spadł nam kamień z serca.

Anton odwiózł Nastię z powrotem do domu. W samochodzie usiadła wygodnie na tylnym siedzeniu i zapaliła papierosa.

- Pomyśleć tylko, że taki drań omal nie zniszczył ludziom życia - powiedziała. - Są zaledwie dwa miesiące po ślubie i z powodu tego idiotycznego listu już na ich pożyciu pojawiła się rysa. Nie wiadomo jeszcze, czym by się to

skończyło, gdyby nie artykuł w waszej gazecie. Nigdy by się nie dowiedzieli, że list nie ma żadnego związku z ich sytuacją osobistą, i dalej by się kłócili.

- Nie ma dymu bez ognia, Anastazjo - zauważył Szewcow. - Gdyby nie zadawała się przedtem z innymi mężczyznami, a mąż potrafił się rozstać z poprzednią żoną kulturalnie, nie byłoby o czym mówić. Nie podejrzewaliby się nawzajem. Sami są sobie winni...

- Nie wiem, możliwe, że ma pan rację - odpowiedziała w roztargnieniu Nastia.

Zrozumiała, że zagadkowe przestępstwo musiało zostać obmyślane i zaplanowane już dawno. Gdyby tylko udało się rozgryźć ów potworny zamysł, byłoby o wiele łatwiej pracować nad sprawą.

Podjeżdżali właśnie pod jej dom. Nastia wyciągnęła rękę, żeby otworzyć drzwi, i nagle spostrzegła koło swojej klatki schodowej dziewczynę w znajomym czarno-czerwonym skórzanym płaszczu. Larysa Samykina. Czego tutaj szuka?

- Niech pan zostanie, Anton. Proszę nie odjeżdżać - poprosiła. - Zdaje się, że ta dziewczyna czeka na mnie. Nie chcę z nią rozmawiać bez świadków.

Anton zgasił silnik i razem z Nastia wysiadł z samochodu.

- Anastazjo Pawłowno - rzuciła się do niej Larysa - musi pani mi pomóc!

Jej zaczerwieniona twarz i zaognione oczy świadczyły, że niedawno płakała.

- Co się stało? - spytała chłodno Nastia, robiąc krok w jej stronę.

- Sierioża uciekł. Zwolnili go za kaucją, a on zwiął. Co robić?

- Nic. Co pani ma z tym wspólnego? Przeciwno pani wniesiono oskarżenie za rozmyślne składanie fałszywych zeznań, ale pani, jak rozumiem, nie zamierza zniknąć. Więc czym się pani tak przejęła?

- Oni żądają ode mnie pieniędzy.

- Jacy oni i jakich pieniędzy?

- Tych, które wyłożyli na kaucję. Teraz, kiedy Sierioża uciekł, pieniądze przepadną. Oni chcą, żebym im zwróciła całą sumę albo znalazła Sieriożę. Skąd mam wziąć tyle forsy?

- Ile?

- Pięćdziesiąt tysięcy.

- Czego, rubli?

- Co pani! Dolarów, oczywiście. O mój Boże, Anastazjo Pawłowno, proszę mi pomóc znaleźć Sieriożę!

Larysa rozplakała się, zakrywając twarz rękami i kuląc ramiona.

- Niech pani przestanie. - Nastia skrzywiła się. - Proszę się uspokoić. Pani przyjaciela milicja i tak będzie szukać, jeżeli rzeczywiście uciekł. A ja w niczym nie mogę pani pomóc. Proszę wracać do domu.

- Musi pani! - Zrozpaczona dziewczyna prawie krzyczała.

- Musi pani mi pomóc! Przecież to wszystko przez panią! To pani jest wszystkiemu winna!

- Co pani przez to rozumie? - Nastia uniosła brwi. Miała już dość tej sceny.

- Gdyby pani nas wtedy nie podsłuchiwała... I nie powiedziała śledczemu... Nic by się nie stało. A teraz oni żądają ode mnie takiej potwornej sumy i grożą, że mnie zabiją, jeżeli nie dostaną pieniędzy. To wszystko przez panią!

Larysa szlochała głośno i już nawet nie zakrywała dłońmi twarzy. Łzy jak groch toczyły się po jej policzkach, nos poczerwieniał, twarz pokryła się brzydkimi plamami.

- To pani!... Pani!... Pani jest wszystkiemu winna. Niech mi pani pomoże, błagam panią, błagam... Oni mnie zabijają... I Sieriożę... Niech nas pani ratuje!

- Proszę wracać do domu - powtórzyła Nastia i zrobiła krok w stronę klatki schodowej.

Larysa wczepiła się konwulsyjnie w rękaw jej kurtki.

- Niech pani zaczeka, nie może pani tak odejść... Nie może pani przecież... Jest pani bez serca!

Nastia zgrabnie wyswobodziła rękę i weszła do środka. Anton, który cały czas, milcząc, stał obok - za nią, chociaż Anastazja go nie zapraszała. Bez słowa wjechali windą na górę i po chwili znaleźli się w mieszkaniu.

- Cześć! - rzucił wesoło Czistiakow. - Dlaczego jesteście tacy ponurzy?

- Bo tak - odparła niejasno Nastia. - Niech pan się rozbiera, Anton, zaraz coś zjemy. Zostawię was na chwilę, muszę zadzwonić.

Zabrała telefon do pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

- Konstantinie Michajłowiczu, to ja. Wie pan już, że Artiuchin uciekł?

- Jeszcze nie. A co, naprawdę uciekł? - Olszańskiego nie poruszyła szczególnie ta nowina.

- Przed chwilą rozmawiałam z Samykiną, dowiedziałam się o tym od niej.

- Ale Samykina jest w Moskwie?

- Tak.

- No i dobrze. Będzie odpowiadać za fałszywe zeznania, a sprawę Artiuchina przekazałem do sądu, niech teraz oni się martwią, skoro go zwolnili za kaucją. Ja byłem przeciwny, ostrzegałem, że nie powinno się go wypuszczać. Pewnie sędzia dostał w łapę.

- Więc co, Artiuchin nikogo teraz nie interesuje? Może sobie swobodnie zniknąć?

- Trudno powiedzieć. Wiesz, Nastazjo, zwolnienie za kaucją wprowadzono u nas bardzo niedawno, nikt właściwie dobrze nie wie, co robić i jak kontrolować tych, którzy wyszli, nie ma jeszcze w tym zakresie żadnej praktyki. Może sędzia sobie o czymś przypomni i zechce z nim porozmawiać? Albo milicji wpadnie do głowy sprawdzić w miejscu zamieszkania Artiuchina, jak on się sprawuje, czy dotrzymuje warunków zwolnienia? Trafiają się tam sumienni funkcjonariusze. Niewykluczone jednak, że nikt się nim nie zainteresuje aż do rozprawy. Trudno przewidzieć. Ale, oczywiście,

powiadomię o tym sędziego. A czego chciała od ciebie Samykina?

- Ludzie, którzy wpłacili za Artiuchina kaucję, żądają od niej swoich pieniędzy. Boją się, że kaucja przepadnie. Więc Samykina chciała mnie wziąć na litość.

- Uważa, że to ty jesteś wszystkiemu winna?

- Oczywiście.

- Dobra, nie przejmuj się, poradzimy sobie. Jesteś na urlopie, więc odpoczywaj spokojnie. Jak tam twoje życie rodzinne?

- Bardzo dobrze. Ponad wszelkie oczekiwania.

- No to chwała Bogu.

Kiedy Anton wychodził, Nastia narzuciła kurtkę i zjechała razem z nim na dół.

- Anastazjo, naprawdę nie jest pani ani trochę żal tej dziewczyny? - zapytał Szewcow, zatrzymując się przy swoim jaskrawożółtym samochodzie i wyjmując zapalniczkę

- Nie - odpowiedziała Nastia lakonicznie.

Właściwie odprowadziła Antona na dół po to, żeby o tym porozmawiać. Ale teraz jakoś jej się odechciało.

- O co ona panią obwinia?

- Udowodniłam, że jej kochanek dopuścił się gwałtu.

- Dziwna logika. - Anton uśmiechnął się. - I naprawdę pani nie wie, jak tej Larysie pomóc?

- Oczywiście, że wiem. Powinna postawić na nogi wszystkie prywatne agencje detektywistyczne, dobrze im zapłacić i odnaleźć Artiuchina, zanim zrobi to milicja. Bo jeśli milicja rozpocznie poszukiwania, kaucja przepadnie.

- Więc dlaczego pani jej tego nie doradziła?

- Dlatego że pracuję w milicji, a nie w prywatnej agencji.

- A czy pani sama mogłaby go znaleźć?

- Raczej nie. - Nastia wzruszyła ramionami. - Nie potrafiłabym. Nigdy tego nie robiłam. Zajmują się tym specjalne podgrupy i specjaliści.

- A jednak szkoda mi jej - westchnął Anton. - Tak płakała, że aż żal było patrzeć.



- Czyżby? Ja widziałam, jak płakała dziewczyna, którą zgwałcił Artiuchin. I niech pan sobie wyobrazi, że też mi było tej nieszczęsnej żal, zwłaszcza gdy zobaczyłam olbrzymie fioletowe sińce na jej twarzy i rękach. Pobił ją, jak pan się domyśla. Zaczepił dziewczynę na ulicy, a ona ze strachu przed nim rzuciła się do ucieczki najkrótszą drogą, przez park. Najkrótszą, ale ciemną i pustą. W styczniu o szóstej wieczorem już nic nie widać, a wtedy była dziewiąta. I żywego ducha wokół. A Artiuchin niezłe podпиты.

Anton milczał chwilę, po czym nagle się uśmiechnął.

- Przepraszam, rzeczywiście głupstwa gadam. Pani przecież wie najlepiej, jak należy postąpić.

Pożegnali się przyjaźnie i serdecznie. Ale Nastia - z jakimś dziwnym, nieprzyjemnym uczuciem - weszła szybko do domu, nie czekając, aż Anton ruszy.

Nazajutrz rano nie udało jej się dłużej pospać. Położyła się późno, nie mogła przestać myśleć o parze, która otrzymała list dwa miesiące temu. Przewracała się bezsenność z boku na bok do trzeciej, po czym wstała, poszła do kuchni, usiadła wygodnie, nogi położyła na taborecie, zapaliła papierosa i pograżyła się w rozmyślaniach. Wyrwał ją z nich dopiero Czistiakow, który się obudził, z groźną miną wtargnął do kuchni i niemal na siłę zaprowadził żonę do łóżka, zmuszając ją przedtem, by połknęła tabletkę nasenną.

- Po co mi tabletki, Losza, przecież już wpół do czwartej - usiłowała protestować Nastia. - Powinnam po niej spać co najmniej osiem godzin, bo inaczej będę zupełnie rozbita.

- No właśnie. Śpij na zdrowie, ile wlezie, przecież nie musisz iść do pracy.

Wreszcie około czwartej udało się Nasti zasnąć, a o jedenastej obudził ją Losza.

- Asiu, dzwoni Szewcow. Okazuje się, że były jeszcze jakieś listy.

Senność minęła jak ręką odjął. Nastia aż podskoczyła na łóżku i chwyciła słuchawkę, którą mąż trzymał w ręku.

- Dzisiaj od rana dzwoniły już cztery osoby - poinformował Anastazję Szewcow. - Najwcześniejszy list pochodzi sprzed prawie pół roku.

- Cholera jasna! - wyrwało się Nasti. - Że też on wciąż nie daje nam spokoju!

- To znaczy kto?

- Zabójca. Jak tylko zaczynam rozważać pewną określoną koncepcję, natychmiast dzieje się coś, co całkowicie zmienia obraz sprawy.

- Widać trafił się jakiś bystrzak - zażartował Anton - który nawet dla pani jest ciężkim orzechem do zgryzienia. Mogłbym się może na coś przydać?

- To zależy od tego, czy ma pan czas, żeby ze mną jeździć.

- Co za pytanie! - oburzył się Szewcow. - Oczywiście, że mam. Zrobię wszystko, co trzeba. Mnie to przecież też dotyczy.

- Jak to?

- Zostałem okradziony, nie pamięta pani? Tak że też jestem zainteresowany w wykryciu zabójcy. A poza tym widziałem tę zabitą dziewczynę, Kartaszową, i jej narzeczonego. Trudno coś takiego zapomnieć. Pani pewnie łatwiej to przychodzi, wiadomo, przyzwyczajenie.

Umówili się, że Anton weźmie wszystkie adresy i razem odwiedzą kobiety, które dostały listy z pogrózkami.

Dwie godziny później rozmawiali z sympatyczną, młodszą Julą, która była w domu sama. Zwolniła się z pracy, żeby się z nimi spotkać.

- Wie pani, w ogóle się wtedy nie zdziwiłam - wyznała szczerze. - Miałam jednocześnie trzech narzeczonych i długo się namyślałam, z którym wziąć ślub. Dlatego byłam przekonana, że list napisał któryś z pozostałych dwóch.

- Czy powiedziała pani mężowi o tym liście?

- Nie, skąd, nic mu nie mówiłam.

- Dlaczego? Nie wiedział, że ma pani jeszcze innych konkurentów?

- Wiedział. Bałam się, że będzie ich chciał pobić. Wie pani, on jest...

- Jaki?

- W gorącej wodzie kąpany. Był co i od razu rwie się do bitki.

- A nie boi się pani, że i panią może pobić?

- Nie, on mnie kocha - powiedziała z przekonaniem Jula.

- Nigdy by nie podniósł na mnie ręki.

- Zachowała pani list?

- Tak, a jakże. Bądź co bądź, to pamiątka po narzeczonych. - Uśmiechnęła się kwaśno.

Po chwili przyniosła znajomo wyglądającą kopertę i wyjęła z niej złożoną na pół kartkę z tymi samymi słowami, co w innych listach.

- Szkoda - westchnęła prostodusznie. - Wygląda na to, że żaden z nich nie pisał tego listu. A ja myślałam, że przynajmniej jeden z nich próbuje coś zrobić, żebym do niego wróciła. Tymczasem wcale nie...

Nastia i Anton pojechali pod kolejny adres.

- To dopiero zabawne - zauważył Szewcow. - Ci dwoje, u których byliśmy wczoraj, cieszyli się, kiedy się dowiedzieli, że listu nie pisała żadna z bliskich im osób. A ta Jula, przeciwnie, żałuje. Śmieszne.

- Istotnie - przytaknęła Nastia, chociaż wcale nie było jej do śmiechu. Ani rusz nie mogła przeniknąć toku rozmowy przestępcy i jego zamysłu. Bardzo ją to męczyło i denerwowało.

Następna kobieta, która dostała list, była zmęczona i smutna. Nastia rozejrzała się po mieszkaniu i stwierdziła, że nie widać tu śladów obecności mężczyzny, chociaż gospodyni zaledwie cztery miesiące temu wyszła za mąż.

- Z powodu tego listu wszystko się rozleciało - powiedziała z rezygnacją kobieta, patrząc nie na gości, lecz w okno. - Teraz już za późno o tym mówić, niczego nie da się naprawić. Mąż mi nie chciał uwierzyć.

- Zazdrość?

- Nie, raczej głupota. Chociaż zazdrość, oczywiście, też. Wylazły z niego wszystkie najgorsze cechy. Nawet nie przypuszczałam, że jest w nim tyle złości i chamstwa. Więc może to i lepiej, że sprawy przybrały taki obrót. - Uśmiechnęła się lekko.

- Proszę powiedzieć, Anno Igoriewno, ma pani list?

- Skąd. Mąż od razu podarł go na strzępy. Wie pani, w dniu ślubu jeszcze jakoś się hamował, nawet był miły. A nazajutrz się zaczęło... Okazało się, że jestem zdziwą, szmatą, suką i prostytutką. Nie miałam pojęcia, że zna aż tyle wulgarnych słów. Tak, miał bardzo bogate słownictwo.

- Znow się uśmiechnęła. - Wytrzymałam równo dziesięć dni. Potem się rozstaliśmy. Rozwód mamy już za sobą.

- Współczuję pani - cicho powiedziała Nastia. - Może teraz, kiedy się okazało, że taki list dostała nie tylko pani, uda się wszystko naprawić?

- Nie, nie chcę. - Anna Igoriewna pokręciła głową przecząco. - Jak dla mnie, wystarczy tego dobrego. Mam już trzydzieści sześć lat i dla głupiej pieczętki w dowodzie osobistym nie będę się poniżać. Bardzo chciałam wyjść za mąż, nie ukrywam, i wciąż jakoś mi się nie udawało. Ale więcej nie będę próbowała.

- A dlaczego nie zaniósła pani listu na milicję?

- Dlatego, że wiedziałam, kto go napisał. To znaczy, do wczoraj sądziłam, że wiem. Ale, jak widać, myliłam się. I proszę mnie nie żałować. Każdy powinien przeżyć własny los, nie cudzy. Nie jest mi pisane być mężatką, więc nie trzeba było nawet próbować. Są jednak kobiety, które po rozstaniu z mężem zarzekają się, że nigdy więcej za nic na świecie nie wyjdą za mąż, a potem mimo to znow wychodzą, bo nie jest im sądzone żyć w samotności. Różnie bywa...

Odwiedzili jeszcze dwie kobiety, które otrzymały w przeddzień ślubu listy z pogrózkami, i wysłuchali dwóch różnych i jednocześnie bardzo podobnych historii. Żadna

z adresatek nie zwróciła się do milicji, ponieważ obie „wiedziały”, kto jest autorem listu.

Jeździli po całym mieście, odszukując kobiety w pracy, w domu, u przyjaciół.

- Anastazjo, przejeżdżamy teraz niedaleko mojego mieszkania. Może wpadniemy, napijemy się przynajmniej herbaty?

- Dobrze - zgodziła się Nastia. Oboje cały dzień nic nie jedli, a dochodziła już siódma.

Mieszkanie Szewcow miał dwupokojowe, niewielkie, ale wygodne, z dużą kuchnią i szafami w ścianach. Od razu było widać, że jest dobrym gospodarzem - wszędzie panowała czystość i porządek, niedawno też chyba przeprowadzono remont. Ściany zostały oklejone jasnoszarą, prawie białą tapetą z ledwie zauważalnym srebrzystym deseniem, dzięki czemu pokój wydawał się wesoły i wypełniony jakimś szczególnym światłem...

- Napije się pani kawy czy herbaty?

- Ma pan kawę? Przecież jej pan nie pija - zdziwiła się Nastia.

- Sam nie piję, ale trzymam dla gości.

Anton przyniósł do pokoju tacę z filiżankami, cukiernicę, puszkę kawy rozpuszczalnej i imbryczek.

- Zje pani coś? Mogę zaproponować kanapki z serem i konfitury.

- Niech pan proponuje. - Nastia uśmiechnęła się z wdzięcznością. - Umieram z głodu. Już kolejny raz mnie pan ratuje. Można u pana palić?

- Ależ naturalnie, popielniczka stoi na stole! - odkrzyknął gospodarz z kuchni.

Nastia rozejrzała się po pokoju i wyszła na balkon. Zauważyła, że i tu panuje nieskazitelny porządek. Boże, kiedy ona wreszcie znajdzie czas, żeby posprzątać loggię? Tyle tam różnych rupieci! Usiadła na plastikowym taborecie i zapaliła.

Anton przyniósł kanapki i miseczkę konfitur.

- Anastazjo! - zawołał. - Podano do stołu!

Nastia wróciła do pokoju, wyrzuciwszy przez balustradę niedopalonego papierosa.

- Strasznie pani blada - zauważył Anton, nalewając jej kawy. - Zmęczona?

- Trochę.

- To pewnie nic przyjemnego tak spędzać urlop, prawda? Zwłaszcza zaraz po ślubie.

- Nie, dla mnie to zwyczajna rzecz.

Wypiła parę łyków kawy i wzięła kanapkę. Chleb był bardzo świeży, a gatunek sera dość drogi.

- Zdarzyło mi się już coś podobnego - powiedziała. - Pojechałam na kurację do sanatorium, a tam dokonano zabójstwa, więc zamiast się leczyć, musiałam się zająć tą sprawą. Pewnie po prostu nie potrafię wypoczywać, brak zajęcia mnie nudzi. Dobrze się czuję wtedy, kiedy głowa cały czas pracuje, myśl jest czymś zaprzątnięta.

- A ja lubię odpoczywać. Ale tak naprawdę, kiedy można całkowicie się wyłączyć, zapomnieć o zmartwieniach, nic nie robić i niczym się nie denerwować. Człowiek czasami powinien oderwać się od wszystkiego, bo inaczej długo nie wytrzyma. Ale - uśmiechnął się - na mnie nie należy się wzorować, ludzie chorzy na serce mają szczególną psychikę. Lekarz powiedział, że muszę porządnie wypoczywać, więc wypoczywam. W ogóle mam zaufanie do lekarzy. A pani?

- A ja nie. To znaczy, mam do nich zaufanie, oczywiście, ale i tak robię wszystko po swojemu.

Wypiła duszkiem resztę wystygłej już kawy i wstała.

- Dziękuję, Anton. Czas na mnie.

- Odwiozę panią. - Szewcow zerwał się z krzesła.

- Nie trzeba, pojedę metrem. I tak już nadużyłam pańskiej uprzejmości, to mnie krępuje.

- Niech pani da spokój, Nastiu. - Po raz pierwszy nazwał ją Nastią, nie Anastazją. - Między przyjaciółmi to chyba

normalna rzecz. Miło mi w pani towarzystwie, a pani jest zmęczona, więc nie może być mowy o żadnym metrze.

Nie miała ochoty protestować, więc ustąpiła łatwo i szybko.

Przezorny mały biznesmen Stiepaszka sumiennie spełniał swoje obietnice. Najpierw zadzwonił do Larisy Samykiniej, a zaraz potem do smagłego przystojniaka Żory.

- Nasza laseczka energicznie krząta się koło sprawy - powiadomił go. - Wczoraj nawet widziała się z Kamieńską, próbowała ją namówić, żeby pomogła w poszukiwaniach Artiuchina.

- Z kim się widziała? - Żorę na chwilę zamurowało.

- Z Kamieńską z kryminalnego, z Pietrowki?

- No tak, z tą, która wyspała Sieriozę.

- Idiotka! - ryknął Zora w słuchawkę. - A ty co? Nie mogłeś wcześniej powiedzieć?

- Ale o co chodzi? Czego się drzesz? - zapytał urażony Stiepaszka.

- Czy ty w ogóle masz pojęcie, kto to jest Kamieńska?! Niech to szlag, czy została ci chociaż jedna szara komórka we łbie?

- No kto?

- Pamiętasz, dwa miesiące temu został zastrzelony ukochany wnuk Trofima?

- Pamiętam. I co z tego?

- Wtedy właśnie ta Kamieńska znalazła zabójcę. I teraz Trofim to jej najlepszy przyjaciel.

- Eee tam, najlepszy - wtrącił z powątpiewaniem Stiepaszka. - Bez przesady.

- Nie przesadzam, tylko chcę, żebyś wysilił swoją tępą mózgownicę i zrozumiał wreszcie, że jeśli Kamieńska wygada się przed Trofimem, że z powodu Artiuchina wzięliśmy dziewczuchę za tyłek, to już po nas. Cała sprawa od razu wyjdzie na wierzch. A przecież o to nam właśnie cho-

dzi, żeby Trofim się nie dowiedział, że zrzuciliśmy się na kaucję za Artiuchina. Co za kretyn z ciebie, niedorozwój...

- Ale ja nic nie wiedziałem - zaczął się usprawiedliwiać Stiepaszka. - W ogóle pierwszy raz słyszę o tej Kamieńskiej.

To akurat było kłamstwo. Po prostu zapomniał, bo oczywiście opowiadano mu historię o wnuku wielkiego, potężnego mafiosa Trofima, i to niejednym razem, nazwisko tej baby z kryminalnego też wymieniano, ale jakoś nie zwrócił na nie uwagi i wyleciało mu z głowy. Cholera jasna, taki obciach. Gdyby pamiętał o Kamieńskiej, ostrzegłby Larysę, żeby, broń Boże, nie wpadło jej czasem na myśl do niej iść. Powinien był przewidzieć, że dziewczyna właśnie to zrobi. Ba, właściwie sam jej podsunął taki pomysł, powiedział: „To przez ciebie tak się stało, więc teraz szukaj wyjścia z sytuacji”. Oczywiście, Larysa myślała, myślała, aż wymyśliła, żeby pójść do tej, którą sama uważała za winną. Do Kamieńskiej.

- Krótko mówiąc, Stiepaszka - zakończył Żora już spokojnie - leć do Laryski i opieprz ją równo. Niech dzwoni do Kamieńskiej, niech do niej idzie, niech padnie przed nią na kolana, czołga się i prosi o wybaczenie, przeprasza, że się uniosła, ale to wszystko przez to, że bardzo się martwi o Sieriożę. Niech da jej słowo honoru, że Artiuchin wróci lada dzień, że nigdzie nie uciekł, tylko zadekował się u kolejnej baby, a ona nie mogła się do niego dodzwonić, więc się przestraszyła, że wyjechał. Tymczasem jest w Moskwie, gnije w cudzych betach. Rozumiesz?

- Rozumiem. Już lecę.

- Dobra, tylko biegiem. Liczy się każda minuta.

Stiepaszka odłożył słuchawkę i szybko się przebrał w drogi garnitur z kamizelką. Otworzył lodówkę, wyjął stamtąd wielkie pudło czekoladek i butelkę johnny'ego walkera, włożył to do dyplomatki i błyskawicznie zbiegł po schodach, pobrzękując kluczykami od swego wspaniałego samochodu. Kwiaty zamierzał kupić po drodze.



## ROZ DZIAŁ 11

Marat Łatyszew obudził się późno, z ciężką głową. W ustach czuł ohydny niesmak po niezliczonym mnóstwie papierosów wypalonych wczoraj podczas gry. Znów grał, ale tym razem miał szczęście. Właśnie to szczęście, które niekiedy Maratowi sprzyjało, nie pozwalało mu raz na zawsze skończyć z hazardem. Każda wygrana wydawała się Łatyszewowi początkiem dobrej passy, a żadna przegrana nie mogła go zniechęcić, gdyż wierzył ślepo i uparcie, że w końcu fortuna się do niego uśmiechnie.

Parzył sobie akurat mocną kawę, gdy zadzwoniła Tamila. Głos miała zły i rozdrażniony.

- Chciałabym wiedzieć, na co właściwie czekasz - zaatakowała go bez długich wstępów. - Masz zamiar wreszcie coś zrobić czy nie? Przypominam, że czas płynie.

- Pojechałem w sobotę na daczę, czy to nie wystarczy?

Opowiedział wcześniej Tamili o swojej rozmowie z Elą i Turbinem w sobotni wieczór. Wydawało im się wtedy, że zrećźnie to rozegrał i osiągnął zamierzony cel; w każdym razie dziewczyna wróciła do domu przygnębiona i zdenerwowana. Ale już we wtorek wrócił jej dobry humor, ożywiła się, szczebiotała wesoło. Zły nastrój trwał krótko.

- Jak widzisz, nie na długo - odparła Tamila. - Trzeba działać dalej. Pojechali się opalać do Srebrnego Boru.

- Rozumiem - rzekł z westchnieniem Marat. - Dziękuję, żeś mi powiedziała.

Nie chciało mu się nigdzie wychodzić, czuł się zupełnie rozbity, ale wiedział, że Tamila ma rację. Szybko wypił gorącą kawę i wyruszył do Srebrnego Boru.

Elę i Turbina znalazł od razu. Mimo że panował upał jak w pełni lata, w dzień powszedni ludzi na plaży było niewiele. Podchodząc do tych dwojga, Marat z uznaniem przypatrywał się muskularnej sylwetce Turbina, jego szerokim ramionom i długim, mocnym nogom. „Czy można mieć pretensje do głupiutkiego dziewczątka za to, że dosłownie

rozpływa się na widok takiego faceta? - pomyślał Łatyszew.  
- Ten nędzny, żaloszny asystent z filozofii jest naprawdę przystojny, niewiarygodnie przystojny".

Ela leżała na boku, z głową na ramieniu Turbina i lekko zgiętymi nogami. W takiej pozycji jej rozłożyste biodra wydawały się jeszcze szersze i masywniejsze, a nogi za krótkie. Marat skrzywił się z niesmakiem. Elena była zupełnie nie w jego typie, niewysoka, pulchna, przy kości. Chociaż buźkę miała urocza, to trzeba przyznać. Marat jednak zaliczał się do mężczyzn, których ładna twarz w ogóle nie interesuje. Olga Jemieljancewa była sympatyczna, ale pod względem urody nie mogła się równać z Elą; mimo to Łatyszewowi podobało się w niej wszystko, mógłby się z nią kochać od rana do wieczora, gdyby tylko miał czas i siły. Kiedy natomiast był w łóżku z Eleną, kosztowało go wiele wysiłków, by udawać namiętnego kochanka. Jedynie myśl o nieograniczonych perspektywach i pieniądzach pomagała mu pokonać obojętność.

- Opalacie się? - zapytał kpiąco, zbliżywszy się do Eleny i Walerija.

Ela drgnęła i gwałtownie usiadła. Głos Marata poznała od razu. Turbin, który z początku nie zorientował się, kto do nich podszedł, tylko leniwie uniósł powieki, ale już po chwili jego twarz zesześcił grymas wściekłości.

- Znowu pan? O co tym razem chodzi? Dalszy ciąg monologu o pieniądzach?

Ela uspokajającym gestem położyła mu dłoń na ramieniu, ale pod jadowniczym spojrzeniem dawnego kochanka zaraz ją zdjęła, jakby skóra Walerija parzyła.

- Marat, po co... - mruknęła niewyraźnie - ...skąd się tu wzięłeś?

- Przyjechałem się z tobą zobaczyć, Elenko, przypomnieć ci się, żebyś czasem nie zapomniała, jak cię kocham - odrzekł wesoło Łatyszew i nie rozbiegając się, przysiadł na rozłożonym kocu. - Kapaliście się?

- Nie, woda jest jeszcze za zimna - odpowiedziała speszona Ela.

Walerij rzucił na nią groźne spojrzenie; nie powinna wdać się w rozmowy z tym palantem, który chce zniszczyć ich związek i nawet nie uważa za stosowne tego ukrywać.

Marat rozpiął koszulę, wyprostował nogi i przeciągnął się z chrzęstem stawów. Nie bał się zimnej wody i z przyjemnością by się wykapał, żeby trochę się orzeźwić i pozbyć przykrego zamroczenia, które nie minęło mimo wypitej kawy i szybkiej jazdy. Ale parki nie można było zostawić samej, żeby przypadkiem nie uzgodnili jakiejś wspólnej strategii. Naturalnie nie spodziewali się go tutaj i na pewno nie ustalali, jak się zachowywać i co mówić, na wypadek gdyby się pojawił. Ela znów poczuła się niepewnie i Marat musi to wykorzystać. A tak chętnie wskoczyłby do wody...

Zdjął okulary przeciwsłoneczne w kosztownej oprawie, zamknął oczy i wystawił twarz do słońca. Zacznie od byle jakiego punktu zaczepienia, a później zda się na los szczęścia. Ma asa w rękawie i niewątpliwie go wykorzysta; w takiej grze zresztą każda karta jest dobra. Kiedy się zorientował, że stara Turbina jest z jakiegoś powodu przeciwna małżeństwu swego syna z bogatą jedynaczką, bardzo się zdziwił. Zdawałoby się, że każda matka powinna być szczęśliwa, iż jej dziecko wyrwie się z nędzy, a ona kręci nosem na ten związek. Ciekawe dlaczego?

Marat jej o to nie pytał, ale oczywiście postanowił zbadać sprawę. Wynajął prywatnego detektywa, dobrze mu zapłacił i po dwóch dniach już wiedział, że ojcem Walerija Turbina jest obmierzły typ, alkoholik z ciężką dewiacją seksualną, o dziewiętnaście lat młodszy od Weroniki Matwiejewny. Sanitariusz z kostnicy! W głowie się nie mieści. Stara jest lekarzem, dobrze wie, że takie dziedzictwo nie najlepiej wróży przyszłemu potomstwu. Boi się o wnuki. Zresztą i sam tatuś nie kryje zainteresowania synem, rozpowiada wśród swoich kumpli, zapitych degeneratów spod płotu, że synalek wkrótce wżeni się w bogatą rodzinę, więc

on będzie miał z kogo doić forszę. Nic dziwnego, że Turbina czuje się, jakby siedziała na beczce prochu. Ale co może zrobić z tym zbokiem? Chyba tylko go zabić. Inaczej nic bydlaka nie powstrzyma.

- Co, Elenko, nad Balatonem było lepiej? -- spytał, nie otwierając oczu. - Teraz musisz się zadowolić rzeką Moskwą, z jej zarazkami cholery, brudem i zdechłymi rybami. Zrozumiałem już, że to zaakceptowałeś, dlatego nie będę cię więcej nęcił urokami zachodnich kurortów. Nastawiłeś się na szczęśliwe życie rodzinne wśród garów, chochli i brudnych skarpetek ukochanego męża.

- Zbieraj się, Elu - rzucił Turbin wściekły, wciągając koszulę. - Idziemy stąd.

Elena wstała posłusznie i bez słowa sięgnęła po swoje szmatki.

- Ciekawe, dokąd się wybieracie? - rzucił od niechcienia Łatyszew. - Do kina?

- To nie pańska sprawa - uciął Turbin. - Proszę z łaski swojej wstać, bo chciałbym złożyć koc.

Ale Marat ani myślał wstawać. Musiał przecież wykorzystać swój główny atut, a nie przyszedł jeszcze na to czas.

- Nie, naprawdę... - Przewrócił się na brzuch, uniósł głowę i patrzył z dołu na ubierających się Turbina i Elę. - Gdzie się podziejecie? U Elenki w domu jest mama, u pana, jak się domyślam, również. Samochodu nie macie, snuć się po ulicach w tym upale to nudne. Na restaurację potrzebne są pieniądze, a zresztą, dobrze, nie mówmy o tym. Pozostaje kino. Będziecie siedzieć w ostatnim rzędzie, trzymać się za ręce i całować jak siódmoklasiści. Elenko, dziecino, naprawdę nie możesz sobie znaleźć ciekawszego zajęcia? Wszystko, co teraz idzie w kinach, już dawno obejrzałeś na wideo. I nie myśl, bardzo proszę, że to tylko przejściowe trudności, a potem, jak już się pobierzecie, wszystko się zmieni.

- Niech się pan streszcza - przerwał mu Walerij. - Musimy zaraz iść. Proszę mi pozwolić zabrać koc, a potem może pan tokować do woli we wzniosłej samotności.

- Później, Elenko, będzie taka sama nuda i nadal nie będziecie mieli gdzie się podziać - ciągnął Łatyszew jakby nigdy nic. - Zamieszkacie albo u twoich rodziców, albo u jego matki, ale raczej to drugie, jako że Tamila Szałwowna chyba nie zniesie pod swoim dachem obcego mężczyzny, nawet zięcia. Twoja przyszła teściowa jest starą kobietą, prawie nie wychodzi z domu, tak że o żadnych wyczynach łożkowych nie będzie nawet mowy. Czytać nie lubisz i, moim zdaniem, nawet nie potrafisz, ledwie sylabizujesz. Twój małżonek zajmie się filozofią, a tobie zostaną gary i ściery. Odpowiada ci taka perspektywa?

Turbin w końcu chwycił przynętę.

- Jeśli wszystko jest tak, jak pan tu przed chwilą opisał, to jakie perspektywy miałyby Ela, gdyby wyszła za pana? - zapytał wzgardliwie. - Nauczyłby pan ją czytać? Czy też zorganizowałby jej pan inne rozrywki?

- Naturalnie - ożywił się Marat. - Po pierwsze, byłyby panią domu. Przyjmowałyby gości, wkładałyby wieczorami piękne suknie i biżuterię i brylowała w salonie. Ale to sprawy drugorzędne, obiecałem przecież, że nie będę się koncentrował na problemach materialnych. Po drugie więc - i przede wszystkim - będzie wychowywała dzieci, piękne, zdrowe, silne maluchy. Macierzyństwo to najwyższe powołanie kobiety. I Ela będzie to powołanie realizować.

- Z równym powodzeniem może to robić jako moja żona - wyniosłe odparł Turbin. - I zapewniam pana, że nie będzie się nudzić.

- To na pewno! - Marat roześmiał się głośno i szczerze, czując ulgę, że rozmowa przybrała pożądaną obrót i teraz wreszcie będzie mógł wyłożyć swoje karty atutowe. - Urodzi Murzynka z dwiema głowami i całymi dniami będzie go szorować do białości i robić na drutach po dwie jednakowe czapeczki. To ci dopiero zabawa!

- Chyba pana nie zrozumiałem - powiedział powoli Turbin. - Proszę łaskawie wyjaśnić, co pan ma na myśli. - Oczywiście mu pociemniały, twarz była teraz napięta i straszna.

- Niech pan nie udaje, młodzieńcze, przecież doskonale pan wie, jakie dzieci przychodzą na świat z takich rodziców jak pańscy. Pan miał szczęście, natura pana oszczędziła, ale odbije to sobie na pańskich dzieciach, może pan być pewien. A może Ela nie wie o tym wspaniałym obciążeniu dziedzicznym? Ukrył pan to przed nią?

Turbin gwałtownie się nachylił, chwycił Marata za koszulę i silnym szarpnięciem postawił go na nogi.

- Proszę wytłumaczyć, o czym pan mówi? O jakie obciążenie dziedziczne chodzi? Co niby ukryłem przed Ela?

Łatyszew oderwał od siebie ręce Turbina i odstepił o krok do tyłu. Elena stała z boku i patrzyła na nich szeroko otwartymi oczyma, niezdolna wykrztusić słowa. Zdażyła już włożyć bluzkę i teraz, oszołomiona, trzymała w rękach lekkie, jedwabne spodnie, jakby nie wiedziała, co z nimi zrobić.

- Elenko, czy twój przyszły mąż nie powiedział ci, kim są jego rodzice?

- Jego mama jest na emeryturze. Była lekarzem - odpowiedziała, nic nie rozumiejąc, dziewczyna.

- A ojciec?

- Ojciec Walerija od dawna nie żyje. Był oficerem.

- Ależ co ty opowiadasz! - Marat uśmiechnął się rozbawiony. - Muszę cię rozczarować, dziecinko. Ojciec twojego ukochanego Walery jest żywy, zdrowy i stale w sztok pijany. Co więcej, ma za sobą dwa wyroki. A wiesz, za co?

- Co pan bredzi! - oburzył się Turbin. - To jakieś bzdury!

- To nie bzdury, niech pan spyta swojej mamusi, opowie panu, jak tatuś zaspokajał swoje potrzeby seksualne ze zwłokami. Na pewno dostarczało mu to ogromnej satysfakcji. Doda jeszcze, jak sądzę, że był sanitariuszem w kostnicy.

- Niech pan zamilczy! Elu, nie słuchaj go, to wszystko kłamstwa, widzisz przecież, że chce nas poróżnić! Chodźmy stąd.

- Niestety, Elenko, to prawda. Może cię nie dziwiło, że twoja przyszła teściowa nie pali się do tego, by cię nazwać synową, pewnie po prostu nie zwróciłaś na to uwagi. Ale twój Walera nie mógł o tym nie wiedzieć. Ciekawe, czemu jego to nie dziwiło? Otóż dlatego, że to wszystko prawda. Wydasz na świat potwory o sześciu palcach, ociążałe umysłowo, ponieważ ojciec twojego narzeczonego jest alkoholi-kiem i zбочeńcem seksualnym, nekrofilem.

- To kłamstwo! - znów krzyknął Turbin. - Elu, nie słuchaj go!

- Słuchaj, dzieciно, słuchaj. To nie kłamstwo - cicho powiedział Marat, siadając na kocu. Nogi mu się trzęsły. Nie przypuszczał, że ta gra z asem w rękawie będzie go kosztowała tyle sił. Całe życie bez skrupułów posuwał się do wszelkich świństw, ale nigdy nie przychodziło mu to z takim trudem. Może dlatego, że jeszcze nikomu nie zadał tak potężnego ciosu, jak Turbinowi. - Siadaj, Elenko. - Poklepał dłonią miejsce obok siebie. - Usiądź i pomyśl, a Walera przez ten czas pojedzie do domu i zapyta matkę, czy to prawda, czy kłamstwo. Jeżeli nie wróci za trzy godziny, to znaczy, że wszystko, co powiedziałem, jest prawdą. Widzisz, jak łatwo można rozwiązać ten problem.

- Bydlę z pana - wycodził przez zęby Turbin. - Okłamuje pan Elę i chce nas poróżnić. Skoro już do tego doszło, Elena pojedzie razem ze mną do mojej matki i na własne uszy usłyszy, że to, co pan tu opowiadał, to ohydne, brudne łgarstwa. I zrozumie w końcu, jaki pan jest porządny i uczciwy. Ubieraj się, Elu.

- Elu, usiądź - z naciskiem powtórzył Łatyszew. - To, czego się dowiesz, wcale cię nie ucieszy. Lepiej, żebyś sobie tego oszczędziła.

Elena, oszołomiona, wciąż stała, trzymając w rękach powiewające na wietrze jaskrawoczerwone spodnie, które teraz wydawały się równie niedorzeczne, jak kolorowe balony na pogrzebie. Marat pociągnął Elenę za rękę, a dziewczyna

posłusznie, niby szmaciana lalka, osunęła się na wciąż rozłożony koc.

- Elu, chodź ze mną, sama się przekonasz...

- Nie. - Wreszcie znalazła w sobie dość sił, by się odezwać. - Nie, nie chcę. Jedź sam. I wracaj. Będę na ciebie czekała.

- Dobrze - powiedział Turbin. - Wrócę i zabiję tego bydlaka - zagroził.

Po czym odwrócił się i ruszył w stronę szosy.

- Elenko... - zaczął Marat.

Ale ona przerwała mu:

- Milcz. To straszne, co powiedziałaś. Nie wierzę ci. Zostaw mnie w spokoju. Nie dotykaj.

- Jeżeli mi nie wierzysz, to czemu zostałam ze mną? Dlaczego nie pojechałaś z nim do matki?

- Ona mnie nie lubi. I ja jej też nie. Dlatego nie pojechałam, a nie dlatego, że ci uwierzyłam. Jak mogłeś, Marat! - powiedziała z wyrzutem. - Po coś to zrobił?

- Bo cię kocham i nie chcę, żeby całe życie prześladowały cię nieszczęścia. Pragnę, żebyś była ze mną. Co w tym widzisz nagannego? - Objął ją za ramiona, ale odsunęła się.

- Nie dotykaj mnie. Wróci Walera i...

- Nie wróci - zaprzeczył łagodnie Marat. - Mówiłem prawdę. Nie wróci. Nie wolno mu mieć dzieci, zrozum to.

- Wróci - z uporem powtórzyła Ela. - Będę tu na niego czekała.

- Dobrze, zaczekamy razem - zgodził się z westchnieniem Łatyszew. W duchu tryumfował. Wiedział, że każde jego słowo było prawdą. I że Turbin nie wróci.

Ela położyła się na kocu, głowę oparła na rękach, odwrócona od Marata.

- Która godzina? - zapytała.

- Wpół do pierwszej. Zaczekamy do czwartej? - Wspomniałomyślnie dorzucił jeszcze trzydzieści minut do wyznaczonych trzech godzin, chociaż doskonale wiedział, że od



Srebrnego Boru do domu, gdzie mieszka Turbin, można dotrzeć w ciągu pół godziny.

- Do piątej - zdławionym głosem poprawiła go Ela. - Nie, do szóstej.

- Dobrze, do szóstej - zgodził się Marat. Było mu obojętne, jak długo będą czekać. Turbin przecież i tak nie wróci.

Śledczy Olszański powiadomił o ucieczce Artiuchina nie tylko sąd, ale i milicję. Rozesłano za zbiegiem listy gończe i zaczęto sprawdzać wszystkie miejsca, gdzie bywał, i wszystkich jego znajomych. Zaczęto, oczywiście, od Larysy Samykiniej, która - blada i zapłakana - przysięgała, że nie ma pojęcia, gdzie się podziewa Siergiej. Wyglądało na to, że mówi prawdę, i funkcjonariusze jej uwierzyli.

Tego samego dnia wieczorem, we wtorek, zadzwonił do niej Olszański z wezwaniem na przesłuchanie. Larysa miała się u niego stawić nazajutrz o dziesiątej. Konstantin Michajłowicz czekał do południa, a potem zajął się innymi sprawami. Dziewczyna nie zjawiła się w prokuraturze. Olszański dzwonił do niej bezskutecznie przez całe popołudnie, aż wreszcie połączył się z komisariatem milicji i poprosił, by następnego dnia doprowadzono Samykiną na przesłuchanie.

Ale we czwartek okazało się, że Larysa zniknęła.

Matka Nasti, Nadieżda Rostisławowna, nie mogła zrozumieć niechęci córki do tłumnych, hałaśliwych imprez towarzyskich.

- Pójdziemy we czwórkę - oświadczyła, puszczając mimo uszu słabe protesty Nasti. - Ja z ojcem, ty z Aloszą. Chyba raz na trzy lata możemy się gdzieś wybrać w rodzinnym gronie?

- Oj, mam, wiesz, jak nie lubię takich spędów - marudziła Nastia. - Dlaczego mnie zmuszasz? Naprawdę wołałabym posiedzieć spokojnie w domu. A tak trzeba się będzie ubrać, umalować... Nie mam na to siły.

- Córeńko, głupstwa gadasz. Przyleciałam zaledwie na dwa tygodnie, potem znowu Bóg wie jak długo się nie zobaczymy. Nie możesz raz do roku zrobić matce przyjemności?

- To już lepiej przyjdziemy z Loszą do was - zaproponowała Nastia. - Przynajmniej porozmawiamy normalnie. Bo tam nie sposób nawet pogadać. A ja po prostu będę umierała z nudów. No, mamuś, proszę cię...

- Nastazjo, nie upieraj się. Do nas i tak przyjdziecie. Proszę cię, zacznij się zbierać i o siódmej przyjedźcie z Aloszą, będziemy na was z ojcem czekać pod centrum filmowym. Zrozum, wybiera się tam cała masa moich znajomych, także z ambasady, tyle im opowiadałam o swojej nadzwyczajnej córce i równie nadzwyczajnym profesorze Czistiakowie, jej mężu, że nikt mi nie uwierzy, jeśli ich nie zobaczy na własne oczy. Chcę, żeby wszyscy mogli poznać moją rodzinę. Taka jestem z was dumna! Nie rozumiesz tego?

W tej chwili Nastię nagle olśniło. Pojęła, że matka zerwała ze swoim zagranicznym przyjacielem. I teraz chce pokazać ludziom, którzy wiedzieli o jej romansie, że u niej wszystko w najlepszym porządku - ma wspianą rodzinę i nigdy nawet przez myśl jej nie przeszło, by ją opuścić. „Postanowiła to rozegrać prawdziwie po kobiecemu” - pomyślała Anastazja i roześmiała się w duchu.

- Dobrze, mamuś - zgodziła się, już weselsza. - Przyjdziemy. O siódmej pod centrum.

Dzisiejsza impreza była wernisażem artystki fotografika Ałły Mospanowej. Sama Ałła, szczupła, smągła, w ciasno zawiązanej na głowie chustce i z mnóstwem bransolet na pięknych, odsłoniętych rękach, stała w tłumie przyjaciół i wielbicieli. Była niezwykle utalentowanym fotografikiem, a jej zdjęcia objechały bez mała cały świat.

- Co, znasz ją? - spytała Nastia, widząc, że matka zdecydowanym krokiem rusza w stronę Mospanowej.

- Oczywiście - rzuciła, wciąż pracując do przodu, Nadieżda Rostisławowna. - Dwa razy wystawiała swoje prace w Szwecji.

cji, bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Tam, u nas, jest mało Rosjan, więc wszyscy skupiają się wokół ambasady.

Tak właśnie powiedziała: „u nas”. I Nastię to jakoś nie-mile dotknęło.

Matka i artystka ucałowały się serdecznie.

- Ałłoczka, poznaj resztę rodziny. To Leonid, mój mąż.

Leonid Pietrowicz uprzejmie pocałował Mospanową w rękę.

- A to moja córka Anastazja, o której ci tyle opowiada-łam. I jej mąż Aleksiej.

Ałła uśmiechnęła się przyjaźnie i brzęcząc bransoletami, wszystkim po kolei uściśnęła rękę.

- Więc to pani jest tą Nastią, która zna pięć języków i pracuje w milicji? - spytała, ciekawie przyglądając się Nasti.

- Chyba tak - potwierdziła Anastazja - oczywiście, jeśli podczas nieobecności mamy nie zostałam przez pomyłkę zamieniona.

- Naprawdę zna pani pięć języków?

- I pracuję w milicji.

Miała tego dosyć. Czuła się niczym biały słoń, którego oprowadzają po ulicach na postronku i pokazują za pieniądze. I co z tego, że zna pięć języków? Czy dlatego koniecz-nie musi pracować w firmie jako asystentka-tłumaczka? Chyba do wykrywania przestępstw szare komórki też są potrzebne!

Artystka była wystarczająco dobrą obserwatorką, by dostrzec zmianę w wyrazie twarzy Nasti. Wokół stali ludzie, którzy raptem zaczęli się gapić na Anastazję niczym na jakiś cud natury.

- Dlaczego, Nastiu? - zapytała Ałła, biorąc ją pod rękę i odprowadzając na bok.

- Co dlaczego?

- Dlaczego panią irytują takie rozmowy? Nie ma już pani ochoty się tłumaczyć?

Nastia roześmiała się z ulgą.

- No właśnie. Zgadła pani. Nikogo nie dziwi, że pracuję w milicji, ale gdy tylko ludzie usłyszą o pięciu językach, od razu się zaczyna... Wszyscy myślą, oczywiście, że praca w wydziale kryminalnym to bezustanne uganianie się za przestępcami ze spluwą za pasem i kajdankami w kieszeni. I dziwią się, do czego tam się może przydać znajomość języków...

- A rzeczywiście się przydaje?

- Szczerze mówiąc, niespecjalnie - przyznała Nastia. - To znaczy, przydaje się nie bezpośrednio do samej pracy, ale przede wszystkim do rozwijania logicznego, twórczego myślenia. Zdarza się jednak, że języki obce bywają przydatne i na co dzień. Zwłaszcza teraz, kiedy w Rosji jest tak wielu cudzoziemców. Trafiają się wśród nich nie tylko poszkodowani, ale i przestępcy.

- Lubi pani swoją pracę?

Ała uważnie popatrzyła na Nastię, przechyliła głowę na bok i cofnęła się o krok, jakby szukając najkorzystniejszego ujęcia.

- Lubię - powiedziała po prostu Anastazja. - Jest uciążliwa, męcząca, czasem nieprzyjemna, gdy ma się do czynienia z szumowinami, z mierzwą ludzką, ale ciekawa.

- I niebezpieczna?

- Cóż, trochę. Bywa, że nawet bardzo, ale jeśli się uważa, by nie popełniać oczywistych błędów, to ryzyko zagrożenia można znacznie zmniejszyć.

- A co z brudem moralnym, o którym pani wspomniała?...

- Zetknięcia z nim rzeczywiście trudno uniknąć.

- Trzeba chyba być bardzo oddanym swojej pracy, żeby płacić taką cenę, prawda?

- Oczywiście - potwierdziła Nastia. - A jeśli nie oddanym bez reszty, to przynajmniej odpornym na wszelkie podłości i świństwa. Trzeba umieć na nie reagować bez emocji. Można również kierować się zupełnie innymi motywami - są

tacy, którym daje satysfakcję siła, poczucie, że mają władzę. Różnie bywa.

- A wie pani - powiedziała nagle Mospanowa - mój syn też chciał pracować w milicji. Słucham teraz pani i myślę: jak to dobrze, że tak się nie stało.

- Dlaczego?

- Nie wytrzymałby tego. Nie mieści się w żadnej z wymienionych przez panią kategorii. Ale kiedy nie udało mu się wstąpić na służbę, była to dla niego prawdziwa tragedia! Strasznie przeżywał niepowodzenie, zaczęłam się nawet niepokoić o jego zdrowie. Szkoda, że ludzie tak mało wiedzą o waszej pracy. Mają na ogół jakiś jej spaczony obraz.

- Fałszywa romantyka?

- Pewnie tak...

- Ałło Iwanowno, chciałbym panią powitać! - rozległ się gdzieś z tyłu donośny głos.

Trzymając wysoko w podniesionej ręce ogromny bukiet róż, zbliżał się ku nim znany reżyser filmowy. Pod rękę prowadził czarującą żonę, nie mniej niż on popularną aktorkę.

- Kostik!

Mospanowa rzuciła się w jego stronę, a Nastia, korzystając z jej nieuwagi, wycofała się niepostrzeżenie i zaczęła szukać rodziców i Aloszy.

Długo krążyli wśród prac Ałły Mospanowej, uważnie je oglądając. Nadieżda Rostisławowna zatrzymywała się co parę kroków, spotykając znajomych i wdając się z nimi w pogawędkę.

- Moja córka Anastazja...

- Mój mąż Leonid...

- Moja córka i jej mąż...

Nastia ścisnęła czyjeś ręce, uśmiechała się uprzejmie i marzyła tylko o jednym - żeby jak najprędzej stąd wyjść. Wrócić do domu, włożyć wygodny, ciepły szlafrok i usiąść w kuchni z kochanym, pocziwym Loszką, patrzeć, jak układa Grób Napoleona, w milczeniu palić papierosa i rozmyślać o tym, co ją nurtuje. O zastrzelonych pannach

młodych. O kobietach, które otrzymały listy z pogrozkami. O włamaniu do laboratorium fotograficznego i skradzionych negatywach.

W pewnej chwili udało jej się jakoś wyłączyć i - choć wciąż pozostawała w środku hałaśliwej ciżby, stojąc z przyklepionym do warg uprzejmym uśmiechem - pograć w rozmyślaniach. A więc należało wziąć pod uwagę trzy hipotezy.

Pierwsza: ktoś dla wygłupu pisze do mających wyjść za mąż kobiet listy z pogrozkami, chcąc im zrobić świństwo. Ktoś inny natomiast, kierując się zgoła innymi motywami, dokonuje dwóch zabójstw, które tylko przypadkowo zbiegają się w czasie z otrzymaniem przez adresatki kolejnych listów. Mało prawdopodobne, za dużo zbiegów okoliczności. Zabójstwa przypadkiem dokonane właśnie w tych urzędach, gdzie mają wziąć ślub kobiety, które w przeddzień dostały listy! Chociaż, z drugiej strony, już nie takie rzeczy się zdarzały!... Istnieje więc pewne prawdopodobieństwo, niewielkie, ale nie można go całkowicie odrzucić.

Hipoteza druga: nasz dowcipniś pisze listy z czystej złośliwości, a zabójca, dowiedziawszy się o tym, wykorzystuje je we własnych celach, żeby sprowadzić śledztwo na manowce.

I hipoteza trzecia: przestępstwo zostało zaplanowane dawno, lecz możliwość dokonania zabójstwa pojawiła się dopiero teraz. Ale w takim razie jaki ono miało sens? Kto miał się stać prawdziwą ofiarą? W pierwszych dwóch wypadkach celem mogła być Elena Bartos. Doprawdy, zbyt wielu osobom zależało, by jej małżeństwo nie doszło do skutku. Łątszew przecież także kręcił się w pobliżu urzędu. Trzecia hipoteza pozostaje zupełnie niezrozumiała. Czy zrobił to ktoś chory psychicznie? Opętany żądzą zemsty?

- Mamo, skąd tu można zadzwonić? - spytała Nastia, bezceremonialnie chwytając matkę za rękaw, mimo że ta zajęta była rozmową z jakimś śmiesznym, siwym krasnałem.

- Na dole przy wejściu jest telefon - poinformował ją siwy, machnąwszy ręką w stronę schodów.

Nastia, nie zwracając uwagi na zdziwione spojrzenia rodziców i męża, zaczęła się przeciskać przez tłum we wskazanym kierunku.

- Jura - powiedziała szybko, kiedy Korotkow podniósł słuchawkę - załatw, żeby z urzędów stanu cywilnego przesłali ci dane o wszystkich parach, które w ciągu ostatnich trzech lat złożyły papiery, a nie stały się w wyznaczonym terminie na ślub.

- Chwileczkę - rzucił Korotkow, oszołomiony tym kategorycznym poleceniem - skąd dzwonisz? Wybierałaś się przecież na jakiś raut?

- I właśnie z rautu dzwonię. Załatwisz to?

- No, to cała ty, nie potrafisz ani na chwilę wyluzować. Może mi chociaż powiesz, co znowu wymyśliłaś?

- Nie teraz. Zadzwoń do mnie do domu po jedenastej, to ci wszystko wytłumaczę.

Wróciła na górę i z trudem odszukała rodzinę, która tymczasem zdążyła przedryfować do sąsiedniej sali.

- Mamo, długo jeszcze? - zapytała nieśmiało Nastia.

Nadieżda Rostisławowna rzuciła jej surowe spojrzenie, niedopuszczające żadnych sprzeciwów.

- Nie, najpierw będzie koktajl, a potem aukcja najlepszych prac Mospanowej.

- Jak długo to potrwa?

- Co najmniej ze dwie godziny, a może nawet trzy.

- Mamo... - szepnęła błagalnie Nastia.

- No dobrze. - Nadieżda Rostisławowna nagle złagodniała. - Idź już. Widzę, że naprawdę się męczysz. Aż żal patrzeć.

Uradowana Nastia chwyciła Czistiakowa pod rękę i pociągnęła go do wyjścia.

- Sadystka! - rzucił Losza, siadając za kółkiem i zapalając silnik. - Nawet zjeść człowiekowi nie dasz, jak już się załapał na darmową wyżerkę! Będziesz musiała za to sama zrobić kolację.

- Dobrze - zgodziła się potulnie Nastia. - Możesz mnie nawet obedrzeć ze skóry, jestem gotowa na wszystko.

- Mhm, a jakże! - Aleksiej uśmiechnął się z przymusem.
- Wyobrażam sobie!
- Co ci jest, Loszka? - zaniepokoiła się Nastia. - Jesteś zły? Miałaś ochotę zostać?
- Oczywiście, że tak. Przejrzałem katalog i wybrałem jeden naprawdę przepiękny pejzaż. Chciałem ci go dać w prezencie. A ty... Przez ciebie nigdy nic mi nie wychodzi.
- Przepraszam, kochany.
- Zrobiło jej się przykro. Czule pogłaskała męża po włosach i potarła nosem o jego ramię. Losza prowadził w milczeniu, z przygnębioną miną.
- Wybacz mi, Loszeńka. Idiotka ze mnie. Nic już teraz i tak na to nie poradzisz.
- Co racja, to racja - przytaknął ponuro Czistiakow. - Nie rozwiodę się przecież z tobą, głupolu.

Rano okazało się, że do redakcji dzwoniło jeszcze czternaście kobiet. Nastia chwyciła się za głowę.

- Wyobrażasz sobie, ile musiało być tych listów? - zwróciła się do Loszy, który już zapomniał o swojej urazie. - Przecież telefonowały jedynie te, które czytają „Wiadomości Kryminalne” albo usłyszały o sprawie od znajomych, którzy je czytają i wiedzą o listach. Naprawdę tych listów było o wiele więcej! Pomyśl tylko, ilu ludziom to bydłę napsulo krwi!

Korotkow i Siełujanow na wieść o listach dosłownie oniemieli.

- Aśka, może przerwiesz urlop? - odezwał się w końcu ponuro Jura. - I tak przecież nie wypoczywasz, tylko pracujesz. Mówię ci, przerwij urlop.

- I tak przecież nie wypoczywam, tylko pracuję, więc co za różnica? - zareplikowała Nastia.

- Zasadnicza. Kiedy jesteś w pracy, bez wyrzutów sumienia mogę do ciebie przyjść i kategorycznie zażądać, żebyś mi doradziła, co robić. A tak to, niczym ubogi krewny, stoję



w progę z czapką w ręce i dopraszam się łaski. To mnie nie urządza.

- W tej chwili masz przestać! - rozgniewała się Anastazja.

- Dość tych bzdur! Doskonale się potrafisz obejść bez moich rad. Zwróciłeś się o informacje do urzędów?

- Mhm. Wiesz, jaką mieli dla mnie propozycję?

- Domyślałam się. A jakimi danymi dysponują?

- Mogą nam przedstawić listę wszystkich, którzy złożyli papiery, i tych, którzy zawarli związek małżeński. To mają w komputerze. Porównać oba spisy musimy sami.

- No i dobrze - ucieszyła się Nastia. - Tak nawet będzie prościej.

- Akurat! - burknął Korotkow wściekły. - Masz pojęcie, ile się tego nazbierało przez trzy lata?

- Nic nie szkodzi. Dopilnuj tylko, żeby do wydruków dołączyli dyskietkę, a ja już resztę zrobię w domu na swoim komputerze. Program to kwestia pół godziny. Potem maszyna sama wyszuka wszystkie nazwiska, które są na jednej liście, a na drugiej ich brak.

- Aśka, ty to masz głowę! - ucieszył się Korotkow.

- A mówisz, że mógłbym się obejść bez twojej pomocy! Nic podobnego. A propos, obiecałaś, że powiesz, na co ci te dane. Co tam znowu wymyśliłaś?

- Nie wiem, Jurik, może się okazać, że to kolejny niewypał, ale tak mi się jakoś wydaje, że jeżeli mamy tu do czynienia z osobą chorą psychicznie, to niewykluczone, że jest nią kobieta, której ślub z powodu nieprzewidzianych okoliczności nie doszedł do skutku, a ona na tym tle... no wiesz. Nienawidzi wszystkich panien młodych. Piszze do nich te ohydne listy. Choroba postępuje, więc mogło dojść i do zabójstwa.

Znów umówiła się z Antonem i razem odwiedzili kolejne ofiary epistolografa amatora. Sporo kobiet zachowało listy, które okazały się identyczne z widzianymi przez Nastię poprzednio.

- Wie pani, byłam pewna, że ten list napisał mój syn  
- powiedziała jedna z adresatek. - Wiedziałam, że jest przeciwny temu, żebyśmy wychodziła za męża.

- Dlaczego? Nie podobał mu się pani narzeczony?

- Nie, po prostu jest bardzo przywiązany do ojca i wciąż ma nadzieję, że znów się zejdziemy.

- Ale pytała pani syna, czy to on pisał?

- Nie. Nie chciałam z nim o tym rozmawiać, zabrakło mi odwagi. Zachowywałam się, jakby nic się nie stało. A teraz myślę, że może rzeczywiście nie powinnam była wychodzić za męża. Syn zupełnie zamknął się w sobie, prawie się do mnie nie odzywa, a w obecności mego męża w ogóle nie otwiera ust. Nie lubi go. I ja też zaczęłam syna traktować surowiej, bo byłam pewna, że to on napisał ten list... Słowem, zyskałam wprawdzie męża, ale chyba straciłam syna. - Kobieta rozplakała się cichutko. - Piętnaście lat, trudny wiek, sama pani wie... Nie powinnam była...

- Ale teraz wszystko się wyjaśniło - pocieszyła ją Nastia.

- Już pani wie, że to nie on napisał list. Może jeśli się pani postara, wasze wzajemne relacje się poprawią. Przecież chłopiec okazał się lepszy, niż pani myślała.

- Nie. - Kobieta wytarła oczy. - Nic się już nie da zrobić. Oddalił się ode mnie, stał się zupełnie obcy. Wszystko przez ten przekłety list.

Nastia długo nie mogła przyjść do siebie po tej rozmowie. Późnym wieczorem, już w domu, znów przypomniała sobie nieszczęśliwą kobietę, której list zrujnował stosunki z piętnastoletnim synem.

- Człowiek, który posuwa się do czegoś takiego, musi być typem naprawdę odrażającym moralnie - powiedziała do Antona już w samochodzie. - Bez najmniejszych skrpułów łamie ludziom życie. Czyżby w ogóle nie było mu ich żal?

- A zwróciła pani uwagę, że u każdej z tych osób można znaleźć, jak to się mówi, jakiś szkielet w szafie? - odparł Anton, nie odrywając wzroku od drogi przed sobą. - Przecież

ze wszystkich dziewiętnastu ani jedna nie zawiadomiła milicji, ani jedna właściwie nie była zaskoczona listem. W przeszłości lub nawet dniu dzisiejszym każdej z nich kryło się coś, co pozwalało jej sądzić, że zna autora listu. To swego rodzaju interesujący eksperyment socjologiczny, prawda? Dziewiętnaście wybranych losowo przypadków - i ani jednej osoby bez winy.

- Co pan mówi, Anton, jak można tak myśleć? - zdziwiła się Nastia. - Weźmy choćby matkę tego piętnastoletniego chłopca. O jakiej winie tu może być mowa? Czym ta kobieta zawiniła?

- Czym zawiniła? Tym, że zlekceważyła zdanie syna. Wiedziała przecież, że jest przeciwny temu małżeństwu, że nie lubi jej przyszłego męża. Potem dostała list, uznała, że to chłopiec zdobył się na ten desperacki krok, ale nawet to jej nie powstrzymało. Zrobiła tak, jak chciała. A teraz gryzie palce z rozpacz, że straciła syna. Powinna była wcześniej pomyśleć, kto jest dla niej ważniejszy - syn czy mąż.

- Bo ja wiem, Anton... - zawahała się Nastia. - Mnie ich wszystkich żal. Bardzo żal. A tej kobiety - szczególnie.

- Niech pani da spokój, Nastiu, nie ma się co nad nimi rozczulać. Wszystkie są całe, zdrowe, dach im się na głowę nie zawalił, dobytek nie spłonął w pożarze. A że po otrzymaniu listów ich relacje z innymi się popsuły - same są temu winne. Gdyby nie grzeszyły, nie kłamały, nie zdradzały, szanowały dzieci i rodziców, ze spokojnym sumieniem poszłyby na milicję i powiedziały o wszystkim. I nie byłoby problemów.

- Myśli pan?... - spytała z powątpiewaniem Nastia.

- Jestem pewien. Wie pani, skąd się biorą wszelkie kłopoty? Stąd, że ludzie skrywają swoje sekrety. A sekrety rodzą się z grzesznych, niemoralnych postępków.

- No cóż, jest w tym jakaś logika - zauważyła Nastia żartobliwie. - A pan sam nie ma nic do ukrycia?

- Absolutnie nic, cały jestem jak na dłoni. A pani? Anastazja roześmiała się.

- Wie pan co, dopiero w tej chwili uświadomiłam sobie, że jestem jedyną osobą, która zaniósła list do śledczego. Co prawda, z innych powodów, ale jednak... Możemy zatem uznać, że ja także nie mam żadnych sekretów.

Larysa wyprostowała zdrętwiałą nogę i niemal bezgłośnie jęknęła z bólu; teraz środek ciężkości przesunął się w to miejsce jej ciała, gdzie rozlewał się ogromny siniak. Starła się zachowywać jak najciszej, byle tylko dręczyciel sobie o niej znów nie przypomniał, ale nie mogła stłumić jęku. On odwrócił głowę od telewizora

- No co, namyśliłaś się, ty napalona dziwko? - spytał ze złością.

- Niech pan mnie wypuści, bardzo proszę, niech pan mnie wypuści! - zaczęła błagać Larysa. - To strasznie boli. Naprawdę nie wiem, gdzie jest Sierioża.

- Wytrzymasz. Będziesz tu siedzieć, dopóki twój kochaś się nie zjawi.

- Proszę...

Znów się odwrócił i zagapił w telewizor. Transmitowano akurat mecz koszykówki.

Larysa spróbowała poruszyć palcami tej ręki, za którą była przykuta kajdankami do kaloryfera, ale zdrętwiałe palce okazały się nieposłuszne. Drugą rękę dziewczyna miała mocno przykrępowaną sznurem do ciała. Leżała na podłodze prawie zupełnie naga, prześladowca zostawił jej jedynie skąpe, przezroczyste majteczki.

- Niech pan zrozumie - zaczęła znowu - co z tego, że będę tu leżeć? Sierioża przecież i tak się nie pokaże. No, niechże pan tylko pomyśli.

- A niby po co? To ty pomyśl. Pogłówkuj nad tym, kto może wiedzieć, gdzie jest Artiuchin, a jak już na to wpadniesz, zadzwoń tam.

- I co mam powiedzieć?

- Prawdę. Że jeżeli zaraz tu nie wróci, zabiję cię.

- O Boże, za co? Dlaczego mnie? Co ja panu zrobiłam? - Larysa rozplakała się. Było jej zimno, całe ciało miała obolałe. Czemu musiało się to przytrafić właśnie jej?!

- Jeżeli będziesz ryczeć, dołożę ci - obojętnym tonem zapowiedział dręczyciel, nie przestając się gapić w telewizor.

Larysa zaszlochała głośno, rozpaczliwie. Mężczyzna bez słowa wstał, podszedł do niej, zręcznym ruchem wepchnął jej do ust zmietoszoną szmatę i szybko zakleił wargi kawałkiem szerokiego plastra. Potem odsunął się, zadowolonym spojrzeniem obrzucił efekt swoich poczynań i nagle z całej siły kopnął Larysę najpierw w pośladek, a następnie w plecy. Pomyślał chwilę, po czym wymierzył dziewczynie jeszcze dwa kopniaki, tym razem w pierś.

- No jak, wystarczy? - zapytał troskliwie. - Pozwolisz mi wreszcie spokojnie obejrzeć mecz?

Leżała nieruchomo, z odrzuconą w tył głową. Łzy ciekły jej po skroniach i spływały do uszu. Prawie nic nie widziała, z bólu pociemniało jej w oczach.

Musi się zastanowić, jak odszukać Sieriożę, bo inaczej ten zwariowany maniak ją zabije. Gorączkowo przypominała sobie znajomych Artiuchina, usiłując odtworzyć w pamięci ich nazwiska i numery telefonów. Tak, musi pomyśleć. I znaleźć Sieriożę.

## ROZDZIAŁ 12

- Oczywiście, jeśli pan nalega, możemy zabrać pańską matkę do szpitala, ale będziemy musieli ją położyć na korytarzu, gdzie nie da się chorej zapewnić właściwej opieki.

Lekarka wytarła ręce, które starannie umyła po zbadaniu Weroniki Matwiejewny. Ma hospitalizować siedemdziesięcioletnią kobietę z udarem mózgu? Przecież ordynator zwolni ją za to dyscyplinarnie. Szpital i tak jest przepełniony, sprzęt stary, w kiepskim stanie, w salach leży dwukrotnie

więcej pacjentów, niż to przewiduje norma sanitarna. Nie można blokować miejsca, przyjmując osobę sparaliżowaną, której stan się nie poprawi, ale ona sama może żyć jeszcze bardzo długo.

- Więc co mam teraz zrobić? - zapytał niepewnie Turbin, podając lekarce płaszcz.

- Powinien pan zatrudnić kogoś do opieki nad matką, jeśli pan sam nie może się nią zająć - obojętnie odparła kobieta.

- Ależ ja nawet nie wiem, jak należy się opiekować osobą po wylewie! - rzucił z rozpaczą.

Zrobiło jej się go żal. Taki przystojny młody chłopak - i masz, w jednej chwili został przykuty do łóżka sparaliżowanej matki. Niestety, w żaden sposób nie mogła mu pomóc.

- Wie pan, w moim rejonie jest wielu takich pacjentów. Jeśli pan chce, dam panu ich adresy i telefony, niech się pan skontaktuje z rodzinami, na pewno chętnie podzielią się swoim doświadczeniem w postępowaniu z chorymi. Pięlegniarka co dzień będzie przychodziła zrobić zastrzyk, a ja wstąpię za dwa dni. Proszę nie zapomnieć o mierzeniu ciśnienia dwa razy dziennie. I niech pan nie wpada w panikę. Tylko początki są trudne, potem sytuacja się normalizuje. Przyzwyczai się pan, nauczy obchodzić z matką, a wtedy wszystko stanie się łatwiejsze. Proszę mi wierzyć, zapewniam pana, że tak będzie. W ciągu dziesięciu lat praktyki widziałam wiele takich przypadków.

Zamknął za nią drzwi i wrócił do pokoju. Matka leżała z otwartymi oczami, zupełnie nieruchoma, niczym figura z wosku. Walerij usiadł w fotelu przy oknie i popadł w jakieś kamienne odrętwienie.

Kiedy wrócił do domu po rozmowie z Maratem w Srebrnym Borze, matka akurat gotowała obiad.

- Mamo, zostaw to na chwilę, dobrze? Chciałbym ci zadać parę pytań.

Naprawdę był przekonany, że nie zajmie to więcej niż kilka minut. On zapyta, matka odpowie, być może pokaże

mu jakieś dokumenty, którymi nigdy nie przyszło mu do głowy się zainteresować. W jego metryce w rubryce „ojciec” wpisano: Wiktor Fiodorowicz Nikołajew, ale matka wytłumaczyła mu kiedyś, że nazwisko Turbin jest znane, dlatego chciała, żeby jej syn je nosił - tak samo jak pradziadek arystokrata i dziadek architekt. Takie wyjaśnienie nigdy nie budziło żadnych jego wątpliwości ani podejrzeń. Rzeczywiście, „Turbin” brzmi lepiej niż jakiś tam „Nikołajew”. Nikołajewów jest jak psów, w szkole w każdej klasie było co najmniej dwóch.

- Pytaj, synku. - Weronika Matwiejewna uśmiechnęła się, wycierając umięzione ręce w fartuch, i usiadła na taborecie.

- Powiedz mi jeszcze raz, kim był mój ojciec.

- Skąd nagle to pytanie? Stało się coś?

- Tak, stało się.

Walerij zamilkł na chwilę, zbierając się na odwagę.

- Powiedziano mi dzisiaj, że moim ojcem jest sanitariusz z kostnicy, który siedział w więzieniu za nekrofiliję. Powiedz mi, że to nieprawda, a ja już nigdy więcej nie wrócę do tego tematu.

Twarz Turbinej zrobiła się nagle ziemistoszara.

- Kto ci to powiedział? Kto śmiał?...

- Nieważne, mamu. Ważne jest tylko, czy to prawda, czy nie.

- Znalazł cię? Rozmawiał z tobą?

- Kto? Kto miał mnie znaleźć i ze mną rozmawiać? Mówże wreszcie!

- Twój ojciec. Ten degenerat. On ci powiedział?

- A więc to prawda - głuchym głosem rzekł Walerij, opierając się o ścianę i zamykając oczy.

I wtedy matka opowiedziała mu o wszystkim. O tym, jak znalazła rozkładające się zwłoki zmarłego sąsiada, jak młody sanitariusz z kostnicy Paweł poił ją wódką, żeby znalazła w sobie dość sił, by mu pomóc, jako że nikt inny nie chciał tego zrobić. O tym, jak Paweł wrócił, jak oboje znowu pili, jak on został u niej na noc i jak rano kazała mu

się wynosić. I nawet kiedy się zorientowała, że ukradł jej bardzo stary i cenny pierścionek, nie usiłowała chłopaka znaleźć ani nie złożyła na niego doniesienia w milicji, chociaż dobrze wiedziała, gdzie należy szukać złodzieja. Było jej wstyd. Czuła do siebie wstręt. Nienawiść.

A dwa miesiące później odkryła, że jest w ciąży. Z początku nie przyszło jej to nawet do głowy, pierwsze oznaki odmiennego stanu brała za objawy wczesnego klimakterium. Ponieważ nie tylko nigdy nie rodziła, ale nawet nie rozpoczęła współżycia, zawsze miewała nieregularne miesiączki. Właściwie jedynie uporczywe bóle głowy i senność spowodowały, że zwróciła się o poradę do lekarza. Ten poinformował ją, że jest w siódmym, może ósmym tygodniu ciąży. To wiedziała i bez niego; tu akurat nie mogło być żadnych wątpliwości.

Wtedy właśnie wezwano Weronikę do rektoratu, gdzie oświadczono jej uroczyście, że jako członek partii, aktywnie uczestniczący w życiu uczelni, została wytypowana na dwumiesięczny wyjazd do Czechosłowacji w ramach wymiany doświadczeń naukowych. Był wówczas rok 1967, w delegacje zagraniczne jeździli tylko nieliczni, najbardziej przebojowi lub po prostu szczęściarze. Weronika Matwiejewna zmarławiła. Odmowa nie wchodziła w grę. Wyjazd miał nastąpić za dwa tygodnie. Postanowiła zwrócić się do swojej starej znajomej, lekarza ginekologa, do której miała stuprocentowe zaufanie, w nadziei, że uda się usunąć ciążę jeszcze przed wyjazdem. Ale nie miała szczęścia, lekarka akurat wyjechała na urlop. Pobiegnęła więc do przychodni rejonowej i poprosiła o skierowanie na zabieg. Kazano jej najpierw zrobić badania i dopiero potem wypisano potrzebny papierek. Ze skierowaniem w rękę udała się do szpitala, gdzie poinformowano ją, że do aborcji jest kolejka i wolne łóżko będzie dopiero za dwanaście dni, do wyjazdu zaś pozostawało zaledwie siedem. Weronika prosiła, błagała, płakała, tłumaczyła, że wyjeżdża za granicę na dwa miesiące i musi koniecznie załatwić przedtem tę sprawę... Rejestratorka z pogardą



odsunęła skierowanie i niemal parszając ze złości, wysyczała, że skoro ktoś ma czas rozjeżdżać po zagranicach, to tym bardziej powinien go znaleźć, żeby postać w kolejce razem z tymi, co nie jeżdżą, a nie udawać, że jest taki zajęty... Oczywiście, Weronika Matwiejewna mogła się zwrócić do którejś koleżanki czy kolegi z wydziału z prośbą, by przez znajomości pomogli jej znaleźć miejsce w jakimś szpitalu, ale... Czterdzieści dwa lata. Samotna. Członek partii. Opinia bez zarzutu. Krępowała się.

Pojechała do Czechosłowacji w ciąży, a po dwóch miesiącach, kiedy wróciła, było już za późno. Nikt nie podjąłby się zabiegu usunięcia czteroipółmiesięcznego płodu.

Weronika pogodziła się z losem i nawet zaczęła się cieszyć, że będzie miała dziecko. Ale w głowie tkwiło jej jak gwoździć wspomnienie o tym, jak straszny dzień poprzedzał poczęcie. Ile wtedy wypła? Najpierw butelkę wódki sama, później, wieczorem, kiedy przyszedł Paweł, jeszcze pół. A ile on wypił? Pamiętała jak przez mgłę, że po tej butelce, którą osuszyli razem, otworzyła jeszcze jedną, sama już nie piła, ale Paweł sobie nalewał. Poza tym kto wie, ile wódki wlał w siebie pomiędzy dwiema wizytami u niej?

Czytała, naturalnie, w literaturze fachowej o nienormalnych dzieciach - potworkach, które przychodzą na świat w rodzinach alkoholików, ale postanowiła zasięgnąć konsultacji u specjalistów. Nikomu oczywiście nie mówiła, że problem dotyczy jej samej, tłumaczyła swoje zainteresowanie względami czysto zawodowymi; jako laryngolog chciała wiedzieć, jakiego rodzaju defekty mogą wystąpić u dzieci alkoholików w obrębie nosa, uszu i gardła. Otrzymała szczegółowe wyjaśnienia, demonstrowano jej modele, potworki zakonserwowane w formalinie, zarówno usunięte z łona matek, jak i przez nie urodzone. Weronice ze strachu włosy jeżyły się na głowie, nocami dręczyły ją koszmary. A dziecko w jej brzuchu nieubłaganie rosło i już nawet zaczęło się ruszać...

Kiedy przyszedł na świat chłopiec, przerażona Weronika Matwiejewna badawczo się w niego wpatrywała, usiłując dostrzec oznaki degeneracji czy upośledzenia. Ale Walerik był zdrowym i wyjątkowo ładnym dzieckiem o gęstych czarnych włoskach i ciemnoniebieskich oczkach. Już w chwili jego narodzin uświadomiła sobie, że jest uderzająco podobny do Pawła. Później jedynie modliła się, by to podobieństwo ograniczyło się do wyglądu zewnętrznego.

Bez końca ciągała chłopca po lekarzach przy najmniejszych oznakach niedyspozycji, nie żałowała też pieniędzy na zdrową, świeżą żywność, byleby tylko Walera dobrze się rozwijał. Dbała również, by porządnie wypoczywał w czasie wakacji. Szalała z niepokoju, że jej syn może mieć jakiś defekt genetyczny, i starała się, by Walerik prowadził jak najzdrowszy tryb życia, który choć w części zneutralizowałby jego ewentualne obciążenia dziedziczne. Sama też czuła się winna - była przecież nietrzeźwa, kiedy poczęła go z pijanym mężczyzną. Z mężczyzną, którego widziała pierwszy i ostatni raz w życiu i o którym nie wiedziała nic, z wyjątkiem tego, jak ma na imię i gdzie pracuje. I że jest złodziejem. Nie miała pojęcia, na co chorował i jakich miał rodziców. Jej udreka wydawała się czasami nie do zniesienia. Niekiedy Weronika chciała nawet odnaleźć Pawła, żeby się dowiedzieć o jego stan zdrowia, ale w końcu nie zdecydowała się. Zwłaszcza że nie mogła dopuścić do tego, by dowiedział się o dziecku.

Był okres, kiedy trochę się uspokoiła. Walerik miał już szesnaście lat, doskonale się uczył, nie wykazywał żadnych odchyień od normy. Chyba się udało, myślała z ulgą Weronika Matwiejewna, wpatrując się w zgrabną sylwetkę i piękną twarz syna i z dumą podpisując co tydzień jego dzienniczek, pełen samych piątek. Ale jej radość nie trwała nawet roku. Któregoś dnia spotkała na ulicy Pawła. Po kilkuminutowej rozmowie zorientowała się, że sytuacja wygląda o wiele gorzej, niż się spodziewała. Paweł, jeśli oczywiście nie kłamał, cierpiał na poważne zaburzenia psychiczne na tle

seksualnym; najpierw objawiły się one w formie ekshibicjonizmu, a następnie nekrofilii. Weronika patrzyła na ojca swego syna i wiedziała, że ten mówi prawdę.

Paweł zażądał pieniędzy. Wtedy zaczęły się przeprowadzki. I nowy strach - że ojciec zechce wyjawić tajemnicę Walerijowi.

Tymczasem dręczył ją, wyciągał od niej pieniądze, znęcał się nad nią moralnie, poniżał. Wszystko to znosiła cierpliwie. Ale teraz, kiedy Walera dorósł, bała się jeszcze czegoś - że jej wnuki będą nienormalne. Wiadomo przecież, że wiele chorób dziedzicznych objawia się co drugie pokolenie. Dzieci rodzą się zdrowe, a wnukowie płacą za grzechy dziadków.

Kiedy w życiu Walerija pojawiła się Elena Bartos, Weronika Matwiejewna pomyślała ze strachem, że jeśli Paweł dowie się o planowanym małżeństwie syna z dziewczyną z bogatego domu, nie zadowolony się żałosnymi sumami, które ona z trudem wygospodarowuje z domowego budżetu. W żaden sposób jednak nie mogła temu zapobiec - musiałaby chyba przenieść się do Pawła, żeby nie odstępować go ani na krok i kontrolować każdy jego ruch. Idąc ulicą, rozglądała się lękliwie, szukając oczyma zwalistej, niekształtnej sylwetki; bała się, że Paweł czatuje gdzieś w pobliżu na Walerę. Któregoś dnia odwiedził ją sympatyczny młody człowiek, Marat Łatyszew, który bardzo cierpiał z tego powodu, że Ela go porzuciła, i Weronika Matwiejewna ucieszyła się, że znalazła sprzymierzeńca. Bardzo liczyła na to, że we dwójkę uda im się nie dopuścić do małżeństwa, ale nic z tych planów nie wyszło. W dniu ślubu Weronika poprosiła Marata, by zawiózł ją do urzędu, w obawie, że pojawi się tam Paweł. Nie miał przecież żadnych skrupułów, mógł przyjść, wywołać awanturę, skandal...

Wysłuchawszy opowieści matki, Walerij zrozumiał, że o Eli lepiej zapomnieć raz na zawsze. W nocy, po rozmowie z synem, Weronika Matwiejewna źle się poczuła. Walera wezwał lekarza, ale matka dostała wylewu, zanim przybyła pomoc. I tak oto nagle został sam, bez narzeczonej, ze

sparaliżowaną matką, zdaną całkowicie na jego opiekę, nie wiedząc zupełnie, co począć w tej sytuacji. Jeszcze wczoraj rano leżał obok Eli na plaży w Srebrnym Borze i jeśli nawet życie nie wydawało mu się piękne, to przynajmniej całkiem zadowolające. Minał zaledwie jeden dzień, a on już ma wrażenie, że tamtego wszystkiego w ogóle nigdy nie było. Raptem znalazł się w innym świecie, w świecie choroby, lekarstw, zastrzyków, basenów, żmudnej walki z odleżynami... Wszystko runęło w jednej chwili.

Obróbka danych dotyczących młodych par zajęła więcej czasu, niż Nastia się spodziewała. Po pierwsze, zapomniała już trochę, jak pisze się programy komputerowe, ale bohatersko odrzuciła pomoc, którą zaproponował jej Aleksiej, i w końcu jakoś poradziła sobie sama. Po drugie, dyskietki okazały się zainfekowane wirusem, i sporo czasu zajęło ich „wyleczenie” przed wprowadzeniem danych do komputera.

Anton Szewcow również zaofiarował pomoc przy, jak to określił, „pracach pomocniczych”. Nastia zgodziła się ochoczo, ponieważ wydruki przysłano w formie długich rulonów, papier wciąż się zwijał i wyslizgiwał z rąk. Razem pocięli rulony na fragmenty długości pokoju, rozłożyli je na podłodze i przycisnęli z obu końców grubymi tomami encyklopedii.

- Będziemy szukać kobiet powyżej czterdziestu lat, które złożyły papiery, ale nie wyszły za mąż - wyjaśniła Nastia.  
- Komputer zacznie podawać nazwiska, a pan będzie sprawdzał w spisie wszystkie dane dotyczące tych osób. Czy to jasne?

Anton kiwnął głową, klęknął i pochylił się nad papierami, zajmując najdogodniejszą pozycję do wykonania swego zadania.

- No dobrze, to zaczynamy. Didienko i Machowa.
- Po dłuższej chwili Anton znalazł te nazwiska w spisie.
- Machowa, rok urodzenia 1973.
- Odpada. Iwanow i Kruglikowa.

- Kruglikowa też jest za młoda. Rocznik 1970.
- Ugrechelidze i Sierobaba.
- Galina Michajłowna Sierobaba, urodzona w 1953.
- Świetnie. Teraz niech pan sprawdzi, czy małżeństwo zostało zawarte.

Tym razem Anton szukał dłużej, uważnie wpatrując się w długi arkusz wydruku.

- Tak, wyszła rok później za niejakiego Dawydowa.
- Czyli Gruzin zerwał się z haczyka - skomentowała sprawę Nastia. - Jedziemy dalej. Aristow i Łukiczewa...

Czistiakow pojechał do instytutu, gdzie miał się spotkać ze swoim doktorantem, który przygotowywał się do obrony pracy, toteż o obiedzie Nastia przypomniała sobie dopiero wtedy, gdy z głodu poczuła ssanie w żołądku. Do tego czasu udało im się znaleźć trzy kobiety w wieku „powyżej czterdziestki”, których ślub z jakichś powodów się nie odbył.

- Zaraz pokrzepimy czymś nadwątlone siły i pojedziemy z wizytą do tych pań - oznajmiła Anastazja. - A potem wrócimy do naszej listy.

Tym razem nie mieli szczęścia, z trzech kobiet zastali tylko jedną, dwóch pozostałych nie było w Moskwie. Jedna spędzała urlop za granicą, druga wyjechała służbowo. Niedoszła mężatka, którą odnaleźli, opowiedziała, uśmiechając się wesoło, że poproszono ją o pomoc - miała wyjść za mąż za pewnego sympatycznego pana, żeby umożliwić mu przydział dwupokojowego mieszkania służbowego. Oczywiście zamierzał się odpowiednio odwdzińczyć za tę przysługę. Ale w czasie pomiędzy złożeniem papierów a datą ślubu w instytucji, gdzie był zatrudniony przyszły małżonek, zmieniło się kierownictwo, a on wysoko awansował, w związku z czym przydzielono mu mieszkanie, nie stawiając żadnych dodatkowych warunków, tak więc zawarcie fikcyjnego małżeństwa nie było konieczne.

Około siódmej znaleźli się z powrotem pod domem Nastii.

- Wracamy do pracy? - zapytał Anton, gdy Nastia sięgała do klamki, by wysiąść z wozu.

- Jeżeli nie jest pan zmęczony. Ale nie wypada mi tak pana wykorzystywać...

- Nastiu, przecież się umówiliśmy - rzekł Anton z wyrzutem, zamykając samochód.

W domu Anastazja znów zasiadła przy komputerze, a Szewcow zajął miejsce na podłodze.

- Żdanow i Kochomska.

- Rocznik 1968.

- Rożków i Ogniewa.

- 1970.

- Machałow i Nikitina.

- 1955.

- Małżeństwo zostało zawarte?

- Tak. Wyszła za mąż za Griadowego.

- Słobodin i Kuzina.

- 1975.

O dziesiątej ćmiło im się w oczach od liter i cyfr.

- Wystarczy na dziś, Anton, niech pan jedzie do domu.

Zamęczyłam pana na śmierć.

- Może przejdziemy na „ty”? - zaproponował Szewcow, siadając po turecku na podłodze. - Katorżnicza praca zbliża ludzi.

- Proszę bardzo - zgodziła się Nastia. - Ale to nie zmienia sytuacji. Naprawdę cię zamęczyłam.

- A jeżeli pojedę, położysz się spać?

- Oczywiście, że nie. Będę dalej szukać.

- Wobec tego zostaję.

- Ale już późno...

- Co to znaczy późno? Owszem, dla dziewczyny, która ma samotnie wracać do domu ciemnymi ulicami, pewnie tak. Ale ja jestem facetem, w dodatku zmotoryzowanym. Wyjdę, kiedy sama uznasz, że pora odpocząć.

- Wobec tego musiałbyś się tu zainstalować na stałe - zażartowała Nastia. - Będę odpoczywać, jak umrę. No, może trochę później. Stachiejew i Polańska.

- Rocznik 1963.
- Jesipow i Tielatnikowa...

Larysie wydawało się, że jej pęcherz za chwilę pęknie z ogłuszającym hukiem. Dłużej już nie mogła wytrzymać.

- Muszę do toalety - mruknęła żałośnie.

Bez słowa wyszedł z pokoju i przyniósł jej basen.

- Nie mogę przy tobie... Zaprowadź mnie do łazienki.

Łzy napłynęły Larysie do oczu. Czy i to upokorzenie nie będzie jej oszczędzone?

- Albo zrobisz tak, albo wcale - burknął prześladowca, wsuwając basen pod pośladki dziewczyny. - Nie pora na ceregiele.

Jedna jej ręka wciąż pozostawała przykuta do kaloryfera, druga przywiązana do ciała. Larysa była zupełnie bezsilna.

- Muszę ściągnąć majtki... Nie mogę tak...

Schylił się i jednym szarpnięciem zdarł z niej maleńkie, przezroczyste figi.

- No już, rób. Odwróć się.

Larysa zamknęła oczy. Chciała umrzeć. Mężczyzna bez najlżejszego grymasu obrzydzenia wyciągnął spod niej basen.

Mój Boże, w co ona się wpakowała! Przypomniała sobie imiona i telefony dwóch kolegów Siergieja, którzy z pewnością wiedzieli, gdzie on jest, i musieli być z nim w kontakcie. W pierwszej chwili chciała powiedzieć o tym swojemu prześladowcy, ale nagle pomyślała, że nie tylko ona, ale i Siergiej wpadnie w łapy tego psychopaty. Facet jest nie-normalny, to oczywiste. Zabije Sieriożę, a przedtem będzie go torturował. Ona nie może do tego dopuścić. Wytrzyma, jak długo się da, spróbuje uratować Siergieja przed tym zwariowanym maniakiem.

- I co, przypomniałaś sobie kogoś?

- Jeszcze nie.

Po wyniesieniu basenu ani myślał włożyć jej majtek z powrotem, więc Larysa leżała teraz na podłodze zupełnie

naga. Zauważyła, że dręczyciel co chwila popatruje na jej obnażone biodra i porośnięty złocistymi włosami wzgórek. Może uda się faceta jakoś zmiękczyć tym sposobem?... Była gotowa mu się oddać, żeby choć trochę poprawić swoją sytuację. Ale przede wszystkim - uratować Sieriożę.

Nie zważając na ból w całym ciele, rozsunała nieco nogi, by wyglądać bardziej kusząco. Spojrzenia mężczyzny stały się częstsze i dłuższe. Larysa znów zmieniła pozycję, choć nie mogła przy tym powstrzymać jęku - na biodrach i pośladkach nie miała ani skrawka ciała, w który mężczyzna nie wymierzyłby kopniaka.

- Czego się wierzisz? - rzucił z niezadowoleniem. - Przypomniałaś sobie?

- Na razie jeszcze nie.

- A po co rozkładasz nogi? Zachciało ci się bzykania?

- Z takim mężczyzną jak ty? Oczywiście. - Usiłowała przywołać zachęcający uśmiech, ale jej twarz wykrzywił tylko żałosny grymas. - Jesteś niesamowity, taki silny i tajemniczy. Każda dziewczyna byłaby szczęśliwa, gdybyś...

- Tak? - Spojrzał na nią z zaciekawieniem. - Nie kłamiesz?

- Przysięgam.

- Zaraz się przekonamy.

Cały czas patrząc na nią z półuśmiechem, rozpiął spodnie.

- No jak? Nie rozmyślałaś się? A więc będziesz szczęśliwa, jeżeli cię przelecę, tak? Zobaczymy.

Zjął spodnie i slipy, silnym uderzeniem rozsunał jej uda i ukląkł między nimi.

- Pytam po raz ostatni. Żebyś później nie mówiła, że cię zgwałciłem.

Larysa była przerażona, ale mężnie rozciągnęła wargi w uśmiechu.

- Coś ty, przecież sama zaproponowałam.

- No to w porządku.

Nagle pochylił się i zakrył jej usta ręką.



- Żeby ci nie przyszło do głowy wrzeszczeć - wysyczał, patrząc jej prosto w oczy i powoli na nią opadł, szukając najdogodniejszej pozycji.

Wszystko przebiegało jak na zwolnionym filmie. Mężczyzna wykonywał bez pośpiechu oszczędne, monotonne ruchy, nie odrywając oczu od jej twarzy. Jego wzrok był zupełnie zimny - Larysa nie dostrzegała w nim ani rozkoszy, ani zwierzęcej żądz, ani choćby śladu odczuwanego zadowolenia. Miała przed sobą twarz eksperymentatora, obserwującego z ciekawością, jak na szkiełku pod mikroskopem mnożą się i rozwijają mikroorganizmy. Nawet w kulminacyjnym momencie ani jeden mięsień nie drgnął w tej twarzy, tylko spomiędzy zębów wyrwało się coś w rodzaju ni to westchnienia, ni to syknięcia.

Mężczyzna wstał, ubrał się i usiadł w fotelu naprzeciwko swojej ofiary.

- Nie znajduję w tobie nic szczególnego - oznajmił takim tonem, jakby głośno myślał. - Jesteś dokładnie taka sama jak wszystkie. I tak jak wszystkie, myślisz, że masz między nogami bezcenny skarb, za który można kupić, co dusza zapragnie. Każda baba nie wiadomo dlaczego tak właśnie uważa. Ciekawe, kto wam wmówił takie głupoty?

Larysa była bliska rozpacz. Wszystko wyszło zupełnie inaczej, niż się spodziewała. Sytuacja wyglądała teraz jeszcze gorzej. Ten człowiek nawet jej nie zgwałcił, po prostu potraktował ją jak rzecz, przedmiot. W dodatku nie mogła mieć do niego pretensji, sama mu przecież to zaproponowała. Wcale jej nie zmuszał.

- Twój Sierioża pewnie ci mówił, że nie zna nikogo, kto byłby lepszy od ciebie w łóżku, a ty mu uwierzyłaś.

- Nie, nie mówił.

Trudno, pomyślała, seks nie wypalił, może uda się go wciągnąć w rozmowę. Wszystko będzie lepsze niż bicie. Wczoraj z zaskoczenia, bólu i strachu zupełnie straciła głowę, ale dzisiaj jakoś się wzięła w garść. Wiedziała, że to jest jej najślabszy punkt: kiedy wydarza się coś nieoczekiwanego,

od razu wpada w panikę i rozum jej się mąci. Po pewnym czasie jednak uspokaja się i znów zaczyna trzeźwo myśleć, chociaż zwykle jest to już musztarda po obiedzie, zdążyła bowiem narobić masę głupstw.

- A co mówił? - zainteresował się dręczyciel.

- Mówił, że jest do mnie ogromnie przywiązany, że czuje się ze mną dobrze i spokojnie. Znamy się od dawna.

- Opowiedz - zażądał.

Larysa zdziwiła się, że może być tego ciekaw, ale posłusznie zaczęła opowiadać długą i niewesołą historię swojej znajomości z Sieriożą Artiuchinem. Wątpliwe, czy potrafi wzruszyć tego maniaka, ale może przynajmniej uda się odsunąć najgorsze...

Jako dzieci mieszkali w tym samym domu i chodzili do tej samej szkoły, tyle że Sierioża był o pięć lat starszy. Kiedy ona miała trzynaście, zgwałciło ją ośmiu chłopaków, z którymi poszła do jakiejś piwnicy „posłuchać muzyki”. Tamtego wieczoru Siergiej zobaczył ją szlochającą, w podartej sukience, na skwerku w pobliżu domu. Wszystko mu opowiedziała.

- Idziemy na milicję - oświadczył zdecydowanie, wysłuchawszy Larysy. - Znajdą ich.

- Nie ma mowy. - Pokręciła głową i znowu się rozpłakała.

- Sama jestem sobie winna. Wstydzę się. Trzeba było pomyśleć. Przecież ze sto razy słyszałam o tym, co się dzieje w tych piwnicach.

- Więc dlaczego tam poszłaś, skoro wiedziałaś?

- Myślałam, że mnie się to nie zdarzy. - Pociągnęła nosem.

- Dobra, uspokój się. - Siergiej poklepał ją po ramieniu.

- To miejsce się nie zmydla. Myślałby kto, ośmiu chłopak! Zapomnij o tym i tyle. Nie warto płakać. Wiesz, ilu facetów będziesz jeszcze miała w życiu? Stracisz rachubę.

- Coś ty! Przecież po czymś takim żaden chłopak mnie nie dotknie...

- Ale głuptas z ciebie! - Artiuchin wybuchnął śmiechem.  
- A kto będzie o tym wiedział? Myślisz, że masz to wypisane na czole?

- Nie o to chodzi. Czuję się jakaś brudna... Och, Sierioża, jak ja mam dalej żyć? - załkała, kryjąc twarz na jego szerokiej piersi.

- Masz żyć normalnie, uspokój się. Za tydzień w ogóle nie będziesz o nich pamiętała. A oprócz nas dwojga nikt nie wie o twoim zmartwieniu. I nie dowie się.

Zaprowadził Larysę do siebie do domu, dał jej igłę z nitką, żeby jakoś pozszywała podarte ubranie. Nie wymagało to wielkich starań - rodzice dziewczynki wyjechali do sanatorium, a ona została pod opieką prababki, która była już bardzo stara i niedowidząca.

Tamtego wieczoru Larysa zrozumiała, że zakochała się w osiemnastoletnim Sierioży Artiuchinie. Pielęgnowała w sobie coraz silniejsze uczucie, starannie strzegąc go przed niepowołanymi oczami i grzejąc się w jego promieniach, które stawały się z każdym dniem gorętsze.

Lato się skończyło, a w listopadzie Artiuchin miał rozpocząć służbę wojskową. Po tamtym zdarzeniu spotykali się czasem na ulicy lub na podwórku. Larysa nieśmiało uśmiechała się do Sierioży, a on mrugał do niej porozumiewawczo. Parę razy widziała go z dziewczynami i jadowite żądło zazdrości przeszywało jej małeńkie serduszko.

Po dwóch latach Sierioża wrócił z wojska i Larysa zdała sobie sprawę, że kocha go jeszcze mocniej. Przez cały ten czas marzyła o nim, wyobrażała sobie, jak przyjedzie, zobaczy ją - piękną, prawie dorosłą - i natychmiast się zakocha. Ale kiedy go ujrzała, zrobiło się jej niedobrze - w sensie dosłownym. Serce przestało bić, w głowie się zakręciło. W ciągu tych dwóch lat tak rozpłomieniła w sobie uczucie do Siergieja, że na jego widok omal nie zemdląca. Umierała z miłości. Tylko ślepy by tego nie zauważył, a Artiuchin ślepy nie był.

Miesiąc po swoim powrocie natknął się na nią na tym samym skwerku, na tej samej ławeczce, na której siedziała dwa lata temu. Jak gdyby przez cały ten czas tu na niego czekała.

- Co słyhać? - rzucił wesoło, siadając obok.

- Kocham cię - wybuchnęła Larysa, niezdolna opanować emocji, i wpatrzyła się w niego ogromnymi, bezdennymi oczami.

- Ech, ty! - Siergiej wyjął papierosy, zapalił. - Ile masz lat? Szesnaście?

- Wciąż jeszcze piętnaście.

- I już jesteś zakochana? - Uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Nie już, tylko od bitych dwóch lat!

Tak ją wyczerpały te dwa lata miłosnej tęsknoty, że nawet się nie zawstydziła swego wyznania. Było jej już wszystko jedno.

Siergiej na poły rozbawionym, na poły pożądlwym spojrzeniem obrzucił jej krągłą, prawdziwie kobiecą figurkę. Cóż, w końcu Laryska nie jest już dziewicą...

- Cóż, skoro tak, to chodźmy.

Ujął ją mocno za rękę i dokądś poprowadził, jak się okazało, do kolegi, który wyjechał i zostawił mu klucze od mieszkania.

Od tamtego dnia Larysa Samykina zamieniła się w wiernego psa Siergieja Artiuchina. On nie traktował poważnie uczennicy dziewiątej klasy, romansował na jej oczach z innymi dziewczynami, przyprowadzał je do siebie, wyjeżdżał z nimi do Petersburga „na białe noce”, nad morze czy w inne miejsca „napić się wódeczki i zaszaleć”. Larysa cierpiała, nie spała po nocach, traciła apetyt, nie mogła się uczyć. I na pierwsze wezwanie pędziła do niego, rozpromieniona ze szczęścia. Należała do Siergieja całym ciałem i duszą, bezgranicznie mu oddana.

Co dziwniejsze, ta fascynacja nie mijała z wiekiem. Siergiej nie przestawał wdawać się w romanse, ale teraz nie robił już tego tak ostentacyjnie. Larysa dorosła, więc oszczędzał

jej przykrości. Właśnie tak, oszczędzał przykrości, bo wstyd wcale mu przed nią nie było. Czy inaczej przyznałby się, że zgwałcił jakąś dziewczynę? I nie tylko się przyznał, poprosił jeszcze Larysę, żeby potwierdziła jego alibi...

...Prześladowca słuchał dziewczyny uważnie, ani razu nie przerwał opowieści, niekiedy tylko zadawał pytania, i w pewnej chwili Larysie się zdawało, że nawet jej współczuje. Widać przydarzyła mu się kiedyś nieszczęśliwa miłość, pomyślała, i okazał się za słaby psychicznie, by sobie z tym poradzić. Może - jeśli okaże mu trochę ludzkiego zrozumienia - złągodnieje i nie będzie jej więcej bił?

- Jak możesz kochać takiego drania?

Pytanie zaskoczyło Larysę. Dlaczego jej dręczyciel uznał, że Sierioża jest draniem? Przecież nie powiedziała o nim ani jednego złego słowa. Nie poskarżyła się.

- On nie jest draniem - sprzeciwiła się. - To bardzo dobry człowiek.

- Co ty bredzisz, jaki tam dobry, zdeprawował piętnastolatkę! Byłaś nieletnia, za to grozi kryminał, nie wiesz o tym?

- Ale ja go kochałam - z uporem broniła Larysa swego wybranka. - Sama chciałam, do niczego mnie nie zmuszał. Nie ma pan prawa tak o nim mówić.

- Kochałaś! - Skrzywił się pogardliwie. - Przecież on cię ma za nic, a ty mówisz: „Kochałam”. Zobaczysz, że smarkuła aż się pali do niego, to czemu nie miał skorzystać, skoro świeży towar sam mu się pchał w ręce? Miał gdzieś całą twoją miłość! Jak tylko faceta przypiliło, zgwałcił pierwszą dziewczynę, jaka się napatoczyła, chociaż ty na próżno go wyczekiwałaś całymi dniami. Sama też nie jesteś lepsza od niego. Artiuchin pobił i zgwałcił dziewczynę, a ty go kryjesz, oszukujesz śledczego. Przecież też jesteś kobietą, tak jak ona. Nie żal ci jej? Spróbuj się postawić na jej miejscu.

- Byłam na jej miejscu - przypomniała cicho Larysa.  
- Opowiadałam przecież.

- E, nie, to zupełnie co innego. Ty sama sobie jesteś winna, padłaś ofiarą własnej głupoty, po co lazałaś z obcymi

chłopakami do piwnicy? Muzyki ci się zachciało, myślałby kto! A ona czym zawiniła? Tym, że twojemu przyjacielowi zrobiło się za ciasno w spodniach? Nawet się z nią nie porównuj, napalona gówniarno. Jesteś nie dziesięć, ale sto razy gorsza od niej. Taki sam z ciebie śmieć, jak z twojego fagasa. On się nad tobą znęca, a ty to znosisz, więc nie jesteś od niego lepsza. Masz to, na co zasłużyłaś.

- Ja go kocham - powiedziała ledwo dosłyszalnie. - Nic nie mogę na to poradzić. Próbowałam od niego odejść, ale zrozumiałam, że nie potrafię. Jakby mnie zaczarował.

Wciąż jeszcze miała nadzieję, że jej szczerłość poruszy w nim jakieś ludzkie uczucia. Ale on z każdą chwilą wzburzał w sobie coraz większy gniew, oczy zapłonęły mu nie-dobrym ogniem, wargi zbieleły. Larysa zrozumiała, że się przeliczyła, że sprawy przybierają zły obrót.

- Jak można kochać takiego śmierdzącego capa! - Mężczyzna już prawie krzyczał. - Kocha się głową, a ty myślisz zupełnie innym miejscem! Chronisz go? Chcesz mi wmówić, że nie wiesz, do kogo zadzwonić i gdzie go szukać? Kłamiesz, ty brudna dziwko!

Zerwał się z miejsca i znów wepchnął jej do ust szmatę i zalepił usta plastrem. Larysa zamknęła oczy. Zaraz zacznie ją bić. Boże, jak to wytrzymać...

Pierwszy kopniak trafił w krocze, drugi w brzuch.

- Chciałaś mnie wziąć na cipę? Myślałaś, że zmięknę? Przeliczyłaś się, ścierko - dogadywał, metodycznie wymierzając niezbyt silne, ale bardzo bolesne kopniaki.

Z gardła Larysy wrywały się bulgoczące dźwięki, a z oczu znowu popłynęły łzy. Leżała na podłodze związana, naga, zupełnie bezsilna i pragnęła tylko jednego: umrzeć.

Nastia i Anton sprawdzili już ponad połowę nazwisk, które znajdowały się na liście składających papiery, a brakowało ich w spisie tych, co zawarli związek małżeński. W większości wypadków były to młode dziewczyny w wie-

ku dwudziestu trzech-dwudziestu pięciu lat. Osoby starsze odwiedzali w domu lub w pracy i pytali, czemu nie doszło do ślubu. Przyczyny były rozmaite: wypadek samochodowy, w wyniku którego pan młody znalazł się na długie tygodnie w szpitalu, oszustwa, zdrady, głupie sprzeczki, niepotrzebne ingerencje rodziców, względy finansowe. Po pierwsze jednak, żadna z kobiet nie przypominała choćby w najmniejszym stopniu tej, której zdjęcie zrobił w urzędzie Anton Szewcow, po drugie zaś, ani jedna nie robiła wrażenia chorej psychicznie.

Wracali do Nasti i znów brali się do pracy.

- Jacelenko i Dubinina.
- Dubinina, rocznik 1974.
- Narożników i Ostrikowa.
- Też młoda, urodzona w 1972.
- Liwancew i Alleko.
- Alleko?

Anton podniósł głowę znad zaścielających podłogę arkuszy.

- Wiesz co, Nastiu, wpuściłaś chyba wirusa do komputera.

- Dlaczego? Coś jest nie tak?

- Pamiętam dokładnie, że widziałem te dwa nazwiska w spisie osób, które zawarły związek małżeński. Alleko to rzadkie nazwisko, wiem, że się na nie natknąłem.

- Może kobieta wyszła za mąż za kogo innego. Sprawdź.

Anton powoli przesuwiał się na kłęczkach wzdłuż długich wstęg papieru, wpatrując się w drobne litery.

- Jestem absolutnie pewien, że widziałem Liwancewa i Alleko. Gdzie oni się podziali? Przecież byli tutaj... A, są. Tak, Liwancew i Alleko. Wzięli ślub w kwietniu 1993 roku.

- Do diabła, czyżby naprawdę wirus?

Nastia zdenerwowała się nie na żarty. Jeżeli się okaże, że baza danych i program są zainfekowane i komputer podaje nie te nazwiska, które powinien, to znaczy, że będzie

musiała zaczynać wszystko od początku. Co gorsza, jak to się mówi, „na piechotę”. Taka robota zajmie chyba rok...

Nagle ją olśniło. Przecież - zgodnie z programem - komputer powinien był wybrać te pary nazwisk, które nie powtarzały się dwa razy, czyli nie figurowały w obu bazach danych. Nastia wyszła z założenia, że takie nazwiska mogą pojawić się tylko w wypadku, jeśli narzeczeni złożyli papiery, a do ślubu z jakichś powodów nie doszło. Ale przecież mogło być odwrotnie: para zawarła związek małżeński, nie składając wcześniej dokumentów. Oczywiście, to niezgodne z przepisami, czegoś to jednak nie da się zrobić za łapówkę? Nie takie rzeczy ludzie załatwiają. Trzeba koniecznie to sprawdzić. Może w komputerze nie ma żadnego wirusa i będą mogli spokojnie pracować dalej.

- Anton, rzuć szybciotko okiem na spis tych, którzy złożyli papiery. Jeśli nasza para tam nie figuruje, to wszystko w porządku, wirusa nie ma.

Szewcow znów zaczął się przesuwać na klęczkach wzdłuż arkuszy.

- Mam - powiedział ze zdziwieniem i uniósł głowę. - Liwancew i Alleko złożyli dokumenty w październiku 1992 roku.

- A więc jednak wirus - rzekła z westchnieniem Nastia. - Tyle roboty na nic. Co za pech! No trudno, chodźmy do kuchni, zrobimy sobie przerwę, a potem zaczniemy wszystko jeszcze raz od początku metodą chałupniczą. Jak widać, nie udało mi się przystosować techniki komputerowej do wykrywania przestępstw.

Zaparzyła herbatę dla Antona, a sobie zrobiła kawę. Była w tak fatalnym nastroju, że chciało jej się płakać.

- Ciekawe, dlaczego wyznaczono im taki odległy termin? - rzekł w zamyśleniu Szewcow, odgryzając potężny kęs kanapki.

- Co masz na myśli? - nie zrozumiała Nastia.



- Złożyli przecież papiery w październiku, a ślub wzięli dopiero w kwietniu. Po pół roku. Takich terminów nie ma, czeka się najwyżej trzy miesiące.

- Na pewno coś ci się pokręciło. - Nastia ze znużeniem machnęła ręką. - Tyle godzin wyteżasz wzrok, uwaga też się rozprasza, może spojrzalesz nie na tę linijkę.

- Nic podobnego! - zaperzył się Anton. - Wcale nie jestem zmęczony. Nie mogłem się pomylić.

- Mogłeś, mogłeś. Chcesz jeszcze herbaty?

- Mówię ci, że nie mogłem. Co, nie wierzysz mi?

- Ale po co się tak denerwować? - Nastię zdziwiło, że Anton jest taki rozgorączkowany. - Wielka rzecz, pomyliłeś miesiąc. Najważniejsze są nazwiska.

- Nie, nie chcę, żebyś myślała, że to mój błąd. Przecież jeżeli jestem nieuważny, to mogę przegapić albo przekręcić także nazwisko. Będziesz się bała, że się pomyliłem, i zaczniesz po mnie wszystko sprawdzać. Nie chcę tego. Chodź, zajrzyjmy od razu do spisu.

- Ależ siedź, zdążymy jeszcze to zrobić.

- Nie, sprawdźmy zaraz - upierał się. - Muszę się upewnić, że się nie pomyliłem.

Nastia wstała z westchnieniem i poszła za Antonem do pokoju. Bawiło ją jego podniecenie, niemal dziecięca chęć zrehabilitowania się w jej oczach i udowodnienie, że jest równie niestrudzony w pracy jak ona.

- Spójrz, Liwancew i Alleko, tutaj październik 1992 roku, a tu kwiecień 1993. Widzisz, nic nie pokręciłem. Mówię ci, że tak odległych terminów nie dają.

- Ale czemu się tak tego uczepiłeś? - spytała w roztarznieniu Nastia, myśląc już tylko o tym, jak doprowadzić do ładu komputer i co powie Loszka, kiedy wróci jutro z Żukowskiego i o wszystkim się dowie... - Może prosili, żeby przełożyć z jakiegoś powodu datę ślubu. Mieli termin na stycznia, a któreś z nich zachorowało, musiało wyjechać

w dłuższą podróż służbową albo umarł mu ktoś z rodziny. Grunt, że w końcu się pobrali.

- Nastiu - odezwał się nagle Anton jakimś dziwnym tonem. - Nastiu, to nie ta Alleko.

- Jak to nie ta?

Anton klęczał na podłodze, nisko pochylony nad spisami.

- To jakaś bzdura - wymamrotał. - Konstantin Liwancew w październiku 1992 roku złożył papiery potrzebne do zawarcia związku małżeńskiego ze Swietłaną Pietrowną Alleko, a po pół roku, w kwietniu 1993, wziął ślub z Iriną Witaljewną Alleko. Nic nie rozumiem.

Nastia zerwała się z krzesła i uklękła obok Antona.

- No dobrze. Ze Swietłaną Pietrowną z jakichś powodów się nie ożenił. A kiedy zgłosił się w sprawie ślubu z Iriną?

Oboje, rozciągnięci na podłodze, zaczęli się wczytywać w listę i dość szybko znaleźli potrzebny zapis: styczeń 1993 roku.

Nastia wstała i zaczęła sobie rozmasowywać obolały krzyż.

- Ciekawe - mruknęła. - Niejaki obywatel Liwancew, lat trzydzieści cztery, zamierza się ożenić ze Swietłaną Pietrowną Alleko, która liczy sobie już czterdzieści osiem wiosen. Ślub powinien się odbyć w grudniu lub styczniu, ale nie dochodzi do niego. Zamiast tego sprytny obywatel Liwancew w styczniu rezerwuje sobie nowy termin i w kwietniu zawiera związek małżeński z Iriną Witaljewną Alleko, lat dwadzieścia pięć. Czy to przypadkiem nie córka porzuconej Swietłany Pietrowny? Bo jeżeli tak, to...

Szybko chwyciła telefon i wybrała numer Korotkowa. Nie zastała Jury, ale udało jej się odszukać Siełujanowa.

- Kola, znajdź mi szybko adres Swietłany Pietrowny Alleko i Iriny Witaljewny Alleko-Liwancewej.

- Po co?

- Koleńka, później, później ci powiem. No już, dowiedz się, a ja się przez ten czas ubiorę.

- Bo co, jesteś rozebrana? - zaciekał się Siełujanow.
- Stoisz goła jak cię Pan Bóg stworzył, przyciskając telefon do cudownej, obnażonej piersi?
- Zabiję cię - rzuciła groźnie Nastia i odłożyła słuchawkę.

## ROZDZIAŁ 13

Swietłany Pietrowny Alleko nie zastali w domu. Mieszkała sama i nikt nie otwierał drzwi. Sąsiedzi nie potrafili powiedzieć, gdzie Swietłana jest i kiedy wróci. Wprowadziła się tutaj przed dwoma laty, z nikim z lokatorów nie utrzymywała stosunków i prowadziła samotniczy tryb życia. Nikt nawet nie wiedział, jaki ma zawód i gdzie pracuje.

Za to Irinę Witaljewnę i jej męża, Konstantina Liwancewa, nie tylko zastali, ale trafili w sam środek rodzinnej kłótni. Małżonkowie nie kryli niezadowolenia z powodu wizyty milicji, a kiedy się dowiedzieli, o co chodzi, do reszty stracili humor.

- Nie rozumiem, po co na nowo rozgrzebywać tę historię - oświadczyła kapryśnie Irina, pewna siebie ślicznotka, która miała niemal wypisane na czole „zołza”. - W końcu to nie żadne przestępstwo.

- Sprawa czysto rodzinna - wtórował jej mąż. - Nie macie prawa się wtrącać. Proszę powiedzieć, o co chodzi, wtedy będziemy rozmawiać.

- Chodzi o to, że szukamy kobiety, która mogła być świadkiem poważnego przestępstwa. Jej zdjęcie zostało opublikowane, ale nikt się nie zgłosił z żadną informacją. Mamy podstawy przypuszczać, że ta osoba zamierzała swego czasu wyjść za mąż, ale do ślubu nie doszło. Ponieważ pani matki, Swietłany Pietrowny, nie zastaliśmy w domu, postanowiliśmy zwrócić się do pani z pytaniem, czy rzeczywiście miała zamiar zawrzeć związek małżeński i czemu do tego nie doszło.

- Ale dlaczego uznaliście, że ta kobieta to właśnie moja matka?

- Wcale nie. Szukamy wszystkich kobiet, którym się coś takiego przydarzyło, żeby sprawdzić, czy nie znajdzie się wśród nich ta z fotografii.

- Proszę pokazać zdjęcie - zażądała Irina. - Tak, to ona - potwierdziła niedbale. - A skąd je macie?

- Zostało zrobione w urzędzie stanu cywilnego, gdzie doszło do zabójstwa - wyjaśniła Nastia. - I bardzo chciałabym się dowiedzieć, co pani matka tam robiła. Może ktoś z jej znajomych żenił się lub wychodził za mąż, a ona została zaproszona na ślub?

Nastia wiedziała doskonale, że tak nie było. Wszystkie pary, które tamtego dnia zawarły związek małżeński, pytano już o tę kobietę, ale nikt jej nie znał.

- Możliwe. - Irina wzruszyła ramionami.

- Nie orientuje się pani dokładniej?

- Nie utrzymuję kontaktów z matką...

Historia, którą Nasti w końcu udało się wyciągnąć z niechętnych do zwierzeń małżonków, porażała prymitywnym, cynicznym okrucieństwem.

Swietłana Pietrowna wiele lat przeżyła w udanym stadle z przyzwoitym i uczciwym, ale od dawna poważnie chorym człowiekiem, który był wzorowym mężem i kochającym ojcem dla Irinki. Jako kochanek natomiast nie potrafił stanać na wysokości zadania. Od trzydziestego piątego roku życia Swietłana Pietrowna nie zaznała rozkoszy małżeńskiego łoża. I nagle w jej życiu pojawił się Konstantin, młodszy od niej o czternaście lat, a ona znów poczuła się kobietą, interesującą i pożądaną. Córka już dorosła i właściwie Swietłana mogłaby się rozwieść, lecz chory mąż, z którym przeżyła tyle lat, tak ją kochał i był jej tak oddany...

Kobieta zadrezczała się. Pragnęła żyć z Konstantinem, ale obawiała się odejść od męża. Irina nie kryła swojej pogardy dla matczynej namiętności, wytykając Swietłanie bezlitośnie różnicę wieku między nią a jej ukochanym.

- Już prędzej byłby partnerem dla mnie niż dla ciebie! - cedziła przez zęby. - Wstydziłabyś się!

Żeby nie pozostać gołosłowną, Irina bez skrępowania stroiła uwodzicielskie minki do kochanka matki i z nieskrywaną satysfakcją łowiła uśmiechy i znaczące spojrzenia, które rzucał jej w odpowiedzi.

Koniec udrękom położył mąż Swietłany, który nie mógł dłużej przemykać oczu na to, co się dzieje, i pewnego pięknego dnia spakował się i przeniósł do niedawno owdowiałego brata.

Małżonkowie rozwód uzyskali szybko i Swietłana Pietrowna zaczęła się przygotowywać do nowego zamążpójścia.

- Nie ośmieszaj się, mamó - ze złością rzuciła Irina, kiedy Swietłana kupiła białą ślubną suknię. Oczywiście, nie taką jaką wybierają młode dziewczęta, z trenem, koronkami i riuszkami, ale również kosztowną i strojną. - Biała suknia w twoim wieku?

- Dlaczego jesteś taka okrutna? - Swietłana Pietrowna miała łzy w oczach. - W kogo ty się wdałaś?

- Nie jestem okrutna - odpowiadała chłodno Irina - tylko, w odróżnieniu od ciebie, trzeźwo myślę. Bo ty zupełnie straciłaś głowę dla swojego rozparzonego samca.

- Nie waż się go tak nazywać! - wybuchnęła matka.

- Zauważ, jak się ślini na mój widok - spokojnie odpowiadała córka. - Widać, że tylko jedno mu w głowie.

W dniu ślubu Irina oświadczyła, że pojedzie do urzędu stanu cywilnego razem z matką i jej narzeczoną. Swietłana ucieszyła się, wzięwszy to za oznakę, że córka chce się z nią pogodzić. Kwadrans przed wyjściem z domu okazało się, że Irina ma na sobie elegancką białą suknię.

- Irinko, proszę cię, włóż coś innego - zaczęła ją błagać matka. - Biała suknia jest tradycyjnie zarezerwowana dla panny młodej.

- To ty powinnaś włożyć coś innego - odparowała Irina.  
- Spójrz na siebie, masz czterdzieści osiem lat, a wystroiłaś

się w biel niczym niewinne dziecko. Można pęknąć ze śmiechu! Jeżeli się przebierzesz, ja też zmienię sukienkę.

- Ależ Iro... - Swietłana Pietrowna nie mogła wykrztusić słowa.

- Powiedziałam: albo obie się przebierzemy, albo obie zostaniemy w białych sukniach.

- O Boże, jesteś prawdziwą jędzą! - Matka rozpłakała się.

- A ty podstarzałą rozpustnicą - odcięła się bezlitośnie Irina.

Obie pojechały do urzędu w białych sukniach i, prawdę mówiąc, to właśnie Irina wyglądała na pannę młodą. Kiedy weszli do holu, spojrzała w ogromne lustro na całą ścianę - u boku przystojnego Liwancewa prezentowała się bardzo efektownie. Matka, stara i nieszczęśliwa, wlokła się z tyłu. Ich oczy spotkały się w lustrzanej tafli i Irina wyniosłe uśmiechnęła się do matki.

Po kilku minutach Swietłana Pietrowna poszła do toalety poprawić fryzurę i makijaż. W palarni, wspólnej dla mężczyzn i kobiet, nie było nikogo oprócz jednej namiętnie całującej się pary. W pierwszej chwili nawet nie zorientowała się, kto to. A kiedy zrozumiała, najpierw na moment zamarła, a potem odwróciła się i szybkim krokiem ruszyła do wyjścia.

Nazajutrz zwróciła się do pośrednika mieszkaniowego z prośbą o jak najszybszą zamianę dużego, trzypokojowego mieszkania na dwa mniejsze, najlepiej w odległych od siebie punktach miasta. Do dnia przeprowadzki mieszkała u przyjaciółki, z córką nie widywała się i nie kontaktowała. O tym, że Irina wyszła za Liwancewa, Swietłana została poinformowana telefonicznie. Przyjęła tę nowinę w milczeniu, po czym bez słowa odłożyła słuchawkę. Przez cały ten czas sama ani razu nie zadzwoniła do córki

- Proszę powiedzieć, czy nie wydawało się pani może, że matka jest chora?

- Chora? - Irina parsknęła nieprzyjemnym śmiechem.

- Jest zdrowa jak koń, zapewniam panią.

- Miałam na myśli dolegliwości psychiczne.

- Ach, tak... Cóż, chyba rzeczywiście musiała być nie-normalna, żeby odejść od ojca i chcieć wyjść za mąż za Kostię. Osoba zdrowa psychicznie by tego nie zrobiła. Fakt, że od dwóch lat ze mną nie rozmawia, też chyba o czymś świadczy.

- Jak pani sądzi, gdzie może być teraz Swietłana Pietrowna? W domu jej nie ma, próbowaliśmy się z nią skontaktować przed wizytą u pani.

- Pewnie spaceruje, a gdzie ma być, już przecież prawie dziesiąta. Zawsze lubiła długie spacery, zwłaszcza wieczorami, o zachodzie słońca, kiedy się zaczyna ściemniać. Ojciec aż osiwił z powodu tego jej zamiłowania do samotnych przechadzek. Nieraz potrafiła wyjść z domu, nic nikomu nie mówiąc, i zjawić się z powrotem o pierwszej w nocy. Wyglądaliśmy wtedy przez okno, wychodziliśmy jej szukać, wsłuchiwalismy się w każdy szmer. A ona sobie spacerowała jakby nigdy nic. Naprawdę nienormalna.

Już za drzwiami, na klatce schodowej, Nastia nagle odwróciła się do Iriny.

- Proszę powiedzieć, Irino Witaljewno, czy kiedykolwiek bywa pani wstyd?

Kobieta obrzuciła Nastię pogardliwym spojrzeniem i głośno zatrzęsnęła drzwiami.

Po raz drugi jechali przez całe miasto do domu, gdzie mieszkała Swietłana Alleko. Nadal jej nie było, więc postanowili zaczekać, aż wróci.

Ściemniało się już. Siedzieli w samochodzie, nie zapalając światła, żeby nie przegapić nadchodzącej kobiety, której zdjęcie leżało przed nimi na desce rozdzielczej, i cicho rozmawiali.

- Co za okropna historia, prawda? Skąd się biorą tacy ludzie jak Irina? - rzekła Nastia z westchnieniem.

- Sama już sobie odpowiedziałaś na swoje pytanie. Charakter człowieka nie jest czymś wrodzonym, wiele zależy od wychowania. Tak ukształtowała go u córki Swietłana

Pietrowna. Najprawdopodobniej w dzieciństwie Irina była rozpieszczana, wszyscy ulegali jej kaprysom, pozwalali smar-kuli na pyskowanie i lekceważenie dorosłych. Rezultaty tego są dzisiaj widoczne.

- Strasznie zgłodniałam. I pić mi się chce.

- Poczekaj tutaj, a ja skoczę na róg, widziałem, że jest tam jakiś barek. Zaraz skombinuję coś do jedzenia.

- Dzięki.

- Nie ma za co.

Anton przyniósł gorące hamburgery na tekturowych tac-kach i dużą, dwulitrową butelkę sprite'a. Mięso było nie-smaczne i zbyt ostro przyprawione, ale Nastia nie zwróciła na to uwagi. Jej myśli krążyły wokół Swietłany Pietrowny Alleko, tak brutalnie skrzywdzonej i poniżonej przez własną córkę i kochanka.

- Jak myślisz, czy Swietłana mogła chorobliwie znieawi-dzić wszystkie kobiety, które wybierają się za męża? - spytał Anton.

- Oczywiście, że tak. Najpierw pisała do nich listy, potem zaczęła je zabijać. I to właśnie w tym miejscu, gdzie zoba-czyła córkę ze swoim narzeczonym - w palarni przed toale-tą. Nie mówiłam ci chyba, ale w tym drugim urzędzie, gdzie też doszło do zabójstwa, również była widziana.

- Ale skąd wzięła broń?

- Też mi problem! Za pieniądze można dzisiaj kupić wszystko, nie tylko pistolet, ale nawet granatnik.

- Czy aby na pewno jej nie przegapiliśmy? Przecież już pierwsza.

- Słyszałeś, co powiedziała Irina: Swietłana lubi spacero-wać do późna w nocy.

- Może lepiej sprawdźmy? A nuż wróciła.

- Ależ siedzimy tutaj cały czas, wykluczone, żeby prze-szła niezauważona. Pewnie jeszcze spaceruje.

- A jeżeli siedziała u kogoś z sąsiadów i teraz jest już u siebie? Może tylko weszła piętro wyżej czy zeszła w dół - tego nie mogliśmy zobaczyć.



- Też racja - zgodziła się Nastia. - Chodźmy.

Znów wjechali windą na czwarte piętro, gdzie mieszkała Alleko. Nikt jednak nie reagował na ich natarczywe dzwonki. Nastia i Anton zeszli o jeden bieg schodów niżej, usiedli na parapecie i zapalili.

- Może to i dobrze, że jej nie ma w domu - powiedział Nastia w zamyśleniu. - Za wejście do mieszkania bez zgody gospodarza po dwudziestej trzeciej grożą nieprzyjemności. A ja wcale nie jestem przekonana, czy Swietłana powita nas z otwartymi ramionami. Co innego na ulicy albo na schodach. Tam zawsze możemy podejść, przedstawić się i zadać parę pytań. Lub nawet się nie przedstawiać i po prostu coś zełgać. Obejdzie się wtedy bez naruszenia prawa.

- Nie boisz się? Przecież ona ma pistolet. No i niewykluczone, że jest chora psychicznie.

- Jasne, że się boję. Ale gdyby człowiek nie robił tego, czego się boi, ani jedno przestępstwo nie zostałoby wykryte. Postaramy się zachować ostrożność, nie prowokować agresywnych zachowań, uważać na słowa. Potrzebna nam jest na razie tylko jako świadek, nic więcej. Poza tym nie zapominaj o kradzieży w laboratorium fotograficznym. Wątpię, czy to jej sprawka. Raczej ma jakiegoś współnika. I broń chyba też trzyma u niego, tak że nie powinna być dla nas szczególnie niebezpieczna, zwłaszcza jeśli będziemy się zachowywać jak należy.

Na górze trzasnęły drzwi, rozległy się kroki i lekkie, ciche stukanie pazurów o kamienne stopnie - ktoś schodził po schodach z psem. Po chwili na podeście czwartego piętra ukazał się mężczyzna w średnim wieku, z dużym czarnym terierem na smyczy.

Nagle pies stanął, przysiadł pod drzwiami Swietłany i zawył.

- Chodź, Fred, dość tych wygłupów. - Właściciel wyciągnął rękę i ujął psa za obrozę. - Już się tak zabawiałeś rano, wystarczy tego dobrego.

Nastia zerwała się z miejsca jak oparzona i wbiegła schodami na górę.

- Powiedział pan, że pies dziś rano wył pod tymi drzwiami?

- No tak. Ledwo go odciągnąłem. Najpierw wył, potem cały się zjeżył... a teraz, proszę, historia się powtarza. Chodź, Fred, idziemy, późno już.

Na Freda strach było patrzeć. Sierść zjeżona, zęby wyszczerzone, ciało wstrząsane konwulsyjnym dygotem.

- Zachowuje się, jakby wyczuł nieboszczyka, słowo daje - zauważył właściciel psa, bezskutecznie starając się ruszyć z miejsca potężnego teriera i zmusić go do zejścia po schodach.

- Boję się, że to prawda - mruknęła Nastia.

Wyjęła z torby legitymację służbową i pokazała ją mężczyźnie.

- Możemy od pana zadzwonić? Trzeba wezwać milicję. Możliwe, że coś się stało Swietłanie Pietrownie.

Słyszac zgrzyt klucza w zamku, Larysa drgnęła. Jej prześladowca wrócił. Dobrze, że przed południem wychodzi do pracy i dręczy ją tylko rankami, wieczorem i w nocy. Nauczyła się nawet drzemać pod jego nieobecność. Jej ciało od pozostawiania w jednej pozycji zupełnie odrętwiało, czuła ból tylko w miejscach, gdzie mężczyzna zadawał jej ciosy. Jak długo już tu jest? Dwa dni? Trzy? Chyba trzy...

Wszedł do pokoju, błydy, z pałającymi złością oczyma.

- No co, namyśliłaś się? Pamiętaj, że moja cierpliwość się kończy. Na razie cię tylko biłem, ale wkrótce zaczną się prawdziwe tortury.

Podszedł, nachylił się i wyciągnął spod niej basen, który wsuwał jej pod pośladki, wychodząc na cały dzień. „Jak szybko człowiek zmienia nawyki - pomyślała Larysa. - Kiedy pierwszy raz musiałam skorzystać z basenu, o mało nie umarłam ze wstydu. Minęły dwa dni, a ja w ogóle nie zwr-

cam na to uwagi, leżę goła i robię pod siebie, jakby to była najnaturalniejsza rzecz pod słońcem".

Dreźczyciel wrócił i zaczął odklejać z jej twarzy plaster, którym przezornie zabezpieczał knebel na czas swojej nieobecności. Nie chciał, żeby Larysa krzyczała i wzywała pomocy. Przy nim nie odważy się tego zrobić w obawie przed biciem. Ale, oczywiście, kiedy ją bił, też zatykał jej usta szmatą.

- I co? Zadzwonimy?

- Nie wiem, do kogo, przysięgam. Dlaczego pan mi nie wierzy?

- No dobra.

Uważnie zlustrował Larysę od stóp do głów, jakby widział ją po raz pierwszy.

- A więc nie wiesz. No, myślę, że zaraz będziesz wiedziała.

Wyjął zapalniczkę i przysunął płomień do jej piersi, do samego sutka. Oczy Larysy rozszerzyły się ze strachu. Pomyślała jednak, że chyba nie sprawi jej bólu, w obawie, że ona mimo woli zacznie krzyczeć i nie powstrzyma jej nawet strach przed biciem. Czyli na razie to tylko przymiarka.

- Jak mam się zaklinać? - przemówiła, starając się, by jej głos brzmiał jak najbardziej przekonująco. - Nie mogę przecież przypomnieć sobie czegoś, czego nie wiem.

- Możesz - zapewnił z uśmiechem. - Wszystko możesz. Zaraz ci to udowodnię.

Znów wsunął jej knebel do ust i przytknął zapalniczkę do piersi. Ból był straszny, Larysa pragnęła czym prędzej stracić przytomność, by go nie czuć. Wszystkie ciosy i kopniaki, które mężczyzna jej dotąd wymierzał, wydawały jej się w tej chwili niewinną pieszczotą. Myślała, głupia, że nic już nie może bardziej boleć, więc jakoś uda jej się wytrzymać. Okazało się, że to był dopiero początek. Takiego bólu nie zniesie.

Odsunął zapalniczkę i spojrzał na Larysę pytająco. Skinęła głową.

- Mądra dziewczynka - powiedział wesoło. - A twierdziłaś, że nic nie możesz sobie przypomnieć. Zaraz zadzwonimy.

Wyjął jej knebel z ust i przyniósł wody. Zachłystując się i krztusząc, piła chciwie ze szklanki, którą trzymał w ręce. Czuła się jak pies, którego karmi okrutny pan.

- Nie wiem, co mam mówić - wydusiła z siebie na koniec.

- Za chwilę ci wszystko powiem. Poinformujesz, że chodzi o pięćdziesiąt tysięcy dolarów, dlatego nie może być mowy o zawiadomieniu milicji. Artiuchin musi przyjść tutaj. Jedynie pod tym warunkiem tę sumę da się uratować. Rozumiesz? Tylko w wypadku, jeżeli zgłosi się na milicję razem ze mną. Jeśli pójdzie tam sam, wyjdzie na jaw, że próbował ucieczki, i cała forsa przepadnie. Wtedy i on, i ty będziecie musieli rozliczyć się z tymi, którzy wyłożyli szmal.

- A dlaczego, jeżeli pójdzie tam z tobą, ma być inaczej? Jaka jest gwarancja, że dolary nie przepadną?

- Taka, że tylko ja wiem, co zrobić, żeby tak się nie stało. No już, mów, jaki numer, sam wybiorę.

Larysa podała mu telefon człowieka, którego samochodem Siergiej wyjechał z Moskwy.

Swietłana Pietrowna Alleko była martwa od około dwóch dni. Strzał w usta roztrzaskał jej czaszkę, pistolet TT kaliber 7,62 mm leżał obok. Na stole funkcjonariusze znaleźli krótką notatkę: „Dłużej nie wytrzymam. Wybaczcie mi”. Nastia zobaczyła takie same drukowane litery, jak w listach do panien młodych.

- Typowe samobójstwo - burknął ponuro Oleg Zubow, oglądając razem ze śledczym miejsce zajścia.

Od chwili przyjazdu ekipy dochodzeniowej minęły co najmniej trzy godziny. Była głęboka noc, wkrótce miało zacząć

świtać - najgorsza pora dla tych, którzy nie śpią. Ciemności gęstnieją przed brzaskiem... Godzina Byka.

Nastia siedziała w kącie i w milczeniu obserwowała, co się dzieje. Swiełana, w czarnej jedwabnej sukni, leżała na kanapie. Sądząc z pozycji, w chwili wystrzału siedziała wygodnie oparta. Jasne obicie mebla przesiąkło krwią; z pewnością dużo jej było również na ubraniu, ale na czarnej tkaninie ślady pozostawały niewidoczne. Teraz ludzie z ekipy oglądali zwłoki. Anastazja zauważyła, że pięćdziesięcioletnia kobieta ma na sobie wytworną, drogą bieliznę, chyba zupełnie nową. Nawet nie dotykając ręką włosów Swiełany, można było dostrzec, że zostały przed jej śmiercią umyte i starannie ułożone. Miała też świeżo zrobiony manikiur, lakier nie był starty ani podpryskiwany, najwidoczniej niedawno nałożony. Postanowiwszy rozstać się z życiem, Swiełana uczyniła wszystko, by i po śmierci pozostać kobietą.

Nastia rozejrzała się po pokoju. Wszędzie panował idealny porządek i czystość, która byłaby naprawdę olśniewająca, gdyby nie cieniutka warstewka kurzu, pokrywająca meble; musiała na nich osiaść w czasie pomiędzy samobójstwem a znalezieniem zwłok. Śledczy otworzył leżącą na stole skórzaną tekę do korespondencji, i Nastia zobaczyła znajome białe koperty. W takich właśnie przychodziły listy.

Siełujanow drobiazgowo przeszukał masywną meblościankę z szafą i szufladami, zręcznymi palcami myszkując wśród ubrań, bielizny, porcelany.

- Sasza! - zawołał śledczego. - Chodź, znalazłem!

Śledczy i technik Zubow podeszli do niego i ostrożnie wyjęli spod stosu ręczników zawinięty w kawałek materiału tłumik i pudełko nabojów. Sąsiedzi - mężczyzna, który wyprowadzał teriera, i jego żona - dotąd nie mogli się otrząsnąć ze zdumienia.

- Pomyśleć tylko - szepnęła kobieta. - Była taka cicha, spokojna, zamknięta w sobie. Zawsze mi się wydawało, że coś z nią musi być nie w porządku. I chyba miałam rację...

W drzwiach ukazał się Korotkow. Był zmęczony, oczy miał zaczerwienione.

- Asiu, chodź do kuchni, pomożesz mi.

Nastia na palcach, starając się nie nadebrać na leżące na podłodze przyrządy i odczynniki, wyszła z pokoju.

- Znalazłeś coś?

- Nic. Trzeba sprawdzić kubeł na śmieci.

Wyjęli z szafki pod zlewozmywakiem zapełnione do połowy czerwone plastikowe wiadro, rozłożyli na podłodze polietylenową płachtę i wysypali na nią zawartość kubełka.

- Ej, wy, kółko amatorskie - usłyszała Nastia nad uchem burkliwy głos Zubowa - a pincety wziąć to nie łaska? Pchają się z łapami do wszystkiego jak leci! Nie jesteście u siebie w domu, do cholery.

Ani myśleli się obrażać za tę reprimendę. Oleg był znany z szorstkiego obejścia i nikt już nie zwracał na to uwagi.

- Akurat do szóstej się wyrobimy - powiedział Korotkow, przykucając przed kupką śmieci. - Metro już zacznie chodzić. Przyjechałem tutaj taksówką, wydałem całą gotówkę, którą miałem przy sobie. Jaka jest najbliższa stacja?

- Nie wiem.

- Co? To jak się tu dostałaś?

- Szewcow mnie przywiózł.

- Tak? A gdzie on się podział? Nie widziałem go.

- Wyprawiłam go do domu, zanim przyjechaliście. Tu i tak nie ma się gdzie obrócić, depczemy sobie nawzajem po piętach. Zresztą Saszka, wiem o tym, nie cierpi, jak osoby postronne kręcą się po miejscu zajścia.

- Ale jak stąd dojedziesz do domu? Przecież to kawał drogi. W dodatku pada.

- Nie szkodzi, nie jestem z cukru, nie rozpuszczę się.

Wyciągnęła ze śmieci dwie sztywne, błyszczące metki z okrągłymi dziurkami i zaczęła je oglądać.

- Miałam rację, była w nowej bieliźnie, prosto ze sklepu. I diabelnie drogiej. Pomyśleć tylko, jak głęboko musiała ją zranić ta historia z córką i kochankiem. Wytworna bielizna,

manikiur, fryzura - wszystko po to, żeby po śmierci można było o niej powiedzieć: „Co za kobieta!”.

W skupieniu grzebali w śmieciach, ale nie znaleźli nic, co mogłoby ich zainteresować. Nie było tu ani podartych listów, ani karteczek z adresami czy numerami telefonów, ani niedopałków, które mogłyby świadczyć o tym, że Swiet-anę Pietrownę ktoś odwiedził.

Za oknem już świtało i Nastia poczuła nagle ciężkie jak ołów zmęczenie. Miała uczucie, że ktoś przywiesił jej do nóg i rąk pudrowe ciężary, które będzie teraz zmuszona dźwigać przez resztę życia.

Nie dawała jej spokoju myśl o domniemanym współniku zmarłej. Tak, broń, z której zastrzelono panny młode, była u Swietłany, ale ona sama nie mogłaby się włamać do laboratorium, żeby ukraść negatywy. Nastia nie wiedziała, dlaczego jest tego taka pewna, ani przez chwilę jednak nie wątpiła, że ma rację. Ponadto kobieta musiała skądś zdobywać adresy osób, które otrzymały listy.

- Jura, musimy sprawdzić wszystkich pracowników urzędów stanu cywilnego - powiedziała znużonym głosem.  
- Trzeba szukać kobiety, raczej młodej, uprawiającej sport, o trudnym charakterze i nieudanym życiu osobistym. Swiet-ana Pietrowna z pewnością miała pomocnicę. Sama by sobie nie poradziła.

- Co ma do tego sport? - zdziwił się Korotkow. - Kobieta, pracownica urzędu, o trudnym charakterze i z nieudanym życiem osobistym - to mogę zrozumieć. Ale skąd nagle sport? Nie wdrapała się przecież do laboratorium po rynnie.

- Chodzi o cechy osobowości. Umiejętność koncentracji, zaplanowania każdego ruchu, działania w sytuacji stresowej szybko i skutecznie. Wyobraź sobie biegacza: jeszcze przed startem musi mieć w głowie dokładnie zaprogramowany każdy etap - jak pokonać początek dystansu, środek i jak finiszować na ostatnich metrach. I wszystko to w przeciągu pół minuty albo i mniej, kiedy patrzy na niego cały stadion, w telewizji ogląda go pół świata, publiczność wyje, gwizdże

i wrzeszczy, a od ostatnich sekund tyle zależy. Trzeba mieć bardzo mocne nerwy, żeby otworzyć drzwi podrobionym kluczem, wybrawszy moment, gdy nikt cię nie zobaczy, szybko odnaleźć w nieznanym pomieszczeniu właściwą kliszę i niepostrzeżenie wyjść. To akurat zadanie dla byłej sportsmenki.

- Dobra, będziemy szukać. - Korotkow, w pełni usatysfakcjonowany wyjaśnieniami Nasti, kiwnął głową.

Wyszedł do przedpokoju i krzyknął do Zubowa:

- Oleg, sprawdzałeś odciski na lodówce?

- Nie, czekałem na ciebie - burknął tamten niechętnie.

- Można ją otworzyć?

- No. Ale jak coś znajdziesz, nie dotykaj, najpierw zwołaj mnie.

Jura otworzył lodówkę i zaczął się rozglądać po półkach.

- Co tam chcesz wypatrzeć? - spytała Nastia, która bała się nawet pomyśleć o wykonaniu jakiegokolwiek ruchu. Zdawało jej się, że przyrosła do stołka, i siedziała sztywno, oparta o kuchenny stół.

- Sam nie wiem - przyznał się Korotkow. - Ot tak, pomyślałem, że warto rzucić okiem.

- No, to mów, co widzisz.

- Paczka parówek z zakładów mięsnych w Czerkizowie, nieotwarta. Kiełbasa podwędzana, w plasterkach, jedno opakowanie. Ser, też pokrojony, paczuszka. Nigdy takiego nie widziałem. - Korotkow wyłonił się zza drzwiczek lodówki. - Prawie same dziury.

- Ementaler - wyjaśniła Nastia, siedząc z zamkniętymi oczyma i brodą opartą na rękach.

- Przecież nie widzisz...

- Ale słyszę. Ementaler ma właśnie takie duże dziurki. Jedź dalej.

- Słoik niemieckiego majonezu, napoczęty. Butelka keczupu, też napoczęta, z jedną trzecią zawartości. Nowozelandzkie masło śmietankowe, w srebrnym opakowaniu, pół paczki. Aha, jeszcze jajka, raz, dwa, trzy, cztery... dziewięć sztuk.



Pomidory, trzy sztuki. Cztery ogórki. Mała salaterka z jakąś sałatką czy pastą, chyba z wątróbek rybnych... Czegoś się tak zerwała?

Nastia, wstając niezręcznie, przewróciła taboret na podłogę.

- Gdzie ta pasta? Pokaż.

- O, tutaj.

Jura podał jej niewielką kryształową salaterkę. Zawartość uformowano w zgrabny stożek, ozdobiony na wierzchu plasterkiem pomidora i gałązką zielonej pietruszki.

- Co się tu dzieje? - rozległ się głos śledczego. - Dlaczego rzucacie meblami?

- Przepraszam, Sasza, to ja tak niezgrabnie wstałam - tłumaczyła się zmieszana Nastia.

Śledczy z niezadowoleniem pokręcił głową i wrócił do pokoju. Nastia podeszła do lśniąco białej kuchenki, na której nie stało nic oprócz czerwonego czajnika z gwizdkiem, i otworzyła piekarnik. W brytfance leżały cztery kawałki mięsa, już wyschnięte, ale zapieczone z serem i majonezem. Nastia powoli się wyprostowała.

- Jura, ona nie popełniła samobójstwa.

- Coś ty powiedziała? - Korotkow gwałtownie się odwrócił.

- Swietłana się nie zastrzeliła. Została zamordowana.

Telefon odezwał się, zaledwie przestąpiła próg mieszkania. Dzwonił śmiertelnie przerażony Czistiakow.

- Boże, Asiu, straciłem cię z oczu. Nie nocowałeś w domu? Gdzie cię nosi?

- Przepraszam, Loszka, nie zdążyłam cię uprzedzić, nie było okazji, a potem już się zaczął prawdziwy kocioł, nie mogłam się wyrwać, wiesz, jak to jest. Pamiętasz tę kobietę ze zdjęcia zrobionego w urzędzie? Znaleźliśmy ją.

- Pamiętam. Co z nią?

- Nie żyje. Całą noc sterczeliliśmy w jej mieszkaniu.

- Biednaś ty - użalał się nad żoną Czistiakow. - Kładź się spać, zaraz przyjadę.

Nastia wzięła prysznic, wsunęła się do łóżka i zasnęła jak zabita. Spała do późnego popołudnia, a gdy się obudziła, z odgłosów dochodzących z kuchni zorientowała się, że mąż wrócił. Wypiła kawę, po czym zaczęła zbierać i zwijać długie wstęgi wydruków, które od kilku dni zaścielały podłogę pokoju. Więcej nie będą potrzebne. W końcu znalazła tę kobietę. Niestety, za późno...

Losza zagłębił się w pracy, a Nastia usiadła w fotelu pod oknem, z fotografią Swietłany Pietrowny w ręce. Wpatrywała się w twarz kobiety, w zgaszone, jakby nieobecne oczy, w surową czarną bluzkę. Coś ją niepokoiło w tym zdjęciu, coś jej się wydawało nie w porządku...

Zadzwoił Siełujanow, który rano miał pójść do biura, gdzie pracowała zmarła, i zebrać informacje. Okazało się, że wraz z adresem Swietłana zmieniła miejsce zatrudnienia. Widocznie w poprzednim zbyt wiele osób wiedziało o jej romansie z Liwancewem. W nowej pracy z nikim się nie zbliżyła, sumiennie i w milczeniu wykonywała swoje obowiązki, przychodziła o dziewiątej i wychodziła o szóstej, nigdy się nie zwalniała ani nie spóźniała. Ubierała się zawsze na czarno, była elegancka i nieprzystępna. Nikt o niej nic nie wiedział. Dlaczego nie sprawdzono, co się stało, kiedy nie przysłała do biura? Bo w tym czasie Swietłana Pietrowna była akurat na urlopie.

W dawnej pracy pamiętano ją, zostawiła tam mnóstwo przyjaciółek, które dobrze się orientowały w jej sprawach. Tak, miała wyjść za mąż, ale coś się zawaliło w ostatniej chwili... Nazajutrz po ślubie, który nie doszedł do skutku, Swietłana Pietrowna była jak odmieniona. Przysłała rano do biura i złożyła wymówienie. Uprzedzono ją, że musi pracować jeszcze dwa tygodnie, dopóki nie znajdą kogoś na jej miejsce. W milczeniu skinęła głową i wyszła, a dwie godziny później położyła na biurku szefa zwolnienie lekarskie, po czym opuściła biuro. Przez dwa tygodnie nikt Swietłany

nie widział. Potem przyszła, sucho i rzeczowo przekazała sprawy nowemu pracownikowi, spakowała do torby wszystkie drobiazgi, które zgromadziły się w jej biurku przez wiele lat, i wyszła, tym razem na dobre. Nawet się z nikim nie pożegnała. Przyjaciółki próbowały się z nią skontaktować, nowi lokatorzy, z którymi zamieniła mieszkanie, podali im swój dawny, a jej obecny numer telefonu, ale Swietłana rozmawiała krótko, niechętnie i prosiła, żeby do niej nie dzwonić. Koleżanki poczuły się dotknięte i nie podejmowały nowych prób nawiązania kontaktu.

Pod wieczór odezwał się Anton, dzwonił, by zawiadomić, że znalazł w samochodzie zapalniczkę Nasti.

- A ty pewnie wciąż jej szukasz? - spytał.

- Dobrze, że się znalazła - ucieszyła się Nastia. - To prezent od męża.

- Za godzinę ci ją podrzucę, i tak muszę jechać w tamte strony, mam sprawę służbową...

Nastię rozboleła głowa, ból nie przeszedł nawet po dwóch tabletkach analginy.

- Musisz zaczerpnąć świeżego powietrza - oświadczył autorytatywnie Czistiakow, ze współczuciem patrząc na bladą twarz i podkrążone oczy Nasti. - Chodźmy, zabieram cię na spacer.

- Pracuj spokojnie, Loszeńka, pójdę sama. Posiedzę na ławeczce koło domu, zaczekam na Antona, niedługo powinien przyjechać. Zostawiłam wczoraj zapalniczkę w jego samochodzie, ma mi ją podrzucić.

- Zrobiłaś z niego wiernego pazia i giermka? - Losza uśmiechnął się. - Mówię ci, Anastazjo, doigrasz się.

- To znaczy? Co masz na myśli? - Pochyliła się, żeby zawiązać sznurowadła w adidasach.

- Zakocha się w tobie, jeżeli oczywiście już tego nie zrobił. Co wtedy poczniesz?

- Loszka, wiesz przecież, że we mnie nie można się zakochać. Można mnie tylko kochać albo tolerować. *Tertium*

*non datur*. A kochać osobę tak głupią i brzydką potrafisz tylko ty.

- A co, jeżeli on także potrafi?

- Daj spokój. - Machnęła tylko ręką, po czym objęła męża i przytuliła. - Nikt oprócz ciebie nie jest do tego zdolny. Drugiego takiego okazu jak ty nie ma na całym świecie. No dobrze, idę. - Zapięła kurtkę i otworzyła drzwi. - Gdyby ktoś do mnie dzwonił, będę za godzinę. Jeśli to coś pilnego, jestem na dole, nie oddalę się od domu więcej niż na dziesięć metrów.

Znalazłszy się na dworze, Nastia usiadła na ławeczce. Świeże powietrze rzeczywiście dobrze jej zrobiło, ból głowy trochę zelżał, i od razu zamarzyła o papierosie. „Wytrzymam - powiedziała sobie, sprawdzając czas. - Odczekam dziesięć minut, a potem zobaczymy”. Żeby oderwać myśli od palenia, zaczęła analizować historię Weroniki Matwiejewny. Ciekawe, jak dalece uzasadnione były jej obawy? Szkoda, że ona, Nastia, tak słabo orientuje się w genetyce. Powinna poczytać trochę literatury specjalistycznej, wzbogacić nieco swoje wiadomości w tej dziedzinie, przyda jej się to w pracy. I w ogóle dobrze by było zainteresować się poważniej biologią. W szkole traktowała ten przedmiot dość pobieżnie, ot, byle móc coś odpowiedzieć, jeśli nauczycielka ją zapyta. Prawie nic już nie pamięta... Ale dlaczego nagle przyszła jej na myśl biologia? Ogarnęło Nastię jakieś niemiłe uczucie.

Minęło dziesięć minut i postanowiła wytrzymać bez papierosa jeszcze drugie tyle. Głowa na pewno rozboleła ją od tego, że za dużo paliła. Trzeba pozwolić organizmowi odpocząć. O czym to myślała? Aha, o biologii. Jak to było w szkole? Najpierw przyroda, potem botanika, zoologia, anatomia i biologia ogólna. No proszę, tyle przedmiotów, a wiedza zerowa. Genetyka... kojarzy jej się jedynie z chromosomami, i tyle. Z całego materiału pozostał w pamięci tylko ten jeden termin. Wstyd. A z botaniki? Słupki, pręciki, korony, szypułki. Też niewiele. Boże, ale dlaczego myśl o tym jest taka

przykra? To pewnie cios dla ambicji. Cóż, człowiek nie powinien za dobrze o sobie myśleć.

No dobrze, wytrzyma jeszcze pięć minut, ból głowy jest wyraźnie mniejszy, nie warto go prowokować, papieros może tylko pogorszyć sprawę.

Nasti udało się dotrzeć do chwili, gdy zatrzymał się koło niej żółty samochód Antona.

- Czekasz na mnie?

- Oddycham świeżym powietrzem - ostrożnie odparła Nastia, przypomniawszy sobie nagle ponury żart Czistiakowa na temat uczuć Antona. Oczywiście, nic takiego na razie nie zauważyła, ale zdarzają się różne rzeczy... Niech Bóg broni, żeby coś takiego miało się stać.

- A o czym myślisz? - zapytał Anton, podając Nastii drogą zapalniczkę, którą Czistiakow podarował jej w zeszłym roku na urodziny.

- O genetyce.

- O genetyce? Na pewno dobrze się czujesz?

- Na pewno. - Roześmiała się. - Rozmyślałam o dziedziczeniu, o tym, w jakim stopniu dzieci są lub nie są podobne do swoich rodziców. Widziałeś przecież mojego brata?

- Aleksandra? Tak, oczywiście, był w USC.

- Mamy wspólnego ojca i różne matki, a jesteśmy do siebie podobni jak dwie krople wody, oboje wdaliśmy się w ojca. Poza tym zarówno mój brat, jak i ja wybraliśmy zupełnie inną drogę zawodową niż rodzice. Zabawne, prawda?

- A ze mną, na przykład, jest zupełnie odwrotnie. Zewnętrznie zupełnie nie przypominam ojca ani matki, ale zawód odziedziczyłem.

- Twój ojciec jest fotoreporterem? - zdziwiła się Nastia.

- Nie ojciec, matka. I nie fotoreporterem, tylko artystą fotografikiem, notabene, dosyć znanym. W ostatnich dniach miała nawet wystawę prac w centrum filmowym.

- Poczekaj, poczekaj, Ałła Mospanowa to twoja matka?

Nastia ze zdumienia zapomniała o swoim twardym postanowieniu, że powstrzyma się od palenia, i sięgnęła do kieszeni po papierosa.

- No cóż, zdradziłem tajemnicę rodzinną - rzekł ze śmiechem Szewcow. - Mama wygląda super, nikt by nie powiedział, że taki stary koń jak ja może być jej synem.

- A nazwisko Szewcow? To po ojcu, tak?

- Oczywiście. Mama zaczęła od dziennikarstwa i kiedy wychodziła za męża, była już znana pod swoim nazwiskiem, dlatego przy nim została. To ona zaszczepiła mi miłość do fotografii, więc od dzieciństwa szedłem przetartym szlakiem, zmierzając prosto do celu, nigdzie po drodze nie zbaczając. A ty?

- Ja zbczyłam - powiedziała w roztargnieniu Nastia. - Zaczynałam od matematyki, a potem nagle zainteresowało mnie prawo. Widać pozazdrościłam ojczymowi, który całe życie przepracował w milicji, i poszłam w jego ślady. - Spojrzała na zegarek. Od chwili jej wyjścia z domu minęło czterdzieści minut. - Dziękuję ci, Anton. Pójdę już, obiecałam mężowi, że za godzinę wrócę. Aleksiej pewnie już na mnie czeka.

- No to cześć!

Anton machnął Nasti na pożegnanie i wszedł do samochodu.

*„Mama zaszczepiła mi miłość do fotografii... Od dzieciństwa szedłem przetartym szlakiem, zmierzając prosto do celu, nigdzie nie zbaczając...”*

*„Mój syn też chciał pracować w milicji. Kiedy mu się nie udało, strasznie przeżywał niepowodzenie. To była dla niego prawdziwa tragedia...”*

*„Nigdzie nie zbaczając...”*

*„To była dla niego prawdziwa tragedia...”*

Któreś z nich dwojga mówiło nieprawdę. Albo Ała Mospanowa, albo jej syn. Które? I dlaczego?

Jak dziwnie wszystko się w życiu plecie, do jakich niespodziewanych rezultatów może niekiedy doprowadzić najzwyczajsza, banalna rozmowa, na przykład o genetyce. A wszystko dlatego, że Nastia siedziała na ławeczce, rozmyślając nad tym, jak niewiele zostało jej w pamięci ze szkolnych lekcji botaniki... Stop!

Anastazja znów chwyciła zdjęcie Swietłany Alleko. Teraz już wiedziała dokładnie, co ją w nim niepokoi. Kobiętę sfotografowano na tle okna, z którego było dobrze widać dom naprzeciwko. Na jednym z balkonów posadzono w skrzynkach kwiaty. I właśnie te kwiaty zdecydowanie się Nasti nie podobały.

Wyciągnęła encyklopedię i szybko znalazła potrzebną stronicę. Przy haśle umieszczono ilustrację.

*...rodzina psiankowatych. Wysokość łodygi 40-150 cm. Liście duże, szerokie, jajowate. Kwiaty białe o kształcie rurkowato-lejkowatym, rozwinięte u góry w gwiazdzisty kielich, silnie pachnące, otwierające się wieczorem i podczas pochmurnej pogody. Zdarzają się gatunki o kwiatach karminowych. Ceniona roślina balkonowa, zwłaszcza przy wystawie północnej i północno-zachodniej. Dobrze rośnie i kwitnie w miejscach na wpół zacienionych. Do skrzynek na balkonach najlepiej nadają się odmiany karłowate.*

A więc kielichy otwierają się wieczorem i podczas pochmurnej pogody. Bardzo interesujące. Do zabójstwa 13 maja doszło o dwunastej w południe, a pogoda była piękna - ciepła i słoneczna. Natomiast kwiaty, tak dobrze widoczne na zdjęciu, są całkowicie rozchylone. Co to takiego? Figiel przyrody? Czy też celowa pomyłka fotografa, który do koperty ze zdjęciami zrobionymi zaraz po zabójstwie wsunął

przypadkowo jeszcze jedno, wykonane zupełnie kiedy indziej?

Nie, niemożliwe... Po co Anton miałby coś takiego robić? To jakiś nonsens.

Ale do głowy pchały się natrętnie urywki zdań wypowiedzianych przez Szewcowa, jego natarczywa chęć pomocy. Przecież to właśnie on zwrócił uwagę Nasti na nazwisko Alleko. A kiedy już była skłonna dziwnie długi okres pomiędzy złożeniem papierów a datą ślubu Liwancewa i Alleko tłumaczyć jakimiś nieprzewidzianymi kłopotami rodzinnymi, to Anton nalegał, by wszystko sprawdzić jeszcze raz, i wykrył, że chodzi o dwie różne kobiety o tym samym nazwisku.

Miał również możliwość wyniesienia z laboratorium fotograficznego negatywów, a następnie zainscenizowania kradzieży. Po co? Po to, żeby klisze nie trafiły w ręce milicji. Ponieważ nie było na nich klatki ze Swietłaną Alleko.

Należało tylko sprawdzić, czy Szewcow mógł w jakiś sposób dotrzeć do adresów kobiet, które dostały listy.

I wyjaśnić jeszcze jedną sprawę, najważniejszą: dlaczego? Dlaczego to wszystko robił?

## ROZDZIAŁ 14

- Anton Szewcow? Oczywiście, doskonale go znamy, stale u nas dorabia.

- Anton, ten fotograf? Tak, często tu bywa...

- Szewcow? Owszem, znam. Przychodzi tutaj prawie w każdą sobotę...

Koła Siełujanow objeżdżał moskiewskie urzędy stanu cywilnego, żeby sprawdzić, czy Anton Szewcow ma tam znajomości. Okazało się, że nie ma. W końcu udało się wyjaśnić, w jaki sposób zdobywał adresy kobiet.



- Anton co pewien czas prosił mnie o adresy i telefony osób, które w najbliższym czasie zamierzają wziąć ślub. Oczywiście, podawałam mu te informacje, przecież to nie żadna tajemnica, wszystko jest w papierach.

- A po co mu były te dane?

- Mówił, że chce się z tymi osobami wcześniej skontaktować, żeby zaproponować swoje usługi, a jeśli zdecydują się z nich skorzystać, umówić się z klientami w sprawie liczby zdjęć, odbitek, formatu, jakości filmu, ceny. Wie pani, kiedy ludzie już są tu, na miejscu, w całym tym zamieszaniu i rwetesie często nie pamiętają, z kim i w jakiej sprawie się umawiali. Zdarza się też, że zapominają podać swój adres czy inną informację. Cóż, rozumiem go, moim zdaniem, postępował zupełnie rozsądnie. Zawsze powinno się działać z wyprzedzeniem.

Taką samą odpowiedź usłyszał Siełujanow w innych urzędach. Stopniowo wszystko zaczęło się układać w spójną całość. Jak się okazało, Antona nie obszukano, kiedy na miejsce przestępstwa przyjechała milicja. Gdy ma się do czynienia z pięćdziesięcioosobowym tłumem, w którym każdy może być zabójcą, nikomu nie przyjdzie do głowy wywracać kieszeni i sprawdzać zawartości torby człowieka, który pomaga funkcjonariuszom, i to jeszcze na polecenie Kamińskiej. A przecież Szewcow miał kilka futerałów z aparatami...

Podczas gdy Siełujanow zbierał informacje w urzędach, Jurij Korotkow siedział w gabinecie jednego z szefów wydziału do spraw medycznych. Człowiek ten objął swoje stanowisko niedawno, a przedtem przez wiele lat był przewodniczącym wojskowej komisji lekarskiej. Na prośbę Korotkova polecił przynieść z archiwum materiały dotyczące przebiegu badania lekarskiego Antona Szewcowa.

- Tak, nie został zakwalifikowany - powiedział szef wydziału, przejrzawszy teczkę z dokumentami. - Stwierdzono

u niego chorobę wieńcową i źle zaleczony uraz mózgowo-czaszkowy.

- Czy to wystarczające podstawy, by odmówić kandydatowi przyjęcia do pracy w organach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych? - zdziwił się Korotkow. - Przecież, o ile wiem, te same dolegliwości nie przeszkodziły, by powołano go do wojska.

- Cóż to za porównanie? - Lekarz uśmiechnął się cierpko. - Do wojska biorą wszystkich jak leci, nawet oligofreników. Tam muszą stale uzupełniać liczbę poborowych, a u nas obowiązuje zupełnie inne podejście. My nie przyjmujemy pracowników na dwa lata, tylko na dwadzieścia. Wojskowe komisje lekarskie nie wnikają szczegółowo w stan zdrowia rekrutów; jeżeli chłopak na nic się nie skarży, to znaczy, że jest zdrow, nikt nie będzie dociekał, czy ma jakieś ukryte dolegliwości. W końcu zawsze można dać mu przydział do batalionu budowlanego, wielki intelekt nie jest tam potrzebny, wystarczy mieć jako tako sprawne ręce i nogi. W milicji to zupełnie co innego, zresztą sam pan wie, co będę panu tłumaczył.

- Tak, ale weźmy konkretnie Szewcowa. Dlaczego z powodu dawnego urazu mózgowo-czaszkowego nie może służyć w milicji?

- Nie chodzi o sam uraz, tylko o to, że w jego następstwie wystąpiły u Szewcowa objawy przypominające schizofrenię. W chwili oględzin miał okres całkowitej remisji, ale rokowania były zdecydowanie niepomyślne.

- Powiedziano mu o tym?

- Nie, oczywiście, że nie. Nigdy nie mówimy takich rzeczy. Gdyby się zgłosił do psychiatry, skarżąc się na swoje dolegliwości, ten postarałby się mu pomóc i objaśnił pacjentowi charakter jego zaburzeń. Osoby, które stają przed komisją lekarską, informujemy o przyczynie odmowy jedynie w wypadku, jeśli choroba daje się wyleczyć, a kandydat po powrocie do zdrowia może powtórnie ubiegać się o przyjęcie do służby. Na przykład, nie dopuszczamy kobiet z nad-

żerkami, ale schorzenie zwykle ustępuje po miesięcznej kuracji, więc powiadamy o tym kandydatki, które wyleczone mogą jeszcze raz stanąć przed komisją. Jeżeli natomiast w grę wchodzi zaburzenia psychiczne, nic z tego... A dlaczego interesuje pana akurat Szewcow? Coś narozrabiał?

- Można tak powiedzieć. Pańskie przewidywania się potwierdziły.

- Szkoda... - rzeki z westchnieniem lekarz.

- Dlaczego? To przecież znaczy, że z medycznego punktu widzenia miał pan rację.

- A niech pan spojrzy na wyniki jego testu na inteligencję. - Lekarz odwrócił otwartą teczkę z papierami w stronę Korotkowa. - To niezwykle bystry chłopak, szkoda, że taki potencjał intelektualny się zmarnował. Doskonale pamiętam tego pańskiego Szewcowa, całej komisji bardzo się wtedy spodobał, taki kontaktowy, uśmiechnięty, pozytywnie nastawiony do ludzi. Naprawdę świetny! To fatalne, że przegrał z chorobą...

Nie było wiadomo, czy Szewcow ma w domu broń, dlatego zatrzymania należało dokonać bardzo ostrożnie, biorąc pod uwagę jego chorą psychikę i nieprzewidywalne zachowanie. Grupa operacyjna, która przyjechała, liczyła pięciu ludzi. Wszyscy oni uważnie badali teren wokół domu fotografa, chcąc się zorientować, którędy Szewcow może uciec, i ustalając, jak się dostać do jego mieszkania. Nagle jeden z funkcjonariuszy, lejtnant Korczagin, w odległości nie większej niż dziesięć metrów ujrzał znajomą twarz. To był Siergiej Artiuchin, którego osobiście zatrzymał dwa tygodnie temu, od kilku dni poszukiwany listem gończym, jako że zniknął gdzieś po wpłaceniu kaucji.

Korczagin nie namyślał się długo. Po pierwsze, było dla niego punktem honoru ująć Artiuchina, który zrobił na nim jak najgorsze wrażenie podczas pierwszego zatrzymania, kiedy to znaleziono go w ohydnej melinie, gdzie cuchnęło trawką, i siłą ściągnięto go z jakiejś dziewczuchy. Stawał zaciekle

opór. Po drugie, lejtnant był człowiekiem ambitnym i pragnął jak najszybciej zasłużyć na trzecią gwiazdkę. Zapominając o tym, że przeprowadza w tej chwili rozpoznanie, udając wałęsającego się bez celu studenta, Korczagin wyciągnął pistolet i w mgnieniu oka znalazł się obok Artiuchina.

- Ręce do tyłu - syknął, przytykając mu lufę do pleców i wyjmując kajdanki.

Zaskoczony Siergiej posłusznie spełnił polecenie. Chwilę później jednak jego twarz wykrzywił grymas wściekłości.

- Wystawiła mnie, suka cholerna - wycodził przez zęby. Sens tych słów nie dotarł do Korczagina, ale też lejtnant nie wnikał weń zbyt głęboko.

Po minie szefa, Wiktora Aleksiejewicza, widać było, że nie jest zadowolony. Nie spacerował też po gabinecie, jak to zwykł robić, gdy musiał przeanalizować fakty lub podjąć ważną decyzję, tylko siedział nieruchomo w fotelu za biurkiem i, w okularach na nosie, studiował uważnie jakieś papiery. Nastia widziała jedynie fragment jego twarzy i ogromną lśniącą łysinę.

- Nie powinnaś była dopuszczać do sprawy osoby postronnej bez konsultacji ze mną - robił jej gniewne wyrzuty, kiedy jakiś czas temu weszła do jego gabinetu. - Czy w ogóle zdajesz sobie sprawę, co ryzykowałeś, spędzając całe dnie w towarzystwie zabójcy? O czym wtedy myślałeś? Gdzie się podziała twoja słynna ostrożność?

- Wiktorze Aleksiejewiczu, ja przecież nic nie wiedziałam - usprawiedliwiała się Nastia. - Ani przez chwilę go nie podejrzewałam. A odkąd to do mnie dotarło, w ogóle go nie widziałam.

- Dotarło, dotarło - burczał rozgniewany pułkownik. - Nigdy nie uwierzę, że w ciągu dwóch tygodni nie dałaś rady go rozgryźć. Przynajmniej nie mydl mi tutaj oczu. Spędziłaś z nim tyle czasu i nic nie wyczułaś? Żaden dzwonek ostrzegawczy nie zadzwonił ci w głowie?

- Nie, słowo daję, że nie.

- To niedobrze. Widocznie brak ci intuicji. Chyba cię swego czasu za wysoko oceniłem. Nie nadajesz się na analityka.

Nastia milczała, zagryzając wargi i usiłując powstrzymać cisnące się do oczu łzy.

- Teraz następna rzecz - ciągnął Wiktor Aleksiejewicz.

- Ponieważ jesteś na urlopie, nie chciałem cię specjalnie ściągać w tej sprawie, ale skoro już przyszedłaś, powiem. Po jaką cholere wdałaś się w rozmowę z Artiuchinem, kiedy się natknęłaś na niego i Samykiną? Co, cierpisz na słowotok? Nie mogłaś siedzieć cicho?

Cóż miała na to odpowiedzieć? Sama wiedziała, że zachowała się głupio i nieprofesjonalnie. Po prostu w tamtym momencie przestała się kontrolować, była już „na urlopie”, nazajutrz czekał ją ślub... Oczywiście szef ma rację, nic jej nie tłumaczy. W duchu też robiła sobie przecież surowe wyrzuty za brak rozsądku.

- Usprawiedliwia cię tylko to, że nic strasznego z powodu twojej nierozwagi się nie stało, Artiuchin wtedy nie uciekł i nie narozrabiał. Ale mogło się stać, rozumiesz? Mogło! - Wiktor Aleksiejewicz wycelował w Nastię grubym palcem. - I następnym razem z pewnością się stanie. Bo tylko głupi mają szczęście. A ty nie jesteś głupia.

Pułkownik wygadał się i zamilkł. Teraz siedział bez słowa; odzywał się jedynie, gdy podnosił słuchawkę telefonu. Grupa operacyjna pojechała, żeby zdjąć Szewcowa, i Nastia wiedziała, że dopóki akcja nie zostanie zakończona, ani ona, ani Wiktor Aleksiejewicz nie wyjdą z jego gabinetu.

Nagle drzwi się otworzyły i w progu stanął Korotkow. On i Siełujanow nie mogli wejść w skład grupy, ponieważ Szewców ich znał i mógł obu zobaczyć z okna podczas przeprowadzania czynności wstępnych.

- Wiktorze Aleksiejewiczu, zatrzymano Artiuchina - rzekł niepewnie.

- No i chwała Bogu. - Pułkownik oderwał się od papierów. - Powinieneś się cieszyć.

- Ale zatrzymano go w pobliżu domu Szewcowa.

- Co?!

Wiktor Aleksiejewicz zerwał się z miejsca, Nastia natomiast jakby przyrosła do fotela.

- Idioci! - ryknął pułkownik. - Przecież tam wszystko widać z okien jak na dłoni! Jeżeli Szewcow coś zauważył, zorientował się, że pod domem są milicjanci, a nie przypadkowi przechodnie. Co za bałwan to zrobił?

- Misza Korczagin. Artiuchina zaraz przywożą.

- Korczaginowi urwę łeb! - zapowiedział groźnie Wiktor Aleksiejewicz, czerwieniejąc ze złości. W tej chwili jego wygląd w pełni usprawiedliwiał stare, jeszcze z lat szkolnych przydomki - Pączek - które mu nadano z powodu krępej, nabitej sylwetki i okrągłej głowy.

- Wiktorze Aleksiejewiczu - powiedziała cicho Nastia - proszę się uspokoić. Trzeba zmienić plan. Już wszystko rozumiem.

- Co rozumiesz?

- W mieszkaniu Szewcowa jest Larysa Samykina.

Anton Szewcow powoli odszedł od okna i położył się na kanapie. Przed chwilą widział, jak zatrzymano i wepchnięto do samochodu Sergieja Artiuchina. Nie wierzył wprost własnym oczom, dlatego kiedy zobaczył rozgrywającą się pod domem dziwną scenę, zapytał Larysę:

- Jak wygląda ten twój gach?

Na dziewczynę strach było patrzeć, opuchnięte od razów ciało nie pozwalało jej się poruszyć, Anton teraz bił ją też po twarzy, krew zaschła na popękanych wargach, wokół oczu rozlewały się ogromne sińce. Larysa mówiła z trudem.

- Sierioża... Jest niewysoki, niższy od pana... Szatyn, włosy długie do ramion, wąsy...

Opis w zupełności pasował do typu, którego wsadzono do samochodu. Wóz przed chwilą odjechał. Szewcow poczuł, jak wzbiera w nim fala wściekłości, której nie jest w stanie opanować. Artiuchin był już dosłownie kilka metrów od domu, jeszcze pięć minut - i wszedłby do miesz-

kania. Wtedy Anton sam by go zatrzymał. Zatrzymał i oddał w ręce milicji. Zaplanował to tak: każe Artiuchinowi wsiąść do samochodu, pojedzie z nim na Pietrowkę, zażąda, by wezwano major Kamieńską, i osobiście przekaze jej zbiega. Niech się przekonają - ona także - że Anton Szewcow jest zdolny dokonać tego, czego nie potrafili oni wszyscy razem wzięci. Za Artiuchinem rozesłano listy gończe, szukały go setki ludzi, a ujął tego drania jeden człowiek, Szewcow. Tak, niech się przekonają! Niech wiedzą! Niech zrozumieją, jak bardzo się mylili, kiedy go odrzucili, nie przyjęli na służbę, dlatego że jest chory. Już on im pokaże!

A teraz nagle sprawy przybrały zupełnie inny obrót... Artiuchina zaraz odwieżą na milicję, i wyjdzie na to, że właśnie oni, tacy bystrzy i szybcy, wysłedzili go i zwinęli. A jeśli w dodatku Kamieńska zakrzątnie się koło całej sprawy, wszystkie laury przypadną jej. To mądra baba, sprytna, wymyślić jakąś chytrą bajeczkę to dla niej tyle co splunąć, więc na pewno tak rzecz przedstawi, że ujęcie Artiuchina okaże się wyłącznie jej zasługą.

Wstał z kanapy i podszedł do leżącej na podłodze Larysy. Wściekłość go dosłownie zalewała, czuł się otumaniony, nie był w stanie myśleć i planować swoich działań. Zachłystywał się złością.

- To ty jesteś wszystkiemu winna - powiedział powoli, starając się nie podnosić głosu, by nie dać ujścia rozszalałym emocjom. - To przez ciebie tak się stało. Gdybyś zadzwoniła od razu, twój przygłup już dawno byłby tutaj. I cała sprawa by się zakończyła. Ale ty, pieprzona dziwko, doprowadziłaś do tego, że już i milicja zdążyła go namierzyć. Teraz forsa przepadła, więc razem ze swoim zdegenerowanym kochaniem będziecie przez resztę życia tyrać na to, żeby spłacić dług. Chociaż nie, on będzie to robił sam, ponieważ ciebie zaraz zabiję. Ty jesteś winna, że mi się nie udało. I dlatego za chwilę zginiesz...

- W jaki sposób Samykina znalazła się u Szewcowa? Co ci dwoje mają ze sobą wspólnego? - dopytywał się Pączek-Gordiejew, biegając tam i z powrotem po swoim gabinecie. Zapomniał już o tym, że jeszcze parę minut temu beształ Nastię, wytykając jej błędy i nieprofesjonalne zachowanie. Teraz była znowu jego Stasięnką, dziecinką, nadzieją, podporą i pomocą.

- Czekala pod domem tamtego wieczoru, kiedy Szewcow odwiózł mnie samochodem. Słyszał naszą rozmowę i zorientował się, o co chodzi. Wszedł na górę, a po kwadransie się pożegnał. Na pewno dogonił jeszcze Larysę gdzieś w pobliżu. Wiktorze Aleksiejewiczu, nie sądzi pan, że powinniśmy znaleźć matkę Szewcowa? Jeżeli to atak choroby, to tylko przy jej pomocy zdołamy sobie z nim jakoś poradzić.

- Co, naprawdę myślisz, że dla dwudziestopięcioletniego mężczyzny matka, która mieszka osobno i jest zajęta wyłącznie swoimi sprawami, może być autorytetem? Idealistka z ciebie, dziecinko - rzucił gniewnie Gordiejew.

Ale Nastia nie obraziła się. Pracowała pod jego kierunkiem wiele lat, lubiła go i szanowała, dlatego też wybaczała mu wszystko, nawet to, czego nigdy by nie wybaczyła nikomu innemu, jak choćby drobnych, ciętych złościwości i obraźliwych uwag. Trzeba jednak oddać sprawiedliwość Pączkowi, że w ciągu ostatnich ośmiu lat pozwolił sobie na podobne zachowanie wobec swojej Stasięнки nie więcej niż dwa-trzy razy. I we wszystkich tych wypadkach jego pretensje były absolutnie uzasadnione, a gniew słuszny.

- Nie, ale uważam, że Ałła Iwanowna może nam powiedzieć, na jakim tle wystąpiły u Antona te zaburzenia, jak dojrzywał, czym się interesował, jakie było jego zachowanie. Bez tych informacji sobie nie poradzimy. Niech pan zrozumie, Wiktorze Aleksiejewiczu, to człowiek chory psychicznie. Jego pobudzony umysł kieruje się logiką, której nie potrafimy przewidzieć ani zrozumieć. W mieszkaniu Szewcowa jest dziewczyna, którą w jakiś sposób zmusił do nawiązania kontaktu z Artiuchinem. Niech pan sam pomyś-



li, jak bardzo Larysa musi mu być oddana, jeśli zgodziła się potwierdzić jego alibi w sprawie o gwałt. Jestem przekonana, że nie udzieliła na pierwsze żądanie Szewcowa informacji, gdzie może być Artiuchin. Gdyby w ogóle wiedziała, jak go znaleźć, to po co przychodziłaby do mnie zamiast skontaktować się z nim sama?

- No właśnie, po co? Potrafisz mi to wytłumaczyć?

- Mogę się tylko domyślać. Artiuchin to istotnie kawał drania, ale nie zupełny dureń. Doskonale zdawał sobie sprawę, że znikając po wpłaceniu kaucji, ryzykuje utratę dużej sumy, którą będzie musiał potem oddać. Prośby Larysy, żeby wrócił, nic by nie zmieniły, i tak wiedział, co mu grozi. Zdecydował się ujawnić nie z powodu pieniędzy, ale dlatego, że Larysie groziło niebezpieczeństwo, o czym został powiadomiony. To po pierwsze.

- A po drugie?

- Po drugie, Larysa nie skontaktowała się z nim od razu. Jest mu naprawdę bardzo oddana, dlatego zwlekała, jak długo mogła. A skoro w końcu zdecydowała się zadzwonić, musi z nią być naprawdę źle. Przypuszczam, że Szewcow ją dręczy i torturuje. Co z kolei stanowi jeszcze jeden dowód na to, że jego choroba się zaostrzyła. Nie, nie możemy ryzykować, Wiktorze Aleksiejewiczu, powinniśmy móc choć w przybliżeniu sobie wyobrazić, co się dzieje w głowie Szewcowa, zanim przystąpimy do jego zatrzymania i uwolnienia Samykiniej.

- Korotkow, znajdź Mospanową - polecił Gordiejew.

Jura bez słowa wybiegł z gabinetu.

Zaczęło go boleć serce. Odzywało się napięcie ostatnich dni, spał przecież bardzo mało, musiał być stale czujny i skupiony, spędzając wiele godzin przy boku Kamieńskiej, która na jego oczach odkrywała popełnione przez niego przestępstwa. Zachwycał się jej inteligencją, jasnością myślenia, pamięcią i precyzyjną logiką rozumowania, a im bardziej się zachwycał, tym bardziej czuł się z siebie

dumny. Wiedział przecież, że tak naprawdę zabójca nigdy nie zostanie wykryty. Cieszył się, widząc, jak Kamieńska konsekwentnie, niczym po sznurku, zbliża się do mieszkania Swietłany Alleko. I dalej się nie posunie. Wszystko bowiem wskazuje na to, że autorką listów była Swietłana i że zabójstw w urzędach dokonała również ona, a potem się zastrzeliła. Listy, podobnie jak notatka pośmiertna, zostały napisane jej ręką. Bóg jeden wie, do ilu podstępów i kłamliwych wybiegów musiał się uciec, żeby skłonić do tego Swietłanę. Ale udało się, po mistrzowsku wykorzystał jej wciąż niezagojoną ranę, sprytnie wymuszając na kobiecie to, co mu było potrzebne. Na papierze nie ma ani jednego odcisku jego palca, gdyż tylko Swietłana go dotykała. No cóż, to fakt, nie potrafił wymyślić historyjki, która przekonałaby ją, żeby na tej korespondencji umieściła nazwisko nadawcy, i dlatego listy w czystych białych kopertach rozwoził i wrzucał do skrzynek pocztowych sam.

Tak, był absolutnie pewien, że Kamieńska pozostanie przy wersji samobójstwa Alleko. Wszystko toczyło się zgodnie z jego planem. Antona cieszyło, że potrafił przechytryć taką mądrą jak Anastazja, zdobyć jej zaufanie i nie wzbudzić żadnych podejrzeń. Dowiódł samemu sobie, że jest lepszy i bystrzejszy od tych, którzy go odrzucili. Popełnił przestępstwo, a oni nigdy nie wykryją sprawcy.

Tak pragnął doprowadzić na Pietrowkę Artiuchina! Doprowadzić go, spojrzeć w oczy pewnej siebie Kamieńskiej i powiedzieć: „Proszę, oto Artiuchin. Pamiętasz, mówiłaś mi, że nie wiesz, jak go znaleźć. Nie potrafiłaś go odszukać ani ty, ani ta cała wasza cholerna milicja. A ja tego dokonałem. Dałem sobie radę”. Wtedy zrobi jej się wstyd. Jej i im wszystkim, za to, że go odrzucili, uznali za niegodnego, by znaleźć się w ich szeregach.

Tymczasem Artiuchina sprzątnięto mu dosłownie spod samego nosa. Oczywiście, wszyscy teraz będą uważać, że cała sława powinna przypaść ternu niepozornemu chudzielcowi, który zakuł drania w kajdanki pod jego, Antona,

oknem. Teraz odstawiają Artiuchina do śledczego, śledczy spyta go, czego szukał w tej okolicy, gdzie go zatrzymano, a on? Co odpowie? Że przekazano mu prośbę Larysy, by wrócił do Moskwy i zjawił się pod podanym adresem? A jeżeli oświadczy, że w ogóle nie wyjeżdżał z miasta? Że to nieporozumienie, po prostu milicja nie mogła go znaleźć, tymczasem on ani myślał uciekać? I okaże się, że to wszystko nie miało sensu? Próżne wysiłki...

Ale może jednak Artiuchin powie o Larysie. W takim wypadku wkrótce należy się spodziewać gliniarzy, którym on, Anton Szewcow, otworzy oczy na to, dzięki komu zbiegły przestępca Siergiej Artiuchin wrócił do Moskwy. Wyduśsi z nich wreszcie słowa uznania dla swoich zasług, ciśnie im pod nogi tę brudną dziwkę, która niewarta jest lepszego losu, jako że nie oddała nigdy w ręce sprawiedliwości ośmiu gwałcicieli, a całkiem niedawno usiłowała przed nią uchronić jeszcze jednego. A jego czekają uznanie i aprobata, gdyż zło i oszustwo zawsze powinno być ukarane. No dobrze, na razie jej nie zabije...

- Rodziców Szewcowa nie ma w Moskwie - poinformował Korotkow, wchodząc ponownie do gabinetu pułkownika Gordiejewa. - Pojechali odwiedzić jakichś krewnych na wsi. Mają wrócić dopiero za tydzień.

- Ach, co za pech. - Pączek pokręcił okrągłą głową. - Będziemy zdani wyłącznie na własne siły.

- A może spróbujemy poprosić o pomoc tego lekarza, którego rokowania co do przypadku Antona były takie trafne? - podsunęła Nastia. - Oczywiście, o jego dzieciństwie nic nie wie, ale ogólny obraz choroby, jej objawów, przecież zna.

Gordiejew spojrział na zegarek.

- Jest wpół do ósmej. W pracy już go nie ma, może zdążył dotrzeć do domu.

Jurij znowu wyszedł. Cóż, jeżeli coś się pechowo zaczęło, zwykle zła passa trwa dłużej. Po dziesięciu minutach

było już wiadomo, że lekarza nie ma w domu, nikt nie podnosił słuchawki. Pewnie, korzystając z pięknej, niezwyklej nawet jak na maj pogody, pojechał na daczę. Adres na szczęście udało się szybko zdobyć, Gordiejew wysłał tam samochód, ale wszyscy troje byli przekonani, że nic z tego nie będzie. Każdy pracownik operacyjny ma jakiś osiemnasty zmysł, który pozwala mu przeczuć zarówno pomyślny rezultat działań, jak i przewidzieć, że tego dnia po prostu nic się nie uda, więc lepiej w ogóle nie zaczynać.

Tymczasem przywieziono już zatrzymanego Artiuchina, który potwierdził ich najgorsze przypuszczenia: otóż człowiek, który na prośbę Larysy go znalazł i nalegał na jego powrót do Moskwy, powiedział, że dziewczyna mówiła słabym, drżącym głosem i wydawała się ledwie żywa. „Niech pan mnie ratuje - szeptała w słuchawkę. - Sierioża musi wrócić, bo inaczej mnie zabiją”.

Larysa co chwila traciła przytomność. Szewcow spoglądał obojętnie na jej nagie ciało, pokryte sińcami i śladami oparzeń. Nie było mu żal dziewczyny. „Mała łajdaczka - myślał. - Napaleni dziwkarze i gwałciciele to towarzystwo w sam raz dla niej”. Ach, z jaką przyjemnością by ją zabił za to, że przez nią nie powiódł się jego plan ujęcia tego drania! Ale na razie jeszcze jest mu potrzebna żywa. Choć...

Od chwili zatrzymania Artiuchina minęła godzina. Dlaczego nie przyjeżdżają? Musiał im przecież opowiedzieć o Larysie. Czy możliwe, żeby tego nie zrobił? A może udaje łagodnego baranka i zaklina się, że w ogóle nie wyjeżdżał z miasta? Jeżeli tak, to wszystko przepadło. Nie ma żadnej nadziei. Ale wtedy Larysa nie będzie jemu, Antonowi, już więcej potrzebna.

Przyniósł duży kubek zimnej wody i wylał ją dziewczynie na głowę. Powieki Larysy drgnęły i uniosły się, ale z zakneblowanych ust nie wyrwał się żaden dźwięk. Patrzyła tylko na swego oprawcę znużonym, obojętnym wzrokiem.

Pragnęła umrzeć. Woda ściekała na podłogę, tworząc pod nagimi ramionami Larysy zimną kałużę, ale ona tego nie czuła.

- A więc posłuchaj, szmato. Twój przygłup, jak widać, nic nie powiedział o tobie milicji. Chce pewnie uratować swój szmal. Kłamie, że nigdzie nie wyjeżdżał. Ani myśli ci pomóc, na cholere mu taka tania dziwka jak ty? No, a skoro tak, to mnie tym bardziej nie jesteś potrzebna do szczęścia, tylko kłopot z tobą. Jeżeli w ciągu piętnastu minut sytuacja się nie zmieni, zabiję cię. Przynajmniej będę miał z tego jakąś przyjemność...

Schylił się i wyciągnął spod niej basen. W moczu było dużo krwi. Chyba uszkodził jej nerki...

Plan ujęcia Szewcowa był już opracowany, ale akcję zaplanowano na późne godziny wieczorne, gdy robi się ciemno. Narożne mieszkanie Antona było usytuowane bardzo niekorzystnie, gdyż okna wychodziły na dwie strony. Za dnia nie sposób zbliżyć się do budynku niepostrzeżenie, widoku z okien nic nie przesłania - ani drzewa, ani sąsiednie domy. Nastia dobrze to pamiętała, gdyż kiedy była u Szewcowa, wychodziła na balkon. Do zapadnięcia ciemności pozostawały jeszcze co najmniej dwie godziny.

Piętnaście minut minęło, dłużej nie będzie czekał. Wszystko jasne - ukradli mu zwycięstwo. Ci drobni złoczyńcy, łajdacy wystrojeni w biel, dranie o brudnych rękach i czarnych duszach okazali się również najzwyczajniejszymi złodziejami.

Przywłaszczyli sobie to, co z takim trudem wypracował dla siebie Anton, przywłaszczyli niemal mimochodem, bez najmniejszego wysiłku, z uśmiechem na ustach, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem. A to zwycięstwo było dla niego takie ważne! Oczywiście, sprawy zabójstw w urzędach nie rozgryzą nigdy, wszystko zostało przecież

zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach i przeprowadzone z pedantyczną starannością. Nie mają żadnych szans. Ale o tym zwycięstwie będzie wiedział tylko on, Anton. Tamci, niestety, nigdy się nie dowiedzą, że z nimi wygrał, on, którego tak brutalnie odrzucili, kopniakiem wypchnęli za drzwi. Ale tego, że potrafił ująć Artiuchina, powinni być świadomi. I zrozumieć wreszcie, że Anton okazał się lepszy od nich. I zaproponować mu, by wstąpił w ich szeregi. Nie, nie zaproponować - prosić go, żeby to zrobił, błagać na kolanach! A wtedy on im odmówi, dumnie, z zimnym, wyniosłym uśmiechem. Oto upragniona chwila! Tak ją widział w marzeniach... Ale teraz stało się jasne, że ta chwila nie nastąpi, że ukradziono mu radość tryumfu i zwycięstwa. Więc już wszystko jedno, nie ma nic do stracenia.

Przygotował ostry skalpel, fachowym spojrzeniem obrzucił zmaltretowane ciało Larysy, następnie przyniósł ceratę i duży kawał grubej perlonowej gąbki. Tak powinno być dobrze. Krew będzie ściekać na gąbkę i wsiąkać w nią, a on tylko co pewien czas w łazience musi ją wyżąć do sucha. Ile w dziewusze może być tej krwi? Pewnie około siedmiu litrów. W ten kawał gąbki mogą wsiąknąć ze dwa litry płynu. A więc co najwyżej trzy-cztery razy trzeba będzie wyjść do łazienki. Czysto, cicho, bez bałaganu. Mógłby, oczywiście, od razu wrzucić Larysę do wanny, żeby się tam wykrwawiła, ale w łazience nie ma jej do czego przykuć. Diabli wiedzą, do czego jest zdolna! Podobno baby są żywotne jak koty, nic ich nie zmoże. Nie, tu w pokoju, będzie bezpieczniej, i nawet jeśli tylko udaje, że jest słaba i nieprzytomna, i tak nic nie może zrobić, przykuta do kaloryfera.

Starannie rozłożył ceratę, podsunął pod ciało Larysy gąbkę i zrobił nacięcie. Na widok krwi zakreśliło mu się w głowie i po chwili znów ogarnęła go wściekłość. Nie cierpiał tego widoku od dzieciństwa, od razu zaczynało go mdlić, a teraz musi wytrzymać do chwili, gdy ta dziwka wreszcie wykrwawi się i zdechnie. I w dodatku wyżymać nasiąkniętą krwią gąbkę w łazience! Co za koszmar! I przez kogo to wszystko?

Przez Kamięńską! To ona jest wszystkiemu winna. To ona odmówiła płaczącej Larysie pomocy w odnalezieniu Artiuchina. To ona powiedziała, że nie wie, jak go szukać. Tak, to wszystko przez nią...

Rzucił się do telefonu i w pośpiechu wybrał numer. Słuchawkę podniósł mąż Kamięńskiej, jego głos dochodził do Antona jak przez watę, on sam był prawie nieprzytomny, zamroczony, ale starał się mówić normalnie. Mąż Kamięńskiej powiedział, że Anastazja jest w pracy. Anton zapytał o numer telefonu, tłumacząc, że to bardzo ważne. Czistiakow podał mu go.

Aha, w pracy, pieprzona cwana albinoska. Pewnie już tam przesłuchuje Artiuchina. Jak trzeba było go szukać, to się wykręcała, a teraz, żeby zgarnąć wszystkie laury, poleciła na Pietrowkę. Już on jej pokaże, komu się należą te zaszczyty...

Wciąż siedzieli w gabinecie Gordiejewa, omawiając w najdrobniejszych szczegółach plan akcji, wyszukując w nim słabe punkty, starając się przewidzieć wszelkie możliwe komplikacje. Na długim stole rozłożyli dużą mapę osiedla, na którym mieszkał Szewcow, plan budynku i - sporządzony na podstawie opisu Nasti - szkic mieszkania wraz z rozmieszczeniem mebli. Niestety, Anastazja widziała tylko przedpokój, jeden pokój i balkon. Do drugiego pokoju ani do kuchni nie wchodziła.

Wpadł Misza Docenko, przyniósł wszystkim kanapki i przedwczorajsze drożdżówki z bufetu.

- Anastazjo Pawłowno, w pani gabinecie telefon się urywa - poinformował, kładąc zakupy na brzegu biurka.

Docenko był jedynym pracownikiem sekcji, który zwracał się do Nasti w tak oficjalnej formie, chociaż pracowali razem od dobrych kilku lat.

- Idź - zwrócił się do Nasti pułkownik, machnąwszy ręką w stronę drzwi. - A nuż to coś ważnego.

Anastazja też już chciała pójść do siebie - w gabinecie szefa nie wolno było palić, a ona od dawna marzyła o filiżance kawy i papierosie.

Wyszła na korytarz i od razu usłyszała dzwonek telefonu zza zamkniętych drzwi. „No, no, co za cierpliwość - pomyślała i uśmiechnęła się. - Widocznie strasznie komuś pilno. Ależ się ludzie potrafią zaprzeć!” Otworzyła drzwi i szybko podeszła do telefonu.

- No co, zadowolona jesteś? - usłyszała zdławiony głos, który wydał jej się jakby znajomy.

- Przepraszam, kto mówi? - spytała uprzejmie, w jednej ręce trzymając słuchawkę, drugą wyjmując z biurka kubek i grzałkę.

- Nie poznajesz? A więc nie jestem ci już potrzebny? Nadaję się tylko na kierowcę, tak? Na nic więcej mnie nie stać?

Omam nie upuściła na podłogę karafki, z której miała właśnie nalać wody do kubka. Poznała go.

- Coś się stało, Anton? - zapytała, starając się, by jej głos brzmiał spokojnie i przyjaźnie. - Co cię tak zdenerwowało?

- Udało ci się przyskrzynić Artiuchina i teraz się cieszysz? - ciągnął Szewcow. - Chcesz dostać jeszcze jedną gwiazdkę za ujęcie zbiegłego przestępcy, co? A zapomniałaś, jak mi mówiłaś, że nawet nie wiesz, w jaki sposób go szukać? Zapomniałaś?

- Nie, pamiętam. Artiuchina zatrzymałam nie ja, tylko zupełnie inny funkcjonariusz. Dlaczego się tak gorączkujesz. Anton?

Poczuła, że nogi się pod nią trzęsą, i usiadła na krześle. To dopiero pech! Nikogo nie ma w pobliżu, wszyscy siedzą u Pączka. Mogłaby zadzwonić do szefa z wewnętrznego telefonu, ale kiedy się ma do czynienia z maniakiem, nie wolno ryzykować. Kto wie, co go akurat wyprowadzi z równowagi. I jakie to może mieć konsekwencje...

- Czemu się tak przejmujesz Artiuchinem? Znasz go?



- To ja ściągnąłem Artiuchina do Moskwy, ja zmusiłem go do powrotu. Ja! Słyszysz, zdiro jedna? Ja! A ty go zabrałaś jak swego i teraz się cieszysz, że jesteś taka sprytna i mądra! Złodziejka!

Aha, dobrze, pomyślała, przynajmniej już coś niecoś wiadomo. Żeby tak jeszcze któryś z chłopaków tu zajrzał...

- A gdzie jest Larysa? U ciebie?

- A niby dlaczego interesujesz się Larysą? Boisz się o nią? Jakoś się nie bałaś, kiedy przybiegła do ciebie po pomoc! Widziałem przecież, jak płakała, jak cię prosiła, ale ty jej odmówiłaś. Nie było ci żal dziewczyny, zostawiłaś ją na pastwę losu, i co, teraz się opamiętałaś? Dlatego że masz w garści Artiuchina?

- Artiuchin nie ma z tym nic wspólnego. Larysa została wezwana przez śledczego, ale nie stawiała się na przesłuchanie. Teraz także jest poszukiwana, dlatego pytam. Może wiesz, gdzie ją można znaleźć?

Nastia przykryła dłonią mikrofon, zdjęła słuchawkę telefonu wewnętrznego i wybrała numer Gordiejewa.

- A jeżeli nawet wiem, to co? Chcesz, żebym ci powiedział, a potem polecisz do swoich szefów, żeby się pochwalić, jaka to jesteś sprytna, bo znalazłaś Larysę? Masz zamiar jeszcze raz się przewieźć na cudzych plecach?

- Słucham - rozległ się głos pułkownika w drugiej słuchawce.

Nastia wciąż osłaniała ręką mikrofon i prosiła Boga, żeby Anton mówił dalej jeszcze choć przez kilka sekund, nie oczekując odpowiedzi. Inaczej będzie musiała zdjąć dłoń z mikrofonu, a wtedy Pączek akurat powtórzy swoje „słucham”. Jeżeli Szewcow to usłyszy...

- Chcesz, żeby wpisano ci do akt kolejną pochwałę, tak? Nie dowiesz się ode mnie, gdzie jest Larysa. Sama jej szukaj.

- Po co mam szukać? - spokojnie odparła Nastia. - Wiem, że jest u ciebie. Nie rozumiem tylko, czego chcesz ode mnie. Trzymasz ją w charakterze zakładniczki? Wobec tego powiedz, jakie są twoje warunki. Zaczniemy negocjacje.

- Warunki? Negocjacje? - Anton wybuchnął śmiechem.  
- Ależ ja niczego od ciebie nie potrzebuję i od całej waszej zasranej mentowni także nie.

- Więc o co chodzi, Anton? Chciałabym to zrozumieć. Mógłbyś mi wyjaśnić?

Do pokoju Nasti wpadli Gordiejew i Jura Korotkow. Wiktor Aleksiejewicz bezceremonialnie ją odsunął, otworzył górną szufladę biurka i wyjął stamtąd czysty arkusz papieru.

*Kto dzwoni?* - napisał dużymi, wyraźnymi literami i podsunął jej długopis.

*On.*

- Larysa jest tutaj, zgadłaś. Ale nie dostaniesz jej. Należy teraz do mnie. Na zawsze.

*Co z Samykiną?* - znowu chciał wiedzieć Pączek.

*Jest u niego.*

- Jak to, Anton? Przekonałeś ją, żeby rzuciła Siergieja? Larysa to teraz twoja dziewczyna?

- A na cholerę mi ta śmierdząca dziwka? - Szewcow znów zarechotał ohydny śmiechem. - Ona umrze. I to już niedługo. A ja razem z nią. Opuścimy ten padół, jak to się mówi, ręka w rękę. Co, nie jesteś zadowolona? Nie tego się spodziewałaś?

*Całkiem z nim źle* - szybko napisała Nastia.

- Ale chciałam wiedzieć, dlaczego tak postanowiłeś - naciskała. - Jesteś dorosłym człowiekiem i sam podejmujesz decyzje, nie mam prawa cię od nich odwozić. Tylko powiedz mi, proszę, czemu to robisz.

- A po co ci to wiedzieć? Chcesz zostać znawczynią ludzkich dusz? Zyskać jeszcze większą sławę?

- Nie obchodzą mnie ludzkie dusze. Obchodzisz mnie ty. Ty, Anton Szewcow, z którym spędziłam parę długich dni, który pomógł mi wykonać trudną pracę, którego polubiłam i który zapewniał, że jesteśmy przyjaciółmi. Inni mnie nie interesują. Chcę zrozumieć właśnie ciebie. Daję ci słowo, że nie będę cię odwozić od żadnych decyzji ani o nic prosić, z wyjątkiem jednej rzeczy; żebyś mi wytłumaczył, dlaczego

to robisz. Chcę zrozumieć. Jeśli odejdziesz, nigdy się tego nie dowiem.

*Zabójstwo L.S. i samobójstwo* - napisała Nastia na kartce.

Gordiejew kiwnął głową i lekko popchnął Korotkova w stronę drzwi. Nastia zorientowała się, że Jura został wysłany, by załatwić sprawę łączności. Muszą teraz pozostać w stałym kontakcie z pracownikami operacyjnymi, którzy znajdują się w pobliżu miejsca zamieszkania Szewcowa. Były dwa wyjścia: albo trzymać Antona przy telefonie, dopóki nie zrobi się ciemno, albo zaryzykować podjęcie akcji wcześniej, gdyż jego stan pogarsza się z każdą chwilą i zwłoka mogłaby doprowadzić do tragicznych skutków.

- A więc wierzysz w to, że odejdę i zabiorę tę dziwkę ze sobą? - upewniał się wciąż nieprzekonany Szewcow.

- Skoro postanowiłeś, na pewno tak się stanie. Jesteś mężczyzną i chyba nie zmieniasz raz podjętych decyzji. Opowiedz mi wszystko, Anton. To dla mnie ważne. Proszę.

- No, nie wiem, nie wiem. - Parsknął obrzydliwym chichotem. - Może się jeszcze rozmyślę. Decyzja należy do mnie, jeśli zechcę, będę się jej trzymał, jeśli nie, zawsze mogę ją zmienić. Czyż nie?

Nastia musiała czym prędzej nadać określony kierunek rozmowie. Czy Szewcow ją sprawdza? Drażni się z nią? Czy też mówi szczerze to, co myśli? Jak się zachować? Trzymać się dotychczasowej linii, czy chwycić się wyciągniętej słomki i nalegać, by zmienił swoją straszną decyzję? Co będzie słuszne? Och, gdyby wiedziała o nim więcej! Jedyne wyjście to przeciągać rozmowę, jak długo się da, przypominając mu jednocześnie wszystko, co sam powiedział w czasie spędzonych razem z nią godzin. Może w ten sposób uda się przynajmniej w przybliżeniu stworzyć jakiś obraz jego osobowości.

- Sam wiesz najlepiej - odparła Nastia ostrożnie. - Chciaż ja wolę mężczyzn twardych i zdecydowanych. Wiesz, takich, co to jak powiedzą, tak zrobią. Ale to oczywiście kwestia gustu.

- Słuchaj, jesteś tam sama? - zapytał nagle Anton.  
- Sama.  
- A dlaczego miałbym ci wierzyć?  
- Nie musisz. Możesz mi wierzyć albo nie, to zależy od ciebie. Ja ci wierzę.

- Naprawdę? Wierzysz w to, że zabiję dziewczynę i zastrzelę się? Wierzysz?

„Zastrzelę się! Nie «poderżnę sobie gardło», nie «powieszę się», nie «otruję». Zastrzelę się!”

*Ma broń* - napisała.

- Oczywiście, że w to wierzę.

- I w co jeszcze?

- We wszystko. Cały czas przecież mówiłeś prawdę. Tylko jeden raz skłamałeś. A jeden raz w ciągu dwóch tygodni to niewiele. Takie kłamstwo można wybaczyć.

- Kiedy to cię okłamałem? No, no? Słucham.

Nagle ją olśniło. Przecież adresy kobiet brał z formularzy, które się wypełniało, składając papiery w urzędzie. Było tam również odnotowane miejsce zatrudnienia i źródło dochodów. A więc musiał wiedzieć, że osoba nazwiskiem Kamieńska pracuje w wydziale kryminalnym. Wiedział, ale mimo to wybrał ją na adresatkę listu. Co to było? Lekko-myślne ryzyko? Młodzieńcza brawura? Brak rozważli? Czy też świadoma chęć zmierzenia się w pojedynkę z całą milicją? I ten uporczywie powracający wątek sławy, uznania, rozgłosu. To on wywabił Artiuchina z kryjówki, a ona, Nastia, przywłaszczyła sobie jego laury...

- Wtedy, kiedy powiedziałaś, że od dzieciństwa szedłeś przetartym szlakiem, wstępując w ślady matki. Przecież to nieprawda.

- Skąd wiesz? - Jego głos był teraz inny, już nie drwiący i nonszalancki, lecz czujny, napięty.

- To proste. Chciałeś pracować w milicji i było dla ciebie wielkim ciosem, kiedy cię odrzucono. Dlaczego postanowiłeś to przede mną ukryć, Anton? Nie ma w tym przecież nic, czego należałoby się wstydić. Po co było kłamać?

Szewcow milczał, słyszała tylko jego urywany oddech. A więc znowu dostał zadyszki. Nastia ma zaledwie parę sekund na podjęcie decyzji, czy utrzymać Antona w przekonaniu, że udało mu się ją oszukać, czy też go rozczarować. Powiedzieć Szewcowowi o Alleko czy lepiej nie mówić? Zadała mu głupie, bezsensowne pytanie; to, co usłyszy w odpowiedzi, nie ma dla niej żadnego znaczenia. Ale Anton teraz na drugim końcu linii łamie sobie głowę nad możliwie najwłaściwszym wyjaśnieniem. On też uważa pytanie za niedorzeczne, lecz nie chce, by jego odpowiedź stała się pułapką, dlatego się namyśla. Dzięki temu ona zyskuje drogocenne sekundy, by przypomnieć sobie jego słowa.

*Sama jest sobie winna. Nie trzeba było grzeszyć...*

*Sama jest sobie winna. Tak ją wychowała, więc...*

*Dlaczego pani ich żałuje? Same są sobie winne...*

To motyw, który stale się powtarza. Poszukiwanie winnego. Przemóżna chęć obciążenia innych winą i odpowiedzialnością. Żadnych prób zrozumienia, żadnych usprawiedliwień ani okoliczności łagodzących. Wszystko jest tylko czarne albo białe. Istnieje jedynie dobro i zło.

Chciał być po stronie dobra. Dlatego pragnął wstąpić na służbę w milicji. Nikt mu nie wyjaśnił, że ta praca to kłamstwa, podejrzanе kompromisy, brudy. Stale ma się z nimi do czynienia. Myślał, że będzie walczył ze złem, sam pozostając przy tym kryształowo, nieskazitelnie czysty. Nikt nie zadał sobie trudu, by mu wytłumaczyć, jak głęboko się myli.

Do milicji Antona nie przyjęto. „Strasznie to przeżywał, to była dla niego prawdziwa tragedia”. Powołano go jednak do służby wojskowej, tam się nadawał. Do pracy w milicji nie był dość dobry. Zaplanował więc przestępstwo doskonałe, którego sprawcy milicja nigdy nie wykryje. Nie mścił się, nie, chciał jedynie udowodnić sobie samemu, że jest lepszy. Mądrzejszy. Sprytniejszy. Milicja nigdy się nie dowie, że przestępstwo doskonałe obmyślił i zrealizował Anton Szewcow. Ale on sam, świadom tego, będzie mógł być z siebie

dumny. I słusznie uważać, że wcale nie jest gorszy od tych z wydziału kryminalnego.

Pragnął podnieść poczucie własnej wartości, zraniony do głębi tym, że go odrzucono. Więc jak ona, Nastia, ma teraz postąpić: zadać mu jeszcze jeden cios, oświadczając, że jego zbrodniczy zamysł został odkryty, gdyż w milicji pracują ludzie nie głupszy od niego, czy też pochlebiać jego ambicji, przyznając, że udało mu się zrealizować swój zamiar zgodnie z planem? Która droga będzie słuszna? Którą powinna wybrać?

- Dlaczego milczysz, Anton? Halo, słyszysz mnie?

W skroniach mu łomotało, chwilami nawet przestawał słyszeć głos Kamieńskiej. Czemu go o to spytała? I jak się dowiedziała?

Niezgrabnie obrócił się na kanapie i spojrzał na Larysę. Leżała z zamkniętymi oczami, jak martwa. Na pewno jest nieprzytomna. Zebrało się już sporo krwi, powinien przerwać tę bezsensowną rozmowę i pójść wyjąć gąbkę. Ale coś go powstrzymywało przed odłożeniem słuchawki.

- Poczekaj, muszę na chwilę odejść - powiedział, ciesząc się w duchu, że znalazł sposób, by pozostawić pytanie Kamieńskiej bez odpowiedzi.

- Dobrze.

Z wysiłkiem wstał z kanapy i pochylił się nad Larysą. Od razu zakręciło mu się w głowie, w oczach pociemniało, ale po chwili opanował słabość. Ostrożnie wyciągnął spod dziewczyny gąbkę, zaniósł ją do łazienki i podsunął pod silny strumień wody, starając się nie patrzeć na spływającą krew i powstrzymać mdłości. Powłócząc nogami, wrócił do pokoju.

- No? - rzucił do słuchawki, kiedy już usiadł ciężko na kanapie. - Co jeszcze powiesz?

*Musiał na chwilę odejść* - napisała Nastia. Gordiejew kiwnął głową na znak, że rozumie. Rozmawiać i tak nie mogli. A nuż Szewcow sprawdza, czy Kamińska go nie oszukała, mówiąc, że jest w gabinecie sama? Powiedział, że odchodzi, a tymczasem siedzi ze słuchawką przyciśniętą do ucha, chcąc się upewnić, czy Anastazja z nikim nie rozmawia.

Nastia przesunęła ręką po czole i zdumiała się. Dopiero teraz poczuła, że jest cała spocona. Bluzka lepiła jej się do ciała, a po plecach spływały krople potu. Chętnie by się rozebrała dla ochłody, ale to nie było możliwe. Wyjęła więc tylko papierosa, już czwartego od chwili, gdy zadzwonił Anton.

Myśli, że ją przechytrył, że udało mu się popełnić przestępstwo doskonałe. A jednocześnie twierdzi, że odbierze sobie życie. Czemu, skoro wszystko potoczyło się zgodnie z jego planem? Przecież więzienie mu nie grozi. Więc dlaczego? Dlatego że nie widzi sensu dalszego istnienia? Że spełnił już swoją misję, wykonał zadanie, udowodnił sobie to, co chciał udowodnić? Więcej niczego nie potrzebuje do szczęścia. Nic go już nie obchodzi. Jak to powiedziała jego matka? „Dobrze, że nie dostał się do pracy w milicji. Nie wytrzymałby tego”. Ale czego? Życia w świecie kłamstw, półprawd i wszelkich brudów? Przywykłszy od dzieciństwa dzielić wszystko na białe i czarne, dobro i zło, nie potrafi znieść realnej rzeczywistości. To ponad jego siły. Dlatego chce odejść.

A gdyby powiedziała Antonowi, że mu się nie udało? Że nie wykonał zadania, jakie przed sobą postawił, nie osiągnął celu? Niczego sobie nie udowodnił? Są dwa wyjścia: albo zdruzgotany pożegna się z życiem, albo podejmie nową próbę. Szanse są pół na pół. A więc trzeba spróbować. Jeśli ona, Nastia, wybierze pierwszy wariant, wiadomo, jaką Anton podejmie decyzję. To rzecz nieodwołalna. Jeśli drugi, istnieje pięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że uda się ocalić mu życie. Poza tym jest jeszcze Larysa...

W słuchawce usłyszała ciężki oddech.

- No? Co jeszcze powiesz?  
- Zapomniałeś o kwiatkach.  
- O jakich znowu kwiatkach? Co ty bredzisz? Chcesz mnie zagadać?

- O kwiatkach na balkonie domu, który stoi naprzeciwko urzędu.

- O co ci chodzi? O jakich kwiatkach?

- O tych na zdjęciu Świętłany Pietrowny. Te kwiatki otwierają kielichy dopiero po zachodzie słońca albo podczas pochmurnej pogody. Dzień, w którym wychodziłam za mąż, był ciepły i słoneczny, a na fotografii kielichy kwiatów są rozwarte. Robiłeś to zdjęcie wieczorem? A może była wtedy brzydka pogoda?

Od początku rozmowy minęła godzina. Gordiejew przyprowadził dyżurną teletypistkę z mokrym ręcznikiem i wyszedł na krótko z gabinetu. Dziewczyna, nie odzywając się słowem, rozpięła Nasti bluzkę i przetarła jej ciało zwilżoną tkaniną. Na znak wdzięczności Anastazja lekko ścisnęła jej rękę i gestem pokazała teletypistce, żeby wyszła. Wrócił Pączek, poruszając się bezszelestnie, postawił przed Nasti wielki kubek gorącej kawy i położył na biurku kolejną kartkę.

*Gdzie jest aparat telefoniczny?*

*Na ścianie nad kanapą.*

*Ma sznur?*

*Nie. Bezprzewodowy.*

Pączek wyszedł na palcach, po chwili wrócił i znów stanął bez ruchu koło biurka, nie spuszczać z Nasti uważnego spojrzenia. Prawie się teraz nie odzywała, słuchała tylko, zadając niekiedy krótkie pytania, jeśli czegoś nie rozumiała.

I tak odejdzie, jest mężczyzną i nie zmienia swoich decyzji. Dlatego postanowił opowiedzieć jej wszystko. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo pragnął to zrobić. Tajemnica ciążyła mu, przytłaczała go, dręczyła, zatruchiwała jadem.



Opowiadał, jak pewnego dnia zobaczył w urzędzie dziwną kobietę w czerni, o nieobecnym, zgaszonym spojrzeniu. Zauważył ją, ale nie zwrócił na nią szczególnej uwagi. Za tydzień spotkał ją znowu, ale już w innym urzędzie. Wtedy się poznali. Zaufała mu i zwierzyła się. Poznał jej historię. Chodziła do urzędów w każdą niedzielę, patrzyła na młode kobiety i upajała się własną rozpaczą i nienawiścią. Do niczego więcej nie była zdolna.

Zbliżył się ze Swietłaną i zaczął obmyślać swój plan, starając się zawrzeć w nim wszystkie elementy jej opowieści. Panny młode, damska toaleta... Chytrze wymógł na niej, by napisała trzydzieści identycznych listów, trzymał je u siebie i od czasu do czasu wrzucał do skrzynki którejś z kobiet, a nazajutrz jechał do urzędu i przymierzał się do wykonania swego planu. Długo jednak trwało, zanim doczekał się szczęśliwego, sprzyjającego zbiegu okoliczności. Całych sześć miesięcy. Ale los w końcu się do niego uśmiechnął i w nagrodę za ostrożność i cierpliwość pozwolił mu dokonać dwóch zabójstw w jeden dzień. Oczywiście, planował tylko jedno. Trudno przecież liczyć na to, że tak się człowiekowi powiedzie dwa razy z rzędu. Ale miał akurat szczęście.

Oswajał Swietłanę Pietrownę, jak oswaja się dzikie zwierzę. Patrzył na nią czule, delikatnie gładził ją po ręce, mówił ciepłe słowa, których tak łakną kobiety. Dobrze wiedział, jak to się robi. To również było częścią jego planu. Kiedy przyszedł czas, dał Swietłanie do zrozumienia, że jego najbliższe odwiedziny nie będą zwykłą towarzyską wizytą. Kocha ją. Potrafił sprawić, by zapomniała o swoim wieku i o tym, że on ma dopiero dwadzieścia pięć lat.

Uwierzyła mu. Zrozumiał to od razu, gdy tylko przestąpił próg jej mieszkania. Swietłana była pięknie uczesana, miała świeży manikiur i nową suknię, wprawdzie czarną, bo innego koloru nie nosiła, ale bardzo elegancką. Wkrótce już siedział obok niej na kanapie. Nie kosztowało wiele trudu, by zamknęła oczy. I lekko rozchyliła usta. Gdy zamiast warg młodego kochanka poczuła na języku metaliczny posmak

lufy, nawet nie zdążyła się zdziwić, gdyż Anton natychmiast nacisnął spust. Włożył koperty do teki na korespondencję, zawinięty w szmatkę tłumik wsunął pod stertę bielizny.

Jak poradzić sobie z całą resztą, obmyślił już wcześniej. Swego czasu zgromadził wiele książek z dziedziny kryminalistyki i wnikliwie je studiował, chciał przecież pracować w milicji... Nigdzie nie zostawił odcisków palców ani innych śladów, to pewne.

- Gdzie popełniłem błąd? - zapytał Anastazję. Był ciekaw, co przeoczył. - Jest coś jeszcze poza tymi nieszczęsnymi kwiatami?

W tej chwili piętro wyżej zaczęto przesuwac meble. Jacyś faceci rozmawiali głośno:

- Gdzie? Tutaj? Czy jeszcze dalej?

- Bardziej w prawo, w prawo, mówię ci! Patrz, jak tu mało miejsca, na pewno nie wejdzie! Hej, gdzie jest gospodarz? Halo, proszę pana, jak to umocować? Może być tak?

Z góry dobiegały jakieś stuki, chyba wbijano kołki w ścianę. Z powodu hałasów Anton nie dosłyszał, co mu odpowiedziała Kamieńska.

- Powtórz - poprosił. - Nie zrozumiałem.

- Mówiłam, że nie znasz kobiecej psychiki. To twój podstawowy błąd.

- Dlaczego?

- Dlatego że kobieta, która postanowiła popełnić samobójstwo, na pewno nie będzie przygotowywać kolacji dla dwojga. Nie wchodziłeś u Swietłany do kuchni, prawda?

- Nie wchodziłem. Nie miałem tam nic do roboty. Zacieierałem ślady w pomieszczeniach, gdzie byłem.

- No widzisz...

Na górze, tuż nad głową Antona, warczała teraz wiertarka, i głos Kamieńskiej znowu zaczął zanikać w hałasie.

- Co powiedziałaś? Nie dosłyszałem.

- Mówię, że gdybyś zajrzał do kuchni, zobaczyłbyś to, co ja. Kolację dla dwojga. Zrozumiałam, że Swietłana Pietrowna na kogoś czekała. Sądząc z ilości przygotowanego jedzenia,

miała to być jedna osoba, a z doboru zakąsek - mężczyzna. Zobaczyłam ich typowy zestaw, odpowiedni do lekko zakrapianej kolacji, żadnego tortu ani ciastek, które kobieta kupuje, gdy ma ją odwiedzić przyjaciółka. I jeszcze coś...

- Co takiego?

Znowu zawyła wiertarka. Antonowi wydawało się, że wiertło wkręca mu się wprost w potylicę i prześwidrowuje czaszkę na wylot. Serce bolało go coraz bardziej, tak że z trudem skupiał się na rozmowie, był rozkojarzony, zdekoncentrowany.

- Poczekaj chwilę, zamknę okno. Ktoś na górze chyba robi remont, jest taki hałas, że nic nie słyszę.

- Oczywiście, zaczekam - upewniła go Nastia.

Funkcjonariusz obserwujący okna Szewcowa z sąsiedniego domu podniósł do ust radiotelefon.

- W porządku. Zamknął okno.

Kierujący akcją wydał komendę:

- Zaczynamy! Do roboty, chłopcy.

Anton zamknął podwójne okno. Tak, teraz w pokoju było znacznie ciszej. Spojrzał na wykrwawiającą się Larysę. Trzeba by jeszcze raz pójść do łazienki z gąbką, która całkiem już nasiąkła krwią, ale ogarnęła go niewiarygodna wprost słabość. Poruszał się z najwyższym trudem. Serce tłukło mu się aż gdzieś w gardle, zdawało się, że jeszcze minuta, a w ogóle wyskoczy z piersi. Nie, naprawdę, dłużej tego nie wytrzyma. Teraz już wszystko jedno. Pogada jeszcze chwilę z Kamińską i odejdzie.

Wyjął z torby pistolet, drżącymi palcami sprawdził magazynek. Z nieprawdopodobnym wprost wysiłkiem załadował broń, zrobił to, dosłownie oblewając się potem. Odciągnął spust i znów położył się na kanapie. W jednej ręce trzymał słuchawkę, w drugiej gotowy do strzału pistolet.

- Tak. Więc co mówiłaś?

- Swietłana Pietrowna wyglądała jak osoba, która postanowiła rozstać się z życiem, pragnąc jednak po śmierci wyglądać możliwie najlepiej. Rozumiesz, nie było jej wszystko jedno, co zobaczy ten, kto ją znajdzie. A kobieta, której to nie jest obojętne, z pewnością nigdy nie strzeli sobie w usta.

Znów rozległo się wycie wiertarki. Anton ujrzał czerwoną mgłę przed oczami. Gdyby miał na to siłę, chyba zaczęłyby krzyczeć.

Szybę w kuchennym oknie udało się wygnieść łatwo i bez hałasu. Funkcjonariusze, którzy opuścili się po murze z mieszkania o piętro wyżej, szybko zeskoczyli na podłogę. Kiedy Szewcow zamknął okno, mogli się już nie bać, że usłyszy, jak zjeżdżają na linie i ostrożnie wypychają szybę.

Przez chwilę nasłuchiwali odgłosów z mieszkania. Wciąż rozlegał się tylko hałas wiertarki na górze, w pokoju, gdzie znajdował się uzbrojony przestępca, panowała cisza. Zrobili kilka kroków, bezszelestnie stąpając na palcach, z gotowymi do strzału automatami w rękach.

- Anton, źle się czujesz? Co ci jest, odezwij się, Anton! - nalegała Nastia.

Przed nią pojawiła się kartka ze słowami:

*Już są w środku.*

Anton się nie odzywał, a ona nie słyszała nawet jego oddechu. Dobiegało tylko koszarne, szarpające nerwy wycie wiertarki.

Czyżby coś go zaniepokoiło i odszedł od telefonu? Zaczaił się przy drzwiach i czeka, kiedy będzie mógł zacząć strzelać do mężczyzn, którzy dostali się do mieszkania. Ich jest dwóch, a on jeden, ale znajduje się w dogodniejszej sytuacji...

- Anton! Anton, odezwij się. Co się dzieje? - nie dawała za wygraną Nastia, odtwarzając jednocześnie w pamięci

jego pokój i drzwi prowadzące na korytarz. Wydawało jej się, że widzi, jak Anton stoi za tymi drzwiami, a z przeciwnej strony zbliżają się tamci. Teraz wszystko zależy od tego, komu uda się strzelić szybciej i celniej.

- Anton! Anton!

- Halo? - odezwał się nieznajomy głos. - Kamińska, to ty?

- Tak.

- Kapitan Strygin z tej strony.

- Witia? Mów, co tam.

- Wszystko.

- Co znaczy wszystko?

- Facet wykorkował.

- Boże! Jesteś pewien? Może stracił przytomność?

- Brak tętna, źrenice nie reagują na światło. Nawet jeśli to tylko śmierć kliniczna, i tak do szpitala nie dowiozą go żywego.

- A co z Larysą?

- Chyba jeszcze żyje. Straszne tu jatki...

- Witia...

- Tak?

- Czy on... czy on się zastrzelił?

- Nie. Ale miał zamiar to zrobić. Trzyma pistolet w ręce. Pewnie serce nie wytrzymało. Przekaż tam, żeby kazali wyłączyć wiertarkę. Można oszaleć od tego hałasu, zdrowemu nerwy puszczają, a co dopiero...

Nastia powoli odłożyła słuchawkę na widełki. Trzymała ją w ręku prawie dwie godziny, dziwne, że ebonit nie przyrósł jej do dłoni.

- No i koniec - szepnęła cicho, odchylając się na oparcie krzesła. Głową dotknęła ściany i zamknęła oczy. - No i koniec - powtórzyła.

Stojący naprzeciwko niej Gordiejew przysunął sobie krzesło i usiadł na nim okrakiem.

- Już ja cię znam, Stasińko, dlatego od razu uprzedzam - nawet nie próbuj robić sobie jakichś wyrzutów, obwiniać

się. Zrobiłaś wszystko, co mogłaś, a nawet więcej. Nikt prócz ciebie nie potrafiłby trzymać go przy telefonie tyle czasu. Pamiętaj, że się nie zastrzelił, gdyby nie jego chore serce, chłopcy by go wzięli żywego. Mądra z ciebie dziewczynka, dziecino, wszystko zrobiłaś jak należy. Widocznie tak mu było pisane.

- Tak mu było pisane - powtórzyła Nastia niczym echo.

Wróciła do domu i od razu wpełzła pod kołdrę. Losza usiłował coś z niej wyciągnąć, ale ona nie miała sił ani ochoty rozmawiać.

- Jutro, Loszka, jutro - mamrotała, odwracając się do ściany i zwijając w kłębek. - Muszę trochę pomilczeć.

Nazajutrz, gdy tylko otworzyła oczy, zadzwoniła do pracy, żeby spytać o Larysę. Niestety, dziewczyny nie udało się uratować, straciła zbyt wiele krwi.

## ZAMIAST EPILOGU

Na lipiec synoptycy zapowiadali czterdziestostopniowe upały i wydawało się całkiem możliwe, że te prognozy się sprawdzą. W mieszkaniu i tak nie było czym oddychać, gdyż wypełniała je ciężka woń choroby, charakterystyczna dla pomieszczeń, w których leżą osoby sparaliżowane.

Minęło półtora miesiąca od chwili, gdy życie Walerija Turbina raptownie się odmieniło. Lekarka mówiła prawdę, rzeczywiście zaczął się już przyzwyczajać do swojej nowej egzystencji. Wynosił basen, biegał po aptekach w poszukiwaniu leków, prał zabrudzone prześcieradła, gotował dla matki kaszki i przecierane zupy, które mogła łatwo przełykać. Nocami pisał pracę, gdyż matka stale jęczała, i w przyniatającej ciszy nocy, kiedy wszystko wokół zamiera, te jęki, szczególnie wówczas głośnie, i tak nie pozwalały mu zasnąć. Sypiał teraz za to popołudniami, po czwartej, kiedy odgłosy toczącego się wokół na ulicy i w sąsiednich mieszkaniach życia tworzyły zwykłe, powszednie tło, na którym jęki sparaliżowanej matki były prawie niesłyszalne.

Czasami dzwonił do Kati Gołowanowej. Katia w zeszłym tygodniu powiedziała mu, że Ela wychodzi za mąż za Marata, a cała rodzina za dwa miesiące wyjeżdża do Stanów. Turbina zdziwiło, że nie odczuł z tego powodu najmniejszej przykrości. Był teraz tak daleki od wszystkich tych spraw...

Rozwieszał akurat uprane prześcieradła, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. W progu stał odrażający, przepity typ, który dawno już utracił ludzki wygląd i połowę zębów.

- Pan do kogo? - spytał Walerij, typowo kobiecym ruchem wycierając mokre ręce o fartuch.

- Czołem, synku - odezwało się rzadkożębe stworzenie, owiewając go przyprawiającym o mdłości zapachem tanich papierosów, pomieszanym z wyziewami zepsutego żołądka.

- Czego pan sobie życzy?

- Potrzebuję tak ze dwadzieścia kawałków. Pomógłbyś rodzonemu ojcu, co?

- Won! - zimno odrzekł Walerij i zatrzasnął drzwi.

Dzwonek odezwał się znowu, ale on ani myślał otwierać. Odkąd matka opowiedziała mu o wszystkim, był przygotowany na to, że może się tak stać. I stało się. Był zresztą przekonany, że nie ostatni raz.

*Czerwiec 1995*



Książki oraz bezpłatny katalog  
Wydawnictwa W.A.B.  
można zamówić pod adresem:  
ul. Łowicka 31, 02-502 Warszawa  
tel. (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11  
[wab@wab.com.pl](mailto:wab@wab.com.pl)  
[www.wab.com.pl](http://www.wab.com.pl)